ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXVII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA,

1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 14½

Druk ukończono d. 5 marca 1895 r.

Z POEMATU

„BEZSENNE NOCE".

(Urywek ze wspomnień o Innocentym Drogoniu, sławnym onego czasu myśliwym).

Jeżeli Pan Bóg życia mi pozwoli,
Gdy mnie nie złamią złych przeznaczeń losy—
Pójdziecie ze mną, smugą czarnéj roli,
Gdzie w złotém słońcu leżą zbóż pokosy;
W słuch wam uderzy cichy szmer topoli,
Na trawach srebrne zaperlą się rosy,
Słońce promienną zabłyśnie koroną,
A lip zapachy waszą pierś owioną.

Jak przez sen widzę ojców dworzec stary
I płaszcz zielony angielskiego parku —
Słyszę dwóch stawów niezmęczone gwary
I młyn będący z falami w poswarku,
Ponad któremi ogromne komary
Brzęczą, a czasem coś zawrze, jak w garku
I ostrych dźwięków ogłuszy cię zamęt:
To chórał żabi, ich kłótnie, ich lament.

Jak okiem zajrzysz, łan bujnéj zieleni,
Czystych kryształów nakryty błękitem,
Złoci pszenica lub gryka czerwieni,
Albo się srebrném zakołysze żytem —
Czasem przelotny obłok go ocieni,
Wtedy brunatnym patrzy aksamitem
I cichym szmerem uderza w dwa końce,
Jakby się dąsał, że mu wzięto słońce.

Dom był oddany pod straż lip i klonów,
Konar z konarem wiązał się nad dachem,
Stuletnie świerki stały wśród gazonów,
Zapach ich z kwiatów łączył się zapachem —
Daléj park, pełen malowniczych tonów,
Zdawał się duchów być zaklętym gmachem,
Ogromny, na trzech rozciągniony wzgórzach,
Zimą w osłonie śniegów, latem w różach.

A co słowików kryło się w gęstwinie,
W jaśminów cieniach i bzów niskich krzewach!
Gdy wiosna liście zielone rozwinie,
I jasne, wiotkie zawisną na drzewach —
Już pieśń słowicza pełną falą płynie
W gwizdów potopie, w drżeń srebrnych ulewach,
Aż—zasłuchany w tę pieśń niezrównaną —
Żal czujesz do nich, gdy śpiewać przestaną.

Lubiłem błądzić wśród zakrętów alej,
W noc księżycową, przy tym srebrnym gwarze —
Nieraz na serce wołałem: „Nie szalej!"
Bo ono w piersi, jak wino w puharze
Szumiące, chciało wyskoczyć, biedz dalej. —
Dziś się pomyśléć nawet nie odważę,
Dziś-bym już nawet nie szepnął przed nikiem
O téj piosence śpiewanéj z słowikiem.

Lubiłem błądzić pośród tych zakrętów,
Gdy drzewa w srebrne ubiorą się śrony,
I stoją ciche w osadzie dyamentów,
Z pochylonemi ku ziemi ramiony —
Wkrąg białość śnieżna i cisza odmętów,
I jakiś spokój śmierci nieskończony —
Czasami tylko śnieżysta kaskada
Na ciebie spadnie lub przed tobą spada.

Dziwnie szeleszczą owe wodotryski,
Które się w pyły rozsypują drobne —
Śnieg tylko skrzypi pod nogami śliski
I patrzą drzewa tak do palm podobne,
Lub, jak zwietrzałe przez czas obeliski,
Przedziwnym haftem srebrnych nici zdobne
Stoją, rzucając na białe przestrzenie
Wiotkich swych kształtów szafirowe cienie.

Od domu, piękne rysując półkole,
Żywopłot z tarni okrążał dziedziniec.
Przy wjeździe stały dwie smukłe topole,
Dalej szeroki toczył się gościniec
I ruchem węża wijąc się przez pole
Wbiegał do lasu... W lesie był zwierzyniec—
Sarny złociste, plamiste daniele
Do wyciągniętych rąk biegły po ziele.

Dorywczo, jednak tu pamięć zaznaczy,
Choćby w nawiasie—o koniach słów cztery.
Z pól wiatr przynosił głuche rżenia klaczy,
Odpowiadały ze stajen ogiery —
Stadnin pilnował prawy syn kozaczy
I nosił imię sławetne Tetery —
We dwójkę nieraz z nim, dwa dzikie ptaki —
W step — i na konie, bez uzd i kulbaki.

To też grzbiet koński był dla mnie kolebką,
Step—ukochaniem, wiatr—ust lubych tchnieniem—
To też się rosło i zdrowo i krzepko
I z jakiemś orlem zżyło się pragnieniem —
I gdyś się spotkał z dziewczyną-przylepką,
Toś ją ukochał nie krwi półpłomieniem—
I jeśli wtedy coś ciebie urzekło,
Poszedłbyś w ogień i w otchłań i w piekło!

Stój!... Przeminęło już wszystko — i skrawek
Nie został jeden z dawno zdjętej szaty —
Nic z marzeń dawnych i dawnych zabawek!
A jednak... czasem tak zapachną kwiaty,
Tak krew się wzburzy, że choćbyś z sadzawek
Wodę wziął wszystką i lodu kwadraty
W pierś cisnął: staje lód, woda się zmieni
W parę, a jeszcze nie zgasisz płomieni.

O, lata młode! o, strzecho ojcowa!
Pola zielone i ty, sielska ciszo...
Pragnąłbym śpiewać — lecz łamią się słowa —
Tylko się myśli, jak ptaki, kołyszą
Nad tej przeszłości głębią, która chowa
Czar pieśni, jakiej już dzisiaj nie słyszą,
Jaka już może nie zabrzmi nikomu
W tamtej krainie, w tamtym—moim domu!

Czuję czar wspomnień! chwil parę pomyślę
I niewołany rym pod pióro wpada —
Form poetyckich nie trzymam się ściśle,
Wiersz płynie szybko i sam się układa —
Ja tylko -- w sercu urodzony — kreślę
Obraz, a jakiś duch mi podpowiada,
Czasem duch z wieków zamierzchłych przybiegły—
Więc dom buduję z kamienia — nie z cegły.

I tak — wbrew woli — szybko, bez oddechu
W zygzaki liter zmieniam tłumy wspomnień—
Przebrzmiałych kilka dźwięków szukam w echu,
Budzę uśpione i nie chcę zapomnień,
I niejednego możem winien grzechu,
Lecz nie korzystam ni z rad, ni napomnień,
Bo wiersz mój dziki i pełen chimery
Parska i sadzi jak rumak Tetery.

Hop!... Gdzieżem skoczył?—Wstał księżyc bladawy
I oblał cichém światłem okolice.
Kalinowieckie zaszumiały stawy,
Zabłysły razem trzy złote księżyce,
Dwa w głębiach wodnych, gdzie stawów brzeg prawy,
Na niebie trzeci. — Ciche błyskawice
Drgają w powietrzu... Szmer zabrzmiał w oddali—
To wietrzyk zaniósł pocałunek fali.

Lecz niech dnia blaski pierś ziemi ozłocą,
Co za gwar, wrzawa—jaki ruch we dworze!
Jaskółki kwilą i wróble świegocą,
Jeden drugiego prześcignąć nie może —
W gumnach stuk słychać: to cepy łopocą,
Bydło zamknięte poryka w oborze —
Ktoś basem huknął.. A no — rzecz wiadoma,
Że basem takim grzmi pierś ekonoma.

Frunęły, dnia się nacieszyć promieniem,
Jaskółki... Gniazda swe u okien wiły.
Bezpiecznym dla nich był nasz dom schronieniem —
Nieraz dziobkami w szyby okien biły,
A nakarmione chlebem lub siemieniem
Pierzchały nagle i znowu dzwoniły —
Nawet drapieżnik kot miał się z ostrożna,
Wiedział, że dotknąć tych stworzeń nie można.

W gnieździe swém bocian budził się z klekotem,
Trzepnął skrzydłami, dziób wyciągnął, szyję...
I za staw wionął zamaszystym lotem,
Gdzie w łąkach żabia hołota się kryje,
Co mu noc mąci niezdarnym skrzekotem
I nieraz ze snu dzieciaki wybije —
Chwyta śpiewaczkę... i — dumny z połowu —
Wraca do gniazda, by odlecieć znowu.

Wieczorem, każdy z nas siadał przed domem:
Matka, brat, siostry i piastunka stara.
Ojciec naradę miewał z ekonomem,
Wtedy od krzyków i swawoli — wara!
Naradę kończył, jak zwykle, wiadomem:
„—Zatém tak być ma—niech się acan stara."
Zbliżał się do nas i — o tém, to o tém,
Gawędząc z nami, rzucał słowem złotém.

Lubiłem bardzo te z ojcem rozmowy,
Które mnie nieraz w dziwne światy niosły.
Czasem na prędce sklecił wiersz rymowy,
Myślą gdzieś wzleciał, a mnie pióra rosły.
Wtém nietoperzek nad naszemi głowy
Wionął — słowiki, cichéj nocy posły,
Brzękły w ogrodzie — i zagrały smutnie:
„Kum—a—kum!" żaby, jak płaczące lutnie.

Kochałem wiosnę za jéj woń i kwiaty,
Lato — za słońce i za owoc złoty;
Nawet jesieni wypłowiałe szaty
Wiały przedziwnym urokiem tęsknoty.
W dalekie ziemie pędził ptak skrzydlaty,
Coraz to nowe widziałem odloty,
I, choć się białe rozciągnęło płótno,
Ziemię mróz ścisnął — nie było mi smutno.

Lubiłem długie, zimowe wieczory
I na kominku trzaskające drewka —
Służby czeladnéj gwarne rozhowory,
Które dość często przerywała śpiewka —
I czułem silne rumieńców kolory,
Gdy jakiś chłopak folwarczny lub dziewka
Pieśń o wyrodnym zaśpiewali synu,
Co matkę sprzedał — znaną pieśń wśród gminu.

Kochaj! mówiła ta pieśń staroświecka,
Jeśli chcesz jasne mieć serce i czoło —
Kochaj! bo nie ma spokoju zdradziecka
Myśl i, gdy w czynu utoczy się koło,
Jadem trucizny wciśnie się w pierś dziecka,
Do rąk prawnucząt czarną przylgnie smołą...
A wiedz, że trzeba mieć olbrzymią siłę,
By zmienić serce—przez krew ojców—zgniłe!

Pamiętam pieśń tę i niańczyne bajki,
Które mnie słodko do snu kołysały —
Wśród zimy wichry, znane stepów grajki,
Razem z piastunką tęskną pieśń śpiewały —
Latem budziło mnie kwilenie czajki,
Skrzydeł rybitwy błyskał sztandar biały —
Plusnęła woda... Ach! przeszło lat tyle,
Słyszę plusk wody, pomnę każdą chwilę!

Pamiętam zjazdy sąsiedzkie i bale
I rzucające się dziewice w pląsy —
Płonące ogniem żywe ust korale
I śmiech wesoły i żartu przekąsy,
I młodzież w przyszłość patrzącą zuchwale
I starców dziarsko podkręcone wąsy,
I brzęk puharów i szepty po cichu
Przy pełnym wina rzucane kielichu.

Pamięci senna, dziś wspomnieniem pogoń
Za niknącemi młodości marami —
Rzuć nadto smutne, promienniejsze dogoń,
Zatrzymaj chwilę i oblej ją łzami!...
Ktoś mi się skłonił... Innocenty Drogoń —
Witam cię, starcze schylony latami,
Którego czoło świeci w znaki różne,
W zmarszczki poprzeczne i rysy podłużne.

Witaj, myśliwcze, znany w one czasy,
Gdy prowadziłeś na smyczy psy gończe — —
Wiedzą coś o tém mołoczkowskie lasy
I znają knieje twe piersi obrończe.
Starych Nemrodów ustały zapasy
I ja wspomnieniem tych łowów pieśń kończę,
Ale o tobie, coś mi stanął w myśli,
Jeszcze strof kilka szereg oktaw skréśli.

Witaj więc, ojca przyjacielu stary,
Wędrowcze dziwny, coś własnemi stopy
Pełen młodzieńczych zapałów i wiary,
Z pielgrzymim kijem zwiedził pół Europy.
Nie obce tobie południowe żary,
Ani też śniegów północne roztopy —
Nie obce tobie były burz pioruny,
Śpiéw arf i arf tych popękane struny.

Pół wieku nie był w swéj rodzinnéj stronie.
Bo gdzieś się błąkał po dalekim świecie —
Ot, serce jakieś biło w jego łonie
Niesforne, dzikie, marzące—cóż chcecie!
Ćwierć wieku siedział na własnym zagonie,
A późniéj, późniéj... Powiem wam w sekrecie:
Z miłości wielkiéj oszalał.—Nie dziwo
Temu, kto kochał miłością prawdziwą.

A była piękną ta jego wybrana,
Jak raj dantejski z różycą aniołów —
Ale... Tu dla mnie przyczyna nieznana,
Coś się ukryło pod warstwą popiołów —
Dość, że kolumna została strzaskana,
Do piersi piersią nie przypadł... Jak ołów
Łzy ciężkie spadły i—w dalekie ziemie
Poszedł, unosząc swéj miłości brzemię.

Mówili ludzie, że umysłu zamęt
Pognał go w kraje nieznanego świata —
Że gdzieś zostawił spisany testament,
W którym zagadki węzeł się rozplata —
Wiem tylko, że téj miłości sakrament
Wraz z sobą powiózł i przez wszystkie lata
Pamiętał o téj, któréj już na progu
Życia powiedział: „Pierwszaś mi—po Bogu!“

Dość, że pozostać nie mógł w téj krainie,
Gdzie o „niéj“ szeptał każdy kwiatu listek — —
Gdy rozpieszczony sen pryśnie i zginie,
Jednym grobowcem zostaje świat wszystek.
„Precz idę!“ krótko napisał rodzinie,
Swym przyjaciołom posłał także świstek
Okrutny żółcią zaprawny—to trudno!
I poszedł sobie na wyspę odludną.

Lecz, że nie z każdym jest w przyjaźni złoto,
A on ostatni grosz wydał z kalety
Na pierścień ślubny—musiał iść... piechotą.
A szedł drogami błędnego komety,
Tędy, to tędy.—Rozbrat wziął z tęsknotą,
Bo czarny smutek owładł nim, niestety,
I rósł w tém sercu, okrutnie zranionem,
A był tak straszny, jak rozpacz przed skonem.

I próżno przed nim serca litościwsze
Złudnéj nadziei wysuwały mary —
Dziwném mu było zadrganie krwi żywsze
I wiara czyjaś, gdy on jest bez wiary — —
A dni za dniami wciąż biegły straszliwsze,
Wkoło chłód, cisza i mgła, i mrok szary —
I, myśląc o swych snów rozbitéj urnie,
Szeptał, że tylko tak żyć mogą— durnie.

Dosyć mąk!... Lufą pistoletu zmierzył
Szerokość skroni i wypukłość czoła
I obwód serca... Ale nie uderzył. —
Potrafił szepty czarnego anioła
Paciérzem zgłuszyć... W Boga jeszcze wierzył — —
I, gdy mu w myśli błysnął krzyż kościoła
Wioski rodzinnéj; gdy w sercu tułaczem
Jęknął dzwon wspomnień, jak żak—ryknął płaczem.

O, ty, miłości—święta w uczuć rzędzie,
Najpiérw rodziny, późniéj téj kochanki,
Która serc zacnych talizmanem będzie
I poprowadzi za niebieskie szranki —
Dokądbyś poszedł—z tobą pójdzie wszędzie.
Opadną liście wszystkie, zwiędną wianki,
A ona jedna ponad twojém czołem
Wspomnień ostatnich błyśnie archaniołem.

Więc, jak kometa, co skośnemi ściegi
Po wszechświatowym błąka się obszarze —
Tak on—od gór tych, kędy leżą śniegi,
Gdzie w zamarzniętym kryształów puharze
Śpi brylant czarny; ponad morskie brzegi
Ziem różnych obce wciąż witając twarze,
O jakiś okręt kupiecki zahaczył —
Przetrwał dwie burze—i Londyn zobaczył.

Stamtąd już droga prosta do Paryża — —
A daléj—ruszać?... Trudno—pierś zmęczona —
I tak już giął się pod ciężarem krzyża
I do mogiły wyciągał ramiona —
Nogi się chwieją, ku ziemi się zniża
Czoło, coś w myśli szarzeje i kona —
Więc—choć miał twardą pierś, jakby ze spiżu,
Zapłakał cicho—i został w Paryżu.

W stolicy Francyi zbiegło lat niemało —
I gdy obliczył, aż zadrżał... Pół wieku!
Tyle gwiazd zgasło, tyle burz przewiało
I marzeń tyle zawiesił na ćwieku
W tém życiu swojém, a jeszcze się zdało,
Że z izby przeszedł do izby.—Ha! leku
Nie masz na starość—tylko znów tęsknota
Za gniazdem własném, jak wąż serce mota.

Żegnaj, Paryżu—to podróż ostatnia! —
Pieszo, na wozie, koleją—ha, różnie — —
Może gdzieś jeszcze została dłoń bratnia?...
Czas wracać, wracać choćby o jałmużnie — —
Już życia jego rozplątana matnia,
Co miał, to rzucił w tę otchłań, w tę próżnię —
Dziś mu zostało jedno z wszystkich dążeń,
Ze staréj lipy krzyż i ziemi sążeń.

Włożył na siebie wytartą czamarę,
Kapciuch z tytoniem zwiesił u pętlicy
I poszedł.—„Hej! hej! gdzieście, druhy stare,
„Na jakim świecie, w jakiéj okolicy?
„Jednąście ze mną wychylali czarę,
„Jeden nad nami huczał dzwon z dzwonnicy,
Jeden ślub związał...“ Za graniczne kopce
Wszedł... Kraj znajomy, twarze ujrzał obce.

Ba!... lat pięćdziesiąt!... Piorunem czas wali — —
Tych, co znał dawniéj, kryje darń zielona — —
Nie!... spotkał kilku—oni nie poznali.
Wyszeptał swoje nazwisko, imiona
Druhów wyliczył... o nic nie pytali,
Tylko wzniesione niechętnie ramiona
Mówiły... Jezu!—Myśl natrętną spędzasz...
Mówiły: „Odejdź!... Tyś nie ten dziś.—Nędzarz!“

Do drugich, trzecich wrót zapukał—jedna
Odpowiedź wszędzie. Przy niepróżnych stołach
Siedzieli—syci!... A to rzecz powszedna:
Zjadacze chleba o miedzianych czołach.
Tam nie zdobędziesz jednéj myśli ze dna
Ich pustéj duszy,—na świątyń popiołach
Siądą i niechaj gmach nad nimi pęka,
Wiązań nie chwyci ociężała ręka.

Jeśli się ruszy, to po to, niestety!
By z fraka dostać banknot welinowy
I zręcznie koło pokręcić rulety.
Liche tam serce, jak dzwon puste głowy — —
Zgrzebnego sukna nie tknie fałd sajety,
Dziś nie na rękę dla nich ten gość nowy,
Zresztą stosunek nie łączył ich ścisły:
On miał trącone, oni—zdrowe zmysły.

Ach! niemal cały świat przeszedł w półkole,
Na śniegach piętno stóp swoich wypalał.
A winą jego, że poszedł w niewolę
Uczuć zbudzonych nagle—i oszalał!
O! gdyby nie ten włos siwy na czole,
Progów sal waszych stopą by nie walał —
Gdyby nie robak smutku, co pierś wierci,
Możeby przyszedł, lecz duchem—po śmierci.

Umarli milczą—żywi się wyparli —
Pozostał jeszcze ostatni towarzysz
Dawny—mój ojciec. Ha! a może karli
I w nim duch mieszka?... Czy już się odważysz
Iść, gdy ci inni nadzieję wydarli,
Zabili wiarę?... Starcze! o czém marzysz?
Jak ci blednieje twarz!... Zacisnął pięście
I poszedł—poszedł raz jeszcze po szczęście.

Według słów jego ten krzyk bólu piszę,
Jam mętów takich nie wlewał do czary.
W pamięci mojéj żywo się kołysze
Obraz następny: Przepełniały gwary
Dom rodzicielski, głośne śmiechy słyszę,
I szum biesiadny, i muzyk fanfary —
W cześć gospodarza wzniósł się okrzyk żywy,
Gdy nagle we drzwiach stanął gołąb siwy.

Gwar zmilknął—tylko cichy szmer po sali
Pobiegł i oczy ku tym drzwiom zwrócono.
Gdy tak milczeniem wszyscy się pytali,
Starzec ów patrzał źrenicą omgloną
I drżał, jak listek na ruchoméj fali —
I gdy się ojciec zbliżył, skroń schyloną
Podniósł i jakimś bladym strachem zdjęty,
Zdołał wyszeptać tylko: „Innocenty...“

„Ty!?“—krzyk się rozległ. „Poznałeś!?“ Ogromny
Ciężar spadł z piersi biédnego pielgrzyma.
„On poznał!“—szeptał na pół nieprzytomny —
„A ja myślałem, że już Boga nié ma,
„A świat dzisiejszy jest tak wiarołomny,
„Że się i dawna przyjaźń nie utrzyma — —
„A ty poznałeś?... bo—wiédz, przyjacielu,
„Że mnie już dzisiaj poznaje nie wielu“.

W gronie biesiadném dla podobnych gości
Pozostawiona znalazła się ława — —
I więcéj było teraz wesołości,
Wzmożonym gwarem pobiegła zabawa;
Wzniesiono huczne zdrowie jegomości,
Którego sucha, malutka postawa
I strój, świécący resztkami łachmanów,
Dziwnie odbijał od wykwintnych panów.

I tak się skończył ten dzień uroczysty
Wielkim potokiem słów, radością wielką —
I gdy na niebo wybiegł księżyc mglisty
A ziemia rosy zabłysła kropelką —
Jak kochankowie, co czytują listy
Dawne, w nich widząc dzisiaj rozkosz wszelką —
Tak ci dwaj starce (powieść się ma dłuży)
Z księgi pamięci wyjęli list duży.

I rydlem wspomnień, opuszczony cmentarz
Grobów zapadłych, wzdłuż i wszerz zorali.
To jeden pytał, to drugi: Pamiętasz?
Nieraz się ogniem źrenica zapali,
Sto pytań spadnie, bo myśli nie spętasz,
Jak nie zatrzymasz raz wezbranéj fali — —
O ludziach dawnych, sąsiedzkich zabawach,
To o publicznych gawędzili sprawach.

A oczywiście: lepiéj dawniéj było!
Znana piosenka—boć to w lat początku
Więcéj, niż dzisiaj, złotych gwiazd świéciło,
W krwi arfy grały, a w piersi zakątku,
Jak dzwon Zygmunta, z grzmotem serce biło —
W tragedyi życia więcéj było wrzątku — —
Gdy kto wzniósł kielich, to nektar weń nalał —
Gdy kto oszalał, to—jak Lir oszalał!

O tém, to o tém gawędzono wzajem —
Jeden nie skończył, drugi już zaczynał — —
Ziemia zdawała się rozkoszy rajem,
Nikt funta mięsa z piersi nie wyrzynał,
Ani uczciwym gardził obyczajem — —
A psy? a konie? To powieści finał — —
Krew starych łowców zagrała im w żyłach,
Że aż się wzmogli dziadowie na siłach.

„Pamiętasz acan zaprząg Szaszkiewicza?...
„Taranty...“ Cmoknął... „Gdzie takie taranty
„Dzisiaj?... Jak palniesz raz i drugi z bicza,
„To tylko waszmość trzymaj się za kanty,
„Bo na łeb zlecisz. A psy Jurkiewicza —
„Prawda...?“ Poprostu, grały jak kuranty,
„Aż się niejeden zapłakał myśliwy —
„Dziś się nie znajdzie nawet pies uczciwy!“

„A waszmość pomnisz tę pyszną wyprawę
Z panem Karolem na grubszego zwierza,
I dym, i szelest, i błysk, i kurzawę,
Suchéj gwizd kuli, gdy w żebro uderza?
„Stłukliśmy wtedy uczciwie otawę,
„Aleśmy bestyi naskubali pierza —
„Pal!“ rozkaz krótki... Nie biegniem, nie gonim —
„Wilk tylko zęby pokazał—i po nim!

„Umiał pan Karol przewodzić, osaczyć
„Umiał, a dziób miał i oko sokole;
„Stać ino było, gdy kazał—i baczyć,
„Kiedy się bestya wysunie na pole.
„Lecz po co waści te rzeczy tłómaczyć,
Wszakże przy jednym chléb jedliśmy stole,
„Jedno łowieckie prowadziło hasło,
„Dopóki coś się nie ściemiło, nie zgasło! ..“

„Ba, ba!... Pan Karol!... Od kwiatu nazwisko
„Wziął, co zapachem zmysły ci odurza.
„Toć to tak dawno, a tak jakoś blisko,
„Zda się, że pamięć w dniu przeszłym się nurza
„I przed oczyma chwieje ci kołyską,
„I słońcem błyska i pachnie jak róża — —
„A miłość nasza?... Twoja poszła krzywiéj —
„Jak ty cierpiałem—skończyłem szczęśliwiéj“.

Długo w noc dzwonił gwar żywéj gawędy,
Bo obaj byli myśliwi nielada —
Co chwila słychać krótkie: „Pal!“ komendy,
Trzaśnięcie w palce—to niby trup pada —
Jak zachodzili tędy, to owędy,
Jak późniéj gwiazda im zabłysła blada,
Jak się rozstali, nie myśląc, że może
Znów ich połączą dziwne sądy Boże.

Lecz teraz już się rozstaną nie prędko —
Dwa dęby, wzrosłe na ruiny zrębie — —
Pan Drogoń został. Czas spływał gawędką,
Raz w raz otwiérał tajemnicze głębie,
W których wspomnienia pochwycone wędką
Pamięci, w skrzydła trzepały gołębie —
I tak upłynął rok jeden i drugi,
I czas się zdawał, jak lity pas—długi.

Raz—nocy pewnéj... O! ta noc nie zginie
Nigdy w pamięci. Gwiazdy się iskrzyły —
Czasami obłok bieluchny przepłynie
I z bliskich stawów powionie chłód miły.
Pan Innocenty mieszkał w oficynie,
Do dworu dowlec się już nie miał siły,
Skarżył się, że go coś w ramieniu boli
I tak, jak lampa, dogasał powoli.

Dwór usnął — cisza zaległa dokoła...
Siedziałem w oknie, wdychając lip wonie.
Szczek psów dochodził z dalekiego sioła
I śpiew pastuszków, na bliskim wygonie
Pasących stado... Cóżto? — ktoś mnie woła —
Tak! głos słyszałem w tamtéj, w tamtéj stronie,
Szedł z oficyny... Ktoś szybko otwiera
Drzwi. — Wpadł Jan z krzykiem: „Pan Drogoń umiera!"

Pobiegłem. — Stary dostrzegł mnie zdaleka —
Czy poznał—nie wiem! Zbliżyłem się—patrzę—
Mgłą już świeciła pół martwa powieka,
Lica miał coraz surowsze i bledsze,
I widać było, że już śmierć nań czeka
I kradnie piersi oddechy wciąż rzadsze —
„—Chodź" krzyknął głucho — oparł się na ręku —
„—Pal!" ciszéj szepnął — i skonał bez jęku.

Noc, d. 3 grudnia 1894 r.

Kazimierz Gliński.



BIEDRONIE.

POWIEŚĆ.

I.

Jutrzenka zaświtała blado i zimno, wychylając się z po za ciemnych i groźnych gór, zasłaniających świat od południa... W miarę wzmagającego się światła ukazywało się niebieskawo-zielonawe niebo, po którém nisko płynęły rozwieszone płachty ciężkich chmur, napęczniałych dészczem.

Szmat ziemi, objęty ludzkim wzrokiem, zatrważał i gnębił ponurością smutku. Wśród morza nieruchoméj mgły stérczały czarne wielkie drzewa. Z liści ich spływała grubemi kroplami woda, denerwując jednostajnością uderzeń. Muzyka nudna, o tempie powolném i nierównném, dławiła.

Wierzchołki szarych dachów chat wydobywały się z powodzi oparów, podobne pogrzebowéj karawanie. Zimno przejmowało do kości, nieruchoma martwota przy jękach wiatru w górze i akompaniamencie spadających kropli przerażała, a dusza rada była wyrwać się z ciała i uciec w krainy słońca i rozkoszy ciepła.

Wysokim brzegiem wąwozu, po ścieżce, spłukanéj dészczem biegł chłopiec, owinięty płachtą, związaną na grzbiecie w gruby węzeł. W jednéj ręce trzymał bat, w drugiéj przerzucony przez plecy

słomiany chochoł. Płócienne, zawinięte do połowy łydek portczyny, okrywały chude, czerwone nogi, z po za okrągłéj czapki, spadającéj na uszy wyglądały duże, zadumane niebieskie oczy i chuda, drobna twarzyczka. Biegł, przebierając szybko nogami, batem świstał i dla dodania sobie odwagi rozmawiał z czworgiem bydła, grzęznącém w ciężkiém błocie wąwozu. Skulone od zimna krowy, oglądały się, rade wrócić do ciepłéj stajni.

— Czarnula, czego patrzysz — zawołał — Wtorucha, ty byś rada do domu! A myślisz, że ja nie? Ale kiej mus, to mus — pchaj się w górę i już. Widzisz, jałowice rzną ci, aż miło.

Wtorucha zaryczała smutno, zawtórowały jéj Czarnula i jałowice.

— Byle ino wydrapać się na błonie, trawki będzie w bród. Mokra ci, zimna, ale zawsze lepsza, jak pusty żłób — pocieszał je chłopiec.

Czy świstu bata, czy słów zachęty, dość, że usłuchały Wtorucha z Czarnulą, gramoląc się pod górę. Na przodzie pomykały raźno dwie młode jałowice.

Pastuszek i czworo bydła stanęło na wielkiéj przestrzeni zielonego błonia. Daleko na końcu widnokręgu, otulone mgłą ciemne góry zamykały świat. Chłopiec oczy w nie wlepił, zdawało się, że idą ku niemu, przyjdą i zgniotą go.

Ponurość straszyła go, gdyby się nie bał ojca, nie troszczył o bydło—uciekłby. Spojrzał dokoła—mgła czołgała się po pustém błoniu, czarne olbrzymy zbliżały się. Krowy starały się ciepłym oddechem nozdrzy osuszyć trawę i rozgrzać ją

Niespodzianie wypadł z po za lasu wiatr, odbił się o błonia i porwał przyczajone do ziemi mgły. Widnokrąg się odsłonił, chaty wyjrzały, drzewa wyswobodziły z topieli, stado wron zatrzepotało skrzydłami i, kracząc, odleciało.

Życie się zbudziło.

Chłopak, przestępując z nogi na nogę, szukał oczyma żywéj duszy — pusto. Podbiegł ku wygonowi, wpatrując się w ścieżkę, lecącą po pochyłości w jar, otoczony krzakami brzeziny. Zobaczył i roześmiał się radośnie, podskoczył, świsnął batem, chciał biedz, lecz się zawahał.

Wśród białych brzózek majaczył skrawek czerwonéj spódnicy dziewczynki, ciągnącéj na powrozie krowę.

Otulona płachtą, podobnie jak chłopiec — i ona dźwigała na plecach przewieszony przez ramię chochoł słomiany. Nie mógł ustać — poleciał.

— Zośka, to i ciebie wygnali—wołał zdaleka.

— Sama poszłam—odpowiedziała. — Ociupinka siana w stodółce i już go w lecie spaść?

— Mnie kazali, chociaż u nas koniczyny huk.

— Łakomi—szepnęła.

— I jak—zawołał chłopiec.—Zaczekaj, pomogę ci starą pognać.

— Tylo jéj czasem, Jasiu, batem nie luń. Krowisko ledwo co racice ciągnie za sobą.

— Ja ci téż bardzo łakomy na bicie?

— Prawda, ty do bicia? —poświadczyła dziewczynina, okręcając powróz około rogów staréj.

— Będzie nam raźniéj — odezwał się chłopak. — Byłem sam na pustém błoniu i strasznie czegosik bałem się, choć nie wiem czego.

— Będzie nas ino dwoje, bo nikt bydła na takie zimno nie zechce gnać.

— A niechta—odrzekł—samym lepiéj.

Dobry humor chłopca rósł, świsnął batem i uchwyciwszy za płachtę dziewczyny, ciągnął ją pod górę z całych sił.

— Ej, Jaś, nie zbytkuj, nożyska mi z zimna ociężały jak kłody.

— Zagrzeją się — i moje zmarzły! Lećmy, bo jak Wtorucha zmiarkuje, że mnie nie ma, wprowadzi bydło na organistowy groch.

Dzieci, ująwszy się za ręce, biegły pod górę, za niemi stara, jak mogła, zbiérała nogi.

Przeczucia Jasia sprawdziły się. Wtorucha, z początku wolno, późniéj coraz prędzéj, posuwała się w stronę organistowego grochu, prowadząc za sobą Czarnulę i dwie jałowice.

— A co? — zawołał Jaś i pogalopował, co mu sił starczyło. — Zośka, zabiegaj od drogi!

Dwie białe plamy mknęły po zielonawém błoniu, usiłując przeciąć drogę nieprzyjacielowi.

Zosia pierwsza dopadła do grochu, stając wpoprzek Wtorusze. Zmierzyły się wzrokiem. Wtorucha rzuciła się na lewo, Czarnula za nią, lecz na lewém skrzydle spostrzegły pędzącego chłopca. Wzięte w dwa ognie, cofały się wolno, spoglądając żałośnie na łaskotliwie szeleszczącą ławę zieleni.

Dzieci, zmęczone i zasapane, złączyły się, pędząc przed sobą nieprzyjaciela.

— Widzisz Jaś, i mojéj staréj zachciało się grochu,—przydérdała za drugiemi—zaśmiała się Zosia.

— A tobie się chce?—spytał Jaś.

Stanęli. Chłopiec patrzał na dziewczynę — dziewczyna pokazała szereg białych zębów.

— Cóż?—pytał Jaś.

Zosia wciąż się uśmiéchała. Chuda jéj twarzyczka rozweseliła się, oczy, również niebieskie, jak u Jasia, figlarnie patrzały.

— Kiej ci się zachciéwa, to leć! Ja stanę na kretowisku i będę się rozglądał.

— Leć sam—tyś starszy—szepnęła.

— A lecże — nalegał chłopiec. — Przyczaj się w bruździe i rwij, ino się wyciągnij i léż, póki nie zawołam.

Zaczęli szukać starego, twardego kretowiska i gdy je znaleźli, Jaś stanął na niém, a dziewczynka, tając się, dotarła do grochu i zniknęła w jego zieleni.

Żywéj duszy na Bożym świecie, wiatr tylko jęczał w górze, wył w rozpadlinach wąwozów i gnał ciemne płachty chmur, szarpiąc je na strzępy. Mgła uciekała, doganiał ją, zwijał w kłęby i rzucał na szczyty czarnych gór. Jaś usta rozwarł, oczy wytrzeszczył, chłonąc w siebie obrazy przyrody. Zapatrzony, zapomniał o leżącéj w grochu dziewczynie.

Zosi serce biło ze strachu, że ledwo oddychać mogła. Szarpała strączki, chowając je w zanadrze i co chwila podnosiła głowę, spoglądając na wartującego Jasia.

Gwałtowne jęki wiatru trwożyły ją, nie mogła dłużéj wytrzymać—wyczołgała się i, uszczęśliwiona z dokonanego czynu, podleciała do chłopca.

Tupot bosych nóg dziewczęcia po murawie zbudził Jasia, obejzał się.

— Mam—szepnęła—nikt nie widział?

— Nikt—odpowiedział, zeskakując z kretowiska.

— Pokazała mu z tryumfem schowane za koszuliną strączki. — Wiész co, Jaś — mówiła — tu, na wielkiém błoniu wiatr hula i smaga, e mi trudno ustać . Pognajmy bydło w dół pod samą świérczynę — przytulimy się do niéj, będzie ciszéj...

Radę Zosi zadumany chłopiec przyjął w milczeniu, zwrócił się do bydła, dziewczynka pobiegła do swéj staréj.

Świerczyna smutna i ciemna zawładnęła jarem, schowanym na spadzistéj pochyłości błonia. Czarne, zamyślone, ponure drzewa stały podobne Prusakom na linii bojowéj, marzącym o podbiciu świata pod swe panowanie. Wiatr zrywał się gwałtownie i padał na ziemię — dwoje dzieci przykucało, chwytając się rękoma murawy ze strachu, aby ich nie porwał. Bydło szło wolno, odwracając się co chwila,

wiatr tamował im oddech i utrudniał pochód... Przez szczeliny poszarpanych chmur wypadło parę snopów jaskrawego światła, rozweselając twarze dzieci radością.

— Słonko!—zawołał Jaś.

— Słonko!—powtórzyła za nim Zosia.

Raptem ucichło i rozkoszne ciepło rozciągnęło się po ziemi. Bydło je przywitało rykiem, dzieci okrzykami pędząc z całych sił na dół, do przystani świérków.

Zanim dobiegli, słonko zasłoniła lecąca po niebie czarna płachta, zatrzymany wiatr huknął z większym jeszcze impetem. Dzieci padły na ziemię, bydło spuściło łby... Chmura przeleciała... Dzieci znowu, korzystając z chwilowéj ciszy, pomknęły za pędzącém bydłem.

Nad brzegiem jaru, zmęczeni, usiedli, Zosia wysypała na murawę groch, łuskali go i jedli...

— Dygotałam, leżąc w bruzdzie — opowiadała. — Organista skąpiec, do piekła by poszedł za tą odrobiną grochu.

— Abo mój lepszy—przyświadczył Jaś.

Łakoma Stara zbliżyła się do nich. Zośka dawała jéj łupiny z grochu, aby śladów nie zostawić.

— Mam patyczki—odezwał się tajemniczo chłopiec.

— Masz!? Zrobimy ogieniaszek i zagrzejemy się.

— Zrobimy! Na Matusowém polu rosną hameryki, a jakie ci wielkie!—widziałem.

— Nie pójdę za nic — zawołała Zosia — boję się! My z matsią chudobne, toby nas okrutnie sponiewiérali. Tyś bogacz, leć sam.

— Ja ogién rozpalę—tłómaczył się chłopiec.

— Ja rozpalę, a ty leć...

Chłopiec milczał, łamał suche gałązki z drzew, znosił je na murawę i układał na stos. Zosia mu pomagała. Na podpałkę ugrabili rękami suchego igliwia, Jaś kozikiem uskrobał ze starego świérka żywicy. Wszystko gotowe, tylko stos podpalić.

Położyli się oboje na ziemi, chłopiec wyjął patyczki, dziewczyna wyprężyła róg płachty, podsuwając go chłopcu do potarcia. Zapałka strzeliła, błysnął niebieskawy ogién, dzieci zatrzymały oddech. Jaś podsuwał igły do ognia zapałki, Zosia trzymała żywicę. Igliwie buchnęło płomieniem i przygasło. Zaczęli dmuchać, przyciągając suche gałązki. W górę wznosił się dym, a z dołu pokazywał się czerwony, wesoły płomień, pryskając iskrami.

Uzbiérane gałęzie kładli na ogién i dmuchali, dopóki płomień nie buchnął.

Usiedli przed ogniskiem i Jaś znowu posmutniał. Milczenie chłopca i jego smutek zaciężyły na sercu Zosi. Spoglądała na niego ukradkiem nieśmiało, lecz długo nie mogła wytrzymać milczenia.

— Jaś — rzekła z odcieniem wymówki — markocisz się na mnie, że nie chcę lecieć po hameryki. Ja się boję, jestem przecie mała. Ludzie by nam nie darowali. Kazałeś iść po groch — poszłam, ale po hameryki—bój się Boga?...

Urwała, wpatrując się smutna w ogień.

Żalem swym rozbroiła chłopca.

— Lubisz pieczone?—spytał.

— Lubię, Jasiu—odpowiedziała słodko.

Chłopiec pochwycił bat, zerwał się i świsnął nim.

— Pilnuj bydła i ognia — dał rozkaz i z miną hardą kopnął się w górę.

Dziewczyna spojrzała na bydło, dołożyła parę gałązek na ogień i ciekawie wpatrywała się w biegnącego chłopca. Na górze wiatr nim szarpał, wydymając białą płachtę, lecz chociaż chłopiec słaniał się ku ziemi, szedł śmiało. Za chwilę zmienił się w białą plamę na ciemnéj murawie... Plama zaczęła się rozpływać w szarawo-niebieskawém przezroczu i rozpłynęła. Wiatr zawył załośnie, dziewczyna została sama. Strach ją ogarnął, bała się o chłopca.

— Gotowi go zbić, a to ci takie nikłe—powtarzała.

Ciarki ją przechodziły po skórze i żal dźgał w samo serce. Dla skrócenia czasu przywołała Starą, głaskała ją po szyi i tuliła się do niéj. Zmrużyła oczy i widziała, jak się Jaś skrada, czai, chwyta za krzak, pociąga go w górę i wybiéra z pod niego ziemniaki duże i białe. Drżała o niego...

Niedługo w górze na szerokim płacie murawy, zamajaczyła biała plama, staczając się z błyskawiczną szybkością na dół. Dziewczynka się zerwała, patrząc wystraczona, czy kto nie goni. Chłopiec biegł sam, dopadł do ogniska, ukląkł przy nim i ciężko oddychał.

— Nie udało ci się—szepnęła Zosia.

— Ludzie się kręcą—odpowiedział.

—Ludzie się teraz okrutnie kręcą—przyświadczyła i rada, że nie przyniósł ziemniaków, poprawiła ogień.

— Zośka—odezwał się po chwili—u was przecie są hameryki.

— Malutko!...

— Leć, przynieś, choćby ze sześć, powiédz matusi, że na odwieczerz odniosę...

— Okrutny kawał, wietrzysko gotowe mnie znieść do paryi — prosiła się.

— Głupiaś, dałabyś się wiatrowi, a przynieś i ociupinkę soli.

Zośka widocznie wahała się.

— Lecisz?—nalegał chłopiec.

— Czegoś się stracham.

— Chodź, podprowadzę cię do połowy drogi.

— Staréj będzie się cnąć bezemnie.

— Chodź—prosił chłopak, idąc naprzód.

Zośka otuliła się płachtą i powoli poszła za nim. Na wyżynach ujął ją za rękę. Szli razem, opiérając się napadom wiatru. Kładli się, gdy ich chciał porwać, a gdy przycichł zrywali i biegli daléj. Walka dodawała im energii.

Dziewczyna zniknęła w brzozowych krzakach, chłopiec przykucnął. Myśl zdobycia ziemniaków i upieczenia ich pochłaniała go.

— Są—zawołała zmęczona Zosia.

W jednym rogu płachty miała związane ziemniaki, w drugim ociupinkę soli.

— Wracajmy — zakomenderował chłopiec, zrywając się, ogień zgasł, ale węgli i popiołu dużo...

— Mam ich ośm, wielkie jak kocie łby. Matki w izbie nie było, wzięłam sama—i lecę.

— Dobrze.

Na znak swéj łaski, Jaś ujął ją w pół, ona wyciągnęła chudą rękę z po za płachty, obejmując go za szyję.

Wiatr głucho dął, lecz już nie napadł jak zbój znienacka. Dzieciom było śmieléj na wielkim stoku pastwiska.

Zbiegli na dół, bydło przyjęło ich radosnym rykiem. Stara wyszła naprzeciw Zosi.

Ognisko przygasło, okrywając się białym puszkiem popiołu, pod którym zarzyły się węgle. Dziewczynka rozwiązała róg płachty, podając ziemniaki chłopcu. Jaś biczykiem robił dołki w ognisku, rozsuwając węgle kładł jeden po drugim i zasypywał popiołem.

Ostatni ziemniak znikł im z oczu, praca skończona, westchnęli głęboko. Zosia radośnie patrzała na chłopca, Jaś dumnie się uśmiechał.

Pierwszy raz w tym roku piekli w polu ziemniaki.

W skupieniu ducha, siedząc przed spaleniskiem, czekali.

— Jaś, może już—pierwsza odezwała się dziewczyna.

W odpowiedzi chłopak odgarnął popiół z ziemniaka — spróbował.

— Już—zawołał—śpieszmy się, bo się spalą. Odkrywał ziemniaki biczyskiem, Zośka chwytała je palcmi i odrzucała.

Otarte z popiołu rozdzierali na pół, solili i dmuchając jedli. Łakoma stara przysunęła się. Zośka musiała się z nią dzielić.

— Smakują ci?—rzuciła pytanie chłopcu z odcieniem dumy.

— A tobie?

— Jeszczeby nie? Na takie zimno—gorące, młode, soli huk.

— Zróbmy teraz taki ogień—zawołał Jaś — żeby aż pod niebo szedł!...

— Żeby się i stara przy nim zagrzała—dodała Zosia.

Zsunęli się na samo dno głębokiéj paryi szukać gałęzi. Wydobyte z igla i mchu wyciągnęli na brzeg, układając stos...

Ogień nie mógł ich objąć, dym czołgał się po ziemi, kręcił, gałęzie syczały, woda z nich kroplami ściekała.

Wiatr uciekł do lasu i legł w rozpadlinach, latające po niebie czarne płachty rzedniały, rozciągając się wolno w przestrzeni... Ociepliło się i zrobiło się szaro, nudno, posępnie. Bydło niechętnie skubało trawę, dzieci posmutniały, świérki ściemniały, cały świat zamroczył się, osowiał. Chmury, dotykając prawie ziemi, powoli dźwigały się w górę, z nieba zaczął padać drobniutki dészcz, jakby sitem siał. Parno się robiło, dészcz gęstniał, grubiał, padając na ziemię równo, cicho i szybko.

— Zośka, bierz chochoł — dał rozkaz Jaś — i wpakuj mi go na łeb, potém ja tobie, zmokniemy do cna...

Chłopiec ukląkł obok ogniska zaléwanego przez dészcz, dziewczyna rozpostarła chochoł i nasadziła mu na głowę. Chłopiec zrobił jéj to samo.

Dzieciaki przytulone do siebie przez szczeliny zrobione w słomie okrywającéj im głowę i strumienie lecącéj z nieba wody, patrzały na bydło. Cisza i ołowiana senność zamykała im powieki.

— Zosiu—szepnął chłopiec, — patrzże na bydło, ja nie mogę se rady dać i na Zdrowaś Marya zamknę ślepia.

— A ja mogę?—odpowiedziała z odcieniem wymówki.

— Tobie łatwiéj, ty się kiéj bądź zdrzémiesz, mnie nie dadzą.

Oparł głowę okrytą chochołem o ramię dziewczyniny, zmrużył oczy i w téj chwili usnął. Dziopa wytrzeszczała swoje, patrząc na bydło póki mogła, póki jéj starczyło sił. Lecz i do niéj przyszła zmora ulepiona z mgły: cicha jak śmierć i zamknęła jéj oczy, a główinę przechyliła na chochoł Jasia.

Dészcz równo i spokojnie padał, mgła wielkiemi kłębami wydobywała się z paryi, ciepło ją gnało w górę, cisza okryła ziemię, świat odrętwiał.

Dzieci spały, bydło mokło, mokra, chuda trawa nie smakowała

mu. Wtorucha mądra poszła skryć się pod drzewa, za nią inne. Stara ostrożnie stała na boku.

Smukłe, jakby zaklęte świérki okrywały wielką paryę, stojąc na jéj straży. Po stromych spadkach ciekła woda, trawa oślizgła, glina rozmokła. Wtorucha nie wiedziała o tych zmianach, poszła śmiało, poślizgnęła się, porwana własnym ciężarem poleciała na dół — odbita od drzewa stoczyła się na samo dno. Przewróciła się, zimny strumień wzbiérając obmywał ją; z bólu i ze strachu cicho jęczała. Czarnula i dwie jałowice cofnęły się od paryi i świérków, rycząc żałośnie. Stara podeszła do Zośki, ochuchiwała ją, a potém ściągnęła jéj chochoł z głowy. Dziewczyna rozwarła oczy, obejmując wzrokiem bydło.

— Nie ma wtoruchy?—przetarła oczy.

— Nie ma wtoruchy!—krzyknęła.

Jaś się zerwał nerwowo.

— Była ci przed chwileczką—tłómaczyła się.

— Na groch—zawołał chłopiec.

— Ej, nie, boby i drugie za nią poszły.

Nasłuchiwali.

Głuchy, niewyraźny jęk wydobył się z pod ziemi.

Wytężyli słuch. Jęk się powtarzał.

— Wtorucha w paryi!

Chłopiec uchwycił się Zosi, żeby nie upaść z przerażenia. Trząsł się na całém ciele.

— Jasiu, nie zagubiaj się, — prosiła go Zosia, dzwoniąc szczękami.

Chłopak zrzucił z głowy chochoł, załamał ręce, lecz w téj chwili pochwycił bat.

— Lećmy—zawołał. — Zośka, jeżeli wtorucha zginie, ja pójdę za nią!

Dziewczynka ryknęła głośnym płaczem. Wtorucha i odgrażający się Jaś padły jéj na sumienie takim ciężarem, że go nawet płaczem ulżyć sobie nie mogła.

Chłopak po rozmokłéj glinie i śliskiéj murawie zsuwał się na dół gorączkowo od drzewa do drzewa, dziewczynina za nim, płacząc rzewnie.

Na dnie strumyka leżała wtorucha. Woda się nad nią piętrzyła i przeléwała. Jaś wpadł po pas do wody, Zosia za nim, krowa podniosła łeb w górę, patrząc miłosiernie na dzieci. Chłopiec gorączkowo przywiązał do rogów krowy bat, biczysko podał Zośce, sam pochwycił krowę za ogon....

Krzycząc i strasząc, zaczęli ją oboje ciągnąć z całych sił.

Wtorucha zrozumiała, że o nią idzie, ściągnęła pod siebie rogi, zebrała siły i zerwała się. Strętwiała, ruszyć się zrazu nie mogła, dzieci nie nalegały. Unurzaną w błocie zmywali, czerpiąc w dłonie wody.

— Stoi, to jéj nic nie będzie—odezwała się Zosia.

— Ale jak ją wyciągnąć z paryi? prosto w górę nie wylézie — mówił zropaczony Jaś.

— Gnać ją strumieniem aż na Przylasek i do domu.

— Daleko! kiej wrócimy?...

— Jaś i cóż innego poradzisz?

Chłopak się zamyślił.

— Juści, nie można!... Ha, to gnać!

Zosia ułamała gałąź, Jaś ujął biczysko przywiązane do rogu krowy i poszedł. Za nim wtorucha, za wtoruchą dziopa. We troje brnąc w strumieniu zimnéj wody po kolana, posuwali się wolno. Wtorucha kulejąc mruczała z bólu, lecz szła. Odpoczywała co chwila, lecz szła...

Zgorączkowane strachem dzieci chłodziła zimna woda. Na Przylasek daleko, kamienie na dnie strumienia śliskie i ostre, pochód ciężki—mimo to z oczu dzieci biła radość, zroszone czoła obciérali płachtą. Czuli się uratowanymi cudem od śmierci.

— Bo przecież, gdyby Jaś poszedł za wtoruchą, Zosia poszłaby za Jasiem.—Tak se myślała.

W górze strumień się zwężał, wody coraz mniéj, lecz za to błota więcéj—wtorucha ledwo wyciągała nogi.

— Jaś, spojrzyjno od siebie, może tym wąwozikiem wydostaniemy się—zawołała dziewczynina.

Stanęli odpocząć i naradzić się.

— Czy ino wtorucha się wygramoli?..

— Spróbujmy, Jasiu, spróbujmy!...

Jaś wygramolił się na brzeg, dziewczyna podniosła gałąź.

— Hej, wtorucha, daléj—pchaj się w górę.

Wtorucha nie wiele sobie co robiła z krzyku dzieci i gałęzi Zośki. Jednym rzutem mądrych oczu objęła sytuacyę i wytężywszy siły, dwoma potężnemi susami wydobyła się ze strumienia. Jaś, uciekając przed jéj rozpędem, padł. Zośka z podniesioną gałęzią została w wodzie.

Nagle śmiéch nerwowy, zwiastujący wielką radość, zagrał w powietrzu; wtorucha rada z siebie, patrzała łagodnie. Zosia wyciągnęła ku chłopcu gałąź.

— A to ci bydlątko—wołał Jaś, ciągnąc gałąź i uczepioną przy niéj dziewczynkę.

— Zakpiła se z nas—śmiała się Zosia.

— Moja poczciwa krówko! Chłopiec zaczął wtoruchę głaskać i całować.

— A teraz przez Gawlikową miedzę i brzezinkę lećmy do bydła—nalegała dziewczyna.

Lecieć nie mogli, wtorucha zachromiała mocno na nogę. Jaś pchnął dziewczynę naprzód, sam został z krową. Szli wolno, wtorucha zatrzymywała się podskubując trawę.

Zosia zdyszana wróciła.

— Nie ma bydła!—załamała ręce.

— Uciekło do domu—szepnął Jaś zrozpaczony.

Gorąco mu się zrobiło, gwałtownie wydobył się z płachty, czapkę rzucił na ziemię, ręce zanurzył we włosy i targał je...

— Gdzie się teraz podzieję?... Jezu Chryste, ratuj mnie!

— Cicho, cicho—utulała go Zosia. Ból ją przejmował, a serce szarpały wyrzuty sumienia.

— Matsia, gospodarz, parobek, Kunda, wylecą szukać wtoruchy. Gospodarz mnie spiorą na śmierć...

— A bo to nie twój tatuś!?...

— Właśnie że tatuś, to będzie prał bez upamiętania...

Chłopiec zaléwał się łzami.

Zosia zbliżyła się do niego, jedną ręką objęła go za szyję, drugą obciérała mu oczy płachtą.

— Cicho, cicho, moje dziecko — pocieszała go. — Wiész co, ja odpędzę do waszych wrót wtoruchę — ty leć do nas. Zjész gorącego żuru z ziemniakami i na górę w siano się zakopiesz.

Chłopak przestał płakać, rozważał.

— Ojciec się wyzłoszczą, matsia wylamentuje i zapomną — pocieszała go Zosia.

— A kto od południa wygna bydło.

— Dészcz leje, wtorucha kulawa. Mało ci to mają w stodole koniczyny.

Podniosła czapkę, nasadziła na głowę chłopca, okryła go napowrót płachtą, do ręki podała bat, gałęzią postaszyła wtoruchę — poszli.

— Co się dzieje z twoją starą — spytał, siląc się na spokój chłopiec.

— Stara—zawołała Zosia—zna ci ona drogę do chaty, wié, że ją tam czeka woda ziemniaczana i łupiny z hameryków. Ho, ho, mo

ja stara mądra. To ci ona mnie zbudziła, gdy wtorucha wpadła do paryi!

Zosia zwróciła się do wtoruchy.

-- Oj, ty zbytnico, cóżeś nam narobiła. A tak się dobrze zaczynał dzień.

— Dobrze się zaczynał—poświadczył chłopiec—i westchnął.

— Jaś, prawda, że nikt nie wié, skąd nieszczęście przyjdzie?...

— Nikt!—szepnął.

Chłopiec poddawał się wpływowi dziewczynki, a ona bezwiednie uczuwała przewagę nad nim.

Dészcz równo, cicho i spokojnie padał. Na wielkich błoniach mgła wyglądała z trawy, czołgając się nisko. Dészcz ją bił, a zimno dusiło. Szare chmury nisko zwieszone nad ziemią, cienkie strugi dészczu, żółta woda rozléwająca się szeroko po błoniu i na wielkiéj płaszczyźnie dwoje dzieci uginające się pod ciężarem zmoczonych chust, posuwało się wolno pod górę. Zmęczona wtorucha stanęła.

— Leéże do naszéj chaty — odezwała się Zosia — i czekaj na mnie.

— A nie gnajże wtoruchy przez wąwóz, bo gotowa ugrząść.

— Obejdę dokoła pastewnik.

— Z żurem zaczekamy, póki nie wrócisz — dodał Jaś i popędził na dół.

— Ino mnie zostawcie!—wołała za chłopcem.

Zwróciła się do wtoruchy.

— Narobiłaś głupia wielgiego kłopotu. Potrzebnie ci było zaglądać do paryi. No, chodź—jak zobaczę zdala Biedronia, ucieknę. Mógłby mnie sprać... Pewno ci se włosy wydziéra ze łba. A coby nie, kiej za grajcarem gotów do studni skoczyć... Daléj, zbytnico, ruszajże się raźniéj.

Wtorucha nie usłuchała. Musiało ją mocno boléć, co uszła parę kroków ustawała i, spoglądając miłosiernie na Zosię, jęczała.

— I cóż ci poradzę? Będziesz wiedziała na drugi raz.

-- Ja-siu! Ja-siu! cienki głos przedziérał się przez strugi dészczu:

— Kunda nawołuje—chwała Bogu!

— Tutaj, tutaj, hop, hop—odpowiedziała dziewczyna.

Z po za ściany szaréj mgły, od strony wąwozu, w spódnicy zarzuconéj na głowę, w koszuli po kolana biegła Kunda. Wtorucha, gdy ją ujrzała, zwyciężając ból, pobiegła truchtem.

— Jesteście, wtorucha żyje, Bogu dzięki. Gdzie Jaś? — wołała Kunda, ociérając spódnicą spoconą twarz.

— Jaś skrył się w naszéj chacie, mówcie, że u organisty.

— Dobrze zrobił, u nas sądny dzień, stary się wściekł, stara ręce łamie, jak gdyby wszystkiego mieli jedną krowę... Czy to sumienie na taki czas wyganiać chłopaka z izby. Ja ci mówię, Zośka, że oni bez tę chciwość kiej niebądź zabiją go. Bo to chłopaczysko mizerak zalękliwy, zapatrzony, chudziak, a ci go gnają bez odpoczynku i miłosierdzia. Pies u nich siedzi w izbie, a jedynak na słocie.

— Gnają go bez miłosierdzia—poświadczyła Zosia.

— U was mléka mało—rzekła Kunda.

— Stara ci więcéj nie da, jak pół kwarty.

— Przyleć po zachodzie słońca za stodołę pod trzy olsze, znajdziesz garnuszek mléka i kromkę chleba. Będzie dla Jasia i sama się pożywisz.

— Bóg zapłać, Kunda. Ty go lubisz?—spytało dziecko.

— Rósł na moich rękach. Powiédz mu, niech u was siedzi choćby tydzień. Jak te chciwce poczują sieroctwo—zmiękną!...

— Dobrze!

— Bądź zdrowa, dészcz pierze aż miło. Nie miałam czasu płachtą się okryć, tak się stara na mnie darła.

Kunda zwróciła się do wtoruchy.

— Ruszaj ty łajdaczko—krzyknęła—z tobą ino wciąż utrapienie. Bodajeś się zapadła...

Zosia nie słyszała potoku słów płynących z ust Kundy, uradowana leciała do domu. Dzwoniło jéj ciągle w uszach: „wieczorem za stodołą pod trzema olszami...” A potém: „Jaś cały tydzień w sianie, aż stary poczuje sieroctwo i zmięknie.”

Wpadła do izby. Na kominie obrócony plecami do ognia siedział Jaś, trzymając w rękach garnek gorącego żuru. Trząsł się z zimna. Gospodyni tłukła warząchwią w misce ugotowane ziemniaki.

— Kunda odebrała wtoruchę — zawołała zdyszana—pochwaliła żeś uciekł, kazała przyjść wieczór pod trzy olsze po mléko i chléb dla ciebie i powiedziała, żebyś tydzień u nas siedział, póki starzy dobrze nie zmiękną.

Jasiowi oczy świeciły, odetchnął, spojrzał weseléj.

— Walna Kunda—dodała Zosia — ona się i samego dyabła nie zlęknie.

— Ona i tatusiowi nie przepuści—dodał Jaś.

Dziewczynka zrzuciła z siebie płachtę, przygładziła rękami włosy i siadła obok Jasia na kominie.

— A teraz matsiu dawajże jeść, bo padnę.

— Zaraz, moje dzieci, migiem, ino ziemniaki posolę. Kunda walna—poświadczyła.

— A pijże, gapiu, żur, bo się rozstrzęsiesz—nalegała Zosia, przysuwając garnek do ust chłopca.

Jaś mimo że mu szczęki latały pił! Tymczasem matka postawiła między nich miskę z ziemniakami i łyżki, córce wsunęła do rąk drugi garnuszek żuru, sama siadła na ławie obok nich.

Zaczęła się uczta, dzieci opowiadały szczegółowo przygody wtoruchy, nie bez odrobiny dla efektu tragiczności.

Coś plusnęło przed chatą, Jaś drgnął, Zosia zeskoczyła z komina, matka wyjrzała przez zakopcone szybki.

— Nie, nie, moje dzieci, nikogo — żywéj duszy, ale stary może nadlecióć. Idźcie już na siano, Zośka niechaj drabinkę wciągnie za sobą!... Jaś, zakop się głęboko, bo cię zimno trzęsie. Zośka otul go i daj p o z i ó r na chłopca. Bogacz, a takie nikłe i zbiédzone.

— Matsiu—odparła Zosia—a przecież dbam o niego, jak o oko w głowie. Wydaje mi się ciągiem, że Jaś sierota, a my go przytulamy—szczebiotała dziewczynina, a gdy chłopiec miłosiernie spoglądał na sień i drabinkę przystawioną do otworu w górze.

— Ja pierwsza, ty za mną—dała rozkaz, rada i szczęśliwa.

W otworze znikły dzieci, za niemi drabina. Tuż przy kominie wygrzebała w sianie dół. Pierwszy wsunął się Jaś, za nim Zośka. Naciągnęli na siebie siano, objęli się w pół i przytulili.

— Zośka—szeptał chłopiec—ty jesteś dobra, gdyby nie ty, coby ze mą było, gdziebym się podział?...

— Mówię ci, Jaś, że ja jestem okrutnie dobra, a *la* ciebie najlepsza. Śpij-że se teraz przytulony do mnie, nastrachałeś się dosyć— i z tego strachu zimno cię trzęsie.

Dzieci tulące się do siebie zasnęły.

II.

Wtorucha z Kundą ukazały się we wrotach obejścia Biedroniów. Stary wypadł ze stajni, na chudą, pomarszczoną jego twarz buchnęły ognie, oczy mu zaświéciły radością—przypadł do Kundy.

— Kuleje—zawołał, łamiąc ręce.

— Więc cóż? a gdyby zdechła lub nogę złamała — odparła Kunda.— Dziękujcie Bogu, że ino kuleje...

— Gdzie jest ten hycel?—wrzasnął.

— Wiem ci—może się ze strachu utopił, abo powiesił. Spotkałam wtoruchę na Bartkowym wygonie...

— Samą?...

— Z wójtem, organistą i gospodynią księżą.

— Milcz!—krzyknął Biedroń.

Wtorucha kulejąc poszła do stajni, za nią Kunda i stary. Wytarł ją wiechciem, okrył płachtą, na płachtę rzucił kożuch. Rozpieszczona krowa pomrukiwała żałośnie.

— Jeszcze i ty, klępo, skarż się na biédaka, co cię może wyratował od śmierci!... podwódź, buntuj—dogadywała Kunda, rzucając wiązkę koniczyny.—Wszyscy na sierotę, cały świat, a biédakowi może już ciałko ostygło na sznurze, abo je rybki skubią w stawie — zaszlochała głośno.

Stary Biedroń chciał zakląć, lecz serdeczny płacz Kundy stanął mu w gardle i zadławił. Nie mógł słowa wymówić.

— Leć, szukaj parobka, Hankę i gospodynię—odezwał się, udając spokój.

— A kto krowę wydoi? Chcecie doić sami?

Stary nic nie odpowiedział, zdjął z wtoruchy kożuch, odwrócił go do góry włosem, baranią czapkę nasadził na uszy i mrucząc wyszedł...

Kunda przypadła do żłobu, wygrzebała ukryty w słomie garnuszek, wydoiła w niego wtoruchę i garnuszek schowała.

— To dla chłopaka, a reszta chciwcy la was.

Wzięła skopiec, usiadła na stołeczku i zawodząc żałośnie doiła.

Za chwilę wpadła do stajni gospodyni, za nią Hanka i Kuba, parobek.

— Gdzie chłopak?—wrzasnęła.

— Mięknie na dészczu, — był-ci twardy jak żelazo, abo mosiądz.

— Gdzie Jaś?!...

— Cóż się tak drzécie? Czy to ja wyganiałam?

— Gdzie mój syn?

Kunda czerwona z wściekłości zerwała się umyślnie, wylewając mléko ze skopca.

— A mnie co do waszego chłopaka? Nie godziliście mnie do niego na g u b e r n a n t k ę!... A to skaranie, sami go zgubili, a teraz huzia na mnie.

Siadła na stołku i dalej mrucząc doiła.

Gospodyni zacisnęła pięści ze złości, a z żalu zaczęła płakać. Zrzuciła chustkę z głowy i krzycząc z całych sił włosy targała. Parobek ją uspokajał, a Hanka, podniósłzy rzuconą chustkę, wdziała jéj na głowę.

— Ludzie szukajcie mi dziecka—krzyczała.

Wszedł Biedroń.

— Cicho stara, ty włosy drzesz, a on siedzi u téj dziadówki i żur chlapie—uspokajał żonę.

— Nie taki on głupi, żeby odlatywał od takiego bogactwa — przyświadczał parobek.

— Dużo ci ma z tego bogactwa—mruknęła Kunda.

— Słuchajno ty, suko — odwrócił się ku niéj rozżarty Biedroń — jeśli mi raz jeszcze szczekniesz, to ci wszystkie zęby wybiję. Ty mi chłopaka buntujesz i na nas podwodzisz, ty go garniesz do siebie, aby po naszéj śmierci panować na moich śmieciach. Ty mu schlebiasz i dla niego okradasz nas. Ale dosyć już tego, rozumiész?...

Przyskoczył z pięściami.

Kunda zerwawszy się rzuciła mu stołek pod nogi i cofała się do żłobu, zasłaniając się szkopem mléka. Buchnęły na nią ognie, ręka trzymająca szkopiec drżała, chwiała, a wszystko z niego mléko chlusnęłaby w twarz staremu.

— Kradnę—wrzasnęła — kradnę dla niego, bo gdybym nie kradła, zagłodzilibyście go! Ja pójdę i służbę znajdę choćby we dworze, ale wy go nie uchowacie i całe wasza bogactwo pójdzie na marne, na psy, na pijatykę i zbytki ludzkie... Ja was przeżyję i wtedy dopiéro będę się śmiała!... ha, ha, ha!...

Kunda śmiała się nerwowo. Biedroń bał się przekleństw. Stał przerażony, nie śmiejąc kroku zrobić.

— Szukajcie mi dziecka—zajęczała, zawodząc Biedrońka.

Jęk zbudził starego, otrząsł się, zebrał myśli, skinął na parobka.

— Siadaj na szkapę i leć do organistów, a potém do chaty Tyksinéj, skradaj się jak lis, bo pewnikiem baba mi go kryje. Wracając objedź...—zatrzymał się, nie śmiał dokończyć.

— Wszystkie krzaki--dodał parobek.

— Gdzie chcesz, bylebyś mi chłopaka dostawił.

— Niech ino się dowiem, gdzie jest, to go z pod ziemi wykopę— dokończył Kuba, wyprowadzając ze stajni dziarskiego mierzyna. Skoczył, zachlupało w wodzie, wesoły konik ruszył z kopyta.

Biedroń patrzał na młodą szkapę z upodobaniem i miłością, póki

nie zniknęła za rzędem wierzb zasłaniających drogę. Wrócił do obory, przywołał starą, poszli do chaty, zamykając drzwi za sobą.

— Jak go ino złapę, to mu tak zerżnę skórę...

— Tybyś ino rżnął — zawołała gospodyni. — Rżnąć, rżnąć, a chłopczysko ze strachu radeby się pod ziemię skryć. Ty go nie odchowasz. Jak kiedy wpadniesz w złość, to mi go uśmiercisz na miejscu. Kunda mówi prawdę.

— Kunda szelma, rozzuchwaliła ci się okrutnie i pysk rozpuszcza jak dziadowski bicz, za nic nas nie ma.

— Ale chłopaka kocha więcéj, aniżeli ty.

— Więcéj?—powtórzył Biedroń,—a kto więcéj od świtu do nocy haruje?... Kto se od gęby odejmuje i pcha w ziemię. I la kogo?!... Ale żeby moja ciężka praca, mój dobytek poszły na marne i przez tego ciemięgę rozlazły się...

Stary się zerwał i pięść w górę podniósł.

— Cicho, cicho — uspakajała go żona — już cię wściekłość ogarnia.

— Ze strachu, że ciężka praca moja pójdzie na psy, kawał świętéj ziemi wydrapany memi pazurami może się dostać Żydowi. Tego się boję, chłopak nieglaźny, gap, mięki dla ludzi, gotowi go obedrzéć i zmarniéć mój dorobek. Jeśli tak — wrzasnął — niech lepiéj zginie, niech mi z oczu zejdzie, niech przepadnie.

Gospodyni pochwyciła go za rękę i siłą ściągnęła na dół.

— I znowu złość ci przez ślepia krwią wyłazi! A toć przecie jeszcze dziecko, ledwo dziesięć lat, głupie, nikłe, nijakie.

— Młody Trznadel mało co starszy od niego, a jużby Żyda oszukał.

— Trznadelek tęgi chłop, bary u niego jak u starego... A tobie takiego Pan Bóg dał i musisz takiego przyjąć.

Biedroń siadł, na chudéj jego twarzy widać było znużenie. Pomarszczona, żółta skóra, oczy wsunięte głęboko, szczęka podana naprzód, usta wąskie, zamknięte, nad niemi sterczące, płowe wąsięta i rzadkie, pomierzwione włosy, robiły wrażenie człowieka, pożeranego przez pracę. Zgięte plecy ciężko mu było wyprostować. Położył rękę na stole, chudą, szeroką, spaloną, posiekaną kréskami, o twardéj jak skóra dłoni. Zamyślił się, w oczach migotały światełka, na szerokiém czole przebłyskiwały myśli. Rysy twarzy mieniły się jak u człowieka nerwowego, którego walka i obawy dręczą nieustannie... Milczał, zacisnął dłoń i bił pięścią w stół. Gdy odpoczywało ciało, pracowała myśl.

Gospodyni podparłszy głowę ręką, wpatrywała się nieustannie przez okno we wrótka obejścia. Serce jéj, myśl i wzrok szukały jedynaka... I u niéj stwardniały uczucia w ciężkiéj pracy i walce i ona nie mając litości nad sobą, nie odczuwała jéj dla drugich — mało jéj zostało dla syna. I ją gniéwała i niepokoiła niezdarność chłopca, jego słabość dla ludzi i długie zapatrzenia.

— Zapatrzony — powtarzała w tajemnicy przed mężem, chcąc przed sobą samą wytłómaczyć tę odrobinę słabości, jaką miała dla dziecka.

Zadudniało na drodze, kobiéta przyłożyła twarz do szyby, Biedroń się zerwał i przysunął do żony. Za chwilę na dziedziniec wjechał parobek, małżonkowie wybiegli.

— Jak kamień w wodę—rzekł Kuba sucho, zeskając z konia — koło świerczyny widać świéże palenisko, a o dwa może stajania wtorucha ześliznęła się do paryi. Na glinie odciśnięte racice i osunięta ziemia.

— Byłeś na dnie—spytał sucho Biedroń.

Gospodyni ręce załamała.

— Stałbym w miejscu jak głupi? Szkapę uwiązałem, a sam obszedłem paryę.

— I cóż?

— Jakby się w ziemię zapadł.

— Zaglądałeś do organistów?

— Ostrożnie—dzieci się bawią same.

— U Tyksiny?

— Wleciałem raptem jak wicher do izby, aż się baba przeżegnała i powiedziała mi, że ona ani swojéj dziopy, ani staréj na takie zimno nie wygnałaby na Boży świat...

— I ta szelmowska dziadówka pyskuje — mruknął Biedroń i zawrócił do izby.

Gospodyni poszła za Kubą do stajni.

— Cóż teraz będziemy robić?—spytała żałośnie parobka.

Kuba się zbliżył do niéj i szeptał:

— Ja se miarkuję, że jedna Kunda wié, gdzie Jaś. Tylo że z nią złością nic nie wskura.

— Cóż mam ją miodem smarować?

— Przypochlebić, dać jaki podarunek, bądź co.

— A skądże ty miarkujesz, że ona wié?

— Miarkuję la tego, że jakby Kunda nie wiedziała, co się z chłopakiem dzieje, to takieby b r e w e r y e wyprawiała za nim, że stajnie by rozwaliła i wszystkie włosy ze łba se wydarła.

— Prawda—poświadczyła.

— Ona przecie wierzy, że Jaś nie wasz, tylo jéj rodzony. Bo też po prawdzie ona go wychowała.

Gospodyni stała zadumana, rada wierzyć, że chłopiec żyje i że tylo schowany. Przemyśliwała, jakimby sposobem ująć Kundę i wydobyć od niéj wiadomość. Miłość do jedynaka walczyła w niéj z wrodzoném skąpstwem. Bała się starego, lecz i sama nie lubiła rozdawać.

— Trzebaby jéj cosik ochfiarować — dodał cicho Kuba — bo inaczéj jak się zatnie, ani piśnie. Ja ją znam i gospodyni ją znają.

— Ale co?—spytała mimowoli.

— Co? ha, ha—zaśmiał się Kuba. — Jedną skrzynią ze strojami, jedno ciele z obory, jedno prosię z chlewa... Was chyba nie zaboli głowa, co wybrać z tego bogactwa?!...

— Głupi — szepnęła, odchodząc obrażona — abo to wszystko moje?...

— Obojeście jednacy—wołał za odchodzącą Kuba.

Biedroń w izbie siedział chmurny. Pewno pierwszy raz w życiu nie miał ochoty do pracy.

— Marcyś—odezwała się żona — mówią, że Kunda wié, gdzie chłopak, bo inaczéj waryowałaby za nim, ale ci darmo nie powié.

— Kości szelmie połamię, nim jéj co dam!...

— Ucieknie, a znajdź lepszą do bydła i trzody?...

Biedroń uderzył pięścią w stół i zamilkł. Kunda miała wielkie szczęście do bydła i przed niém należało się ukorzyć...

Chmury zwolna dźwigały się w górę, dészcz jeszcze siał, lecz drobny. Ociepliło się, z po za ciemnych olbrzymów przekradał się południowy wiaterek otrzepując wodę z liści i kłosów zbóż. Zbite w górze chmury rozpadały się, kłębiły, tworząc szczeliny, przez które wyglądały skrawki nieba, a czasem i promyk słońca. Ptaki ukryte w wierzbach zaświegotały wesoło, bocian z gniazda powstał, zatrzepotał skrzydłami i zleciał na łąkę, pszczoły wysyłały na zwiady szpiegów, jaskółki zaczęły uganiać po dziedzińcu. Ożywiło się, białawe płaty coraz mniejsze zajmowały miejsca. Na jasne niebo wypłynęło słonko białe, krągłe, palące—świat się zaśmiał radością.

Biedroń nasadził czapkę na głowę, wziął trzcinę i machnął nią w powietrzu. Zrobił się świst, gospodyni ręce złożyła jak do modlitwy.

— Marcyś, bój się Boga, pamiętaj, że to twoja krew, twój dziedzic.

— Jedynak—podchwycił Biedroń—i la tego trzeba go uczyć rozumu, aby nie zmarnował mojéj krwawicy. Gdyby mi ją zaprzepaścił...

Wpadł w wściekłość.

— Gdyby mi ją zaprzepaścił, niech pierwéj zginie.

Wybiegł z chaty.

— Marcyś—wołała za nim żona—bój się Boga, to przecie jeszcze dziecko.

— Ja z niego zrobię chłopa—mruczał z zawziętością.

Obrócił się ku stajni.

— Kunda wyganiaj bydło, Kuba z końmi... w pole!

Minął bramkę, brnąc środkiem drogi po błocie.

— Złapiesz go—szeptała Kunda, stając w drzwiach obory — zobaczymy. Jakbyś złapał, tobyś z niego chciał skórę zedrzéć. Ale ja jeszcze żyję i mam głowę na karku.

Kuba wyjechał na bułanym, prowadząc obok trzy rosłe szkapy. Kunda wygoniła bydło. Wtorucha nie chciała wyjść ze stajni. Leżała postękując i drzémiąc.

— A zostań, szelmo—zawołała Kunda—ja cię przyniewalać nie będę, ale i jeść ci nie dam, za to, żeś mi chłopaka zaprzepaściła...

Na błoniu było tłumnie, wesoło i gwarno. Wielka moc bydła i roje dzieci rozbiegło się po zielonéj murawie, grzały się na słońcu, śmiały i bawiły... Stado łakomych wróbli za niemi goniło, czatując na okruszyny chleba, jaskółki krążyły nad ich głowami, promienie słońca złociły ich jasne głowy, podnosząc czerwień spódnic i gorsetów. Czuć było pogodę i radość w naturze, udzielającą się zwierzętom i dzieciom.

Biedroń jéj nie odczuwał. Chmurny, zły, zamyślony wpadł do organistów, zabawił chwilę i wyszedł.

Zosia wyprowadziła swoją starą na błonia, trzymając się zdala od bydła. Z po za wielkiégo parowu wynurzyła się czarnula, prowadząc dwie wielkie jałowice, za niemi szła Kunda. Dziewczynina podbiegła ku niéj.

— Mléko jest—szepnęła.—Oni patrzą, ale żeby ślepia wypatrzyli nie upilnują. Cóż Jaś?

— Trzęsło go okrutnie!...

— Co go nie miało trząść—z samego strachu...

— I z umęczenia — dodała Zosia. — Ale ci teraz śpi jak kamień.

— Powiédz-że mu, żeby z góry nie złaził; stary się wścieka, gdyby go dziś dopadł—dałby mu. Niechże zmięknie.

Kunda się obejrzała.

— Widzisz go, leci jak opętany, odsuń się odemnie, boby się zaraz zmiarkował. Ma ci on ślepia jastrzębia, a węch lisa. To cały lis.

Zosia dopadła staréj i głaszcząc ją i pieszcząc udawała, że się nią bawi.

Biedroń jednym rzutem oka odgadł spisek.

— Chłopak u Tyksiny—pomyślał.—Nigdzie, tylko tam, inaczéj dziopa jéj na mój widok nie odlatywałaby od Kundy. Przeszedł przez środek błonia wymachując trzciną. Dzieci przestały się bawić, wpatrywały się zdziwione w pochmurną twarz bogacza, cofając się ze strachu przed ponurém jego wejrzeniem. Oniemiałe spoglądały za nim, póki im z oczu nie zniknął.

Kunda przywołała Zosię.

— No, żeby dziś—mówiła — dostał chłopca w swe łapy, duszę wygnałby z niego.

— Ale nie dostanie—zawołała tryumfująco Zosia.

— Niech go Bóg strzeże.

Biedroń obejrzał spalenisko i za śladem racic wtoruchy poszedł na samo dno paryi. Idąc środkiem strumienia rozglądał się uważnie po wszystkich drzewach. Stawał, oddech w sobie zapierał, słuchał i patrzał. Czaił się jak kot, skradał jak dzikie zwierzę—napróżno!... Tylko go dzięcioł zwodził, sowa oszukiwała, kos kusił — żywéj duszy w lesie nie było.

— Nigdzie, tylko u téj czarownicy—powtarzał, idąc daléj brzegiem strumienia do samego Przylasku. Tu odpoczął uspokojony.

— A gdyby iść do wójta i rewizyą zrobić u Tyksiny?... Chłopak zagrzebie się w siano i znajdźcież go? Nie ma rady, tylko go podejść w nocy lub nad ranem, inaczéj się nie dostanie...

Ściskał trzcinę w ręku, gniéw burzył w nim krew.

— Dla kogóż to pracuję, od gęby se odejmuję—la kogo?!... Ludzie nazywają mnie skąpcem, a ja nic, ino skrawek do skrawka świętéj ziemi skupuję i składam do kupy—la kogo?... Tego ze sobą nie zabiorę—westchnął—wszystko la niego. Ale żeby ten dureń miał moją pracę zaprzepaścić!?...

Zerwał się wściekły. Myśl ta straszyła go jak widmo, szarpała nim, dławiła go. Nie mógł się jéj pozbyć—ciągle wracała. Czuł, że chłopiec był dobry, łagodny, uczynny, litościwy, miękki. Tacy się nie dorabiają, a on pragnął, żeby syn jego po jego śmierci skupił dwa razy tyle, trzy razy, cztery...

— A jakby mu łatwo poszło, gdyby tylko chciał...

Nieśmiałe myśli zmieniały się w gorące pragnienia, pragnienia przeobrażały się w niepohamowaną namiętność.

— Może nie dożyję—szeptał—ale za to z góry będę patrzał i muszę zobaczyć syna mego panem! Panem?! — zawołał,—a on może zostać dziadem?!...

Zaczął uciekać od téj myśli.

— Boże, ulituj się nademną, bo się wściekne i własne ciało gotów jestem kąsać, a własną krew udusić.

Znanemi ścieżkami skradając się, dopadł z przeciwnéj strony do chaty Tyksinéj. Zajrzał raptownie przez okno, kobiéta, udając wystraszoną, krzyknęła. Stary wszedł do izby i siadł na ławie.

— Chłopak mi przepadł, ludzie mówią, że się u was kryje.

Kobiéta najspokojniéj przeżegnała się.

— Jeżeliście mi ukradli syna, to za to pójdziecie do haresztu, bo nie wolno kraść cudzych dzieci, a za to żeście mi ukradli syna i pastucha, to za każdy dzień zapłacicie mi po trzy szóstek. Kunda za niego pasie. Abo mi dziś chłopaka odeślecie do domu, abo sąd.

Kobiéta jeszcze raz się przeżegnała z tym samym spokojem. Spokój ten przestraszył starego, lecz się nie zdradził.

— Jak się wam podoba, trzymajcie go tak długo póki starczy morga waszego gruntu, chata i krowa. Bądźcie zdrowi!

— A czy ja nie wiem, że wy ino czychacie na moją morgę—zawołała Tyksina czerwona z gniewu—ale choćbyście mi za nią dukatami ten stół nałożyli, nie dam. A jeżeli wam znowu pilno skatować chłopaka, to przetrząśnijcie moją budzinę, ziemię pod nią skopcie, znajdźcie i skórę z niego zedrzyjcie!...

— A któryż to ojciec krzywdę swemu dziecku zrobił? Co? — wrzasnął Biedroń.

— Bodajbyście byli tak zdrowi.

— Cicho—przerwał Biedroń.

— Kiej się wam nie podoba mój głos, to go nie słuchajcie. Ja tu na swoich śmieciach pani.

— Wielga?!...

— Taka jak wy na swoich. A może i lepsza, bo gdy se na nich legnę, to usnę i sumienie mną nie targa.

— A mną targa!...

— Jeżeli już do cna skwargniało, to może i nie.

Biedroń spojrzał tak, że aż kobiécie strach ścisnął serce, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Tyksina patrzała za nim przez zakopcone szybki i gdy skręcił na drogę, załamała ręce.

— I co teraz? Chciwiec gotów mnie wodzić po sądach i zedrzéć do koszuli.

Chciała się dostać na górę, zobaczyć co się dzieje z chłopcem nie było drabiny. Bała się przystawiać stołu.

— A nuż Biedroń czatuje za węgłem.

— Trzeba czekać zmierzchu—nie ma rady...

Zarzuciła chustkę na plecy, wyszła z izby, chałupę obeszła dokoła i ścieżkami wijącemi się wśród krzaków pognała do kumy, a siostry nieboszczyka męża.

Kuma w polu podbiérała ziemniaki. Usiadły obie na zagonie.

— Pono chłopak Biedroniów zaprzepaścił się ze strachu o wtoruchę...

— I cóż wy na to—spytała Tyksina.

— Że mi żal dziecka, bo dobre, przychlebne, a jakieś nikłe. Ale że tego chciwca ukarał Pan Bóg, to mu dziękuję.

Złożyła ręce.

— Powiem wam cosik, ale przysięgnijcie...

— Może polecę z pyskiem do Biedronia!?—żachnęła się?

— No, no, nie gniéwajcie się, ale się okrutnie boję. Jaś schował się u mnie przed starym i śpi zagrzebany w sianie na górze.

— To dobrze!

— Biedroń miarkuje, był u mnie, odgrażał się sądem. Obiecuje zabrać moją morgę i wygnać z chaty.

Kuma się zerwała.

— Niech spróbuje, morga przepisana na Zośkę. On-by chciał grunta całéj gminy zagarnąć pod siebie. Tylo ty z nami nie zadzieraj—groziła pięścią.

— Radźcież kumo—przerwała Tyksina. — Gotów wójta sprowadzić, rewizyę zrobić...

— Chłopaka do mnie—krzyknęła—ja ci go skryję, że się wścieknie, a nie znajdzie do sądnego dnia.

— Żeby tylko ludzie nie widzieli, żem była u was.

— Którędy leciałaś?

— Krzakami.

— I boisz się?... Jak słonko zajdzie, kiedy dziéwki będą doić, a parobcy zadawać bydłu, przyprowadź go, wtedy żywéj duszy na polach nie ujrzysz.

Tyksina odetchnęła, chłopaka nie odda, a odpowiedzialność z siebie zrzuci.

— Bo to i wy, kumo, nie cierpicie Biedronia!?...

— Jabym z niego duszę wywlokła za tę morgę łąki. Stary mój lubiał kieliszek, Biedroń znosił piéniądze, on pił i przepił. Co ci na niéj za trawka, jakie pokosy! Ale ja ci mojéj ojcowizny nie daruję, choćbym miała w piekle gorzéć — zawołała i pochylając się do Tyksiny dodała cicho: — Chłopak przylgnął do waszéj Zośki.

— Bójcie się Boga—szepnęła Tyksina.

— Boję się i la tego trzeba, żeby się nie odczepił—słyszycie.

— Słycham, młode to i głupie.

— Trzeba, żeby jak zmądrzeje nie odczepił się.

— Kumo, nie gadajcie, bo możecie na moją głowę wielkie strapienie zwalić.

— Wiem, co gadam, bo jak Zośka zostanie panią na dwudziestu morgach, to się strapienia skończą.

— A Biedroń, a stara... rety, co wy nie wygadujecie.

— A bo to Biedroń wieczny? A jak ślepia zamknie na amen, Jaś bierze wszystko, Jaś wtedy pan, Zośka pani.

— Kumo!...

— Cicho, kiedy chłopak sam przyszedł, to niech zasmakuje u nas.

— Dziopa, moje maleństwo, głupia.

— Wyrośnie i zmądrzeje, a teraz trzeba nam obom mieć rozum za nich dwoje. Będę pomagać — kończyła szeptem — ale czy Zośka odda mi moją łąkę?!...

— Zośka już taka przyszła na świat, że niczyjéj krzywdy nie żąda. A i Jaś chłopczyna do rany przyłóż.

— To ja wam powiem, że dzieci te Pan Bóg na to stworzył, aby krzywdy Biedronia odrobiły.

Tyksina załamała ręce.

— Na moje nieszczęście.

— Jak Bóg da! Czy tylko źli mają na świecie rządzić?!... Może koléj i na dobrych przyjdzie.

— Cicho, cicho, głowa mi puchnie—Tyksina się zerwała.

— Miejcie tylko rozum, ja wam pomogę i dobrze wszystko pójdzie. Chłopaka przyprowadźcie sami...

Tyksina niespokojna, wystraszona, wracała do domu. Błyskawice nowych myśli oświecały jéj drogę. Może mi go Pan Bóg zesłał, może Najświętsza Panienka ulitowała się nad sierotą. Ale jak se wspomnę, to mnie ciarki przechodzą... Moja Zośka synową Biedronia — o rety!

Zaczęła biedz z całych sił, wpadła do chaty, drzwi od sieni za-

łożyła drągiem, okno zasłoniła płachtą, wyniosła stół i przystawiła go do otworu góry—wlazła.

Tuż przy kominie, przykryty sianem spał chłopak, oddychał ciężko, czerwony był i rozpalony.

Kobiéta położyła rękę na jego czole. Zbudził się i wystraszony skoczył.

— I czegoż się boisz, toć ja przecie...

— Zwidziało mi się, że tatuś z trzciną stoją nademną — szepnął chłopiec.

Tyksina pociągnęła go ku sobie i przytuliła. Jaś gorącą głowę oparł na jéj piersiach.

— Brońcie mnie przed tatusiem—prosił się.

— Gorąco bucha od ciebie.

— I nożyska mnie bolą—dodał.

— Boś się zlatał i nastraszył wtoruchą. Wyleż się, wyśpij...

— Tatuś przyjdą, zabiorą i zbiją mnie.

— Chciałbyś zostać z nami?...

— Oddam im całe bogactwo, byle ino mnie nie zabiérali od Zośki i od was, matusiu.

Tyksinie serce zabiło radośnie, oczy jéj zaświéciły.

— U nas biéda, moje dziecko.

— Wolę biedę z wami, jak bogactwo tatusiów -- odpowiedział smutnie.

— To ty lubisz moją Zośkę?

— A ino—szepnął.—Cóżbym jéj nie miał lubić. I was lubię.

— A bez co?

— Bez co?... A bez cóż?—dobrzyście—i już.

Umilkł, oczy zamknął, głowa mu opadła...

— Pić mi się okrutnie chce, żebyście mi, matusiu, wody podali.

— Nie chcesz wracać do chaty?

— Oj, nie, nic... za nic...

— Wyszukałam ci dobre schronisko.—Pójdziesz do Marcinowéj?

— Pójdę—odparł—jak se odpocznę, zesłabłem do cna.

Zsunął się z kolan Tyksiny na siano.

— Pić!—prosił się.

— Bójże się Boga, Jaś. Jeszczeby tego brakowało, żebyś mi się rozchorował.

— Nic mi nie będzie—mówił cicho—ino se muszę spocząć. Tatuś zaraz przecie nie przyjdą. A teraz, matusiu, pić... pić...

Tyksina zeszła z góry, nabrała w garnek wody i zaniosła chłopcu. Pił gwałtownie i długo, potém się wsunął w siano i znowu zasnął. Na twarz wystąpiły mu rumieńce.

Kobiéta patrzała na niego z upojeniem dumy, lecz zarazem i wielkim strachem.

— Dziéj się wola Boga — przecie mnie, dziopy i chłopaka nie zabije? Dałabym ci jeszcze bić, ty krzywdo ludzka.

Zeszła z góry, stół wniosła do izby, płachtę z okna ściągnęła, w ogrodzie nakopała ziemniaków i skrobiąc je, śpiewała: „Kto się w opiekę".

Przed samym wieczorem przeleciał Biedroń, zajrzał przez okno, popatrzał i odszedł.

— Ręka cię świerzbi, drabie, i niecierpliwość zbiéra do skóry chłopaka, ale se poczekasz, póki nie zmiękniesz, póki ci krew nie ostygnie, ochota nie odejdzie. Poczekasz se, Marcinowa nie głupia, jak ci ona go schowa, możesz szukać i cały rok...

Pieśń „Kto się w opiekę poda Panu swemu" wylatywała przez otwarte okno na drogę, tułając się wśród krzaków, — oskrobane ziemniaki wpadały do cebrzyka, rozpryskując w nich wodę. Zdaleka słychać było wesoły ryk bydła, przebijający się przez hałaśliwy świergot ptaków, żegnających słońce.

Przez otwarte okno wścibiła łeb stara, oblizując się łakomie, a drzwiami wbiegła Zosia.

— Cóż? — rzuciła tylko pytanie.

— Marcinowa bierze do siebie Jasia.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

— Chwała Bogu, zajrzę do niego — podsadźcie mnie.

W sionce matka wzięła ją na ręce, uniosła w górę. Dziewczynina w dwóch susach była na strychu. Niedaleko komina zobaczyła wychylającą się z siana głowę Jasia. Położyła się tuż przy nim, przysunęła, objęła go za szyję i pocałowała.

— Biédne chłopczysko, takie bogactwo, a tyle już utrapienia.

Przyłożyła mu rękę do twarzy i głaskała pieszczotliwie.

— Rozgrzał się, że aż skóra pali i śpi okrutnie.

— Jaś — szepnęła — Jaś — zawołała.

Zaczęła wstrząsać go za ramię.

Chłopiec spał, oddychając ciężko. Dziewczynina palcami otwiérała mu powieki, żeby przecie spojrzał na nią.

Otwarte oczy nic nie widziały. Przestraszyła się.

— Cosik jest — szepnęła — bo gorąco od niego bije. — Jaś! — zawołała i szarpnęła nim, ciągnąc go za rękę.

Chłopiec oczy otworzył, chciał się zerwać, lecz padł na siano.

Chciała go ratować, lecz nie umiała, straciła głowę.

Zatargała z rozpaczy włosy, spuściła drabinkę, zbiegła po niéj, wpadła do izby.

— Jaś oczu nie może otworzyć, rozpalony na węgiel — załamała ręce.

— Tylko z umęczenia i strachu — tłómaczyła matka. — Chłopak delikatny, nikiej pańskie dziecko.

— Ratujmy go — zawołała z płaczem, oburzona na spokój matki dziewczyna.

— Dziecko, choroba musi swoje przejść.

— Może już czas po mléko lecieć? Polecę, wypije, to go skrzepi.

— Leć, nim zalecisz, zrobi się ciemno. Skręć na Sobkową drogę.

Zosia, zarzuciwszy matczyną chustkę na ramiona, wybiegła.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca kładły się na ziemię, jak do snu i nikły. Został po nich na niebie złotawy skrawek, malał i zgasł, tylko srebrna jasność rozlała się szeroko i świéciła. Dziewczyna rada była jasności. Biegła żywo, oglądała się po za siebie, przytulała do drzew, gdy usłyszała odgłosy stąpań ludzkich, i znowu mknęła daléj cicho, jak duch lub cień.

Skręciła na Sobkową drogę i odetchnęła. Z Sobkowéj drogi na Biedroniową łąkę bliziutko, a tuż nad nią trzy olsze. Dopadła do olsz. W pośrodku świéciło białe mléko, pochwyciła garnuszek i chléb, skryła za chustkę i z całych sił, jak gdyby ją dziesięciu Biedroniów goniło, uciekała. Wróciła do domu, gdy już ognie we wszystkich chatach jasno świéciły.

— Żywéj duszy na Bożym świecie, idźcie matuś po Jasia, a ja potrzymam drabinkę.

Tyksina wybiegła na drogę, obeszła chatę i skoczyła żywo na drabinę. Wydobyła chłopca z siana, postawiła go i zatrzęsła nim silnie.

— Opamiętaj się i złaź—ojciec może nadbiedz.

Wyraz ojciec ocucił go, wstrząsł się i uchwycił za ręce Tyksinę. Kobiéta wzięła chłopca na ręce i powoli niosąc, zlazła z drabiny.

— Jaś, poznajesz mnie, to ja, Zośka, przyniosłam ci od Kundy mléka.

Jaś stanął na ziemi, uśmiéchnął się, zatoczył i pochwycił Zosię za szyję. Weszli razem do izby.

— Pali mnie, mąci mi się w głowie, nogi się chwieją, ślepiów nie mogę otworzyć. Zośka, trzymajże mnie, bo padnę.

— Siadaj.

Posadziła go na ławie, oparła o stół i matczyną chustką odziała.

— Czy ty ino zajdziesz do Marcinowéj?

— Nie bójcie się, wezmę go w płachtę i zaniosę.

— Pij—zawołała Zośka—pij wszystko, bo to twoje...

Chłopiec upił, odpoczął, upił drugi raz i garnuszek, trzymany przez Zośkę, odsunął.

— Bóg zapłać. Okrutna mnie ochota zbiéra wrócić na siano.

Przytulił się do Zośki, objął ją wpół i głowę oparł na jéj ramieniu.

— U Marcinowéj nie brak siana, w komorze czyściutko. Legniesz se na łóżku, pierzyną okryjesz i będzie ci jak w raju.

— Zośka, zajrzyj do mnie—szepnął.

— Co wieczór będę ci przynosić mléko od Kundy i opowiadać, co się działo na błoniu.

— A jak skrzepnę, to już nie wrócę do ojców, boję się i wolę zamrzéć, wolę, żeby mnie ziemia skryła, jak wracać. Zośka, broń mnie!

Tulił się do dziewczyny i cisnął ją do siebie z całych sił.

— A po co miałbyś wracać?... Gnają cię i katują—to tylko potrafią. Sprzedam morgę, chałupę i starą — i uciekniemy w świat — powiedziała Tyksina.

— Dobrze—szepnął—w świat i nie dognają nas.

— Choćby na sto koni wsiedli—dodała Zosia.

— Dobrze—powtórzył.

Tyksina rozpostarła płachtę na stole, sadzając chłopca na niéj.

— Dwa końce przełożę przez ramię, a ty mnie uchwyć za szyję i w drogę! Zośka, wyjrzyj na świat migiem.

Dziewczynina wybiegła, rozejrzała się w ciemnościach, dopadła do okna i dała znak.

Wyszli. Tyksina skręcała końce płachty na piersiach, chłopiec obejmował jéj szyję, Zośka biegła naprzód.

Ostrożnie, pocichu przekradali się wygonem do krzaków. Dziewczyna, nasłuchując, drżała ze strachu. Rada była krzaki przyciągnąć.

Ciężko było Tyksinie. Pochylona, ciężko oddychała, lecz nie ustawała. I ona wzrokiem mierzyła odległość od krzaków i ona modlila się, aby jak najprędzéj przysunęły do niéj.

— A chodźcież—zawołała Zosia zniecierpliwiona.

Krzaki się przysuwały! Bliżéj, coraz bliżéj, tylko po nie ręką sięgnąć... Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć. Tyksinie

spływał pot strumieniami po twarzy. Ostatnie parę kroków przebiegła. Gdy ją krzaki zasłoniły, usiadła, przechyliła się, płachtę zsunęła z ramion. Chłopiec leżał na ziemi, Zośka go otuliła i kucnęła przy nim.

— A co teraz? — spytała matka. — Chłopczysko zesłabło do cna i jakże go tu dźwigać—sama nie poradzę.

— To ja matusi pomogę.

— Głupiaś!

— To polecę po Marcinową.

— Nie boisz się?

— A czego? la Jasia, to przecież Najświętsza Panienka powinna prowadzić.

Dziewczynina zerwała się i pobiegła całym pędem młodych chudych nóg. Księżyc wszedł, jasność rozlała się po ziemi, Zośka biegła z całych sił. Na zakręcie zdawało się jéj, że jakiś cień przesunął się i schował. Była pewna, że Biedroń, wpadła w krzaki, kucnęła pod leszczyną, czekała.

— Żeby ino na Jasia nie nadybał, bo matusia uciekną, a onby mi chłopca zabił—szeptała przerażona.

Za chwilę cień się wydobył z za krzaków, zamajaczył na drodze, i wyciągnął za sobą postać, okrytą białą płachtą. Zosia, oddech zatrzymując, przyczołgała się pod samą drogę, wytężając wzrok.

— Marcinowa—szepnęła.

Postać stanęła, dziewczyna przybiegła do niéj.

— A to gdzie?—spytała kobiéta.

— Po was—wielgi czas Jasia przeprowadzić, sam nie może iść—zawołała Zosia.—Leciałam po was. Donieśliśmy go do krzaków i daléj ani rusz. Ratujcie...

— A ja do was leciałam. Chory bardzo?

— Bardzeńko! A tuli się do nas, a prosi, żeby go ojcom nie wydawać.

Zapłakała.

— Biedroń się wścieknie, a nie odnajdzie go.

Pobiegły pędem.

Na murawie, oblanéj światłem księżyca, siedziała Tyksina, obok niéj leżał Jaś, otulony płachtą. Zosia pierwsza przypadła, za nią Marcinowa.

— Nie może wstać—spytała.

— Nie mógł się mnie trzymać rękoma za szyję.

Marcinowa rozłożyła swoją płachtę na ziemi.

— Dawajcie mi go!

Chłopca podźwignięto, kobiéta silna wzięła go jak pół korca żyta na plecy. Głowa mu tylko z płachty stérczała, po białych włosach majaczył księżyc.

Zośka leciała naprzód, kobiéty szły razem, dzieląc się ciężarem co kilka staj.

W dole, niedaleko ciemnéj paryi, ogień jasno świecił przez otwarte okno. Stanęły ukryte w krzakach. Zośka wybiegła rozejrzéć się po świecie. Otworzyła drzwi od chaty, był to znak, że nie ma żywéj duszy.

Ciężar złożono na stole, Jaś otworzył oczy, popatrzał i uśmiéchnął się serdecznie.

— Tu mnie przecie nie znajdą, i nie będą bić, nie będą katować i nie będą gnać—szeptał, tuląc się do Zosi.

— Niech ino próg méj chaty przestąpi, to mu łeb rozwalę — zahuczała Marcinowa, a była to kobiéta, silna, rosła i gwałtowna.

— Jakże ci, Jaś—spytała go Tyksina.

— Głowa mi cięży, młoty w niéj biją.

I znowu przytulił się do Zosi, objął ją ręką za szyję i szepnął do ucha.

— Uciekniemy?

— Jak tylko matsia sprzedadzą morgę i chatę. Bo starą weźmiemy ze sobą.

— Dobrze... A nie będzie ci się, Zośka, cnęło za wsią?

— Jak urośniesz i będziesz duży, to powrócimy przecie na swoje śmiecia. Co nie mamy wrócić. Ty do ojcowizny.

— Wrócimy!

Nie mogąc usiedziéć, położył się na stole.

— Zaraz, zaraz, moje dziecko — odezwała się Marcinowa, podając Zosi zapaloną przy kominie smolówkę.

Tyksina otworzyła drzwi komory, gospodyni wzięła Jasia na ręce, Zosia świéciła. Łóżko było usłane, okryte czystą płachtą, na niém poduszka i pierzyna. Chłopak legł i odetchnął radośnie, ujął za rękę Marcinową i pocałował ją, po niéj Tyksinę.

— Cóż cię boli—pytały go kobiéty.

— Głowa mi ino chce pęknąć i sen mnie mroczy.

— Napijesz się mléka?

— Wody, pali mnie okrutnie.

Zośka skoczyła po wodę, napił się i zamknął oczy.

— Boję się o chłopaka — szeptała Marcinowa, wychodząc z komory.

— Nic mu nie będzie, znużony i wystraszony. Biédne dziecko, taki bogacz i tak sponiewiérane — pocieszała kumę i siebie samą Tyksina.

— Jutro na odwieczerz przyniosę wam dla Jasia od Kundy mléka.

— Wypijcie go same, mléka mi nie brak, a mogłabyś, Zośka, naprowadzić ludzkie oczy. Biedroń nie śpi.

Matka z córką, bojąc się ludzkich oczu i czujności Biedronia, wyszły. Marcinowa na pożegnanie szepnęła Tyksinie.

— Chłopak wasz, a łąka moja—pamiętajcie!

— Cierpnę—odpowiedziała cicho Tyksina.

— Jeszcze czas na cierpnięcie.

Zaledwie matka z córką wpadły do izby i rozniecily ogień, warząc resztę przyniesionego od Kundy mléka, w otwartém oknie stanął Biedroń—patrzał, patrzał i odszedł.

— Widziałaś — odezwała się do Zosi matka, jak ci w nas wlepił swe ciekawe i łakome ślepia.

— Widziałam. Jak to dobrze, że Jasia u nas nie ma.

— A nikomu na myśl nie przyjdzie, że chłopak u Marcinowéj. Ludzie wiedzą, że się wciąż drze z Biedroniem.

Nazajutrz po wschodzie słońca wpadli do Tyksiny wójt z Biedroniem. Po drabinie dostali się na górę, przetrząsnęli siano, chłopca nie znaleźli. Biedroń w izbie zajrzał pod łóżko i za piec, otworzył komorę. Nie przemówiwszy słowa—odeszli.

Tyksina poskoczyła do sieni—słuchała.

— A co? nie mówiłem wam—prawił wójt—że baba nie śmiałaby cudzego dziecka kraść i chować, bo za to wielka odpowiedzialność...

Odeszli, dalszych słów nie słyszała.

— Co za szczęście, że Marcinowa dziecko schowała.

Klasnęła w dłonie.

— A to ino moja głowa to zrobiła. Niech przetrząsną teraz całą wieś i niech go znajdą.

Na błoniu Zosia opowiedziała Kundzie o wczorajszych przenosinach Jasia, a Kunda o gniéwie Biedronia i strachu Biedrońki. Jak Biedrońka zaczęła jéj schlébiać, głaskać, dała jéj starą chuścinę na głowę, byle ją tylko uprosić, aby powiedziała, gdzie Jaś. Ale ona nie powié, choćby jéj wtoruchę darowała, bo nie chce chłopaka, jak Pana Jezusa Judasz, wydać na skatowanie.

— Przetrzymamy ich choćby tydzień — mówiła cicho Kunda. — A dopiéro wtedy muszą mi przysiądz przed męką Pana Jezusa, że mu marnego słowa nie powiedzą, wtedy im go oddamy. Zośka, prawda?

— Prawda, niech przysięgają...

W nocy zastukała do okna chaty Tyksiny Marcinowa. Zośka się zerwała i kół, zapiérający drzwi, odłożyła.

— Wiécie — szeptała Marcinowa cicho w izbie — z chłopakiem źle, zwiduje mu się, zrywa się, woła Zośki, chce uciekać przed ojcem. Gdyby tak, broń Boże, oczy zamknął, nawarzylibyśmy sobie piwa.

Zośka uderzyła w płacz serdeczny.

— Cicho, głupia, tu nie ma czasu na lamenta.

— Co robić, co robić — szeptała, kręcąc się ze strachu Tyksina.

— Nie ma innéj redy, jak chłopaka podrzucić Biedroniom. Przecie mu w takiéj chorobie krzywdy nie zrobią.

— Podrzucić? ale jak?

— Kundę w nocy sprowadzić i przenieść go. We troje damy radę.

— Przenieść—powtórzyła Tyksina.

— Chłopczysko rozpalony jak węgiel, nie jé, nie pije...

Zosia przed wschodem słońca, zanim wypędziła starą na pastwisko, wpadła do izby Marcinowéj, otworzyła drzwi od komory. Na posłaniu, okryty, leżał nieprzytomny chłopiec. Oczy miał otwarte, lecz nikogo nie widział, twarz czarwoną, oddychał ciężko. Dziewczyna zbliżyła się i, pełna żalu, położyła rękę na jego czole.

— Jaś—odezwała się—nie poznajesz mnie, nie poznajesz Zośki—przemówże, bój się Boga!

Chłopiec patrzał, oczy wytrzészczał, zerwał się raptownie, objął Zośkę za szyję i tuląc się do niéj, mówił:

— Tatuś, widzisz go, stoi i grozi mi. Broń mnie, Zośka.

— Jaś, zwiduje ci się — nikogo nie ma — wołała zrozpaczona dziewczynka.

— Poszedł—szepnął Jaś.

Uspokoił się i legł na posłaniu. Zośka go okryła, otuliła i głaskała ręką.

— Moje niebożątko, nie trapże się, nikt tu nie przyjdzie, nikt do ciebie nie trafi. Bylebyś ino był zdrów. Ale może Najświętsza Panienka ulituje się nad tobą...

— Była — szepnął Jaś — i zasłoniła mnie przed tatusiem i odegnała go odemnie.

— Widzisz, kiej Najświętsza Panienka opiekuje się tobą, to ci i krzywdy nie da zrobić.

Jaś zmrużył oczy, dziewczynka wyszła z komory i cicho zamknęła drzwi.

Brzegiem paryi przez białe krzaki brzeziny wracała zdyszana. Czerwona spódniczka migała, jak gdyby niewidzialna ręka rzucała maki na zieloną łąkę. Wpadła do izby i zalała się łzami.

— Byłam u Jasia, śmiertelnie patrzy. Najświętsza Panienka przychodzi i pewno ci go zabierze.

Załamała ręce.

— Śmiertelnie patrzy — pochwyciła matka. — Najświętsza Panienka nawiedza go?

Dziewczyna palce z rozpaczy utopiła we włosy i zatargała je z całych sił.

— Prawa, sądy — szeptała Tyksina. — Stary będzie mścił. Zniszczą nas i z chaty wygnają.

Zosia zanosiła się od płaczu.

— Mnie ino Jasia żal—mówiła łkając.

— Cicho — krzyknęła matka, podnosząc rękę. — Wygnaj krowę, slépia otrzéj, bo ludzie patrzą, a Kundzie powiédz, żeby o północku przyleciała do Marcinowéj. Tyś go tu sprowadziła na moje utrapienie.

— Mnie ino Jasia żal—powtarzała Zosia, zalewając się łzami. — Okrutnie mi żal—ratujcie go!

Matka chwyciła ją za ramiona i zatrzęsła z całych sił.

— Kiej Najświętsza nawiedza go, to co poradzisz, głupia? Ślépia ludzkie płaczem ściągniesz na nas i co będzie?

— Jasia mi żal—powtarzała cicho dziewczyna i raptem ryknęła, rzucając się z bólu na ziemię.

— I poradźże tu z głupią — zaczęła łagodnie matka, zwyciężona serdecznym żalem dziecka. — Ruszaj na górę, prześpij się, to i smutek przejdzie, sama wygnam starą i naradzę się z Kundą.

Zosia, płacząc, wlazła po drabinie na siano i przez szparę, zrobioną w strzesze, patrzała, jak matka wygnała krowę i razem z nią zniknęła na wygonie. Zbiegła szybko z góry, drzwi były zamknięte, otworzyła ostrożnie okno, zsunęła się na ziemię. Z początku powoli, potém, osłonięta krzakami, pognała z całych sił do chaty Marcinowéj.

Cicho weszła do izby, odchyliła drzwi i na palcach wsunęła się do komory. Siadła przy łóżku Jasia i przyniesioną gałązką brzeziny odganiała od niego muchy. Chłopak leżał spokojnie, otwiérał oczy, wpatrywał się w nią, poznawał i tak jakoś się uśmiéchał do niéj, że dziewczyninie z bólu serce zamiérało.

— Lepiéj ci, Jaś—pytała pełna smutku i rozpaczy.

Nie odpowiadał, zamykał oczy, za chwilę otwiérał, patrzał i uśmiéchał się, że dziewczyninie znowu serce z bólu zamiérało.

* * *

O północy wpadła do chaty Kunda, za nią Tyksina i dwa wielkie psy Biedronia.

Kunda kazała sobie poświécić smolówką w komorze. Jaś ją poznał i wyciągnął ręce. Kunda go pochwyciła w swoje i tuliła jak własne dziecko.

— Radźmy—nalegała Marcinowa.

— Co tu radzić — jedna na drugą dwie płachty. Chłopaka na płachty, pierzynką go przykryć. Marcinowa za jeden, ja za drugi róg, Tyksina i Zośka u nogi i jazda. Wzięłam umyślnie psy, aby nie szczekały, gdy przyjdziemy do obejścia Biedronia. Wsuniemy się cicho, chłopca złożymy w oborze na słomie, ja przy nim zostanę, a wy w nogi.

— A jakby go chciał bić?—ozezwała się Zosia.

— Niech sprobuje—zawołała Kunda strasznym głosem.

Płachty jedna na drugą położono na stole, poduszkę pod głowę, pierzynkę trzymała Zosia, Kunda wyniosła Jasia. Położono go otulono i daléj w drogę.

Psy leciały, swawoląc, naprzód — droga wiła się wśród krzaków brzeziny, — księżyc płynął po lazurowém sklepieniu, gwiazdy blade leniwo mrugały... Kobiéty zmieniały się co chwila, ciągnąc ku sobie rogi płachty, a prawie biegły pod górę. Zosia pomagała matce, ile jéj tylko sił starczyło.

Przed obejściem Biedronia zatrzymały się, składając ciężar na murawie. Kunda poleciała naprzód, psy za nią. Otworzyła bramkę, wpadła do obórki, rozesłała w rogu słomę—wróciła.

— Wszystko śpi jak zabite—szepnęła.

Pochwyciła Jasia na ręce i znikła, kobiéty uciekły, dziękując Bogu, że im się szczęśliwie udało uniknąć nieszczęścia.

Zosia na błoniu zaczęła cicho serdecznie zawodzić — płakała do samego domu. Zaledwo sen ją utulił.

(D. c. n.). *Sewer.*



Z PAMIĘTNIKÓW PRYMASA

Wł. Al. Łubieńskiego.

Niecickawy to człowiek, niecickawe pamiętniki [1]). Takie na wstępie oświadczenie sprzeciwia się zapewne dobrym obyczajom edytorskim. Podług tych obyczajów, ogłaszając wyjątki z niewydanych pamiętników własnoręcznych Łubieńskiego, wypadałoby zacząć

---

[1]) Dobrze zachowany wolumin — z biblioteki w Szczytnikach Feliksa Łubieńskiego, wnuka Floryana, brata prymasa, z rękopisów wzmiankowanych przez Pstrokońskiego, Pamiętniki, 56,—in folio, bez paginacyi, w skórę oprawny, z wyciśniętym herbem Pomian (łeb żubrzy, skroś przebity krótkim mieczem), zawiera, od piątej karty poczynając, pamiętniki, całe pisane ręką prymasa, w porządku następującym: *Dyaryusz krótko wyrażaiący dzieie Europejskie zaczynaiące się po śmierci króla szwedzkiego wraz y po śmierci Hetmana W. K.*, 185 stronic szczelnie zapisanych, od maja 1751 do czerwca 1757 r.; 19 stronic pustych; *Pro memoria Dyaryusza*, 17 stronic zapisanych, od stycznia 1734 do lutego 1758 r.; 23 stronice puste; *Pro memoria*, 3 stronice zapisane, lipiec 1757 r.; 23 stronice puste; *Konnotacye z Piarskich Gazet*, 28 półstronic uciętych, gęsto zapisanych, wypadki wojenne 1757 r.; 24 stronice puste; dziennik, bez nagłówka: 62 stronice zapisane, 2 puste, 109 zapisanych, od września 1762 do marca 1767 r., coraz szczegółowiéj aż do końca bezkrólewia, potém coraz skąpiéj. Powstanie tych zapisek jest rozmaite; jedne zdają się być wpisane naraz, jednym ciągiem, w jakiś czas po zaszłych wypadkach, a podług ulotnych dla pamięci konotatek; inne wpisywane bezpośrednio z dnia na dzień. Wyjątki, poniżéj ofiarowane, uszeregowane zostały w porządku chronologicznym, a więc *Pro memoria Dyaryusza* wysunięte na czoło. Pisownia, gdzie jest tylko typową zeszłowieczną, zmodernizowana (*i*, *j*, miasto *y*, i t. p.); zachowana oryginału, gdzie jest osobistą Łubieńskiego (w nazwiskach, wyrazach cudzoziemskich i t. d.). Interpunkcya uzupełniona w miarę potrzeby.

od postawienia pamiętnikarza na świeczniku, od zaakcentowania niepospolitéj doniosłości jego pamiętnikarskiéj spuścizny. Niechaj wszakże wolno będzie z téj tradycyi uczynić tym razem wyjątek. Wyjątek, usprawiedliwiony już z uwagi, że nie trzeba Łubieńskiemu nowych panegiryków, gdy miał ich poddostatkiem za życia i po śmierci. Niezwykłą zaiste jest obfitość spółczesnych na jego cześć poematów i oracyi pochwalnych, jakie mieliśmy w ręku, łacińskich i polskich, rękopiśmiennych i uwiecznionych drukiem, najwięcéj uczonego pióra OO. Jezuitów, z których szkoły był wyszedł. Zaś jeszcze nie tak dawno uczynił prymasa wielkim człowiekiem Julian Bartoszewicz, umieszczając podchlebiony do przesady jego wizerunek w galeryi „Znakomitych mężów", książce tak nazwanéj, jak *lucus a non lucendo*, gdyż w niéj znakomitości nie odnajdzie z dyogenesową latarnią, a natomiast co kroku trafiają się postaci bądź zupełnie pospolite, bądź zgoła odstręczające. Do pierwszego gatunku, miernot zdeklarowanych, należał Łubieński. Słaba głowa, żaden charakter, miał sobie wrodzone zalety szanowne: dużą serca poczciwość, pobożność szczerą, czujne sumienie kapłańskie, pogodę cichego, bez namiętności, temperamentu: szanowne cnoty, ale cnoty prywatne, niestarczące w wielkim zawodzie publicznym, gdzie wielkie publiczne cnoty są wymagane. Nie do takiego zawodu stworzony był Łubieński. On był przeznaczony, ażeby jako proboszcz gdzieś w zapadłéj parafii, gdzieś za murami klasztornemi jako benedyktyn, pędzić dni jednostajne, pilnować swoich owieczek, swoim ubogim przychodzić z pomocą, wieczorem w refektarzu z braćmi lub z gośćmi w plebanii głębokie prowadzić dyskusye *de politicis*, o ostatniém *breve* Jego Świątobliwości, o wakansach biskupich, o zdrowiu króla jegomości, plantach króla pruskiego, połogu delfinowéj, albo o znakach na niebie. Mały człowiek na małém stanowisku, byłby w skromnéj sukni duchownéj prezentował się naogół sympatycznie: w prymacyalnéj purpurze, na pierwszém dostojeństwie rzpltéj, któréj ster przez rok blisko dzierżył w swoich ręku, któréj ostatniemu monarsze włożył koronę, ściąga na siebie tém surowszy wyrok historyi. Niezdecydowany w uczciwszych swych popędach osobistych, objawia w sprawach publicznych dwoistość fatalną, nie przez to nie lepszą, że jest wypływem braku woli, nie złéj woli. Rzetelny w gruncie, brzydzący się nagiém przekupstwem, lecz drażliwszy na punkcie honorów, niż honoru, daje się używać do posług dwuznacznych przez Brühla, daje za dwuznaczniejsze przysługi wynagradzać siebie i swoich przez Familię; formalista zapamiętały, kiedy chodzi o literę, o tytuł, o etykietę, — umié zapominać o elementarnych zasadach prawa publicznego, naczelnych przepisach konstytucyi sejmowych, prymasowskich obowiązkach *inter-*

rexa; wielkiéj pobożności, w wykonywaniu czynności kapłańskich wzorowy, — w chwili stanowczéj znika z widowni, chowając się za Sołtyka. Opłakane wrażenie czynią wielomówne jego *memorabilia*, z których tutaj jaknajoszczędniéj kładziemy wyciągi, a gdzie tyle jest prywaty, tyle mowy o etykiecie, obiadach, kazaniach, cudach, bilardzie i reumatyzmach pamiętnikarza, tak mało powagi i rozumu stanu. Lecz właśnie dlatego są nauczające te pamiętniki, nauczające więcéj tém, czego w nich brak, niż tém, co zawierają; i dla téj racyi ujemnéj prosimy dla nich o uwagę czytelnika.

A oto parę danych biograficznych. — Z rodziny zacnéj, pięknych koligacyi, lecz skromnéj fortuny, syn łowczego sieradzkiego, Łubieński w młodym wieku stracił ojca. Chował się w kolegium jezuickiém w Kaliszu. Dwudziestoletnim wyprawiony do obcych krajów, „po naukach mniejszych, w ojczyźnie odbytych, — donosi o swoim dobrodzieju kanonik Pstrokoński,—polerował rozum w Rzymie"; we Francyi oglądał ślub delfina z Maryą Leszczyńską, „na które wesele—tego szczegółu nie przepomniał sam zapisać w swym geograficznym foliancie,—miałem szczęście zapatrywać się w Fonteneblo" [1]. Prowadził po drodze pamiętnik szczegółowy, *Diarium peregrinationis*, gdzie z dnia na dzień skrupulatnie zapisywał przygody podróżne. Niewiele tu więcéj znajdzie nad opisy kościołów, procesyi, obrazów i pamiątek świętych. Jednak ciekawe są te wrażenia młodego kleryka polskiego zagranicą, z których może kiedyindziéj damy wyjątki. Ciekawe znowuż nietyle dla swéj treści, ile dla braku treści; ciekawe, bo wykazują widnokrąg myślenia dziwnie ścieśniony, osobliwie stępioną wrażliwość. Jakżeż inaczéj, żywotniéj, barwniéj, obficiéj, wyglądałby pamiętnik z podróży włoskiéj z czasów Kochanowskich, Janickich. Aleć, naówczas Polak był zaiste spółczesnym spółczesnéj sobie Europy XVI wieku, dotrzymywał jéj kroku, cywilizacyjnie był jéj równym. Teraz, w XVIII, pozostał za nią w tyle; i w tym czasie, kiedy już śpieszą do Włoch na pielgrzymkę Montfaucon, Montesquieu, Brosses, kiedy już torują drogę dla Winckelmann'a, Goethe'go, Gibbon'a, — polski podróżnik pojawia się na ziemi klasycznéj jak prostaczy, zapóźniony prowincyonalista, jakby z innego świata, innéj epoki. Dodajmy, iż nietylko stopień inteligencyi, lecz sam sposób wysłowienia się młodego Łubieńskiego nie przynosi żadnego zaszczytu jego mistrzom kolegiackim; prowincyonalna, kaliska jego łacina pełna jest błędów stylistycznych, a nawet gramatycznych, gdzieniegdzie późniéj

---

[1] Pstrokoński, 49; Łubieński, Świat, f. 161.

poprawianych starą ręką prymasa [1]). Gdzieniegdzie tylko, — gdyż nawet stary prymas, z lubością przeglądający swoją młodocianą „literaturę” pamiętnikarską, do końca nietęgim został łacinnikiem; i jego dojrzała epistolarna łacina, ile jéj mieliśmy w ręku, jest sztywna, napuszona, nigdzie nie ujawnia lepszego oczytania klasycznego.—Wkrótce po powrocie do kraju wykonał śluby kapłańskie, został kanonikiem i scholastykiem krakowskim. Asystował koronacyi Augusta III-go. 1740 r. [2]) mianowany od króla pisarzem w. k. po Dembowskim. Trzymał się dworu, lekce od Brühla ważony i właśnie dlatego forytowany, jako powolne narzędzie a pilny pracownik; potém prześladowany przez ministra, idącego wtedy z Familią; późniéj jeszcze, po dokonaném zerwaniu między Czartoryskimi a dworem, wrócony do łask Brühla przez Mniszcha, używany w sprawie ostrogskiéj przeciw książętom, używany do praktyk sejmikowych w sieradzkiém, do godzenia trybunalskich niesnasek, do innych drażliwszych jeszcze misyi. Kiedy z jednéj takiéj misyi szczęśliwie się wywiązał i dla obdłużonego Brühla uzyskał znaczną pożyczkę z funduszów wojewódzkich, za tę przysługę — tém miléj widzianą u dworu, że w téj saméj chwili, z wybuchem wojny siedmioletniéj, dwór, ogołocony z dochodów saskich, gwałtownie potrzebował pieniędzy,— sowitą otrzymał nagrodę, mianowany w r. 1757 arcybiskupem lwowskim. Niezadługo, 1759 r., po Komorowskim objął prymasowstwo. Wyniesiony tak wysoko, łowczyc sieradzki, ciągle bez wielkich względów traktowany przez Brühla, od którego przecie już żadnéj wyższéj nie mógł czekać promocyi, — nie z wyrachowania, lecz z zadraśniętéj ambicyi zbliżył się ku Czartoryskim; późniéj do starego Kayzerlinga, który doskonale tę ambicyę umiał w nim podniecać i głaskać. Już od r. 1762, w sprawie kurlandzkiéj, wyraźnie stawał Łubieński oporem dworowi, podnosił głos przeciw inwestyturze ks. Karola, istotnie nielegalnéj, lecz bynajmniéj nie z pobudek legalnych zwalczanéj. Jednak, z właściwą sobie miękkością, niezdolny oko w oko sprzeciwić się „majestatowi”, za słowo łaskawe króla na radzie senatu odstępuje Czartoryskich i stwierdza swym podpisem uchwałę senacką na rzecz królewicza, przeciw któréj razem z księciem kancle-

---

[1]) *Decerptio viae Romanae, alias Singularium omnium rerum quae vidi in hac peregrinatione extranearum nationum...*, ms., cały własnoręczny, formatu małego 8[0], zawierający zapisanych stronic liczbowanych (niedokładnie) 163 + 115. Świadomy niedostatków, pisze w przemowie autor: *amicum lectorem rogo et precor quatenus iuvenili protunc latinitati meae dignetur parcere. scholastico etenim adhuc ingenio imbuta apparet et fere inculto, sed sufficit dum curioso et non otioso in vicesimo nimirum et primo aetatis meae anno.*

[2]) U Bartoszewicza mylnie 1741 r.

rzem założyć miał protest. Zawzięta kiedyindziéj Familia ten zawód wybaczyła prymasowi, utrzymała z nim ścisłą zażyłość: wiedziała, że jeszcze jéj będzie potrzebny. Ta wyrozumiałość niebawem dobrze się opłaciła. Śmierć Augusta sprowadziła bezkrólewie, Łubieńskiego uczyniła *interrexem*. Jego poparcie dało Familii do rąk wszystkie atuty w rozpoczętéj grze elekcyjnéj. Tutaj dopiéro miał okazyę w całym blasku wystąpić prymas międzykról. Notyfikacye o wakansie tronu, listy wierzytelne, poselstwa na cztery strony świata, do króla Obojga Sycylii, do padyszacha, pisma odręczne od monarchów z tytułem „kuzyna" lub „Jego wysokości prymasa", co dnia wielki zjazd na pokojach prymasowskich przy Senatorskiéj ulicy, wystawne obiady, uroczyste audyencye, baldachimy, oracye, bębny, — jednêm słowem, wspaniałość dekoracyjna z wierzchu, źle osłaniająca zupełną nicość mniemanéj głowy państwa, jego z urzędu sternika, który, sam o têm nie zdając sobie sprawy, został prawie od początku bezkrólewia ślepêm narzędziem dla przeparcia elekcyi stolnika litewskiego. Obrany wreszcie Stanisław-August: Łubieński, po audyencyi uroczystéj, danéj w szopie posłom — to jest subalternom poselskim, gdyż posłowie nie fatygowali się sami, — po trzykrotnêm do stanów zapytaniu, z zachowaniem skrupulatnêm wszelkich form tradycyjnych, z powagą, jak gdyby stawał wobec zbrojnego rycerstwa, zgromadzonego dla obioru Walezyusza, okrzyknął na Woli elekta Poniatowskiego; z przejęciem się, jak gdyby namaszczał Batorego, włożył mu koronę w kościele. Wdzięczny król nie szczędził odtąd prymasowi swoich względów. Mianował go pierwszym kawalerem orderu św. Stanisława [1]), często go odwiedzał, dopytywał o zdrowie, nie pozwalał wyprowadzać się do schodów; łatwo całkiem go ujarzmił tanią łaskawością monarszą, w jakiéj celował. Jednak żadnego odtąd wpływu nie miał Łubieński na sprawy publiczne, choć do nich nieraz z urzędu bywał wzywany; o wpływ zresztą nie dobijał się wcale, gdyż te sprawy odtąd zanadto poczynały się wikłać. Cicho przesiadywał w Skierniewicach, ciągle słabując, odwiedzany przez gości z Warszawy, sam rzadziéj widywany w stolicy. Dla porządku, utrzymywał stałą korespondencyę z Młodziejowskim, byłym swoim sekretarzem, a właściwie kierownikiem, który mu w ciągu 1765 i 1766 r. posyła z Warszawy relacye; beztreściwość téj korespondencyi najlepiéj świadczy, jak

---

1) Michał Poniatowski do Łubieńskiego, 9 maja 1765 r., w Archiw. domow. Wójcickiego, 33.

mały brał udział prymas w życiu publiczném kraju [1]. W Warszawie zmarł 1767 r., w sześćdziesiątym czwartym roku życia.

Jeszcze dwa słowa o pisarzu i mówcy. — „Świat w swoich częściach większych i mniejszych... geograficznie, chronologicznie i historycznie określony, opisaniem religii, rządu, rewolucyi, praw, zwyczajów, skarbów, ciekawości i granic... przyozdobiony, dla ciekawego a nie próżnującego oka polskiego podany",—oto drobny ułamek z tytułu imponującéj książki Łubieńskiego. Zdobi ją, naprzeciw portretu Augusta w zbroi, któremu dzieło było poświęcone, malowany przez Brandeisa portret własny autora, dość rzadkie świadectwo próżności początkującego pisarza. Wygląda ze starannego sztychu twarz tłusta, dobroduszna, o rysach regularnych, z wyrazem uroczystym pozującego skupienia [2]. Ta wielka książka, która podziśdzień zapewniła Łubieńskiemu kąt wygodny w historyach literatury, w swoim czasie przyjęta była z deferencyą, należną jéj objętości i stanowisku autora. Uczony Wojciech Szylarski, przemawiając do pisarza „Świata" z obfitością superlatywów, możebną jedynie, kiedy się przemawia łaciną, nie waha się zamianować go *historiae victor orbis*, tryumfatorem dziejów powszechnych [3]. Ciekawsza, że jeszcze po stu latach uczony Bartoszewicz daje reprymandę Balińskiemu, iż „nie wniknął w całą wartość Świata Łubieńskiego". Dobrze zrobił sumienny badacz Starożytnéj Polski, że nie wnikał, albowiem ta wartość równa się zeru. Foliant Łubieńskiego, późniejszy od krótkiego arcydzieła Monteskiusza o Rzymie, od gruntownéj książki Lengnicha, jest niestrawioną i niestrawną kompilacyą, bez porządku i składu, bez żadnéj erudycyi, nawet bez erudycyi teologicznéj. Podany na czele spis „autorów,

---

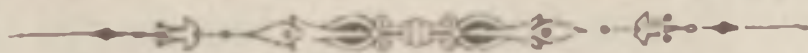
1) *Korrespondencya JWJMci Xiędza Jędrzeja Młodziejowskiego, podkanclerzego kor.* (ms., oryg.).

2) Wrocław, druk akademii societatis Jesu, 1740 r. Przeglądaliśmy pierwotny ms. tego dzieła, wielki foliant, cały pisany ręką Łubieńskiego: na karcie tytułowéj położony charakterystyczny napis: *Raptularz manuskryptow zebranych z wielu Polskich y Obcych Autorow własną pracą y ręką wypisany a dla oka ciekawego w introligaturę oddany. Z niego iednak series rzeczy pięknych zebrana y obcą ręką przepisana me dictante, y iak manuscript tey oprawny osobno, tak et in lucem wydrukowany publicae curiositati przezemnie x Władysława Łubieńskiego, Scholastyka Krakowskiego, Kan. Gniezn., Prob. Inf. Łaskiego a nominowanego pisarza w. koronnego. Żebym tedy konserwował etiam minima pracy moiey y zebym pokazał prawdziwą moią pracę y nie z cudzych manuskryptow, te wszystkie raptularze oprawić kazałem w iedną księgę w Krakowie Roku 1741.*—Z wspomnionym portretem młodego jeszcze kanonika na czele Świata, warto porównać wizerunek starego prymasa, pospolity i bez wyrazu, z galeryi łowickiéj, w Arcyb. gnieźn. Nr. 73.

3) Praxis episcopalis P. Piasecii, Lwów, 1758, dedykowane Łubieńskiemu.

z których ta książka jest zebrana", powołuje Pięcioksiąg obok Horacego, *Theatrum Europaeum* obok ś-go Augustyna; nowsze oczytanie autora nie wznosi się ponad Pistoryusza i Załaszowskiego. Rzecz otwiéra się na stworzeniu świata, historya Włoch rozpoczęta od Janusa, dzieje Polski od potopu i synów Jafetowych. Książka godną jest uwagi chyba tylko pod względem językowym, jako próba, nader zresztą nieudolna, uzupełnienia ubogiéj terminologii swojskiéj. Dział polski, zawierający elementarne wiadomości do geografii i ustawodawstwa krajowego, był następnie przedrukowywany i, zdaje się, pilnie czytywany [1].—Nie wiele więcéj umiemy donieść o wymowie Łubieńskiego, jako pasterza i statysty. Jego głosy na radach senatu, zachowane w drukach spółczesnych, piętrzące się od nienaturalnych peryodów i nieszczerych wykrzykników, spłodzone zostały na obraz i podobieństwo gorszych wzorów ze „Swady" Daneykowicza. W swoich kazaniach i listach pasterskich, jakie uwiecznił na własnych tłoczniach łowickich [2], nigdzie Łubieński nie przypomina Skargi i Birkowskiego, nie daje przeczuwać gorętszego tchnienia Woronicza, lecz, wykładając rzecz podług reguł, w dwóch częściach i trzeciéj konkluzyi, całkiem się zapatruje na drewnianą wymowę Balsama i Ubermanowicza, na niesmaczną sztukę Lachowskiego, którego słuchał najchętniéj.

Szymon Askenazy.



---

[1]) P. t. Domowe wiadomości o W. X. L., razem i Historya polska, na żądanie wielu przedrukowana w Wilnie, w drukarni societ. Jesu, 1763. W Bibliografii Finkla, I, 9300, 9313, mylnie podane raz jako książka Paprockiego, drugi raz z datą 1783.

[2]) List pasterski do owieczek archidyecezyi metropol. gnieźn., tak w duchownym jak i świeckim stanie będących, dany w Łowiczu r. 1761, 4⁰.—Mowy pasterskie JOX. Prymasa do druku podane r. 1761 dnia 25 listopada, 4⁰ (jest tu też jedna przemowa jeszcze na arcybiskupstwie lwowskiém, z lutego 1759 r., osobno wydana in folio przez ks. Grygołowicza).

*) Byłem na koronacyi króla i Pana teraźniejszego Augusta III. [1]) pierwszym prałatem, jako naówczas scholastyk krakowski, do assystowania koronie królewskiej, *sacra peragente episcopo cracoviensi Joanne Lipski, et ex post cardinali creato* [2]). Do assystowania zaś królowy koronie był Komoroski, na on czas kanclerz krakowski, a teraźniejszy *primas regni* [3]).

In anno [4]) 1740 byłem wokowany na kazanie sejmowe na wotywie sejmowej przez x. Czartoryjskiego, biskupa poznańskiego. *Eodem* [5]) *anno* byłem wokowany do Dworu i nominowany przez NN. Pana pisarzem w k *post ascensus subsecutos post fata* [6]) prymasa Potockiego, na prymasostwo Szembeka [7]), na kujawskie Grabowskiego; i po tym, *post fata* biskupa warmińskiego Szembeka [8]), na warmińskie kujawskiego, na kujawskie przemyskiego Czapskiego, na przemyskie kamienieckiego Sierakowskiego, a na kamienieckie Dembowskiego, pisarza w k.

Anno 1741 pojechałem *in IX-bri* [9]) do Drezna, *vocatus* [10]) do boku królewskiego i dedykowałem *primitias laboris*, *opus historico-geographicum* [11]) NN. królowi, polskim stylem wydrukowane w Wrocławiu *in duobus tomis* [12]) *in folio*. Po dedykacyi uczynionej miałem audyencyą u króla *in Dominica prima Adventus* [13]) i na tej audyencyi NN. król mi kazał zostać przy boku swoim, gdziem NN. Panu poprzysiągł *tacita mente et corde* [14]) wierność na prawach polskich ufundowaną. Pierwsze lata moje, konsekrowane w wierności i prawdzie, były zupełnie akkredytowane w sercu królewskim, bo żadnego papieru król nie podpisał, jeżeli przezemnie nie był weryfikowany. Ten kredyt mniej podobał się na ów czas kanclerzowi w k Załuskiemu, a teraźniejszemu biskupowi krakowskiemu, ale, że sam na ów czas nie

---

*) *Pro memoria.* [1]) 17 stycz. 1734. — [2]) „koronacyi zaś dopełnił biskup krakowski, mianowany późniéj (1738) kardynałem“. — [3]) „rzpltéj“. — [4]) „roku“; sejm otwarty w Warszawie 3 paźdz. — [5]) „tegoż.“ — [6]) „po awansach nastąpionych po śmierci“; prymas zmarł 12 listop. 1738. — [7]) Krzysztofa Antoniego. — [8]) Krzysztofa Jana. — [9]) „w listopadzie“. — [10]) „wezwany“. — [11]) „pierwszy płód, dzieło historyczno-geograficzne“: Świat i t. d. — [12]) „w dwóch tomach“. — [13]) „pierwszej niedzieli adwentowéj“, 3 grudnia. — [14]) „w milczeniu a sercem“.

miał serca królewskiego, znalazł przyjaciół swoich akkredytowanych u Dworu, przez których miny podemnie podsadzał... Poniatowski [1]) powrócił z Francyi 1742 po *senatus consilium* [2]) wschowskim, i na ów czas w Dreznie inspirowany przez Załuskiego, kanclerza w k, począł sekretnymi minami wysadzać mój kredyt i łatwo dokazał *me inscio* [3]), bo kto *praevidere* [4]) mógł w człowieku *mutum daemonium* [5]); ile, że nikt na ów czas nie potrafiłby mi zadać *in publico* [6]), żebym był miał *etiam mente peccare* [7]) przeciw NN. Panu *in fide, justitia et veritate* [8]). Świadkiem tej niemej negocyacyi niegodziwej list, pisany z Otwocka przez kanclerze Załuskiego do Poniatowskiego do Drezna, aby mnie ode Dworu *amoveret* [9]) którego kopia listu dostała się Bielińskiemu marszałkowi w k, którą autentyczną przepomniał Załuski na stoliku pod kobierczykiem w pokoju gdzie nocował, i ten znalazł kamerdyner, marszałkowi w k Bielińskiemu oddawszy go. I gdyby był marszałek w k posłał mi go do Drezna, pewnie na ów czas intryga podobna stwierdziłaby mnie była w sercu królewskim. Przestrzegał mnie prawda Bieliński listem, abym był ostrożny, ale tylko *anonyme* [10]), i trudno było domyśleć się *mutum daemonium* Poniatowskiego, który szeptaniem tylko szkodził mi u Bryla ministra i Gwaryniego, teologa jezuickiego. Od tąd i minister i jezuita cale mi nie byli *favorabiles* [11]) i nie zażywali mnie do papierów koronnych, tylko Ogrodzki, wychowaniec Poniatowskiego, z Saulem, subalternem ministra [12]), wszystko robili, i od tąd zaczęły się mocne *abusus* [13]) w kancellaryi królewskiej, *alias* [14]) kto więcej dał, ten otrzymywał *gratias regias* [15]); jakoż ci dwaj mocno spinieżyli się i inne *absurda* [16]) działy się. Ja z tym wszystkim, uwolniony *ab opere publico* [17]), zawsze byłem *ad latus regium* [18]) i zawsze dobrze położony w sercu Malachowskiego, na ów czas podkanclerzego koronnego i jemu we wszystkim dopomagałem, o co mnie obligował, w pracach kancellaryi koronnej.

In anno 1745 obligowanym był od ministra, abym do Drezna wokował Potockiego wojewodę bełzkiego; jakoż sprowadziłem go po zakończonej wojnie i pokoju, w Dreznie uczynionym, bo *immediate* [19]) przed tym pokojem król pruski ...Drezno odebrał... [20]). Jam był w Dreznie i widziałem wszystko co się działo, i u króla pruskiego by-

---

[1]) Stanisław, wojewoda mazowiecki. — [2]) „radzie senatu"; w maju. — [3]) „bez méj wiedzy". — [4]) „przewidziéć". — [5]) „niemego szatana". — [6]) „publicznie". — [7]) „choćby myślą zgrzészyć". — [8]) „w wierności, słuszności i prawdzie". — [9]) „usunął". — [10]) „bezimiennie". — [11]) „przychylni". — [12]) Brühla. — [13]) „nadużycia". — [14]) „inaczej". — [15]) „łaski królewskie". — [16]) „niedorzeczności". — [17]) „od spraw publicznych". — [18]) „u boku królewskiego". — [19]) „krótko". — [20]) Fryderyk zajął Drezno 18 grudnia, pokój podpisany 25.

łem na obiedzie, co mi wiele po tym pomogło. Potocki wojewoda przybywszy, układaliśmy wraz *ex mente* [1]) króla i ministra *sistema* sekretne *in ordine* [2]) do jedności w królestwie i do skutku sejmów dochodzenia. Sekret był między nami trzema. Z tym wszystkim Poniatowski go doszedł, prewencye poczynił, i na nic się wszystko zdało, i owszem Potocki wojewoda dysgracyowany i na mnie pomsta została *in subsequens* [3]).

Kardynał Lipski *fatis cessit* [4]) na ów czas; biskupstwo krakowskie po nim król dał Załuskiemu kanclerzowi, a za tym na sejm dyspozycya pieczęci mniejszej została zawieszona. Sejm był 1746 pod Lubomirskim marszałkiem [5]); cała izba poselska na fundamencie prawa mnie samego zaleciła do pieczęci królowi, bo we wszystkich instrukcyach koronnych i litewskich jam sam jeden był rekomendowany od województw, hetmani wszyscy, senat cały zalecili mnie. Ale król za instynktem ministra i familii Czartoryjskich mnie *exclusit* [6]), oddawszy pieczęć wielką Małachowskiemu a mniejszą x Wodzickiemu, dziekanowi krakowskiemu, bynajmniej nie rekomendowanemu *a statibus* [7]), jako prawo mieć chce, i owszem *obstabat* [8]) prawo przeciw niemu *de scartabellis* [9]). Ale na ów czas prawem nie rządzono się, tylko: *sic volo, sic jubeo* [10]).

...Jam we wszystkim z wolą Boską złączyłem się i lubo cała familia Czartoryjskich i minister Brühl chcieli, abym się był w Polszcze został, ten kredyt ich tak mocny cale mi nie zaszkodził, bo król sam z woli swojej kazał mi zostać *ad latus suum* [11]) i pojechałem do Drezna.

Anno 1748 król mi dał opactwo paradyskie, wakujące po Załuskim od dwóch lat, którego opactwa dobra znaczniejsze leżą na Śląsku, a za tym zażyłem trudności z królem pruskim, bo Załuski przy-

---

1) „podług myśli". — 2) „dążące". Już wcześniéj, 1743 r., był złożył Łubieński królowi swój projekt naprawy: *Les sentimens d'un zelé patriote polonois et fidel sujet de son Roy* i t. d. (ms., własnor.). Jestto jednak, zdaje się, dopiéro zarys, który miał być rozwinięty w szczegółach; zawiéra uwagi o potrzebie reform wychowawczych, zmian w rozdawnictwie wakansów i królewszczyzn, doradza królewiczów wprowadzić do służby Rzpltéj. — 3) „na potém". — 4) „zmarł"; 20 lut. 1746. — 5) starostą kaźmierskim; sejm w Warszawie otwarty 3 paźdz., zerwany 14 listop., jak wiadomo, dla świéc, wniesionych do senatu. — 6) „wyłączył". — 7) „od stanów". — 8) „sprzeciwiało się". — 9) „o szlachcie nowokreowanéj"; por. Vol. leg. V, f. 22: a tym którzy kreowani będą, officia et beneficia ad tertiam progeniem dawać, ani ich na żadne legacye posyłać będziemy. Jednakowoż przemilcza Łubieński, iż Wodziccy nobilitowani 1676 non obstante lege de novis nobilibus, ib. f. 400. — 10) „tak chcę, tak rozkazuję". — 11) „u boku swego".

siągł mu wierność na całe opactwo, alem ja wyrobił, żem tylko przysiągł *super bonis in Silesia jacentibus* [1]), i król pruski mi possessyą kazał dóbr oddać [2]). Była to roczna negocyacya i z kosztem moim, alem dokazał, że co Załuski, kanclerz w k zgrzeszył przeciw prawu, jam, pisarz koronny naprawił. I o to chciano czynić akklamacye przeciw Załuskiemu na sejmie *1748-vi*, ale przeciesz zabiegł temu Dwór i jam nie chciał wzruszać wrzawy. Tegoż dnia umarł prymas Szembek [3]) i król zaraz prymasostwo oddał Komorowskiemu, proboszczowi krakowskiemu, za rekomendacyą familii Czartoryjskich.

...Tą bytnością w Droznie [4]) przybył do nas marszałek n k Mniszek z żoną [5]) i, z dawna łaskawy, przyjacielem mnie sobie przybrał i od tąd nie odmienił mi serca i łaskawości; jakoż wiernie i nieustannie sentymenta moje lubił i najczęściej one naśladował. Przez co wkrótce profitował, bo przy flegmie i cierpliwości ministra sobie skaptował jako ojca żony swojej, królowi zupełnie podobał się i od tąd *palpitare* [6]) zaczął kredyt Poniatowskiego i familii. Roku 1751 umarł hetman w k Potocki [7]), buława oddana Branickiemu a polna Rzewuskiemu, przyjaciołom Mniszka, marszałka w k. Poniatowski wziął kasztelanią krakowską, ale wszystkie wakanse w Wschowie [8]) poszły za rekomendacyą Mniszka *anno* 1752, przed sejmem grodzieńskim. W Grodnie na sejmie *anni* 1752 nie byłem... Na tym sejmie jeszcze familia profitowała, kiedy pieczęć wielka litewska oddana Czartoryjskiemu a mniejsza jego zięciowi Sapiehowi, w czym nie dotrzymał Mniszek planty, ułożonej ze mną i potym tego żałował.

Dwór powrócił do Drezna po sejmie zerwanym w Grodnie... [9]). Tą bytnością marszałek Mniszek stwierdził sobie zupełny kredyt u króla i mnie zupełnie zaczął rekoncyliować u ministra... *Interim* [10]) Dwór przezemnie najwięcej w wielkopolskiej prowincyi pracował. Jam na reassumpcye trybunałów koronnych do Piotrkowa był posyła-

---

[1]) „na dobra, położone na Śląsku". — [2]) opactwo wakowało od lipca 1746 r., t. j. od przejścia Załuskiego na biskupstwo; znajdowało się przez ten czas pod niesumienną administracyą ks. Boniatowicza, skąd urosły dla Łubieńskiego długie kłopoty i proces. Szczegóły uciążliwych pertraktacyi z Berlinem — gdzie zresztą bynajmniéj Łubieński nie stawił się tak twardo, jak pisze w Pamiętniku. — zachowane w aktach *Negocyacyi z Dworem Berlińskim względem Opactwa Paradyskiego in anno 1748 et 1749* (ms., oryg.): Podewils do Łubieńskiego 13 sierp.; Fryderyk do Łubieńskiego, 16 sierp.; rekognicya dla Łubieńskiego z Tajnéj kancelaryi pruskiéj. 17 sierp.; Münchow do Łubieńskiego, 24 sierp. 1748, z zapowiedzią zdjęcia sekwestru z dóbr opactwa (tych dokumentów brak w zbiorze Lehmann'a). — [3]) 6 lipca. — [4]) 1750 r. — [5]) tegoż roku Jerzy Mniszech był poślubił Amelię Brühlownę. — [6]) „chwiać się". — [7]) 19 maja. — [8]) 4 czerwca. — [9]) sejm zerwany 26 paźdz.; król wrócił do Drezna 16 grud. — [10]) „tymczasem".

ny dla łatwego ich dojścia, ponieważ zerwał się był trybunał w jednym roku [1]; ja, mając ziemstwo siradzkie po sobie, bo rodzonego brata pisarzem a podsędka Walentego ciotecznym, mogłem wiele przez nich uspokoić trudności. Jam na sejmikach regulował posłów na sejm i deputatów na trybunał. Jam w Wielkopolszcze kredyt Dworowi przymnażał. Jam *ad intima consilia* [2] był przypuszczony u Dworu. Jam najwięcéj pisał różne sistemata, różne diplomata i inne trudne, ale i skuteczne negocyacye. Jam zacnych i godnych ludzi zalecał i skutecznie Dworowi rekoncyliował i zjednał... Jam podał sposób *in sistemate securo et secreto* [3], jakim Dwór doszedł, że ci, którzy najwięcej Dworowi byli niby przyjaznymi, ciż sami oczywiście w bref Dworowi machinowali [4]; i to pokazało się na sejmie *anni 1754-ti*. Na tym sejmie interes ordynacyi zamięszał stany Rzpltej; przeciw temu zamięszaniu wiele pracować musiałem, bo i posłów i sejmiki i familie musiałem regulować w prowincyi wielkopolskiej, instrukcye po sejmikach układać, aby ordynacya ostrogska na fundamentach praw dawnych utrzymać się mogła i hetmańska władza wzięła *vigorem* [5] w exekucyi prawa uczynionej, *et jus majestaticum robur* [6] przy niedochodzących sejmach. ...Prymas odstąpił Dworu *favore* Czartoryjskich, przez co i w trybunale dekretami notowany, i honor jego prymacyalny zdeptany, stracił kredyt u króla, stracił u Dworu, stracił *in omnibus subselys* [7] i stracił *in populo* [8].

*) 1754... *de 9. Marty...* [9]. Konferencye z kanclerzem w k [10] codziennie ugęszczają przeciw dysmembracyi nie godziwej [11]; jakoż co poczta odbieramy wielkie projekta pisane, drukowane scripta, broniące *indivisibilitatem* [12] ordynacyi; a do tego wypisał listy x Sanguszko [13] do wszystkich senatorów, ministrów i nas urzędników koronnych, justyfikując swoje prawa dziedziczne ordynacyi. Ale na te listy responsa odebrał, mocno zbijające tego *ausum* [14] przywłaszczenia sobie tych dóbr nierozdzielnych i cale dependujących od decyzyi rzpltej; najfundamentalniejszy nad wszystkie jest respons jeden od hetmana

---

[1] 1749 r. — [2] „do tajnych narad". — [3] „bezpieczny i potajemny". — [4] Czartoryscy. — [5] „przewagę". — [6] „i przywilej królewski moc". — [7] czyt. *subselliis* „we wszystkich instancyach"; w głośnym procesie Komorowskiego z Dąmbskim, wojewodą chełmińskim, trybunał piotrkowski wydał wyrok *in contumaciam*, skazujący prymasa, (1753) późniéj wszakże podniesiony. — [8] „u narodu". — *) *Dyaryusz.* — [9] „marca"; z Drezna. — [10] Janem Małachowskim. — [11] ordynacyi ostrogskiéj. — [12] „niepodzielności". — [13] Janusz. marszałek n l; ob. jego List do prymasa, 16 lut. 1754. — [14] „zuchwałość".

p k Rzewuskiego [1]), drugi od wojewody bełzkiego Potockiego, trzeci od wojewody inflandzkiego Szembeka, które są i wydrukowane. Z strony zaś xiążęcia Sanguszka do tąd żadnych skryptów nie masz, w których by ufundowana mogła bydź pretensya jego praw, prócz listu kanclerza w k do x-cia Sanguszka.

16. Przybył tu Mniszek, podkomorzy w l [2]), z pułkownikiem Zboinskim z reprezentacyami mocnymi od hetmana w k [3]); jakoż mocne skrypta po francusku dali królowi przeciw x-iu Sanguszkowi, kanclerzowi w k i przeciw xiążętom Czartoryjskim i Lubomirskim. Z Warszawy znowu przysłano tu z grodu intromissyą x-cia Sanguszka do ordynacyi, *in virtute* [4]) administracyi jemu danej od ś p króla Augusta II-go, co *evincere* [5]) powinno, że ordynacya *subest* [6]) decyzyi *reipublicae, et in scissa republica, iuri majestatico* [7]); jakoż za króla Jana i za króla Augusta II wyszły były komissye i administracye do tejże ordynacyi.

27. Marty. W interesie ordynacyi zakłócenia *pro et contra* [8]) mocne memoryały królowi podane dla gruntownej informacyi króla, *in ordine ad futuram decisionem ex parte regis* [9]), i z których fundować się mogą *praeliminaria ad paciscendas partes* [10]), ile że z nich król może poznać *palpabiliter* [11]), która familia tych intryg jest początkiem *in ordine ad piscandum in turbido...* [12]).

27. [13]). Tegoż samego dnia król mianował do projektu ułożone *in ordine* do zgody zakłóconej ordynacyi ostrogskiej, jako to: *ex parte sua regia* [14]) biskupa kujawskiego Dembowskiego, Mniszka marszałka n k, grafa Bryla ministra swego i generała artyleryi k; *ex parte* interessantów i x-cia Sanguszka—Wielopolskiego, wojewodę sandomirskiego, Massalskiego, kasztelana wileńskiego h p l, x-cia Czartoryjskiego kanclerza W X L. *Interim* król kazał pisać listy mocne do x-cia Sanguszka, aby sam *in persona* [15]) zjechał do Warszawy, *in ordine* do widzenia NN króla i do wzięcia środków na uspokojenie tej ordynacyi. Jakoż żeby był sam zjechał, zapewne wyperswadować by dał sobie, żeby był przez manifest grodowy skassował ten podział kolbuszow-

---

[1]) Respons wojewody podolskiego na list Sanguszka. — [2]) Jan, brat Jerzego marszałka. — [3]) Branickiego. — [4]) „na mocy". — [5]) „przekonać". — [6]) „podlega". — [7]) „rzpltéj, zaś w razie niezgody rzpltéj, decyzyi królewskiéj". — [8]) „za i przeciw". — [9]) „względem przyszłéj decyzyi królewskiéj". — [10]) „dla pogodzenia stron". — [11]) „namacalnie". — [12]) „aby w mętnéj wodzie łowić". — [13]) czerwca z Warszawy. Król przybył z Drezna 21 do Warszawy, dokąd niebawem pośpieszył Łubieński, krótko po drodze zabawiwszy w Paradyżu. — [14]) „z ramienia swego królewskiego". — [15]) „osobiście".

ski [1]); ale nie chciał przyjechać, udając się chorym; inni zaś *supponebant* [2]), że interessanci zatamowali jego przybycie, co im wiele szkodziło u króla.

28. Junij [3]). Deputowani *a majestate* zaczęli konferencye swoje w sali zimowej. Na najpierwszą kwestyą zgodzili się wszyscy, że ordynacya ostrogska jest prawdziwie ordynacyą, i że podpada dyspozycyi rzpltej; ale x Czartoryjski, kanclerz w l zupełnie *opposuit* [4]) się, że to są dobra dziedziczne ziemskie *et per consequens* [5]) podpadające *sub integrum jus* [6]) sukcessyi. Ta kontradykcya mocno zamięszała *bene sentientes* [7]) wszystkich zaraz na początkach, i lubo dłużej po tym konferencye trwały, ale zawsze bez żadnego skutku. A to przynajmniej król zmiarkował *palpabiliter*, kto był przeciwny uspokojeniu się w tych domowych kłótniach i kto był *origo mali* [8]). Kanclerze obydwa koronny i litewski *ex primis custodibus legum respondebunt* [9]) przed P. Bogiem...

1755. de 20 January... [10]). Dziś opera nowa Aetyusza reprezentowana była z dekoracyami arcywspaniałymi i ledwie gdzie w Europie praktykowanymi, dla których *theatrum* [11]) znacznie rozszerzone i zdłużone, bo około 104 koni jezdnych, 8 mułów i 8 wielbłądów wchodzą w kawalkadę na tryumf zwycięstwa Ecyusza przeciw hunnom. Zjazd tu liczny cudzoziemców.

25... Z Francyi wróżą wiele złego, bo król zaczął biskupów exulować a parlamenta *protegere* [12]), w których większa część jest opinii *du père* Queniel [13]). *Verendum* [14]), aby Francya *calvinismo non adhaereat* [15]), ile że tam jest *summa irreligio* [16]), której że biskupi zabiegają, parlamenta im są przez to przeciwne i koniecznie *praetendunt* [17]) jurysdykcyą *etiam* duchowną im odebrać.

de 9. Aprilis... [18]). Donoszą i o tym, że x wda ruski regimentowi swemu gwardyi k przykazał, aby szelągów saskich nie przyjmowali, przez co tu sobie wiele szkodzi i podobno mocny contraorder od-

---

[1]) akt podziałowy ordynacyi, sporządzony przez Sanguszkę 7 grudnia 1753. — [2]) „przypuszczali". — [3]) „czerwca". — [4]) „oparł". — [5]) „a zatem". — [6]) „pod pełne prawo". — [7]) „dobrze myślących". — [8]) „źródłem złego". — [9]) „jako stróże praw odpowiedzą". — [10]) „stycznia" z Drezna. Po zerwanym 31 paźdz. przez Strawińskiego sejmie, król 21 grud. stanął z powrotem w Dreznie, dokąd za nim przybył Łubieński 30 grudnia. — [11]) „teatr". — [12]) „popierać". Arcybiskup paryski Krzysztof de Beaumont zabronił administrować sakramenta umierającym, którzy wpierw nie uznają na piśmie bulli Unigenitus: skutkiem protestu parlamentu paryskiego, otrzymał od króla rozkaz opuszczenia stolicy. — [13]) jansenisty Quesnel'a. — [14]) „jest obawa". — [15]) „nie przystąpiła do kalwinizmu". — [16]) „największa bezbożność". — [17]) „domagają się". — [18]) „kwietnia".

bierze. *Notandum* [1]), że cała Polska teraz zatkana szelągami samymi saskimi, jako i tynfami i szóstakami, oraz groszami brandeburskimi, tak, że już wcale nie znajdzie ani talerów bitych ani szelągów starych, przez co zupełnie zubożony będzie kraj, jeżeli to potrwa. Jakoż *nulla spes ordinis* [2]), z racyi zakłóconych familij i tej fatalnej ordynacyi ostrogskiej. Tynfy te cudzoziemskie i szóstaki, jako i szelągi, zostaną *de necesse* [3]) w Polszcze; grosze zaś pruskie nieomylnie skassowane bedą swoim czasem w Berlinie, *et per consequens* moneta ta wszystka fałszywa u nas musi mieć *cursum* [4]). Donoszą tu, że Jabłonowski, stolnik l, bije *proprio ausu* [5]) szelągi, o co Dwór pisał mocny list do podskarbiego w k [6]), aby zabronił podług prawa. Pruskie tynfy fałszywe także po Polszcze latają. Podobnych fałszywych monet srebrnych jest wiele w Niemczech, jako i nowych luidorów czyli fryderykodorów berlińskich. U nas zaś w Polszcze, że sama była pruska moneta, król umyślnie kazał bić tynfy, szóstaki i szelągi, żeby kurs monety był swego króla a nie innych monarchów...

22 [7]). Audyencyą publiczną w senacie miał poseł turecki. Król był na tronie pod baldachimem siedzący, ministrowie także przeciw królowi byli w krzesłach. Poseł turecki przybył z znaczną kalwakadą na koniu, obok niego jachał pułkownik Miaskowski, chorąży kaliski, a z drugiej strony pułkownik Rydzyński; ciż posła zaprowadzili do senatu; poseł, wszedłszy do senatu, zaraz wziął w ręce *credentiales* [8]) i z nimi poszedł z trzema inklinacyami ku królowi, które NN Pan zaraz odebrał od niego i one oddał kanclerzowi w k. Poseł turecki po tym cofnął się i na wezgłowiu usiadł przeciw królowi tak dobrze, że i króla i senatorów widział przed sobą, po tym miał mowę krótką, z wyrażeniem komplimentu od nowego cesarza swego [9]) i z oświadczeniem królowi i rzpltej przyjaźni samsiedzkiej. Ten kompliment tłumacz turecki potwierdził po polsku, na który kanclerz w k od króla odpowiedział. Po tym kanclerz pytał się posła, czyli miał wszelkie wygody w drodze. Po komplimentach poseł rejterował się do pobocznego pokoiku przy senatorskiej izbie i tam kaffą i konfiturami był częstowany, a po tym obiad jadł publicznie z senatorami i ministrami w sali królewskiej; król zaś prywatnie jadł. Podczas obiadu, w kościele bito i trąbiono za zdrowie monarchów. Po trzeciej godzinie poseł turecki z tąż paradą i kawalkadą był odprowadzony do rezydencyi swojej w pobliskiej wsi.

---

[1]) „należy zaznaczyć“. — [2]) „żadna nadzieja porządku“. — [3]) „z konieczności“. — [4]) „obieg“. — [5]) „na własną rękę“. — [6]) Karola Odrowąż-Siedlnickiego. — [7]) maja; ze Wschowy. Król 20. udał się z Drezna do Wschowy na radę senatu. — [8]) „listy wierzytelne“. — [9]) Osmana III.

20... [1]). Obligowany jestem ode Dworu, abym jechał dla mienia oka na sejmiki deputackie w Wielkopolszcze, w siradzkim, w łęczyckim i wieluńskiej ziemi, a po tym żebym był w Piotrkowie na początek trybunału dla utrzymania marszałkiem *subiectum bene visum* [2]) Dworowi i interessom ordynackim. Przydany mi jest *ad hoc opus* [3]) wojewoda wołyński Potocki i ode Dworu pisano do niego, aby przybył do Piotrkowa...

de 25 Aug... [4]). *Eadem die* [5]) w nocy wyjechałem z Drezna *in commissis* [6]) ode Dworu do Poznania, po tym w siradzkie dla sejmików deputackich, po tym do Krotoszyna, z tamtąd do Piotrkowa, gdzie zakończywszy wszystko szczęśliwie *ad mentem* Dworu, spocząłem w opactwie moim paradyskim, a do Drezna przybyłem 25 *IX-bris*, dobrze przyjęty. Przez czas niebytności mojej u Dworu cokolwiek stało się, krótko namieniam.

30... [7]). W Rzymie papież [8]) zakazał, aby do Polski żadne od tąd retencye nie wychodziły na dwa *beneficia curata* [9]) i kiedy mnie radzono się *ex parte* kardynała protektora [10]) i pisano mi z Rzymu, czyli ten zakaz nie jest przeciwny potrzebom nacyi polskiej, *favore* [11]) duchowieństwa na funkcyach, jam prawdę napisał, że gdzie *canones, concilia et mores loquuntur* [12]), tam *justitia et veritas triumphat* [13]), a za tym *pluralitas* [14]) *beneficiorum curatorum* jest nie godziwa, są sposoby w rękach biskupów *ditare* [15]) tych, którzy są *in functionibus* [16]), są prelatury, kanonie w kollegiatach, są prebendy, etc.; byle biskupi ich nie dawali kreaturom swoim *plebeys* [17]), zapewne mogą nimi ukontentować tych, których na funkcye publiczne każą obierać. Za tym moim responsem zaraz publikowany zakaz papieski i lubo po tym prymas i biskupi zażyli o relaxacyą instancyi króla samego, z tym wszystkim papież nie da się *flectere* [18]) i zapewne nie odmieni.

1. VIII-bris [19]) wyjechaliśmy z bratem moim [20]) do dóbr pod Piotrków, z tamtąd w sam ś. Franciszek stanęliśmy w sobotę w Piotrkowie i zaraz do nas przyszli wojewoda wołyński Potocki i krajczy k Małachowski, którym oddawszy listy a wojewodzie instrukcyę ablegacyi naszej, umówiliśmy między sobą *praeludia* [21]) *in ordine* do ustanowienia trybunału. Wojewoda wołyński, *praeventus* [22]) od krajczego,

---

[1]) sierpnia; z Drezna. Łubieński wrócił tutaj 18 czerwca.—[2]) „osoby dogodnéj".—[3]) „do téj roboty".—[4]) „sierpnia".—[5]) „tegoż dnia". — [6]) „ze zleceniami".—[7]) „września".—[8]) Benedykt XIV.—[9]) „beneficya duszpasterskie"; por. pismo, w rzeczy samej odmowne, Benedykta XIV. do Augusta III., 13 marca 1756 r. u Theinera, IV (2) f. 144 sq.—[10]) Gianfrancesca Albani.—[11]) „na rzecz".—[12]) „przemawiają przepisy kanoniczne, koncylia i obyczaje".—[13]) „bierze górę". —[14]) „kumulacya". — [15]) „zbogacać".—[16]) „na urzędach".—[17]) „pospolitego stanu".—[18]) „wzruszyć".—[19]) „października."—[20]) Floryanem, pis. ziem. sieradz. —[21]) „przegrywkę".—[22]) „uprzedzony".

proponował nam, że Załuskowski, deputat siradzki, nie może się utrzymać. Ja z bratem, menażując krajczego, nie sprzeciwiliśmy się tym razem wojewodzie, lubośmy powiedzieli, że hetman w k jego zalecił mocno i że JW. marszałek [1]) jemu *favens* [2]) zupełnie. Nazajutrz w niedzielę z rana taż sama trudność uczyniona. *Interim* Załuskowski miał także manifestantów swoich przeciw Opalińskiemu [3]), kandydatowi do laski. Tegoż dnia przybyli wojewodowie mazowiecki [4]), rawski [5]), malborski [6]), i kasztelanowie poznański [7]), kaliski [8]), międzyżycki [9]), kruświcki [10]), i wszyscy duchowni i świeccy deputaci. Prezydent [11]) prywatnie przyjechał z assystencyą tylko wojewody wołyńskiego i Opalińskiego, nie od Wolborza. Opaliński częstował solennie. Gurowski, kasztelan poznański, z nową trudnością przybył, chcąc otrzymaną kondemnatą na kapitule gnieźnieńskiej zrucić prezydenta i viceprezydenta, od przysięgi onych *arcendo* [12]), o co przemówiłem się mocno z Gurowskim i przestrzegałem ich, aby dali sobie pokój; *interim* wojewoda wołyński, pogroziwszy, *benevole* [13]) po tym z nimi traktował. Wieczór wszyscy hurmem do mnie przyśli. My z wojewodą, krajczym i z bratem zamknęliśmy się, chcąc *primario* [14]) ułożyć trudność o Załuskowskiego, którego także wokowaliśmy do siebie; ale jak ci uparli się przeciw Załuskowskiemu, tak Załuskowski przeciw Opalińskiemu, i kiedy kwestya, kto będzie marszałkiem, wojewoda odpowiedział: niech kto chce będzie, byle poćciwy, choć nie Opaliński. Tę trudność jam cierpliwie zniósl, menażując krajczego, który *praevenit* wojewodę mocno, pod pretextem niby, że Załuskowski jest *totus* [15]) familii Czartoryjskich, a *mera ratio* [16]) była, że się go obawiał dla sprawy kanclerza w k z sukcessorami kardynała Lipskiego, z którymi Załuskowski skolligowany. Żebym tedy nie wydał się był, że jam go chciał utrzymać, musiałem polityką nadrobić i sam przeciw Załuskowskiemu deklarować się; bo kiedy wojewoda łatwość pokazał *favore* jego, że pozwoli na niego, byleśmy się z bratem ręczyli za niego, myśmy *denegavimus* [17]) i tak rozeszliśmy się. Załuskowski chciał w nocy odjachać i odstąpić od funkcyi; jam go zatrzymał.

6. VIII-bris. Nazajutrz rano przyszedł do mnie żegnając; jam i brat mój zatrzymaliśmy go, aby czekał u bernardynów. *Interim* sę-

---

[1]) n k, Mniszech. — [2]) „sprzyja“. — [3]) deputatowi piotrkowskiemu. — [4]) Michał Rudzieński. — [5]) Stanisław Świdziński. — [6]) Jakób Działyński. — [7]) Melchior Gurowski. — [8]) Mikołaj Chlebowski. — [9]) Ignacy Twardowski. — [10]) Józef Głębocki. — [11]) trybunalski, Dobiński, sufragan gnieźnieński. — [12]) „powstrzymując“. — [13]) „po przyjacielsku“. — [14]) „przedewszystkiem“. — [15]) „całkiem oddany“. — [16]) „istotny powód“. — [17]) „odmówili“.

dzia, podsędek ziemski przyszli do mnie z siradzanami, *petendo consilium* [1]) *favore* Załuskowskiego, jako deputata siradzkiego. Ja, wiedząc zawziętość wojewody, przez krajczego zdementowanego, powiedziałem im te formalia: weźcie z sobą pisarza ziemskiego, brata mego, idźcie całe ziemstwo hurmem z siradzanami do wojewody wołyńskiego, *1-mo* proszcie go, *2-do* ręczcie się za Załuskowskim, *3-tio* powiedzcie, że jest tu około 150 siradzanów, nie dadzą sobie krzywdy czynić — a *notandum*, że wojewoda z krajczym wymówili się, że na szablach każą rozn ieść *faventes* Załuskowskiemu i sprzeciwiających się Opalińskiemu, o czym mi powiedział wojewoda malborski, i z tej racyi tę siradzanów odwagę radziłem. Moja rada miała skutek zupełny; ziemstwo prosiło się i ręczyło wojewodzie, a siradzanie burczeć poczęli przeciw krajczemu. Wojewoda z krajczym i z nimi wszystkimi do mnie przyszli; Załuskowskiego zaprosiliśmy od bernardynów; manifestantów uspokoił i obydwie strony, *et sopita* zupełnie *difficultas* [2]). Inne manifesty przeciw deputatom pouspokajane, bo były niektóre. *Tandem* trudność jeszcze nam została ostatnia Gurowskiego uhamowanie od kondemnaty, której lubo w kościele nie byli byśmy słuchali z racyi wielu, osobliwie że i Gurowscy mieli na sobie kondemnaty, i że na puł tory niedziele dopiero ta kondemnata była otrzymana na kondescencyi przeciw kapitule: z tym wszystkim radziśmy byli z wojewodą tę dysputę uspokoić *propter observantiam* [3]) i kościoła i osoby starego senatora Gurowskiego. Poszliśmy wszyscy do refektarza jezuickiego i tam znaleźliśmy *media* [4]) ukontentowania Gurowskich. O jedynastej godzinie wotywa i kazanie było, a o pierwszej przysięga deputatów. Przed każdą przysięgą deputatów tak z kapituł, jako i z województw *diploma* elekcyi głośno czytane było przez komornika ziemskiego *ad mentem legis* [5]) *anni* 1726, czego dotąd żaden trybunał nie obserwował [6]). Prócz duchownych, 7 wielkopolskich deputatów, a 6 małopolskich przysięgło. O drugiej na ratusz trybunał poszedł i tam *unanimi suffragio* [7]) obrali Opalińskiego *ad mentem* Dworu intencyowanego. Traktował prezydent, jam się rejterował i cały dyaryusz po francusku opisałem tak grafowi Brylowi ministrowi, jako i JW. marszałkowi n k, i o 10 w nocy sztafetę wyprawiłem prosto do Lipska. Ta sztafeta przyszła *10. VIII-bris* do Lipska i wielkie ukontentowanie sprawiła królowi *et ministerio* [8]), jako mi o tym opisał JW. marszałek z Lip-

---

[1]) „dopraszając się rady".—[2]) „i usunięta trudność".—[3]) „dla uszanowania" — [4]) „sposoby". — [5]) „prawa". — [6]) oczywiście dlatego, że prawo, Vol. leg., VI, f. 418, przepisuje złożenie instrumentu elekcyjnego, lecz wcale nie wymaga odczytania. — [7]) „jednomyślnością głosów". — [8]) „ministeryum".

ska w liście swoim, osobliwie z racyi, że spokojnie trybunał według serca Dworu ustanowiony. Jakoż wojewodowie mazowiecki i malborski mojej polityce i cierpliwości przypisali ugodzenie tych trudności i wojewoda mazowiecki pisał o tym do hetmana.

1756. 12 Junij [1]. Poseł francuski [2] mocno sollicytuje ministra, aby król *accedat* [3] do alliancyi wideńskiej z Francyą [4], ale do tąd *nulla resolutio* [5] z wielu racyi, a najbardziej z przyczyny samsiada niebespiecznego [6]. Taż sama racya konwinkuje i posła cesarskiego [7], który o toż samo traktuje. Z Neapolim donoszą o śmierci znacznego śpiewaka kastrata, któremu na nagrobku napisano te dwa wiersze francuskie: *Poule ni coq, rebut du poulailler, J'ai sû manger et boire, et sept notes brailler.*

19. Junij. Z Peterburga donoszą, że tameczny Dwór nie kontent z Williamsa [8], zbytnie gorąco traktującego, i jedne *scienda* [9] są, że już wyjechał bez pożegnania Dworu. *Supponitur*, że Rossya jedno trzyma z Widniem i z Francyą; jakoż donoszą, że w Peterburgu jest graf Douglas, officyer wojska francuskiego, który negocyuje przyjaźń Moskwy z Francyą, i że tenże jest dobrze przyjęty od Carowy [10] i od ministrów. M. Gross, poseł moskiewski u Dworu naszego, jeszcze nie publikuje rezolucyi Dworu swego; z tym wszystkim sprzeciwia się przyjaźni Dworu naszego z pruskim i często po pośle pruskim [11] konferuje z ministrem. Nasz Dwór *in neutralitate* [12] zostanie i wcale nie odstąpi Widnia, Rossyi i Francyi.

de 23. Junij... Spargitur [13] tu z Śląska: *1-mo* że król pruski mocno armuje się, *2-do* kontrybucye ma sobie kazać prenumerować na 3 lata razem z Śląska, *3-tio* że z miast i wsiów wszystkę młódź zabrać chce do Brandenburgii z Śląska, *4-to* że cały Śląsk dysarmować zamyśla. Racyą dają, że obawia się, aby te traktaty przyjaźni dworów wideńskiego, wersalskiego i peterburskiego nie były *fine* [14] odebrania Śląska i poniżenia mocy jego.

30. Junij... W Gdańsku żyta łaszt skoczył na 220 zł. pruskich, a pszenica tylko na 160, z racyi, że wiele krajów żyta potrzebują, osobliwie na tę wojnę morską [15].

de 7. July [16]... Tu w Saxonii król ordynans podpisał, aby w 15

---

[1]) 8 maja Łubieński był wyjechał do Paradyża, skąd 4 czerwca wrócił do Drezna. — [2]) Broglie. — [3]) „przystąpił". — [4]) traktatu wersalskiego 1 maja 1756 roku. — [5]) „żadna decyzya". — [6]) Fryderyka II-go. — [7]) Sternberga. — [8]) poznał go osobiście Łubieński, kiedy od Anglii posłował w Dreznie, i nazywa *wielkim hypokondrykiem i szalonym.* — [9]) „wiadomości". — [10]) Elżbiety. — [11]) Maltzahn'ie. — [12]) „w neutralności". — [13]) „rozgłasza się". — [14]) „w celu". — [15]) między Francyą a Anglią. — [16]) „lipca".

dniach wojsko aukcyonowane było i kampowało pod Pirną *circa* 20 July.

8. July. W garderobie królewskiej JW. marszałek obligował mnie pod sekretem, abym wynalazł *exempla* dawniejsze, jakimby sposobem bytność królewską exkuzować przed sejmem, ile po wyszłych już uniwersałach [1]); a to *in casu* [2]), jeżeliby przejazd przez Śląsk był niebespieczny, nad czym *actu desudo* [3]).

de 10. July. Ustawiczne teraz szepty o wojnie bliskiej, ale i o tej konjuracyi szwedzkiej [4]). Ja aktualnie piszę projekt *in ordine* do listów cyrkularnych w exkuzowaniu króla od bytności swojej na sejm i w odłożeniu sejmu. *Interim* ostrożnie pisałem do kanclerza w k, aby, jeżeli może, przybył tu do króla pod pretextem na dzień orderowy.

de 15. July. Projekt oddałem. *Interim* odbieram intencye Dworu do wyjechania do Polski nietylko względem sejmików poselskich, ale najbardziej dla negocyowania summy wielkopolskiej dla grafa Bryla, ministra, na dobra sirakowskie. Na co odebrałem plenipotencyą specyalną na pułkownika Irowskiego, i różne listy do senatorów i innych.

30. Augusti [5]). Wyjechaliśmy z bratem do Złoczowa, spodziewając się zajechać drogę na poczcie JWP. marszałkowi n k w Wieleniu, ale z tej poczty niespodziewaną wiadomość odebraliśmy, że kuryer w nocy z Drezna przybiegł do Warszawy z contraorderem, aby poczty nie posyłały koni na trakt królewski, że król nie będzie w Warszawie, i że wojska pruskie nie godziwie weszły w Saxonią *hostiliter* [6]) i że król nasz ma się *1. VII-bris* [7]) retyrować z wojskiem saskim w okopy przy Kenigsteinie w górach i z nim JWP. marszałek.

22. VIII-bris [8]). Król sam przyjechał z królewiczami Xawerym i Karolem wieczorem i za nim w krótce przybył graff Bryl z grafową i z marszałkiem n k, któremu doniosłem, że w Poznaniu wszystko stało się szczęśliwie... [9])

---

[1]) jeszcze w czerwcu. — [2]) „na wypadek". — [3]) „obecnie się mozolę". — [4]) sprzysiężenie t. zw. czapek, zakończone ścięciem Horna. — [5]) z Poznania. W sprawie uzyskania pożyczki dla Brühla wyjechał Łubieński z Drezna w poznańskie 20 lipca. — [6]) „nieprzyjacielsko"; jak wiadomo, wojnę siedmioletnią zaczął Fryderyk, wkraczając do Saksonii bez wypowiedzenia wojny. — [7]) „września". — [8]) z Bukowca. — [9]) chodziło tu o ulokowanie sumy 800 tys. złp. w złocie, przypadającej województwu kaliskiemu do odebrania od OO. Jezuitów. Po długich pertraktacyach, naprzód na sejmikach, — w Szadku obrany marszałkiem brat Łubieńskiego, pisarz ziem. sier., — potém w Poznaniu u komisyi wojewódzkiéj, i mimo opór w-dy kaliskiego, udało się Łubieńskiemu zyskać uchwałę komisyi wojewódzkiéj, 2 paźdz., o lokacyi owéj sumy u Brühla, po $3\frac{1}{2}\%$ z za-

23. VIII-bris... Graf Bryl mi dziękował za negocyacyą skuteczną, od którego razem i deklaracyą orderu dla wojewody malborskiego odebrałem, dla siebie zaś wdzięczność *in omnibus desideriis* [1]). JWP. marszałek n k mi zaś powiedział, że już wiedzieli o wszystkim tym sposobem. Grafowa Brylowa wyszukać kazała babę czeską, której w kiju zaszpuntowany list mój oddała. Ta baba przeszła przez obóz pruski i saski [2]) z kijem i onego oddała samemu JP. marszałkowi n k w kwaterze królewskiej; z tego kija dobył listu mego, i przeczytawszy królowi i ministrowi, bo po francusku pisany, król zaraz powiedział z ukontentowaniem, że zupełnie ze mnie kontent. JW. marszałek n k powiedział mi *genuine* [3]) te słowa, że król i minister mają mnie teraz za najpierwszego do promocyi; jakoż sam minister mi te słowa powiedział po kilka razy, że mi król nic nie będzie denegował o co tylko prosić będę. Tenże JWP. marszałek obligował mnie, żebym do Poznania króla odprowadził.

1757. 10. January [4]). Poniatowski, stolnik l, stanął w Petersburgu [5]) i na audyencyi pierwszej miał mowę... przy tym króla pruskiego nazwał hydrą, którą, przydusiwszy, potrzeba zupełnie zagubić i zatracić, dlaczego upraszał imieniem króla naszego o mocny sukkurs i jaknajprędzej; na co odpowiedział minister [6]) carowy w krótkich słowach, że carowa przyjmuje wdzięcznie posła od króla i rzpltej polskiej i deklaruje wszelką pomoc, z tą rezerwą, że zarówno [7]) zawsze chce traktować głowy koronowane, bez ujmy onym powagi... Po odjeździe hetmanów k i l jeszcze *in X-bri*, do tąd żadnej rady publicznej nie było u Dworu w interessach rzpltej. Między familiami zda się bydź jedność i przyjaźń, bo i obiadują wraz, i assamble wieczorne odprawiając wraz, i całują i ściskają się; z tym wszystkim w rozdaniu wakansów zawsze strona każda swoje kreatury utrzymuje, nieukontentowanie do Dworu szerzy się, *odia* [8]) przeciw ministrom *excrescunt* [9]), zazdrość mnoży się przeciw wszystkim, którzy *officium suum* [10]) u Dwo-

---

bezpieczeniem na dobrach Brühla, Sierakowszczyznie; kontrakt pożyczki zawarty w grodzie z Irowskim, jako pełnomocnikiem ministra, i jemu zaraz pieniądze wydane. Wdzięczny Brühl posłał Łubieńskiemu piękny serwis stołowy na 24 osoby.

[1]) „jaką zażądam". -- [2]) August w obozie pod Pirną zamknięty był od Fryderyka —[3]) „otwarcie".—[4]) z Warszawy. Łubieński 24 paźdz. był stanął z królem w Poznaniu, skąd August nazajutrz udał się do Warszawy. Łubieński czekać musiał na rzeczy swoje, zatrzymane w Dreznie przez najście Prusaków, i przybył do Warszawy za królem dopiéro 23 listop. — [5]) za drugim zawrotem wyprawiony 13 grudnia 1756, już w charakterze urzędowym posła.—[6]) Bestużew. — [7]) t. j. na równi; chodziło o tytuł. — [8]) „nienawiść". — [9]) „rośnie". — [10]) „urząd swój".

ru *adimplent* [1]). Szepty mocne *et odia* przeciw tym, którzy *favent* ministrom akkredytowanym u króla. Sołtyka [2]) zaś przyjaźń z marszałkiem najwięcéj marszałkowi *odia parit* [3]) w całym królestwie. Z tąd *nulla spes unionis animorum et nec consiliorum* [4]) w rzpltej.

*) *Interim anno 1757 in Aprili* umarł arcybiskup lwowski Wyżycki. Jam pierwszy był *in mente* króla, ale familia Czartoryjskich, nie mogąc sami, nasadzili carową..., że ona sama pisała 3 listy do króla *favore* Szeptyckiego. Król, potrzebny w téj wojnie moskiewskiej potencyi, determinował arcybiskupstwo lwowskie Dembowskiemu, po nim kamienieckie Szeptyckiemu, suffraganowi łuckiemu... *27. IX-bris* tedy [5]) *anno* 1757 w niedzielę adwentową pierwszą, i w tę samą, w którą *anno* 1741 w Dreznie królowi poprzysięgłem wierność przy pisarstwie k, wokowany na audyencyą od NN. króla i Pana nominowany zostałem arcybiskupem lwowskim *cum plausu* [6]) generalnie wszystkich... Proces cały odebrałem i zaraz zapłaciłem nuncyuszowi [7]) 100 duk.; audytor nie wziął 30 duk.; pisarzowi nuncyaturskiemu 30 duk.; *pro familia* [8]) nuncyusza 15 duk.; spowiednikowi nuncyusza 10 duk.; *efficit* [9]) duk. 155. NB. Audytorowi muszę więcej dać. *14. X-bris* [10]) posłałem wexel do Rzymu na 300 duk.; *28. X-bris* na 200 duk.; *8 Febr.* [11]) na 125 duk.; *efficit* 625 duk. Ta summa zupełna bydź powinna na expedycyą całą, podług dyspozycyi taxy, wyrażonej mi z Rzymu od Rokataniego agenta. Posłałem także Rokataniemu plenipotencyą *ad petendum et ad recipiendum pallium a SS-mo* [12]).

(Dok. nast.)

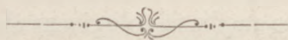


---

[1]) „pełnią". — [2]) Kajetana, późniejszego biskupa krak. — [3]) „rodzi". — [4]) „żadna nadzieja zgody umysłów i obrad." — *) *Pro memoria.* — [5]) Dembowski Mikołaj, nominat lwowski, tknięty paraliżem, 17 list. życie zakończył.— [6]) „z aprobatą". — [7]) mgr-i Serra. — [8]) „dla służby". — [9]) „czyni ogółem". — [10]) „grudnia".— [11]) „lutego"; 1758.— [12]) „dla wyproszenia i odebrania paliusza od Jego Świątobliwości". Prekonizowany Łubieński w Rzymie na arcybiskupstwo lwowskie na sesyi konsystorskiéj 9 kwiet.; wyświęcony w Warszawie 7 maja 1758 r.

PSYCHOLOGIA PIERWOTNIAKÓW

I ZADANIA PSYCHOLOGICZNE. *)



Poważną próbę w celu stworzenia ścisłéj metody dla badań w dziedzinie obiektywnéj psychologii zwierzęcéj, spotykamy u Romanes'a; lecz jego metoda oparta na wnioskowaniu z indywidualnego przystosowania się do nowych i niespodzianych warunków zewnętrznych, nie daje się stosować do psychologii pierwotniaków: 1) jest odpowiednią tylko do konstatowania władzy rozumowéj; 2) jest niepewną i daje rezultaty niepewne (Romanes zresztą sam się przyznaje wielokrotnie, że metodę swoją uważa za niedoskonałą, i używa jéj w braku lepszéj). Romanes, w kwestyi władz umysłowych pierwotniaków, dochodzi swoją metodą do wniosków, których ostatecznie w tablicy genealogicznéj umysłu nie uwzględnia, ze względu na ich niepewność: *Aetholium*, umieszczone w szkle zegarkowém napełnioném wodą, znosi widocznie tę zmianę swego zwykłego otoczenia; lecz gdy umieścić szkiełko w bliskości kory drzewnéj, natychmiast opuszcza szkiełko, by się usadowić w swoich zwykłych warunkach. *Aetinophrys* spostrzegłszy komórkę roślinną, z któréj wydobywały się ziarnka krochmalu przez uszkodzone błonki, zbliżyła się do otworu, zebrała wymykający się krochmal; a gdy ziarnka przestały się same wydzielać, łakomy osobnik sam je zaczął wydobywać z pod błonki. W in-

*) Dokończenie.—Patrz zeszyt lutowy, str. 1 .

nym wypadku, *Amoeba*, zwykle unikająca osobników z gatunku *Acineta mystacina*—wdrapała się po pniu ostatniéj i umieściła się w pewném oddaleniu, dokoła otworu, z którego miały się w bardzo krótkim czasie wydobywać na zewnątrz młode osobniki, zwykle bardzo ruchliwe; wyłowiwszy tym sposobem wszystkie młode acinety, oddaliła się. Powyższe przykłady powinnyby, podług metody Romanesa, świadczyć o giętkim umyśle pierwotniaków; lecz sam Romanes nie odważa się czegoś podobnego wywnioskować.

Z powyższego widzimy, że dane psychologii pierwotniaków, jakotéż metoda badania lub wnioskowania są mało pewne. Tymczasem poszukiwania biologów i fizyologów robią postępy, coraz bardziéj nam tłómaczą mechanizm ruchu protoplazmy wewnątrz komórki i całych organów, nibynóżek, migawek i t. d., uczestniczymy prawie przy procesie fizyko-chemicznym, wywołującym zmiany w kształcie organów i całego ciała, i w natężeniu ruchów. Wiele procesów, które u powyższych obserwatorów (Binet, Balbiani, po części Romanes i inni) uchodzą za duchowe, wskutek skrzętnych badań doświadczalnych wypada zaliczyć do rzędu fizyologicznych. Zrozumiemy przeto, wobec bliższego poznania duchowych i fizyologicznych własności pierwotniaków, niezbędność bardziéj skomplikowanéj metody badania — z jednéj strony, a z drugiéj — konieczność znacznych ograniczeń powyższych hazardownych wniosków.

Wundt, zastanawiając się nad początkami życia duchowego, przyszedł do wniosku, że ono jest nieodłącznym towarzyszem przejawów życia wogóle, objawów biologicznych choćby najpierwotniejszych, i że dusza pierwotniaka jest zarówno prostą, jak jego funkcye fizyologiczne, bo „istoty najpierwotniejsze, u których tylko wrażenia bezpośrednio poprzednie są zachowywane, dalsze zaś przetrwają o tyle, o ile są często powtarzane — posiadają świadomość niedoskonałą". Inni po Wundcie, szczególniéj botanicy z zawodu Strasburger, Pfeffer, Klebs i in. jeszcze daléj postąpili w reakcyi przeciw fantazyującym obserwatorom, bo zupełnie prawie zwątpili o istnieniu jakichkolwiek pierwiastków psychicznych, prócz znanéj w fizyologii własności materyi organicznéj — drażliwości: przy wnioskowaniu opiérali się na ścisłych doświadczeniach, które wykazywały niewolnicze, mechaniczne posłuszeństwo pierwotniaków dla wielu bodźców fizycznych, jak ciepło, światło i t. p. Ich obserwacye, w warunkach doświadczalnych zbiérane, są tak ścisłe, że z trudnością tylko można absolutnemu negowaniu pierwiastków woli i uczucia zaprzeczyć na zasadzie bardzo skrupulatnych obserwacyi i doświadczeń — z jednéj strony, z drugiéj—dla pewnych względów logicznych.

Te ostatnie może najlepiéj uzasadnił Wundt: ruch organizmu, będący w ścisłéj harmonii z bodźcem, nie wyklucza jeszcze absolutnie pierwiastka duchowego, bo objaw fizyologiczny, zarówno jak psychologiczny, są tylko dwiema stronami, zewnętrzną i wewnętrzną, tego samego zjawiska materyalnego, i oprócz skutku ruchowego, trzeba w każdém doświadczeniu brać pod uwagę czynniki wewnętrzne, które mu towarzyszą i które wskazują psychiczne zużytkowanie wrażeń zmysłowych. Szczególniéj pamiętać trzeba o „psychicznėm zużytkowaniu wrażeń" przy ruchach wywołanych instynktem odżywczym i rozrodczym: tu każdy ruch jest skutkiem instynktownego bodźca woli, poprzedzonego wrażeniem odczutém. Badania zaś doświadczalne w tym przedmiocie doprowadziły Verworna do rezultatów zbliżonych do powyższych. Praca tego autora jest najlepszym traktatem o psychologii pierwotniaków, jaki literatura odnośna dotychczas wydała; ona nam najlepiéj posłuży do scharakteryzowania metody i obszaru kwestyi psychologicznych w obrębie drobnoustrojów: dlatego postaramy się ją w niewielu słowach streścić (żałujemy jednak, że brak miejsca nie pozwala nam uwzględnić wszystkich faktów ciekawych, jakie Verworn nagromadził, w takim stopniu, na jaki zasługują).

Przedewszystkiém musimy zwrócić uwagę na naukowe tendencye Verworna, które się wyrażają w tém, że każde uogólnienie zostaje wyprowadzoném z faktów badanych doświadczalnie; przytém wnioski są tylko logiczną konsekwencyą faktów i nigdy naprzód nie wybiegają: jestto ważny krok w kierunku przekształcenia psychologii pierwotniaków (i wogóle — zwierzęcéj) w naukę doświadczalną. Widzimy u niego postęp nietylko pod względem metody, lecz i zakresu zagadnień. Podobnie jak wyżéj, w dziedzinie psychologii ogólnéj, stwierdziliśmy równoległy zwrot ku metodzie doświadczalnéj pod wpływem nowych kwestyi, głębiéj sięgających do dna zjawisk psychicznych, tu, w psychologii pierwotniaków, widzimy coś podobnego. Heckel, Romanes i inni po części tylko, a głównie Binet, badając psychologię pierwotniaków, traktowali je przedewszystkiém jako i n d y w i d u a, podejmując się głównie odnaleść w nich ślady tego lub owego pierwiastka duchowego, uczucia, woli, rozumu. Lecz w miarę postępu w poszukiwaniach fizyologicznych nad drobnoustrojami, psychologia pierwotniaków mogła bliżéj swemu przedmiotowi się przyjrzéć, wchodząc w szczegóły niedostępne dla pierwszych badaczy, mogła sobie postawić do rozstrzygnięcia kwestyę związku procesu fizyologicznego z psychicznym: słowem, mogła się stać psychologią fizyologiczną pierwotniaków. Stała się téż psycho-fizyologią pierwotniaków w całém

znaczeniu tego słowa, porzucając stanowisko antropomorficzne: zamiast odnajdywać pierwiastki psychiczne u jednokomórkowych indywiduów, szukać zaczęła własności psychicznych protoplazmy u różnych gatunków jednokomórkowych organizmów. Jaśniéj się nam przedstawi dokonana zmiana przy bliższém poznaniu badań psycho-fizyologicznych. Rozumie się, że wobec takiego stanu zagadnień psychofizyologicznych metoda doświadczalna okazała się niezbędną.

Verworn stawia sobie dwa zagadnienia do zbadania: 1) stopień organizacyi duchowéj u pierwotniaków, 2) naturę procesu fizyologicznego, będącego fizycznym substratem procesu duchowego. Każdą z tych kwestyi wyświetla z początku całym szeregiem doświadczeń, dokonanych przez siebie i przez innych.

Dla zbadania stopnia rozwoju psychicznego u drobnoustrojów, rozpatruje wszelkie możliwe podniety zewnętrzne, określając w ten sposób: *a*) dziedzinę wrażliwości zmysłowych, *b*) różne stopnie wrażliwości, *c*) stopień odporności duchowéj na bodźce (skala otamowania), *d*) jako wniosek—stopień rozwoju duchowego.

Najsamprzód rozpatruje wpływ podniet świetlnych na pierwotniaki; pierwsze badania w tym kierunku rozpoczął Strasburger, inni tylko wypełnili szczegóły podług jego planu. Najprostsze organizmy, bakterye, okazują się bardzo wrażliwe na światło: *Bacterium chlorinum* skupia się na szkiełku mikroskopowém w miejscach oświetlonych; *B. photometricum* nawet tylko pod wpływem światła się porusza, a w ciemności traci wszelką zdolność do ruchu; nagłe usunięcie światła sprawia u nich t. zw. przez Engelmanna *Schreckbewegung*—błyskawiczne odrzucenie się w tył. Ze wszystkich promieni świetlnych okazują najwięcéj działania krótkofaliste, a szczególniéj ultrafioletowe. Bardzo ważném jest spostrzeżenie Winogradzky'ego, że światło nie wszystkie osobniki z gatunku *Beggiatoa* jednakowo uderza; skąd prosty wniosek, że już u tych najprostszych ustrojów istnieją indywidualne różnice we wrażliwości. Korzenionóżki również niejednakową wrażliwość okazują: jedne, jak *Aethalium septicum*, usuwają się od światła; *Pelomyxa palustris*, od silnego wrażenia świetlnego ściąga szeroko rozpostarte (w słabém oświetleniu) nibynóżki, i kurczy się, przybierając kształt kulisty, przytém prąd ziarnek protoplazmy ustaje. *Amoeba limax* wcale wrażliwą się nie okazuje, co dowodzi, że wrażliwość świetlna nie jest przyrodzoną własnością protoplazmy, lecz nabytą w ciągu rozwoju biologicznego. Pomiędzy wiciowcami jedne więcéj szukają światła, inne—mniéj, co powoduje u nich ruchy odświetlne i doświetlne; fotofobia i fotofilia charaktery-

zuje nietylko różne gatunki, ale spostrzega się także jednocześnie u różnych osobników tego samego gatunku. Strasburger zauważył, że wśród zoosporów *Ulothrix* jedne zbierają się około miejsca najbardziéj oświetlonego, inne zaś — z przeciwnéj strony, a nieliczne tylko jednostki pływają bez różnicy między jedną grupą a drugą: przytém odpowiedź na podnietę następowała po pewnym przeciągu działania jéj. *Vocheria* i inne (zoospory wodorośli, grzybów) wcale wrażliwości nie okazywały). Wrażliwość świetlna dodatnia, fotofilia, przy słabém oświetleniu, zamieniała się w fotofobię—przy silném; takaż zmiana następuje u *Volox globator*, podług Cienkowskiego w ciągu życia téj kolonii wymoczków. Ważném jest spostrzeżenie Stahla, podług którego *Euglena viridis* zwraca się ku źródłu światła słabego, a odwraca się od silnego przednim końcem: co jest oznaką kierowania swoim ruchem miejscozmiennym. Dwuatomowe *(diatomeen)* skierowują się do źródła krótkofalistego światła (fioletowego), zaś długofaliste, czerwone, wywołuje w nich tylko większą ruchliwość (obok zwiększenia wydzielenia tlenu); co jest dowodem, że ruchliwość a kierunek poruszeń są to dwa skutki podniet świetlnych zgoła różne. Oscylarye są bardzo fototaktyczne (kierunek światła wywołuje u nich pewną stałą pozycyę osi organizmu). Wymoczki okazują bardzo słabą wrażliwość, albo téż żadnéj. W bardzo wielu wypadkach zauważono u powyższych drobnoustrojów przetrwanie stanu podniecenia przez pewien czas po ustaniu podniety — *Nachwirkung*. Na zasadzie tych danych, które dowodzą, że wrażliwość świetlna nie jest pierwotną własności protoplazmy wogóle, Verworn robi najbliższe uogólnienie dosyć ważne, które go zniewala zaliczyć reakcye ruchowe pierwotniaków na podniety świetlne do rzędu psychicznych: „zdolność protoorganizmów do reagowania na światło uważać trzeba za skutek przystosowania się do warunków życiowych. Skoro bowiem raz światło wywołało zmianę chemiczną, to naturalnie, dążenie doboru naturalnego do tego będzie skierowane, by w razie dodatniego działania światła na proces życiowy — organizm postawić w warunkach przyjaznych dla pochłaniania światła, i odwrotnie". Ruch odświetlny i doświetlny nazywa Verworn heliotropizmem, który uważa za sprawę czysto organiczną, ze względu na mechaniczny przebieg całego procesu (zmiana chemiczna i mechaniczna protoplazmy i jéj myoid (pasemka utożsamione z mięśniami), ustawienie osi w kierunku wpadających promieni świetlnych i t. d.).

Z kolei rozpatruje działanie ciepła, które wywołuje dzięki doborowi naturalnemu — termotropizm, podobny swą naturą fizyczną do heliotropizmu. *Aethalium septicum* jeszcze w stanie *plasmodium*,

położone na skrawku papiéru, którego oba końce są zwieszone w dwóch szklankach, zawierających jedna wodę o 7-stopniowéj temperaturze, druga o 30-stopniowéj, zmieniło kierunek swego ruchu miejscozmiennego, gdy się zbliżyło do zimnéj wody i skierowało się do ciepłéj. Inne korzenionóżki, *Amaeba*, wykazały termotropizm ujemny, oddalając się od źródła ciepła. Na wiciowców ciepło nie wywiera termotropicznego wpływu, działając tylko na ruchliwość wicia: *Bodo potrydium* przy minimalnéj temperaturze 6°, a maksymalnéj 44°—45°; traci ruchliwość. Wymoczki w ogólności również termotropizmu nie wykazują; ich ostateczna granica ciepła, przy którém nie tracą jeszcze życia, rozciąga się od 6° do 37°—42°. Tylko jeden *Stentor* posiada zdolność tropiczną wobec ciepła, tak samo jak wszystkie wymoczki z rzęsami skokowemi (grube i zwykle sztywne, które nagłym skurczem sprawiają „skoki" osobnika): gdy na nie rzucić maksymalne oświetlenie, błyskawicznie odskakują. Na stentorze obserwować można przedłużone oddziaływanie *(Nachwirkung)*, gdy wprowadzony do kropli wody, mającéj 37°, nagle się ściąga cały i następnie stara się uzyskać dawny swój kształt, co mu się udaje dopiéro po wielu próbach rozciągnięcia się, po których następowały za każdym razem nowe skurcze. Stentor przystosowuje się do coraz wyższéj temperatury. Ostatecznie wrażliwość na ciepło jest bardzo różną u drobnoustrojów; wrażliwość dana jest zdolną uledz zmianom; u niewielu pozostawia skutek głębszy (Stentor), niektóre tylko mogą się przystosowywać do różnych temperatur. Termotropizm—zdolność skierowania się ku źródłu ciepła lub odwrotnie — posiadają tylko niektóre korzenionóżki i stentor; wiciowce i większość wymoczków są w tym względzie obojętne. U tych zaś organizmów, które są wrażliwe na światło, wzrost lub obniżenie temperatury wywołują odnośne zmiany w natężeniu wrażliwości świetlnéj.

Ważną rolę w poruszeniach pierwotniaków odgrywają podrażnienia mechaniczne. Korzenionóżki, pod wpływem wstrząśnienia szkiełka preparatowego (*obiektivträger* — przy manipulacyach mikroskopowych), zwykle się ściąga z różną szybkością; *Actinospherium Eichhorni* nie zawsze odpowiadają na słabe wstrząśnienia, silne zaś — wywołuje prędką odpowiedź. U ameby jedno wstrząśnienie, nawet silnie, nie wywołuje skurczenia, dopiéro przy 15 — 20 na sekundę po 1—2 minutach następuje całkowite ściągnięcie się w kulkę. Podrażnienie lokalne za pomocą igły daje te same rezultaty, z tą różnicą, że odpowiedź ruchowa zawsze następuje lokalna. Wiciowce rzucają się w bok, dzięki szybkiéj zmianie w kierunku ruchliwego wicia; *Anisonoma* odskakuje, a raczéj bywa odrzucaną dzięki nagłemu skurczowi

dolnego wicia. U wymoczków, wobec przeszkody mechanicznéj, następuje zmiana kierunku ruchliwych migawek, co sprzyja oddaleniu się podrażnionego osobnika; inne, jak *Stylonychia*, posiadające rzęsy skokowe, odskakują. Wymoczki kolonialne, np. Vorticelle, wymykają się podrażnieniu mechanicznemu dzięki skurczeniu się pni, do których są przyczepione: przytém szybkość rozpowszechnienia się skurczu zależy od natężenia podrażnienia. Pfeffer przytacza kilka doświadczeń wyświetlających pewien rodzaj ruchu, częsty bardzo u wymoczków: *Paramaecium aurelia*, *Stylonychia mytilus*, *Ulothrix Weissii*, zetknąwszy się z włosem szklanym, doznają skurczu ze strony dotkniętéj, wskutek czego okręcają się wokoło włosa; po pewnym czasie wyprostowują się i pędzą daléj. Słowem, drażliwość mechaniczna u wiciowców i wymoczków jest bardzo delikatna, szybkość reakcyi ruchowéj i rozszerzenia się bodźca wyższa, niż u korzenionóżek. Reakcya ruchowa na mechaniczne podrażnienia, których źródłem jest zetknięcie się z ciałem spożywczém i które zniewalają dotkniętego pierwotniaka do krążenia koło niego (wiciowce, wymoczki), lub otaczania ich siecią protoplazmiczną (korzenionóżki), zarówno jak ruchy podobne do pełzania po ścianach naczynia, w którém się znajdują, — mają swoje źródło we własności specyalnéj protoplazmy pierwotniaków, nazwanéj tigmotropizmem. Inny zaś rodzaj ruchów, które polegają na stałém przybieraniu kierunku przeciwnego napływającéj wodzie, u Myxomycetów (*Aethalium septicum* umieszczone na bibule naciągającéj wodę pełzało przeciw prądowi wody), Stahl przypisuje innéj własności specyalnéj—rheotropizmowi. Doświadczenia w tym zakresie dają rezultaty podobne do powyższych: drażliwość mechaniczna i szybkość rozszerzania się bodźca jest różną gatunkowo i indywidualnie. Tigmotropizm, jak heliotropizm i termopizm, bywa dodatni i ujemny; każdy osobnik przy tigmotropizmie dodatnim lub ujemnym wykonywa ruchy stosowne do swojéj organizacyi ruchowéj, którą Verworn nazywa „urządzeniem celowém i korzystném, które się w różnych odmianach rozwinęło drogą doboru naturalnego na gruncie kurczliwości protoplazmy.”

Podrażnienia akustyczne nie dawały żadnego rezulatu.

Podrażnienia chemiczne są w życiu pierwotniaka bardzo ważnym czynnikiem ruchowym: doświadczenia z kwasami, alkaliami i solami wykazały, że wszystkie pierwotniaki mogą być dotknięte tym bodźcem. Silne podrażnienia chemiczne ogólnie wywołują następujące fazy: 1) przyśpieszenie ruchu; 2) *a*) zmniejszenie ruchliwości bądź organoidów, bądź prądu ziarnek protoplazmicznych wewnątrz organizmu, *b*) u korzenionóżek, pozbawionych zewnętrznéj błonki (*ectosarc*),

oraz organoidów, skurczenie całego ciała, czasowe lub trwałe. Korzenionóżki morskie przystosowują się aż do 10%-go rostworu solnego, ameby wód słodkich do 2,5% i do 3%. Prócz reakcyi ruchowéj, podrażnienia chemiczne zdolne są wywoływać reakcye tropiczne — chemotropizmem zwane. Bakterye zbierają się naokoło źródła tlenu; *Diatomea* (*Pinnularia* np. wydzielająca tlen) wyrywa się z koła otaczających ją bakteryi, te ostatnie zaczynają jéj szukać, podążają w jéj kierunku i po chwili znów się znajdują dokoła niéj. Pfeffer w wielu pracach wykazał, że chemotropizm nie zależy bynajmniéj od wartości biologicznéj odczynnika; np. wywabiał bakterye z ekstraktu mięsnego do rurek włoskowatych, zawierających substancye zabójcze, jak: natron, morphium, Clk. i t. p. Korzenionóżki wykazują chemotropizm dodatni dla $CO_3 K_2$, otaczając kryształki soli téj swojemi wypustkami, pomimo jéj szkodliwości dla organizmu pierwotniaka; natomiast kryształy soli kuchennéj, saletry, gliceryny i t. p. wywołują cofanie wypustek, co jest wyrazem chemotropizmu ujemnego. Wiciowce i wymoczki posiadają względem O chemotropizm dodatni, a względem substancyi szkodliwych: soli kuchennnéj, chloroformu, eteru i t. p. chemotropizm ujemny. W szczególnym wypadku, chemotropizm względem rzeczy spożywczych nazwany został przez Stahla — trophotropizmem. Jedną z odmian chemotropizmu jest hydrotropizm, jaki wykazują korzenionóżki względem wody: *Aethalium septicum* odznaczająca się hydropizmem dodatnim, umieszczona na suchém miejscu bibuły gdzieniegdzie zmoczonéj, przybliżyła się do punktu wilgotnego: inne — unikają wody. W sumie, doświadczenia z bodźcami chemicznemi dały ważne rezultaty: wykazały u wielu organizmów, np. u bakteryi, nadzwyczajną niedoskonałość odporności życiowéj, prawie bezwładne poddanie się czynnikom zewnętrznym-dały dowód słabego zróżniczkowania smaku czyli zdolności rozpoznawania rzeczy szkodliwych a pożywnych — u korzenionóżek, doskonalsze zaś—u wiciowców i wymoczków. Te dane wyświetlają historyę powstania zdolności wyboru, która się zjawiła dopiéro na pewnym szczeblu rozwoju organicznego.

Podrażnienia elektryczne wywołują u korzenionóżek ściąganie wypustek i skurczenie się słabe lub silne; u wymoczków — prąd słaby przyśpiesza ruch migawek, silny — powoduje śmierć. Galwanotropizm ujawnia się w stałém emigrowaniu pierwotniaków od anodu (+) do katodu (—); że ten ruch nie jest zjawiskiem kataforycznėm, t. j. że pierwotniak pod wpływem prądu elektrycznego nie jest unoszony we wskazanym kierunku, mechanicznie wykazało doświadczenie Verworna, gdzie osobniki narkotyzowane pozostawały na miej-

sku pomimo przebiegającego prądu: jest to więc zjawisko życiowe. Z doświadczeń Verworna przytoczymy najważniejsze: W rurce, napełnionéj wodą, zawiérającą wymoczki z gatunku *Paramaecium aurelia*, przebiega prąd elektryczny od jednego końca do drugiego; oba elektrody są polaryzowane: w takich warunkach wszystkie wymoczki pędzą do katodu. Lecz gdy elektrody polaryzowane zastąpić miedzianemi, które wytwarzają przy katodzie sferę zatrutą, wtedy *Paramaecia*, przybliżając się, jak zwykle, z prądem galwanicznym do katodu, w bliskości sfery zatrutéj natychmiast się zwracają przednim końcem w tył i umykają, z wyjątkiem chyba tych osobników, które własnym impetem dostają się do miejsca zakażonego i giną... Gdy zaś takie doświadczenie odbywa się w kropli wody, wszystkie osobniki zostają uniesione ku sferze zatrutéj, jednak na granicy niebezpiecznego miejsca zagrożony osobnik żywo zawraca przednim biegunem w tył, migawkowe ruchy jego stają się żywsze, lecz nie jest w stanie uniknąć groźnego zetknięcia. Fakty te są ważne, bo świadczą, że pewne organizmy, wymoczki, pomimo nabytego rozpędu wobec niebezpieczeństwa zawracają i umykają, gdzie to możebne, tam zaś, gdzie warunki na to nie pozwalają, robią przynajmniéj wyraźne usiłowania w celu ocalenia się, a to jest dowodem co najmniéj — odczuwania groźnego położenia.

Na zasadzie powyższych studyów systematycznych Verworn otrzymuje uogólnienia, podawane już wyżéj, które jednak w krótkości powtórzymy dla łatwiejszego uszematyzowania biegu jego myśli: 1) Podniety dla niższych ustrojów są te same, co i dla wyższych. 2) Skala drażliwości *(Reizschwelle)* nie dla wszystkich typów jest jednakowa i nie wszystkie podniety działają: jak akustyczna, *curare*. 3) Podniety wywołują reakcye ruchowe i skurczowe, dla każdego typu specyalne. 4) W wielu razach natężenie podniety ma znaczenie decydujące w zjawiskach tropicznych: pewna podnieta może wywołać przy słabém natężeniu — tropizm dodatni, przy silném zaś — ujemny. 5) Wiele gatunków posiada zdolność przystosowywania się do różnych warunków. 6) Celowość ruchów i poruszeń jest wynikiem biologicznego rozwoju (doboru) i wskazuje pewien podkład psychiczny. 7) Unikanie lub szukanie źródła podniet w celu biologicznym, mogłoby być dowodem wrażeń przyjemnych i nieprzyjemnych. W tych warunkach fizyologiczno-psychicznych realizują się następujące wrażenia: 1) Świetlne, t. j. wrażenia, pochodzące od światła, które mają siedlisko w całéj protoplazmie, nie zaś w specyalnych organach; 2) cieplne, dla których specyalne organy nie istnieją; 3) mechaniczne: *a)* u korzenionóżek —wydelikacenie téj wrażliwości nastąpiło na powierzchni ciała; *b)* wy-

moczki i wiciowce posiadają zróżniczkowane organoidy (migawki, rzęsy, pręciki), w których prawdopodobnie mieści się specyalna wrażliwość: wielu przypuszcza, że u wymoczków (a może i wiciowców) wrażliwość pewnych organów (pręcików) jest źródłem wrażeń dotykowych, lecz Verworn o tém wątpi; 4) akustycznych brak; 5) chemiczne i galwaniczne mają również siedlisko w całéj protoplazmie. Oto prawie całkowity zasób balastu psychicznego pierwotniaków. Lecz o stopniu i naturze ich organizacyi duchowéj bynajmniéj wyrokować nie można: bo dla pierwszego zadania — trzeba określić charakter ruchów, świadomy czy nieświadomy, co pozwoli zrozumiéć proces psychiczny, po za ruchem się ukrywający; dla drugiego zaś zadania — trzeba znaléść siedlisko ruchów tak urozmaiconych: bo jeżeli się okaże jakikolwiek ośrodek procesów psychicznych, inicyujących ruchy, trzebaby było w takim razie zbadać owe s p e c y a l n e procesy fizyologiczne, jako podkład objawów psychicznych; w przeciwnym razie, możnaby się było zadowolnić ogólnemi procesami molekularnemi protoplazmy komórkowéj.

Do pierwszego zadania Verworn przystępuje z całą systematycznością. Skonstatowawszy możliwe pierwiastki czuciowe (wrażenia), zastanawia się, czy pierwiastki poznania i woli dadzą się znaléść i jakiego rodzaju są te pierwiastki. Całkowity proces poznania (u człowieka) przechodzi etapy takie: *a)* elementy poznania (wrażenie), *b)* odtworzenie wrażeń (wyobrażenie), *c)* powiązanie wyobrażeń — myśl, *d)* porównywanie myśli — sąd (*Ueberlegung*). Wszystkie te pierwiastki stanowią świadomość wtedy tylko, gdy są powiązane z centralistycznem wyobrażeniem siebie samego, z jaźnią; w przeciwnym razie są nieświadome. Zaś jaźń jest genetycznie wytworem subordynacyi wszystkich w danym momencie współcześnie czynnych wyobrażeń jednemu głównemu, co możliwe jest, gdy wszystkie wrażenia są podporządkowane jednemu, jako miarodajnemu. Podporządkowanie to ma miejsce w takich warunkach organicznych, gdzie jeden organ zmysłowy ma fizyologiczną przewagę nad drugimi; taki proces integracyi może się tylko odbyć wewnątrz jednego organu, w którym wszystkie wrażenia zmysłowe mogłyby się skomunikować. To mając na względzie, Verworn wyprowadza wniosek, że procesy poznania u pierwotniaków, których organy zmysłowe są mało zróżniczkowane i nie scentralizowane w jednym (nerwowym) — powinny być nieświadome. Nie wybiega jednak naprzód, idąc za logicznym porządkiem dowodów.

Naturę procesów poznania obiektywnie można badać tylko za pośrednictwem procesów woli, które się objawiają w ruchach. Jakiego więc rodzaju są procesy woli? Verworn odpowiada: mogą być

świadome i nieświadome. Te ostatnie manifestują się w trzech rodzajach ruchów (podług Preyera): *a)* w r e f l e k s y j n y c h, będących natychmiastową i fatalną odpowiedzią na bodziec zewnętrzny; *b)* w i m p u l s y j n y c h (endokinetycznych), które są dziełem wyładowania energii, wewnątrz organizmu nagromadzonéj i nie są odpowiedzią na bodźce; *c)* w automatycznych, powtarzających się ciągle, bez żadnéj podniety zewnętrznéj.

Jakie więc są ruchy pierwotniaków? Są refleksyjne: ruchy otamowane, oraz ruchy przyśpieszone, które są w ścisłéj zależności od bodźców wyżéj rozpatrywanych, nie mogą być dowodem czynnéj świadomości. Wszystkie można objaśnić skomplikowanemi zmianami mechanicznemi, wewnątrz protoplazmy nieżróżniczkowanéj, jak u ameb np., lub zróżniczkowanéj, jak np. w pasmach myoidalnych wymoczków, w ich rzęsach, pręcikach, wiciach i t. d. To prawdziwe refleksy, bo „z maszynową dokładnością odpowiadają na każde podrażnienie bez najmniejszego uchybienia — zawsze w jeden i ten sam sposób". Celowość ruchów jest dziełem doboru, jest zależną ślepo od organizacyi — cel nie jest świadomy. Całe życie pierwotniaka, podług Verworna, jest sumą refleksów; dla potwierdzenia tego Verworn powołuje się na dane z doświadczeń: bakterye są wywabiane z ekstraktu mięsnego do rurek włoskowatych, napełnionych substancyami trującemi; fatalne poddanie się wymoczków wpływowi mechanicznemu prądu elektrycznego, który je popycha do sfery zatrutéj. 2) Ruchy pierwotniaków są s p o n t a n e i c z n e: impulsyjne i automatyczne, zawsze i w różnorodnych warunkach jednakowo się powtarzające. Nieregularność w ruchach spontaneicznych (np. u Stentora skurcz myoidów i pręcików skokowych odbywa się nie w jednakowych okresach, E u p l o t e s wprawia w ruch rzęsy brzuszne, kolejnie po ustnych, również w okresach nieregularnych) ma, podług Verworna, jedynie fizyologiczne przyczyny; nieregularne z początku przechodzą w ciągu rozwoju — w rytmiczne. Z takich ruchów Verworn odbudowuje całkowity kompleks ruchów pierwotniaka. W obrębie ruchów refleksyjnych i spontaneicznych, rozumié się, że mowy być nie może o świadomych objawach woli.

Zestawiwszy te rezultaty z tém, co było powiedziane wyżéj o braku czuciowego organu centralnego, oraz kompletnie wyspecyalizowanych organów, Verworn dochodzi do wniosku, że ani w zakresie wrażeń świetlnych, ani w obrębie wrażeń jakichkolwiek, nie ma podporządkowania jednych wrażeń innym, nie ma przewagi jednych nad drugiemi, każde wrażenie posiada pewnego rodzaju samodzielność, jest niezależne jedno od drugiego. Dlatego też nie ma jednolitego „Ja",

a całe ciało jest siedliskiem pojedyńczych *ja*, w bardzo słabym stosunku do siebie stojących. Wobec tych wywodów, jak wytłómaczyć u pierwotniaków złożone zjawiska życiowe, gdzie zachowanie się osobnika zdaje się zdradzać kompletnie wykształconą i jednolitą świadomość. W zjawiskach szukania i wyboru pokarmu, wyboru materyału dla budowy swojéj skorupy (tylko dwa rodzaje złożonych objawów biologicznych są tu rozpatrywane) Verworn nie widzi sprzeczności ze swojemi wywodami, o czém go przekonywają wielorakie doświadczenia. Wybór pokarmów z jednéj strony nie jest tak doskonały, jak się na pierwszy rzut oka wydaje: ameby nawet kawałki szkła pochłaniają; korzenionóżki, łowiące żyjątka mikroskopowe w swojéj siéci wypustek, podrażnione nawet papiérem, wychodzą ze stanu biernego, jak wobec np. wymoczka spożywczego: skąd wniosek, że ruchy u korzenionóżek zależą tylko od podrażnienia mechanicznego. U tych zaś pierwotniaków, które pokarm wpędzają za pomocą migawek do otworu ust, wybór również mało zależy od osobnika: nie wszystkie przedmioty bywają uniesione utworzonym wirem, ciałka ciężkie i duże nie mogą się dostać do przełyku, wskutek czego muszą być odrzucane i t. d. Korzenionóżki, które domki naokoło siebie budują, biorą materyał, jaki się da, nie zaś jakiego chcą; zbiéranie zaś materyału odbywa się mechanicznie, dzięki wydzielającéj się na powierzchni organizmu cieczy lepkiéj. Na tych danych się opiérając, Verworn nie widzi powodu przypuszczenia wyższych objawów inteligencyi w tych sprawach biologicznych.

Dopiéro teraz, po zbadaniu wszystkich możliwych rodzajów ruchów, w objawach biologicznych prostych i złożonych, Verworn czuje się upoważnionym do ułożenia szematu organizacyi psychicznéj pierwotniaków, składającéj się z pierwiastków poznania i pierwiastków woli. Pierwsze się składają z nieświadomych wrażeń i nieświadomych wyobrażeń; te ostatnie mogą występować, gdy odpowiednia podnieta już nie istnieje. Drugie, pierwiastki woli, powstające pod wpływem bądź nieświadomych wrażeń (ruchy refleksyjne), bądź nieświadomych wyobrażeń (ruchy impulsyjne i automatyczne), są nieświadome. Pomijamy szczegóły tego szematu, wykazujące stopniowanie psychiczne w szeregu pierwotniaków.

W ten sposób Verworn załatwił się z pierwszém zadaniem psychologii pierwotniaków—zobrazować ich organizacyę psychiczną. Zestawiając tę próbę badania psychologicznego z poprzednią Bineta i innych, widzimy zadziwiający postęp w ścisłości metody, i co za tém idzie, w pewności wnioskowania. Metoda doświadczalna Verworna, pomijająca obserwacye, nie wydaje się nam doskonałą, wyniki badań,

wnioski wyprowadzone ze szczupłego zasobu danych z wyraźném pominięciem wielu faktów i ich stronném tłómaczeniem, przyjmujemy z niedowierzaniem, jednak od krytyki wstrzymujemy się ze względu na brak miejsca i historyczne stanowisko nasze. Zwrócimy jednak uwagę czytelnika na zbyt już rażące sprzeczności. Fizyologowie znają trzy rodzaje ruchów nieświadomych: refleksyjne, impulsyjne i automatyczne, i dlatego właśnie nazywają je nieświadomemi, że dla ich wykonania nie ma potrzeby przypuszczać żadnego procesu duchowego, wystarczają procesy fizyologiczne, uregulowane podług odnośnych praw; u Verworna też koło procesów fizyologicznych tych ruchów jest zamknięte, skąd więc przypuszcza, że źródłem ruchów refleksyjnych są nieświadome wrażenia, a ruchów impulsyjnych, automatycznych — nieświadome wyobrażenia? Widoczna zatém, że to tylko przypuszczenie, nie zaś wniosek, przypuszczenie dowolne, nie zaś logiczne. Daléj, wyobrażenia, choćby je Verworn nawet nieświadomemi nazywał, jako wyraz abstrahowania, mogą powstać z zestawienia z kilku rodzajów wrażeń, z których jedne są bezpośrednie, inne odtworzone; jeśli są u pierwotniaków wyobrażenia, to istnieją warunki kojarzenia się wrażeń. Verworn z braku dominującego organu zmysłowego, wnioskuje o rozczłonkowaniu wrażeń o ich niezależności, zatém skąd powstają wyobrażenia? Znajdujemy jednak u Bineta, Hartwiga i u innych wiele danych, które świadczą za istnieniem pewnych momentów w życiu pierwotniaków (u wymoczków polujących — w czasie złowienia zdobyczy, u innych w czasie szukania innéj płci), kiedy powoływanie się na bodźce fizyczne jest bardzo wątpliwém tłómaczeniem, i trzeba zatém przypuścić stan psychiczny, podobny do wyobrażeń. Daléj Verworn, podobnie jak Fichte i inni, utożsamia świadomość z filozoficzném „Ja”, z *ja* Fichtego, Verworna i t. p. inteligentnych ludzi. Verworn nie przypuszcza wcale, że u pierwotniaków, jak u wielu zwierząt niższego rzędu, świadomość może być zupełnie innego rodzaju, niż u filozofującego człowieka. Wprawdzie przypuszcza stopniowanie w świadomości, lecz gdy idzie o nazwanie pierwszego stopnia, powołuje do życia—nieświadomość, co nic nie tłómaczy pierwiastków świadomych. Nie mamy bynajmniéj dla powyższych powodów zamiaru krytykowania, chcemy tylko temi uwagami dać do zrozumienia, że psychologia ustrojów najniższych nie jest jeszcze ścisłą, obiektywną nauką, jak inne obiektywne nauki — fizyka, zoologia i t. p.; zbliża się jednak stanowczo i to wielkiemi krokami do tego szczytu. Pomimo pewnych niedokładności w tłómaczeniu procesów duchowych, systematyczny przegląd wpływów wielu podniet dało możność Verwornowi przedstawienia obrazu stopniowego rozwoju pewnych

wrażeń, zacząwszy od prawie nieczułéj ameby, a kończąc na bardzo czułym wymoczku, jesteśmy prawie widzami stopniowego komplikowania się wrażeń: słowem, możemy śledzić rodzącą się duszę wyższego zwierzęcia.

Pozostaje drugie zadanie psychologii pierwotniaka — poznać naturę procesu psychicznego. Dla tych badań Verworn użył metody, zwanéj merotomią, i polegającéj na pocięciu osobnika na części.

Wielokrotne doświadczenia dały mu możność przekonania się, że każden merozoit (odcinek) posiada tę samą ruchliwość, jak i w organizmie nieoperowanym: np. część wymoczka pokryta ustowemi rzęsami, któremi cały osobnik zwykł był obmacywać napotykane rośliny, po oddzieleniu od organizmu to samo przez się czynił i t. d. Wyniki tych badań podsunęły badaczowi następującą hypotezę naukową: że w organizmie pierwotniaka istnieją niezależne o ś r o d k i psychiczne. Hypotezę tę uzasadnił doświadczeniami. Obserwując system organów ruchowych — migawek, widzieć można rytm i harmonię w ruchach: wszystkie migawki otrzymują kolejne impulsy, wskutek czego nachylają się całe, lub tylko przednim końcem, tworząc regularną falę. Otóż, gdy zrobić głębokie nacięcie w środku takiego systemu ruchowego (na osobniku nieuszkodzonym) można się przekonać, że rytm i amplituda po obu stronach nacięcia nie są jednakowe, również—właściwa pozycya migawek po stronie nacięcia bliższéj ku tylnemu końcowi, zmienia się. Stąd wniosek: że istnieje system molekularny, będący bezpośrednią podstawą mechaniczną migawek; system ten stanowi jedność, która może być po odpowiedniéj operacyi naruszoną. System taki rozumiéć trzeba w ten sposób, że pewna warstwa protoplazmy, najbliżéj danych organów leżąca, wyodrębniła się z całéj masy protoplazmicznéj i posiada daleko większą wrażliwość specyalną i zdolność do właściwéj odpowiedzi, niż każda inna część organizmu. Dalsze zaś warstwy protoplazmy mogą w przeniesieniu podrażnienia przyjąć udział tylko przy dostatecznie silném natężeniu podniety. Więc osobnik składa się z wielu takich systemów protoplazmicznych, będących ośrodkami psychicznemi; Verworn formułuje to tak: „Każda cząstka protoplazmy (*Protoplasmaelementartheilchen*) posiada swoją własną samoistną p s y c h e".

Stąd do melekularnéj teoryi objawów psychicznych—tylko jeden krok, ze względu, że „cząstka elementarna" jest tylko agregatem molekuł protoplazmowych.

Wszystkie bez wyjątku procesy biologiczne, zarówno jak ruch protoplazmy, jak poruszenie organoidów i całego ciała, są zjawiskami towarzyszącemi procesom fizyko-chemicznym, zachodzącym w mo-

lekułach, w micelach, w „cząstkach elementarnych". Wobec tego mamy alternatywę: „albo objawy psychiczne w królestwie pierwotniaków, manifestujące się w ruchach refleksyjnych, impulsyjnych i automatycznych, są identyczne ze zjawiskami molekularnemi protoplazmy, albo owe ruchy nie są wcale uzewnętrznieniem procesów duchowych, w razie czego o *psyche* pierwotniaka byłoby zupełnie zbytecznem mówić. Druga strona alternatywy, podług Verworna, nie ma podstawy dlatego, że niesłusznieby było psyche przypisywać dopiéro organizmom z ukształtowanym systemem nerwowym, ze względu na ścisłe pokrewieństwo wszystkich typów organicznych, począwszy od najniższych aż do najwyższych: pokrewieństwo to filogenetyczne organizmów na różnych szczeblach rozwoju poświadczają ciągle się powtarzające procesy embryogenetyczne, gdzie najwyższy organizm zaczyna swój byt od prostéj, niezróżniczkowanéj komórki. Dlatego przyjmować psyche dopiéro na pewnym stopniu hierarchii organicznéj byłoby bardzo dowolném. W tym razie, gdy zewnętrznych ruchów i poruszeń nie zechcemy uważać za ujawnienie procesów duchowych, wyrzekamy się wszelkich wskazówek przewodnich, któreby nas upewniły od jakiego punktu rozwoju organicznego zacząć psyche wprowadzać do procesów biologicznych. Z drugiéj strony, i u ludzi przypuszczamy psyche tylko na zasadzie analogii ruchów zewnętrznych obcego osobnika z naszemi. Verworn uważa, że „najlepiéj pojęcie tak daleko stosować, tak daleko je rozszerzać, jak sięgają granice życia. Oba pojęcia są nierozerwalne, oba pojęcia ostatecznie współistnieją." Pozostaje więc do przyjęcia wniosek, że ruchy protoplazmy są zewnętrznym objawem życia duchowego.

W takim zaś razie, najpierwsze objawy duchowe są molekularnemi procesami w „cząstkach elementarnych" protoplazmy. Lecz wtedy logicznie trzeba się posuwać daléj w poszukiwaniach za źródłem objawów duchowych. Molekuła protoplazmiczna, to kompleks wielu molekuł organicznych; bezzasadnie więc byłoby cechy duchowe molekuły protoplazmicznéj pewnemu tylko stanowi złożoności przypisywać: źródła więc objawów psychicznych szukać już trzeba w każdéj molekule organicznéj; tak np. zgadzający się na sam punkt wyjścia w tém wnioskowaniu, że objawy psychiczne mają substrat fizyologiczny, musi wraz z Verwornem przyjąć, że „kropla oliwy, która znajduje się na powierzchni sody, wypuszcza i ściąga liczne nibynóżki, różni się tylko od ameby mniejszą złożonością psychiki."

Jeszcze krok daléj, a znajdziemy się wobec hypotezy Wundta o psychicznych własnościach atomów, hypotezy, która była tylko wnioskiem poszczególnym z doświadczalnie skontrolowanéj zasady, że

skomplikowane objawy duchowe człowieka mają fizyologiczne podścielisko; Verworn dochodzi do tegoż wniosku na zasadzie badań najprostszych objawów duchowych u najprostszych istot zwierzęcych. Od „cząstki elementarnéj" do molekuły protoplazmicznéj, od téj ostatniéj do molekuły organicznéj wogóle, od téj zaś do atomu, prowadzi najprostsza droga logiki [1]).

W ten sposób Verworn znalazł w duchowych objawach pierwotniaków most, który łączy: z jednéj strony najwyższe ustroje duchowe z ich zaczątkami, z drugiéj zaś—objawy życia duchowego (bezpośrednio najniższych, a pośrednio najwyższych) z procesami chemicznemi i fizycznemi materyi nieorganicznéj.

Sformułowanie Verworna psychofizyologii pierwotniaków jest ostatniém słowem, i dodać trzeba — najlepszém w téj dziedzinie; nie jestto jednak ostateczném słowem. Verworn dał szkic, którego metoda i plan badania powinny być z korzyścią zużytkowane, korzystniéj niż to sam Verworn uczynił: wtedy psychologia pierwotniaków będzie prawdziwie ścisłą, obiektywną nauką (raczéj, częścią nauki — psychologii zwierzęcéj). Teraz jeszcze nią nie jest pomimo kilku dobrych metod doświadczalnych i ścisłego planu badań: nie została tu jeszcze wyrugowaną dowolność we wnioskowaniu w kwestyach nawet zasadniczych. Nie mamy zamiaru wdawać się tu w szczegółowy rozbiór, ale zwrócimy na jedną rzecz uwagę: z pobudek filozoficznych, w celu postawienia mostu między materyą nieorganiczną a wyższemi ustrojami uduchowionemi, Verworn obdarzył pierwotniaki „nieświadomą" psyche (nieświadomemi wrażeniami, wyobrażeniami i aktami woli), która ma być stanem pośrednim między przypuszczalną nieświadomością a zupełną, jasną świadomością. Przedewszystkiém widzimy błąd w zasadzie (który wielu bardzo popełnia): skoro świadomość po za wrażeniami i wyobrażeniami nie istnieje, wrażenia i wyobrażenia nie mogą być *eo ipso* materyałem nieświadomości. Wundt też bardzo słusznie jest tego zdania, że nie mamy prawa odmawiać charakteru świadomości tym stanom psychicznym, które rozciągają się choćby tylko na kilka wrażeń jednoczesnych lub następujących: takie stany u pierwotniaków

---

[1]) Dla pełności jednak trzeba dodać, że „specyficznie różne formy drażliwości, i wogóle zmian fizyologicznych w ciałach organicznych, przekonywają nas bezpośrednio, że to nie pierwiastkom C, H, O, i t. d. zawdzięczać trzeba różne formy oddziaływania, ale molekułom z nich zbudowanym. Drażliwość organicznéj molekuły może uledz zmianie, stosownie do jakości związku jéj składowych pierwiastków" (Pfeffer, „Die Chemotaktischen Bewegungen" i t. d.).

są bez zaprzeczenia możliwe. Daléj, wiele faktów z dziedziny t. zw. skomplikowanych objawów biologicznych, przekonywają bezstronnego obserwatora, że nie zawsze ruchy pierwotniaków są konieczną odpowiedzią mechaniczną na bodźce zewnętrzne: tak np. Hetwig, traktując o instynkcie płciowym, właśnie na zasadzie dokładnéj obserwacyi warunków biologicznych, utrzymuje, że nie zawsze pierwiastek męski dąży do pierwiastka żeńskiego, nieraz poprzez duże stosunkowo przestrzenie, pod wpływem jakiegokolwiek chemicznego podrażnienia; z życia polujących pierwotniaków można bardzo dużo przytoczyć faktów podobnego znaczenia. Dla tych i wielu innych powodów nie przywiązujemy ważnego znaczenia do właściwie psychologicznych wniosków Verworna.

Jestto jeszcze antropomorfizm dawnych badaczy w tym zakresie, tylko inny niż Bineta, Heckla i t. d.: ci obdarzyli pierwotniaki świadomością niczém się prawie nie różniącą od bogatéj samowiedzy człowieka, Verworn zaś im odmówił świadomości, dlatego że nie zdaje się u nich znajdować samowiedzy człowieka; wszyscy się mylą w tym względzie, że biorą za miarę skali duchowéj mikroorganizmów samowiedzę człowieka. Verworn, znając z własnego doświadczenia, że nieraz samowiedza schodzi z pola duchowego życia, zbudował dla pierwotniaków gmach nieświadomości, powodując się prostotą ich ustroju organicznego. Lecz i ten punkt wyjścia jest fałszywy: nasze stany duchowe, gdzie samowiedza nie gra roli czynnego pierwiastka, nie są bynajmniéj nieświadomemi, bo każdy stan duchowy zbudowany z wrażeń i wyobrażeń jest przez to samo procesem świadomym, funkcyą świadomości; za przykład takiéj świadomości mogą służyć np. sny, gdzie nasza świadomość objawia się w zupełnie innych warunkach psychologicznych, niż na jawie.

Nie dla polemiki jednak to wspominamy, chcemy tylko zwrócić uwagę na braki obecnéj psycho-fizyologii pierwotniaków. Ze względu na swoje zadanie filozoficzne, mające na celu narzucić obrazek z życia nieświadomości, Verworn mógł całkowicie się zadowolnić tylko swoją metodą doświadczalną: dosyć mu było poznać podniety fizyczne ruchów, oraz mechanizm ruchów, by w końcu z „nieświadomych" pierwiastków duchowych zrobić odpowiednią przyczepkę. Skoro nieświadome wrażenia, wyobrażenia, a więc i nieświadoma wola nie mogą być samodzielnym bodźcem do ruchów i nie mogą przez się zmienić nic w wykonywanym ruchu, w takim razie nie posiadają sobie tylko właściwych organów zewnętrznych, któreby ich obecność wykrywały, jak to ma miejsce u wyższych zwierząt i u ludzi; przy takiém pojmowaniu

objawów duchowych u pierwotniaków, mogły mu wystarczać pewne dane anatomiczne i fizyologiczne dla formułowaniu wniosków psychologicznych.

Gdy zaś w danym razie porzucimy stanowisko „nieświadomych stanów psychicznych", będziemy zmuszeni każdy z tych stanów dopiéro konstatować, dla każdego z nich znaléść jego właściwy symbol zewnętrzny: wtedy będziemy zniewoleni również dokonać wiele nowych doświadczeń i zebrać bardzo skrupulatne obserwacye z życia drobnoustrojów. Trudno tu w szczegóły się wdawać, wspomnimy jednak, że objawy duchowe pierwotniaka muszą być przedmiotem badania tak samo obiektywnego, jak chemiczne i fizyczne własności ciał, przytém z powodu specyalnéj budowy tych żyjątek niczém nie przypominającéj tych zwierząt, z których ruchów przyzwyczailiśmy się poznawać pewne stany psychiczne, trzeba podjąć najdrobiazgowsze badania ruchów mikroorganizmów tych, pod względem formy, natężenia kierunku, w warunkach doświadczalnych i życiowych; rezultaty muszą być zestawione osobno w zakresie każdego indywiduum, gatunku, grupy pokrewnych gatunków i t. d. Ten cały nawał doświadczeń i obserwacyi dałby z czasem możność obiektywnego scharakteryzowania ruchów, pod wpływem pobudki duchowéj wykonanych, i odróżnienia ich od refleksyjnych i t. p. ruchów czysto mechanicznych [1]. Pomimo jednak tych braków psycho-fizyologia pier-

---

[1]) Dla porządku wzmiankujemy, że niektórzy badacze. szczególniéj botanicy i fizyologowie Pfeffer, Klebs, Richet, na zasadzie swoich doświadczeń, pochopni są wcale psyche u pierwotniaków zaprzeczyć. Ten wniosek jest logicznie związany z ich doświadczeniami, lecz nie każdy logiczny wniosek jest prawdziwy. Czujemy się w obowiązku dodać, że Pfeffer, ostatniemi, czasy zmienił nieco swój pogląd na uduchowienie drobnoustrojów, porwany nowym prądem w opinii badaczy. Myślą przewodnią prawie wszystkich jego badań dotychczasowych było dowieść absolutnéj zależności wszystkich bez wyjątku przejawów życiowych w królestwie pierwotniaków, a wogóle komórki, od materyalnych zmian. zewnętrznych i wewnętrznych; i zasadniczéj pokrewności podrażnień (w organizmie), z bodźcem wogóle (w jakimkolwiek kompleksie nieorganicznym): Nie przyjmuje też, przy sposobności (*Untersuchungen aus dem bot. Inst. zu Tübingen: Locomotorische Richtungbewegungen durch chemische Reize)*, określenia „podrażnienia" *(Reiz)*. dane przez Sachsa, jako właściwéj cechy tylko żyjącym organizacyom. Aczkolwiek w jednėm miejscu (wstęp do jego „Fizyologii roślin") przyznaje się, że są pewne zjawiska życiowe, nie dające się obecnie z całą dokładnością naukową wytłómaczyć, zalicza to jednak na karb niedostecznéj znajomości fizyko-chemicznych własności materyi. Pierwiastkom zaś psychicznym, choćby najelementarniejszym, odmawiał u tych istot mikroskopowych, we wszystkich sprawach życio-

wotniaków w obecném już stadyum może być uważana za podwalinę dla przyszłéj nauki o duszy zwierzęcéj, nauki, która będzie znała wszystkie najdrobniejsze szczegóły swojego zakresu, będzie swój materyał porządkowała, klasyfikowała, jak chemia, zoologia i t. p. na zasadzie cech właściwych, która potrafi porównawczą drogą faktycznie wyświetlić genezę i drogę rozwoju psychiki ludzkiéj.

Rezultaty osiągnięte w psychologii pierwotniaków pozostawiają jeszcze dużo do życzenia; jednakże dwa z nich są pierwszorzędnéj wartości: w pierwszym rzędzie trzeba wspomnieć demonstracyę rozwoju psychicznego na gruncie zróżniczkowania organicznego, w dalszym—naukowe udowodnienie, *sine qua non*, naturalnego związku ducha z materyą, wobec czego wszelkie fantazye, np. Fritza Schultze'go i innych tracą pod sobą grunt, którego zresztą nigdy się nie trzymają, jak wogóle bańki mydlane. Wobec tych rezultatów nawet wielki jęk filozoficzny Du Bois-Reymonda, Spencera i innych, brzmiący rozpaczliwém *ignorabimus* w ważnéj kwestyi istoty świadomości, powinien być złagodzony (z zastrzeżeniem, rozumie się, że nigdy rzeczy samych w sobie nie poznamy, jak nigdy nie potrafimy sami swojéj głowy zjeść).



Z tego, co wyżéj powiedziano, widzimy, jak psychologia ogólna i zwierzęca (w danym razie, psychologia pierwotniaków), przebiegłszy, każda w swoim zakresie, drogę niepewnego wnioskowania, stanę-

wych, wszelkiéj racyi bytu: gdy np. (*Locomotorische*, etc.) w toku dowodzenia, dla ożywienia wykładu, zapożyczył technicznego wyrazu ze słownictwa psychologicznego, *Empfindlichkeit* (wrażliwość), nie omieszkał przytém się zastrzedz, że nadaje mu znaczenie czysto fizyologiczne, pojmując go, jako „zdolność do podrażnień (*Reizempfängliche Stimmung*).—W mowie wypowiedzianéj na zjeździe w Norymberdze 1893 r., przyznaje już niejakich własności duchowych istotom jednomórkowym i roślinom, lecz przyznaje się, że uważa jednak ten swój pogląd za czystą fantazyę metafizyczną; nic dziwnego, w świetle jego badań, bodziec psychiczny dla tych organizmów nie istnieje. — Odsyłamy czytelnika do I. Dodatku do „Przegl. Tygod." z r. 1894, gdzie umieszczono tłómaczenie wspomnianéj mowy Pfeffera, zalecając jednak wyraz „wrażliwość" (*Empfindlichkeit*, *sensibilité*) zastąpić, prawie wszędzie, wyrazem „drażliwość" (*Reizbarkeit*, *irritabilité*. *Archives des sciences physiques et naturelles*, t. XXX, *Revue scientifique*, II, 1893), wyrażenie zaś takie jak „percepcya" (spostrzeganie) korzenia uważać za prosty kaprys poetycki: co umożliwi czytelnikowi przedstawienie sobie poglądów Pfeffera we właściwém świetle).

ły obie przy laboratoryum psycho-fizyologicznèm, popierając się nawzajem; przekonywamy się, jak stopniowe ulepszanie metody badania dawało możność odpowiadania na kwestye coraz bardziéj zasadnicze, aż wraz z metodą doświadczalną można było wkroczyć zwycięsko w dziedzinę takich zagadnień, jakie dla dawnéj, realistycznéj psychologii były ukryte albo wprost niedostępne, jak np. „kwestye ostateczne", oddane koniec końców z należytym szacunkiem (przez Spencera—po próbie bezowocnéj, a przez Baina, Höfdinga i innych — bez próby) na pastwę metafizyków i t. p. filozofujących poetów.

L. Biszofswerder.



KRYTYK-MORALISTA

(Edward Rod).

On constate en soi et autour de soi un immense, un universel besoin de tranquillité morale et d'équilibre.

Edouard Rod.

1.

Rod w dziele swém *Idées morales du temps présent*, rozróżnia w nastroju umysłowym Francyi spółczesnéj dwa kierunki: n e g a c y j n y, zaprzeczny, i p o z y t y w n y, twierdzący. Oba zresztą miały swe twierdzenia i swe przeczenia.

Pierwszy panował, niepodzielnie prawie, od napisania w r. 1848 (ogłoszonego znacznie później) dzieła Renana *l'Avenir de la Science* do pojawienia się w r. 1886 książki Melchiora de Vogüe *Le Roman russe;* drugi toruje sobie szerszą drogę od lat niewielu, poczyna już dziś jednak brać górę nad prądem przeciwnym.

„Na czele umysłów pierwszéj grupy — opowiada krytyk — szedł Renan, z powagą wielkiego kapłana Nicości, godny zresztą podziwu, obdarzony umysłem tak wielostronnym, talentem tak giętkim i tak nie-

powstrzymanie pociągającym, że zgromadził około siebie najświetniejsze umysły, które szły za nim, ulegając czarowi słów mistrza. Reprezentuje on sceptycyzm bezwzględny i zadowolniony: sceptycyzm dogmatyczny, jeżeli wolno się tak wyrazić. Doktryna była tem bardziéj zaraźliwą, że godząc się łatwo ze wszystkiém, nie wyłączała bynajmniéj pewnego miłego i nieokreślonego mistycyzmu, umiała się ubiérać w wytworne formuły, a nawet przyjęła terminologię doktryn tradycyjnych, bawiąc się przyjemnie grą słów, takich jak Bóg, Nieskończoność i t. p., pozbawiwszy je wszakże wszelkiego klasycznego znaczenia. Była to rozkosz umysłowa, godna olimpijskiéj ambrozyi, to téż doktryna miała powodzenie i stała się rodzajem religii umysłów wyrafinowanych, którym nie dogadzał gruby i brutalny materyalizm. Był to—powiada Rod — najsilniejszy może z prądów umysłowych drugiéj połowy naszego wieku we Francyi.

Tuż obok niego biegł inny: pesymizm, którego prawodawcą był Schopenhauer, spopularyzowany we Francyi, szczególniéj po wojnie 1870 r., i który doprowadzony do przesady a często i karykatury, rabowany przytém i grabiony bez miłosierdzia przez uczniów i komentatorów, dostarczył możliwych dogmatów tym, którym nie wystarczał Renanowski sceptycyzm. Powodzenie to nie było zresztą zbyt długotrwałe. Trzymany we właściwéj mierze, pesymizm — powiada Rod — jak to świetnie wykazał Brunetière w jednéem ze swych studyów, jest doktryną zdrową i silną, doprowadzony jednak do przesady i poddający się swéj frazeologii, prowadzi rychło do mizantropii, egoizmu i oschłości, schlébiając przytém pysze i samolubstwu...

Potok negacyjny niósł nadto w swém łonie jeszcze jeden prąd. Punktem wyjścia dla Renana była ślepa wiara w naukę, taż sama wiara, która nie na długo miała całkowicie zaspokoić mistrza, wydała także naturalizm: doktrynę — powiada Rod — niedojrzałą, utworzoną z wielkiéj potrzeby pewności i wielkiéj naiwności, doktrynę, jednocześnie twierdzącą i burzącą, śmiałą i sprawdzoną. Dzięki pięknemu talentowi swych mistrzów—mówi krytyk—naturalizm oddał niezaprzeczone usługi czystéj sztuce pisarskiéj, oparty jednak na fałszywem pojęciu nauki i wiadomościach zbyt niedostatecznych, nie omieszkał wykazać swych braków, które stały się szczególniéj rażącemi w utworach pisarzy drugorzędnych.

Trzy te prądy zléwały się w jeden kierunek. Pisarze, unoszeni falą konstrukcyjną, różnili się niewątpliwie między sobą nieraz bardzo znacznie — Zolę oddziela od Renana znaczna przestrzeń — mimo to posiadali pewne rysy wspólne, które pozwalają łączyć ich w jedną całość

lub pozwalały ich doktrynie wywierać wpływ równoległy i podobny na świadomość zbiorową, która w znacznym stopniu wpływom tym uległa.

Do wspólnych tych rysów należy w pierwszym rzędzie zupełna obojętność na zagadnienia moralne. Jeżeli zajmowano się niemi, to to tylko z punktu widzenia estetycznego lub dla literackiego zainteresowania. Dobro samo o sobie nie interesowało pisarzy téj kategoryi, chyba, że było pewną, połyskującą przytém odmianą piękna. Indyferentyzm ten prowadził do zasady: sztuka dla sztuki, która była powszechnie przyjęta. Literatura miała saméj sobie wystarczać i polegać na pięknym układzie słów i myśli, nic więcéj. Obiegały przytém następujące aforyzmy: „Pisarz nie jest lekarzem, stwierdza on tylko chorobę (opisuje ją), pozostawiając innym staranie léczenia"; „myśliciel nie jest pastérzem, myśli on, jak roślina kwitnie, igra z myślami i pomaga drugim, jeżeli o to idzie, robić to samo" i t. p.

Religię traktowano w podobny sposób jak moralność: jest pomijaną, wzgardzoną, lub służy za narzędzie gry artystycznéj. Miejsce religii zajęła nauka, wiara w naukę i jej prawa, jest nieraz tém, czém była wiara w Boga i Jego przykazania. Renan wierzy w historyę, Zola wstępuje na trójnóg, ile razy wypada mu mówić o wielkich sprawach nauki; Bourget zaś — dodaje złośliwie Rod—odkrywa prawa psychologiczne nawet w fałdach spódnic swych bohatérek... Miłosierdzie wygnane zostało z literatury francuskiéj, póki nie wprowadziły go do niéj znowu powieści Dostojewskiego. Literaturę tę cechuje zupełny indyferentyzm po za estetyką i zaciekawieniem naukowém. Z tém jednoczą się różne prądy negacyjne.

W czasie już najbujniejszego rozkwitu tego kierunku — powiada Rod—niektóre, daléj widzące umysły dostrzegały „społeczne niebezpieczeństwa" tego umysłowego i artystycznego zwrotu. Powoli, obok grup negacyjnych, tworzyć się począł kierunek twierdzący. Do pionierów tego zwrotu zalicza Rod „niepodległych", jak Dumas (syn), którego zawsze zajmowały zagadnienia moralne, lubo zamknięte w zaczarowaném kole stosunków małżeńskich; tych następnie, którzy poczęli głosić potrzebę reformy obyczajów; wreszcie tych, którzy, jak Taine, szukali pod koniec oparcia w tradycyi, tém „doświadczeniu narodów", lub, jak Brunetière, walczyli w obronie powagi i literackiéj tradycyi. Umysły jednak bardziéj filozoficzne i ściśle — ciągnie daléj Rod—nie mogły nie zauważyć, że tradycya nie jest powagą wystarczającą i że jedynie religia może kierować jednocześnie myślą i czynami. Należy więc do niéj nawrócić, żądając od niéj, jak to uczynił Tolstoj nie problematycznych zagadnień o przyszłém życiu lub rozwiązania teorematów metafizycznych, lecz stanowczych i określonych reguł po-

stępowania o życiu obecném i doczesném. Idąc tą drogą—konkluduje krytyk—nie należy się zadawalniać religią teoretyczną lub uczuciami religijnemi, lecz przystąpić trzeba do religii praktycznéj, któréj kościół dał formę stałą, określoną, niewzruszoną — przyłączyć się do tego katolickiego kościoła, który jest jednocześnie polityką i moralnością. Jest to przynajmniéj, według Roda, kresem, ku któremu prowadzić muszą wywody Vogüé'ga lub Derjardins'a, których propaganda liczy coraz więcéj zwolenników we Francyi.

Zaznaczywszy te konsekwencye, stara się krytyk zaznaczyć z kolei rysy wspólne umysłów twierdzących, tworzących drugą grupę. Stawiają oni na pierwszym planie zagadnienia moralne, gdy pierwsi interesowali się przedewszystkiém estetyką i literaturą czystą. Następnie nietylko odrzucają zasadę sztuki dla sztuki; lecz potępiają ją jaknajbardziéj stanowczo. Zerwali również z kultem nauki, który pielęgnowali negatywiści: szanują oni wiedzę, nie występują w charakterze jéj przeciwników, wywody jednak ochrzczone mianem naukowych, przyjmują z zastrzeżeniami, zachowują się nieufnie wobec twierdzeń i zaprzeczeń nauki; poszukują przedewszystkiém prawd, których nauka nie jest w mocy dostarczyć — słowem, czynią badania po za nauką urzędową, odmawiając jéj prawa do panowania bezwzględnego, którém inni chcieli ją obdarzyć. Naodwrót, to, czego odmawiają nauce, gotowi są przyznać religii; chociaż wiele umysłów téj kategoryi zostaje po za kościołem, chociaż pozostają w wątpliwości co do dogmatów i zasad wiary, chociaż uchylają się jeszcze od praktyk religijnych, starają się jednak zwalczyć w sobie pychę niewiary i niektórzy nawet—powiada krytyk—dochodzą do tego, iż posiadają przynajmniéj złudzenie wiary. Być może — dodaje — iż posiadają i samą wiarę, co Rod uważa za możliwe przy dobréj woli i pewnym wysiłku umysłu... W każdym razie przykład ich skuteczniéj oddziaływa na ludzi prostszych, mniéj zatwardziałych w negacyi i bardziéj gotowych do przyjęcia „prawd" wiary. I ta więc grupa liczy wiele odcieni, co jednak nie pozbawia jéj pewnéj jednolitości i cech wspólnych.

Nie potrzeba — powiada Rod — być zbyt przewidującym, ażeby zauważyć, że kierunek „pozytywny" wzrasta z każdym dniem w siłę i rozmiary, zyskując to, co traci prąd negacyjny. Przed laty dziesięciu ten nowy zwrot był zaledwie dostrzegalny; panowało powszechne prawie mniemanie, nieledwie wiara, że ludzkość, pozbywszy się starych podpór religii i moralności, pośpieszy raźnym krokiem w kierunku wolnomyślnym, opromienionym słońcem nauk. Niestety, fakty najświéższe przeczą tym śmiałym wyroczniom. Ludzkość, kulawa i biédna, wraca do swych szczudeł i kul, do tych podpór, które, jak powia-

dają, nie wiele są warte, których jednak czuje ona wielką potrzebę, których nie śmié odrzucić precz, gdyż, bądź co bądź, wspiérają jéj kroki niepewne i służą jéj nienajgorzéj, póki lepszych kto nie sfabrykuje: moralność nieracyonalna, niepełna, niewystarczająca, to prawda, lecz prosta, stała, mocna; religia niezupełnie pewna i niedowiedziona, która jednak wystarcza większości. Słowem, wiele poglądów i wierzeń konkluduje krytyk, które można było uważać za obalone ostatecznie, a nawet śmiészne, wraca na dawne swe miejsce; kult ideału, wygnany jako bezmyślny, odradza się w nowéj postaci... Najmłodsi zaczynają wysławiać dziś wiarę i moralność z tym samym entuzyazmem, z jakim ich ojcowie witali naukę i myśl wolną... Prąd staje się coraz głębszym i szerszym, unosząc z sobą coraz więcéj ludzi, spragnionych nowéj myśli i czynu. Ostać się mu trudno. Odłączający się — mówi Rod — są dziwakami — i dodaje: człowiek zawsze błądzi, ilekroć sobie tylko racyę przyznaje, błądzi, choćby nawet tysiąc razy miał racyę. Wielkie prądy umysłowe — wyjaśnia daléj — są dziełem nietylko umysłów przewodnich, lecz i całych mas, częstokroć na pół tylko świadomych lub bezwiednych, są wreszcie wytworem otaczającéj nas atmosfery umysłowśj i moralnéj, otoczenia społecznego.

Istnieje téż—ciągnie daléj krytyk—zupełna harmonia między nastrojem pisarzy drugiéj grupy, a stanem spółczesnego nam świata. Zaznaczone powyżéj objawy zwrotu umysłowego i literackiego są tylko symptomatem reakcyi ogólnéj, która się na wszystkich polach dokonywa. Więc naprzód kościół, dzięki geniuszowi jednego z największych swych pasterzy, dzięki przytém doświadczeniom, jakie poczynili jego przeciwnicy, odzyskał znowu swą powagę i urok, który zdawał się być stracony na zawsze. Państwo czuje się również wzmocnionèm; powaga władzy, podkopywana przez partye krańcowe, powraca. Państwo i kościół, dwie potencye konserwatywne, które czas jakiś zwalczały się zawzięcie, podają sobie dłonie. Mnożą się próby socyalizmu państwowego i chrześciańskiego dla rozwiązania zagadnień społecznych... Świat, który szybkim krokiem zdawał się zdążać w kierunku materyalizmu i negacyi, w kieruku radykalizmu i anarchii, zatrzymał się w swym przyśpieszonym biegu i po chwili wahania zdaje się zawracać wstecz. Reakcya przeciwko kierunkom dotychczasowym pojawiła się tak nagle i postępuje tak szybko, że grozi unieść z sobą niejedno z najpiękniejszych zdobyczy liberalizmu i niektóre z jego szlachetnych marzeń. Zamykają się granice państw, zaostrzają się antagonizmy rasowe, ludy zbroją się od stóp do głów — słowo „braterstwo" wywołuje uśmiech na usta; wojna, jeżeli wybuchnie, przypomni najazdy Hunnów lub Saracenów. Symptomaty, które tu zaznaczamy,

wydają się powszechnemi. Francya, która czas jakiś zdawała się opierać temu zwrotowi, czuje się nim również opanowaną.

W ten sposób kreśli Rod rysy charakterystyczne spółczesnéj nam epoki. Słusznie lub niesłusznie—powiada krytyk — wracamy z drogi, po któréj szły generacye poprzedzające; rewidujemy ich robotę *(nous revisons leur oeuvre)* i kto wié, czy poprawiając ją, nie przetworzymy zupełnie; zrywamy z zasadami, któremi kierowali się nasi poprzednicy, oparcia dla naszych zasad szukamy w przeszłości, starając się je odnowić i odmłodzić. Jesteśmy w okresie reakcyi—reakcya przytém na polu religii i moralności jest tylko epizodem reakcyi ogólnéj. Czy ruch ten — zapytuje Rod — rozszerzy się bardziéj jeszcze i utrwali, czy też jest tylko objawem chwilowym — przesądzać trudno. Kto wié jednak, czy nie zbliżamy się do jednego z tych okresów trwałego porządku, jakim był np. wiek XVII-ty we Francyi — porządek ten może być monarchicznym, republikańskim, socyalistycznym, zawsze jednak dość silnym, ażeby stłumić pierwiastki niepokoju i rozstroju, grożące współczesnemu światu i podkopujące żywotność społecznego organizmu...

Przytoczyliśmy szczegółowo wywody ostateczne głównéj pracy Roda, wydanéj w r. 1892. Posłużą nam one za kanwę i tło, na którém lepiéj się uwydatnią szczegółowsze poglądy krytyka, publicystyczne i krytyczne, zarówno jak i jego artystyczna działalność. Zajęci przedewszystkiém zapoznaniem naszego ogółu z jednym z wybitnych literackich przedstawicieli Francyi spółczesnéj, jaknajmniéj miejsca udzielimy sporom. Nie będziemy więc szeroko rozwodzić się nad tém, o ile możliwym jest zwrot ku praktyce religijnéj bez teoretycznego gruntowania zasad wiary? Rod zdaje się pomijać kwestyę pogodzenia wiedzy z wiarą, nad którą pracują niektóre umysły współczesne. Reakcya, o któréj mówi Rod, jest rzeczywiście faktem. Czy należy zwrot ten pojmować jako czyste wstecznictwo, czy też swego rodzaju krok naprzód, o tém także szeroko tu pisać nie możemy. Nie ulega atoli wątpliwości, że po epoce krytycznéj zbliżamy się do epoki syntetycznéj. Już Comte, jeden z inicyatorów zwrotu pozytywistycznego przed pół wiekiem, udowodnił szczegółowo, że ludzkość w swym dziejowym pochodzie przebywa, w sposób nieunikniony, kolejno przez epoki krytyczne i syntetyczne. Krytyka, przedłużając się nadmiernie, rozłożyłaby wszystko i pozostawiła tylko martwe ruiny. Jest ona koniecznym fermentem życia i postępu, jeżeli jednak ludzkość nadużyje jéj zbytnio w jednym okresie, musi następnie po téj destrukcyjnéj robocie wypoczywać, ażeby dać pierwszeństwo czynnikom twórczym, organicznym, bez należytego działania których nie możliwém jest życie i wzrost osobników i spłeczeństw. Oczywiście okresy syn-

tetyczne, gdyby się utrwaliły po za właściwe granice, sprowadziłyby także ogólny zastój i skamieniałość. Życie jest syntezą czynników ruchu i spokoju — samym ruchem lub samym spokojem być nie może... Syntezy jednak nie koniecznie szukać potrzebujemy po za sobą i wzorować się na wstecznéj reakcyi, możemy ją bowiem i z nowych materyałów zbudować. Sam Comte, w przebiegu swego indywidualnego rozwoju rozpoczął od obiektywnego krytycyzmu, zbudował przedmiotowy całokształt wiedzy, pod koniec zaś swego życia wrócił do metody subiektywnéj, na tle któréj stworzył swą religię i kult ludzkości, który i dziś ma swych wyznawców.

Z tego zrozumiemy lepiéj znaczenie reakcyi, o któréj mówi Rod. Zaznaczymy tylko jeszcze, że pisarz, którego postaramy się scharakteryzować, w dotychczasowym swym umysłowym i literackim rozwoju przeszedł fazy, jakie przechodził ogólny nastrój spółczesny. Zacząwszy od materyalizmu, naturalizmu i pesymizmu, doszedł następnie do kultu moralności i religijnego odrodzenia...

II.

W przedmowie do swéj powieści *Le trois coeurs* (1890 r.) zamieścił Rod szczery literacki „rachunek sumienia", z którego dowiemy się szczegółowo, jakie stanowisko zajął i zajmował nasz krytyk wobec kierunków i prądów, zaznaczonych powyżéj.

Debiutując na literackiéj arenie przed laty dziesięciu — powiada Edward Rod — byłem naturalistą, jak wszyscy prawie ówcześni młodzi. Zola nas podbił, nie powodzeniem, lecz siłą swego talentu, który nie był jeszcze wtedy ogólnie uznany, i śmiałą postawą, jaką przybrał wobec niesłusznych zarzutów, które gradem na niego spadały. Przyjmowaliśmy entuzyastycznie rozumowania, któremi starał się powiązać odrębną swę estetykę z estetyką Balzaca, Flauberta i Goncourtów, naszych mistrzów ulubionych — i marzyliśmy wonczas o otworzeniu szkoły, którаby miała swe bitwy i swe zwycięstwa, swoją premierę Hernaniego, swych generałów i wodzów, swego Wiktora Hugo i Sainte-Beuve'a, — szkoły, w któréj byśmy szli ławą, ramię przy ramieniu, złączeni wspólnemi zachwytami i wspólną nienawiścią, zdobywając społem dla nas i drogich nam idei, kąt jakiś własny pod słońcem.

Niestety, marzenie to nie ziściło się — ciągnie daléj Rod. — Nie wiedzieliśmy naprzód o rozpraszaniu się talentów, idei i interesów, co jest jednym z faktów życia spółczesnego. Zapomnieliśmy, że prawo

różniczkowania stosuje się i do literatury, która utraciła rysy zbiorowe i wydaje dzieła, coraz bardziéj nacechowane piętnem indywidualném... W „szkole" naszéj był atoli inny jeszcze zarodek rozkładu: hasło, które wypisaliśmy na naszym sztandarze, nie licowało z nami. Może byśmy i mogli być „naturalistami" z przekonania, nie byliśmy jednak nimi z temperamentu, podobnie, jak i sam Zola, który skarżył się na „ferment romantyczny", jaki czuł w sobie i liczył na młodą generacyę, ażeby zrealizować całkowicie propagowaną przez się „reformę". Mistrz został atoli zawiedziony zupełnie w swych oczekiwaniach: naturaliści z przed lat dziesięciu odbiegli w różne strony od swego punktu wyjścia, skoro tylko przyszli do poczucia swéj właściwéj istoty — Huysmans, Hennique, a nawet Maupassant i inni porzucili „powieść obserwacyjną".

Dodać jeszcze należy —mówi Rod—że musiały się w nas wytworzyć potrzeby, których naturalizm nie mógł zaspokoić: ze swéj istoty był on zadowolniony z siebie, nader ograniczony, materyalistycznie nastrojony, interesujący się raczéj obyczajami, niż charakterami, więcéj rzeczami, niż duszami—my zaś byliśmy i stawaliśmy się coraz bardziéj umysłami niespokojnemi, zapatrzonemi w nieskończoność, idealistami; mało zwracaliśmy uwagi na obyczaje, a w rzeczach szukaliśmy zawsze człowieka. Naturaliści zwracali się do wzorów konkretnych, w literaturze do Balzaca, w malarstwie do Maneta lub Courbeta, nas zaś pociągał Stendhal i Gustaw Moreau.

Każdy zresztą robił doświadczenia na swój sposób. Rod opowiada szczegółowo historyę własnego rozwoju, przedtém jednak zaznacza kilka przyczyn ogólnych, które oddziaływały na ludzi jego generacyi. Od lat dziesięciu — powiada — w otaczającą nas atmosferę przeniknęło wiele nowych idei i możnaby już napisać cały rozdział historyi o różnych prądach, które się wytwarzały i zwalczały nawzajem. W jaki sposób naprzykład — zapytuje autor — dzisiejsza literatura, wyrafinowana i arystokratyczna, wyjść mogła z ruchu utylitarnego i demokratycznego, który wiek nasz z sobą unosi? W jaki sposób symbolizm mógł się zrodzić pod wpływem mistrzów, którzy odrzucali wszystko, co nie było faktem namacalnym? W jaki sposób spirytualizm, którym przesycone są tak silnie utwory literackie najmłodszych, mógł tak szybko nastąpić po materyalizmie, podtrzymywanym przez filozofię, politykę i obyczaje? Na pytania te nie daje krytyk odpowiedzi, powiada jednak, że jeżeli literatura zapowiada i poprzedza wielkie ruchy społeczne, co, dodajmy, jest jeszcze wątpliwém, zbliżamy się do zupełnéj reakcyi we wszystkich dziedzinach!

Do wpływów natury wewnętrznéj, które oddziałały na zmianę prądu, krytyk zalicza wpływy zagraniczne, powiada jednak, że nie należy ich przeceniać, ziarna te bowiem padły na grunt dobrze przygotowany, posłużyły jednak niewątpliwie dla szybszego uświadomienia i skrystalizowania się zmian, jakie miały się we wnętrzu narodowéj świadomości francuskiéj dokonać.

Śród tych wpływów zewnętrznych wyróżnia Rod naprzód muzykę Wagnera, tak bardzo intuicyjną, notującą wrażenia z cudowną precyzyą. Daléj pesymizm Leopardiego, szczególniéj zaś Schopenhauera, wykazujący tak przenikliwie rozdźwięki między człowiekiem i naturą, sprzeczności tkwiące w naszym umyśle i sercu. Potém ten rodzaj malarstwa, który, czerpiąc swe wzory i natchnienia, u mistrzów „prymitywnych" barwami swemi i liniami budzi cały świat myśli. Tą wreszcie godną podziwu poezyą angielską, która uczy niemateryalności słów i obrazów. A nadewszystko — mówi autor — oddziałała powieść ruska, w któréj odnajdują się wszystkie te rysy, lecz złagodzone i jakby ożywione młodością i popularnością ich autorów...

W pracy swéj, zatytułowanéj *Etudes sur le XIX siècle* (1888 r.), złożył Rod daninę tym wpływom zewnętrznym, zamieszczając w niéj studya, poświęcone Wagnerowi i estetyce niemieckiéj, prerafaelitom angielskim, Leopardiemu i werystom włoskim. Jako Szwajcar z pochodzenia—obecnie profesor literatury w uniwersytecie genewskim — chociaż wychowany i wzrosły w atmosferze paryskiéj, Rod mógł lepiéj niż Francuz ze krwi i kości, ocenić i zrozumiéć te wpływy postronne.

Leopardi pociąga Roda nietylko swoim pesymizmem (który krytyk stara się łagodzić), nie tylko tém, że „miał być wielkim i silnym w cierpieniu", że miał odwagę bólowi patrzéć prosto w oczy, lecz i innemi rysami, które czynią wielkiego pesymistę Włoch jeszcze bardziéj współczesnym. U Leopardiego mianowicie spotykamy już nadzwyczajne rozpanoszenie się ducha analizy, rozbioru, który jest plagą doby spółczesnéj. Siostra Leopardiego, Paolina, z którą łączyły poetę nader serdeczne stosunki, woła w jednym z listów, że zbytek refleksyi dobija ją. Spotykamy atoli u Leopardiego jeszcze coś więcéj: wielkie wyrafinowanie idei moralnych, tak obce fazie naturalistycznéj, a nadto, mimo całego pesymizmu, głęboki idealizm, zaczerpnięty w szkole Dantego i Petrarki, oraz w szkole platoników Odrodzenia. Leopardi wychował się w téj podniosłéj atmosferze spirytualistycznéj, w któréj miłość przeczysta i wiara gorąca zléwały się w jedno mistyczne uczucie. Źródłem miłości dla włoskiego poety jest piękno duszy. Leopardi różnił się tém jednak od swych pierwowzorów z epoki Dantego, że owiany był, nieznanym owym mistrzom, sceptycyzmem, że

przez nadmiar analizy i cierpienia doszedł do pesymizmu, z którego stworzył rodzaj doktryny. W tém ostatniém nie zgadza się z nim Rod i powiada, że najlepszym środkiem na to, ażeby być człowiekiem „czynnym i użytecznym”, jest być „iluzyonistą” i „mieć odwagę swéj niewiadomości”.

Rod poświęcił piękne studyum ruchowi, który wypłynął z tych samych źródeł, co najczystsze natchnienia Leopardiego — prerafaelitom angielskim. Ruch ten wielce oryginalny i pociągający, rozpoczął się w Anglii około roku 1850-go i szedł równolegle z odrodzeniem religijném, z odrodzeniem gotyckiém i płodną działalnością wielkiego krytyka Anglii, Ruskina. Jeżeli dodamy do tego „estetyzm”, otrzymamy jeden wielki ruch, podzielony na kilka odcieni i prądów, którego wspólną cechą jest podniosły idealizm, spirytualizm i mistycyzm, czerpiący swe natchnienia w epoce Dantego, szukający swych wzorów u mistrzów „prymitywnych”, którzy poprzedzili Rafaela — ruch wreszcie, który umiłował przedewszystkiém gotyk i wieki średnie i nie lubił odrodzenia. Anglia kroczy zupełnie samodzielnie po drodze rozwoju. Ruch powyższy, który zjawił się po chwilowéj przerwie, zaszłéj po śmierci Shelley'a, Byrona, Keats'a i Coleridge'a, rozkwitał w Anglii w téj saméj chwili, kiedy na kontynencie, w części następnie za przykładem myślicieli angielskich: Buckle'a, Darwina, Spencera, rozpoczynał się i rozwijał ruch materyalistyczny i naturalistyczny. To też obecnie, gdy rozpoczyna się znów na lądzie stałym ruch idealistyczny, epoka Ruskina i prerafaelitów zaczyna liczyć coraz więcéj zwolenników i badaczy.

Prerafaelizm zawdzięcza swój początek kilku malarzom, związanym węzłami jednych przekonań, przyjaźni i braterstwa. Najwybitszym między nimi był Dante-Gabryel Rossetti, syn włoskiego emigranta, malarz i poeta zarazem. „Dante-Gabryel, powiada Rod, wychowany był w uwielbieniu dla téj wspaniałéj epoki (Dantego), kiedy dusza ludzka zdawała się być bardziéj podatną dla uczuć głębokich i szczytnych i kiedy poezya mistyczna, posługująca się obrazami, zaczerpniętemi raczéj z wizyi, niż z rzeczywistości, cała przejęta zaziemskiemi aspiracyami, utożsamiała miłość ziemską z adoracyą mistyczną.” Rossetti, którego ojciec był również wielbicielem i komentatorem Dantego, przejął się do tego stopnia tą epoką, że mógł następnie tłómaczyć najciemniejsze ustępy Dantego, Guido Cavalcantiego i Guinicellego. Zapoznawszy się z „poetami dusz”, przeszedł następnie artysta do „malarzy dusz”, od zachwytów *Vita nuova* do obrazów Beato Angelico.

Prerafaelici sztukę porafaelowską uważali za „malarstwo histo-

ryi naturalnéj zwierzęcéj części człowieka", sami zaś starali się odtwarzać przedewszystkiém duszę ludzką w jéj najczystszych dążeniach i zachwytach. Sztukę uważali za rodzaj apostolstwa, a wzorów dla swych obrazów szukali u tych malarzy przedrafaelowskich, zwanych prymitywnymi, którzy, pomijając dekoracye, subtelnemi i wyrazistemi rysami starali się oddawać wewnętrzny nastrój człowieka, przedewszystkiém podniosłe stany ekstazy religijnéj i moralnéj. Dalszymi kontynuatorami tego ruchu w Anglii są poeci William Morris i Swinburne, oraz malarz Edward Burne Jones. Miejsca nam braknie na szczegółowszą charakterystykę prerafaelizmu, zakończymy już więc tylko słowami Roda, że działalność znana pod tą nazwą była najpiękniejszą protestacyą, jaką artyści i myśliciele mogli założyć przeciwko pospolitemu merkantylizmowi, zadowolnionéj mierności i pozioméj zręczności w sztuce spółczesnéj. Najnowsze kierunki w malarstwie francuskiém, których wybitnym przedstawicielem jest Puvis de Chavannes, wstępują na tę samą drogę, po któréj kroczyli prerafaelici angielscy.

W wybornym szkicu o Wagnerze i estetyce niemieckiéj dowodzi Rod, że idee o połączeniu muzyki i poezyi w jednym dramacie lirycznym, o syntezie sztuk poszczególnych w jednéj wielkiéj sztuce, która byłaby zarazem religią ludzkości, lub stała w bezpośrednim związku z wiarą objawioną czy intuicyjnie odkrytą, że myśli te, które uzasadnił Wagner teoretycznie i urzeczywistnił je w swoich dziełach, wypowiadali przed nim wszyscy myśliciele i estetycy niemieccy: Lessing, Herder, Hegel w tych samych prawie słowach. Estetyka i dzieła Wagnera są wytworem zbiorowego geniuszu niemieckiego i noszą na sobie wybitne narodowe piętno niemieckie. Mimo to „wagneryzm" stał się ostatniemi laty nader popularnym we Francyi, szczególniéj w kołach symbolistów, czego najlepszym dowodem jest Karol Morice, którego poglądy estetyczne nawskroś przesiąknięte są wagneryzmem.

Najnowsza literatura włoska nie oddziaływała na Francyą. Mimo to, Rod szczegółowo zajmuje się „weryzmem", w którym odnajduje cechy sympatyczne i nowoczesne. Weryzm przeciwstawiany idealizmowi nie jest jednak zwykłym realizmem lub naturalizmem w francuskiém znaczeniu. Jeden z przedstawicieli tego kierunku Luigi Capuana, autor *Giacinty*, poszukuje w swych nowelach i powieściach tematów niezwykłych, rzadkich, a nadto żywo interesuje się nawet spirytyzmem. Najgłośniejszy z werystów, Giovanni Verga, Sycylijczyk, podobnie jak i przyjaciel jego Capuana, kreśli z przerażającą prawdą obrazy z życia biednych rybaków Sycylii, jak w powieści *Malavoglia*, nie po to jednak tylko, ażeby barwnie odtworzyć pewien

skrawek natury. Utwory Cezara Tronconiego jeszcze bardziéj przesiąknięte są tendencyjném wykrywaniem zła i niesprawiedliwości, co również widać w utworach Carlo Dossi, Domenico Ciampioli i innych. Zajmując się utworami zagranicznych pisarzy i artystów i przedstawiając je z wielką znajomością rzeczy, Rod zawsze ma na widoku chęć wykazania, że powieść nie powinna być tylko dokumentalném odtwarzaniem życia, odtwarzaniem indyferentném i przytém tego tylko, co jest barwném i uderza na zmysły, lecz powinna wkluczyć nieodzownie w zakres swych badań i spostrzeżeń subtelne zagadnienia psychologiczne i etyczne; powinna nadto odtwarzać życie nie obojętnie, przedmiotowo, lecz zwalczać w niém zło i podnosić dobro, słowem, być tendencyjną w najszlachetniejszém znaczeniu tego wyrazu.

Tego rodzaju właśnie tendencyjność, przejęcie się ważnemi zadaniami moralnemi i społecznemi, żywe współczucie dla nieszczęśliwych,—oto powody, dla których Rod ceni wysoko utwory Dostojewskiego i Tołstoja, i dla tych właśnie zalet wywarły one silny wpływ na literaturę francuską, pogrążoną w moralnym indyferentyzmie i zaplątaną w estetycznych jedynie zagadnieniach.

Mówi następnie Rod o wpływie Bourget'a, który w chwili pisania swych *Essais de psychologie contemporaine* był pośrednikiem niejako między starszymi a najmłodszém pokoleniem pisarzy; widziało w nim ono swego starszego kolegę. Idee, które Bourget wypowiedział w tych szkicach, były ideami ówczesnego młodego pokolenia, oddalającego się od naturalizmu i materyalizmu i lubującego się już w delikatnych odcieniach psychologicznych.

Rod opowiada, w jaki sposób sam oddalał się zwolna od naturalizmu. *Le Roman expérimental* Zoli był mu powodem rozmyślań i refleksyi. W pracy téj rozróżnia autor Rugonów eksperyment od obserwacyi (doświadczenie od postrzegania), pozwalając powieściopisarzowi stosować je razem lub oddzielnie, stosownie do wypadku. Mnie, powiada Rod, pociągał bardziéj eksperyment, jako dający więcéj swobodnego pola literackiéj twórczości. Obserwacya, mówi autor, czyni pisarza fotografem i każe mu pomijać to, co fakty mają najciekawszego—mianowicie ich znaczenie. Doświadczenie, przeciwnie, pozwala autorowi wyciągać wnioski, robić przypuszczenia, ono zmusza go nawet do wyciągania z własnego wnętrza wiązadeł, które istnieć muszą między faktami, a wymykają się obserwacyi. Eksperyment powieściopisarski otwiéra szerokie pole domysłom i fantazyi..., ale i dowolności, dodamy.

Refleksye te nie miały przejść bez śladu. Zobaczymy następnie, że wszystkie powieści Roda zbudowane się na eksperymentacyi, pojmowanéj w ten sposób.

III.

Główną pracą krytyczną Roda, która pozwala go nam uważać jako „krytyka-moralistę" jest wzmiankowane już dzieło *Les Idées Morales du temps présent.* Tytuł jest nieco za obszerny, na co sam autor zwraca uwagę w przedmowie. Istotnie, idee moralne czasu naszego przejawiają się w wielu dziedzinach, o których nie mówi książka genewskiego profesora. Spotykamy je w myśli i w czynach na różnych polach działalności społecznéj: na kazalnicy, na parlamentarnéj trybunie i profesorskiéj katedrze, w wielorakiéj działalności społecznéj, w miłosiernych uczynkach i przy domowém ognisku. Autor uprzedza, że ma mówić o jednym tylko epizodzie tego ruchu, o „epizodzie literackim"—czém zdaje się wskazywać związek, jaki istnieje między różnemi prądami społecznemi a literaturą, a nadto, nie chciałby zapewne zacieśniać do literatury wyłącznie spółczesnych zagadnień moralnych, w czém miałby najzupełniejszą słuszność, literatura bowiem jest tylko jednym z objawów życia zbiorowego i bodaj, że nie najważniejszym.

W uznaniu téż téj solidarności społecznéj, jaka łączyć powinna różne prądy, dążące różnemi drogami do wspólnego celu, Rod poświęcił swą pracę Pawłowi Desjardins, autorowi broszury *La dévoir present*, która miała znaczny rozgłos i któréj autor nawoływał gorącym głosem Piotra Pustelnika do obowiązku i cnoty. Poświęcając ją mówił, że łączy ich wspólna dążność i umiłowanie tych samych zagadnień. „Zdaje mi się, pisał Rod, iż kroczymy po jednéj drodze, lubo ruchy nasze się różnią. Wasz krok jest pewniejszy, niż mój; wy macie pewność, od któréj ja jeszcze jestem daleki, do któréj może nigdy nie dojdę; wy macie cel ściśle określony, ja błąkam się po drodze, używając przyjemnéj przechadzki. W braku atoli jednakich przekonań mam wspólne z wami sympatye i ciekawość."

Te właśnie pobudki popchnęły krytyka do rozpatrzenia „poglądów niektórych przewodników myśli francuskiéj" ze specyalnego i wyłącznego punktu widzenia—z punktu widzenia moralności. Rod, pomijając inne strony rozbiéranych pisarzy, chce się dowiedzieć tylko: jak się zapatrują oni na zagadnienia moralne. Punkt wyjścia, przyznać należy, nowy i oryginalny, dotychczasowa bowiem krytyka literacka, szczególniéj we Francyi, nie rozpatrywała literatury z tego

mianowicie stanowiska. I literatura sama nie wiele wątku dostarcza wprost do scharakteryzowania poglądów i dążności etycznych myślicieli i pisarzów spółczesnych. Literatura spółczesna we Francyi nie miała wcale na widoku zagadnień moralnych i potrącała o nie zaledwie mimochodem, to też Rod wyraża obawy, że, charakteryzując z moralnego punktu widzenia utwory literackie lub publicystyczne i filozoficzne, mimowoli narzucić może ich autorom pewne całokształty poglądów moralnych, nie zupełnie odpowiadające wyobrażeniom i chęciom piszących. Nie zraża go jednak ta trudność i odważnie przystępuje do dzieła, wyrabiając sobie w ten sposób odrębne stanowisko w szeregu spółczesnych krytyków francuskich.

Pisarze, których poddaje Rod specyalnemu temu rozbiorowi, tworzą — powiada — rodzaj krzywéj, która się rozpoczyna od Renana, a kończy na Melchiorze de Vogüé.

Skłonny jestem mniemać, powiada Rod, że ten ostatni (Vogüé, Desjardins) ma racyę, lubo sam nie posuwa się tak daleko w kierunku „neo-chrystyanizmu".

Jeszcze jedno zastrzeżenie śpieszy zrobić krytyk, nim przystąpi do rozstrząsań. Jest on wielkim wielbicielem Renana i Zoli, z estetycznego, literackiego punkta widzenia, ponieważ zaś nie będzie miał sposobności wypowiedzićć tego przy moralnym wyłącznie rozbiorze ich dzieł, czuje więc nieodbitą potrzebę powiedzenia tego, ażeby w ten sposób ulżyć literackiemu swemu sumieniu i nie wprowadzać w błąd czytelnika co do uczuć i sympatyi, jakie żywi względem rozstrząsanych autorów. *Et pour cause!* Jak na herolda religijno-moralnego *revival*'u Rod za mało ma wiary i za mało stanowczości. Pomimo dobrych chęci, jakiemi jest przepełniony, zdradza się w nim na każdym kroku dawny renanista, lubiący namiętnie przechadzki po krętych korytarzach labiryntu idei, tym razem religijnych i moralnych, i dawny zolista, lubo w daleko mniejszym stopniu. Nie zapominajmy jednak, że jesteśmy dopiéro w początkach nowego zwrotu, że więc i Rod zrobić może jeszcze nie jeden krok po drodze ku doskonałości.

Renan z r. 1848-go różni się znacznie od Renana doby ostatniéj. Pierwszy był entuzyastycznym zwolennikiem nauki czystéj i ścisłéj, oskarżał chrystyanizm o spaczenie życia doczesnego przez ukazywanie złudnych mirazów przyszłego; twierdził, że celem ludzkości nie jest szczęście, lecz intelektualne i moralne doskonalenie się bez końca, tém jednak składał świadectwo religijnego i duchownego wychowania, jakie odebrał, że silnie wierzył w swe przekonania i patrzył poważnie na zadania życiowe. Lekkomyślny sceptycyzm piętnował mianem głu-

poty i moralnéj nicości. Moralnością nigdy nie pomiatał, wierząc mocno w nowoczesny ruch postępowy, w boskie przeznaczenie ludzkości, w rozum, w godność człowieczą. Skarżył się już jednak podówczas, że „świat bez Boga ubogi jest w cnoty". Potém odnalazł i Boga pojmowanego na swój sposób, początkowo jednak wczytywał się gorliwie w pisarzy XVIII-go wieku, ceniąc ich za siłę przekonań; przedewszystkiém atoli pociągał go Rousseau, potém saint-simonizm. Marzył o wychowaniu i doskonaleniu mas. Wówczas już jednak przekładał spokojną kontemplacyą nad czyn, stawiał ją wyżéj, twierdząc, że człowiek czynu musi być pewnego rodzaju miernotą...

W tym czasie odbył Renan wycieczkę do Palestyny, oddając się poszukiwaniom lingwistycznym i historycznym, i chrystyanizm, który był niedawno porzucił, podbił go znowu z podwójną siłą, mocą historycznych wspomnień i czarem idylli, którą przez mgłę wieków dojrzał nad brzegami jeziora Tyberyadzkiego. Był to chrystyanizm nie skrystalizowany jeszcze w dogmaty i nie stanowiący silnie zorganizowanego kościoła, lecz chrystyanizm prymitywny, złożony z garstki ludzi prostych i szczerych, ulegających nieprzepartemu czarowi mistrza. I Renan poddał się temu urokowi, jak apostołowie, jak celnicy, jak Marya z Magdali. Powrócił wówczas i do religii, do religii jednak niepodobnéj do żadnych wierzeń pozytywnych. Wiarę tę utkał ze szczytnych aspiracyi intelektualnych i moralnych i dał jéj Boga, nie będącego żadną istotą samą w sobie, lecz tylko wytworem ludzkiego umysłu i sumienia. Zawsze jednak był to Bóg, uosobienie ideału i była to religia, kult idei. Tylko że religia owa nie miała w sobie nic stałego i absolutnego. Renan, patrzący na świat i ludzkość z historycznego punktu widzenia nie uznawał prawdy bezwzględnéj. Wszystko było względném, a prawda była właściwie tylko poszukiwaniem prawdy, bez ujęcia jéj saméj. Stąd téż cenił Renan więcéj pobudki czynów, niż same czyny. Święci mężowie wydawali mu się kamieniem węgielnym ludzkości nie przez to, co zdziałali, lecz przez to, że swemi aspiracyami składali świadectwo wyższości i boskości natury ludzkiéj. Złudna gra słów i względność wszystkiego w poglądach Renana dała powód do wielu błędnych wywodów, stała się powodem intelektualnego zamętu; jednakowoż moralność, którą propagował autor „Historyi Izraela" i „Początków chrześciaństwa", lubo dostępna dla umysłów wyższych jedynie, jest nader szczytną, podniosłą, idealistyczną, podobnie jak połączona z nią teologia. Jako moralista, powiada Rod, Renan żyć będzie długo, od czasów bowiem Platona nikt nie wypowiedział więcéj prawd zasadniczych o zagadnieniach ducha i serca ludzkiego. Krytyk przewiduje, że autor „Kapłana

z Némi" liczyć będzie mnogich uczniów i komentatorów na długie jeszcze wieki...

Rozpatrując w pesymistycznéj filozofii Schopenhauera, krytyk zapytuje: czemu przypisać ten pesymizm, i dochodzi do wniosku, że tkwił on nie w okolicznościach zewnętrznych, życie bowiem myśliciela niemieckiego złożyło się dość pomyślnie i wygodnie, lecz w własném jego usposobieniu. Po swojém ojcu, samobójcy, odziedziczył Schopenhauer skłonność do melancholii, chorobliwą obawę i nieufność do wszystkiego... prawie że manii prześladowczéj. Przy takiém usposobieniu świat przedstawiać mu się musiał w czarnych kolorach, że zaś był obdarzony niepośledniemi zdolnościami i całe życie poświęcił rozmyślaniu, wypracował więc cały rozległy system, nacechowany wielką erudycyą, w którym dowodził, że w ewolucyi istot organicznych ból idzie w parze z rozwojem i że człowiek, jako istota najwyżéj rozwinięta, stworzony jest przedewszystkiém dla cierpienia i niezdolny doznawać przyjemności. System ten przypadł bardzo do smaku tym, których chorobliwa nadczułość zwróciła się w stronę niewesołych rozmyślań. Pesymizm, powiada Rod, jest jednocześnie pewnym stanem psychicznym i doktryną, rozróżnia przytém pesymizm od mizantropii. Jeżeli pesymizm może być tylko systemem filozoficznym, nastrojonym na smutną nutę eklezyasty, to mizantropia jest filozofią ludzi złych i złośliwych, radych z cudzego nieszczęścia i usprawiedliwiających w ten sposób własne samolubstwo i oschłość serca. Schopenhauer jest jednocześnie pesymistą i mizantropem, a niekiedy i mistykiem, stroniącym od wszelkiego czynu. Mimo to w jego filozofii powszechnego bólu znaléść można piękne maksymy, poświęcone dobroci, miłosierdziu i heroizmowi. Na ustępy te nie zwracali oczywiście uwagi ci, co obrali go sobie za mistrza. Starali się natomiast doprowadzić do przesady jego zgorzkniały i hipokondryczny pesymizm. Schopenhauer miał we Francyi licznych zwolenników i komentatorów w młodém pokoleniu, które wyrastało po roku 1870-ym. Grono to powiększyli następnie cierpiący na nadmiar analizy i chorobliwą imaginacyę.

Zola należy do generacyi, która się wychowywała za czasów drugiego cesarstwa i nazywała się „pozytywną", dlatego powiada Rod, że była materyalistyczną i ograniczoną, ponieważ uważała za właściwe przeczyć wszystkim „realnościom", które nie podpadały pod zmysły, takim np. jak sumienie lub coś pozazmysłowego; ideał swój pokolenie to, ciągnie daléj krytyk, umieściło bardzo blisko i bardzo nisko, tak, żeby go ręką można dosięgnąć; usunąwszy niektóre zagadnienia sądziło, że je rozwiązało; w nauce zresztą generacya ta wytwo-

rzyła sobie pojęcie fałszywe, graniczące z absurdem, starając się za pomocą paru teoryjek rozwiązać wszystko. Świat nie miał dla niéj tajemnic.

Autor *Rougon-Macquartów* wzrastał w téj atmosferze. Ukląkł przed nauką, ubóstwiał ją, co go atoli nie zrobiło uczonym, uczyniło go natomiast człowiekiem, wierzącym nawet w naukowe przesądy. Ludzie bardzo wierzący, powiada Rod, wyobrażają sobie, że są dokładnie poinformowani o tém, w co wierzą: Bóg się im objawia, czują go, widzą, radzą się go w najdrobniejszych sprawach i otrzymują natychmiastowe odpowiedzi. Wiedzą oni, w jaki sposób dusza oddziela się od ciała, jak wznosi się ku niebu, znają dobrze niebo i ostateczne wyroki... Podobnie Zola przejął się tak gorącą miłością nauki, że zdawało mu się, iż ją posiadł. Kilka prac Klaudyusza Bernarda wystarczało mu. Czyż Biblia nie wystarcza wierzącym!

Wiadomo, że Zola przejął się głęboko, nie zupełnie jeszcze zbadaną, kwestyą dziedziczności i zrobił ją osią wielkiéj swéj powieściowéj epopei. Zola jest przytém, w zasadzie przynajmniéj, zupełnym deterministą. Człowiek, w jego pojęciu, jest wytworem dziedziczności, otoczenia i własnego organizmu; nie ma wolnéj woli, ani jest odpowiedzialnym. Mimo to, Zola jest moralistą, powiada krytyk, moralistą z instynktu i temperamentu, wbrew wyznawanym przez się teoryom. Dostarczając pewnych dokumentów ludzkich, uważa on, iż spełnia dzieło moralizatorskie, dopomaga do zwalczania zła i tryumfu dobra. Starając się wyplątać z zaczarowanego koła, w jakie go wprowadziły teorye i własny temperament, twierdził on, że zło rodzi zło, dobro zaś wydaje dobro, w czém znajdował punkt wyjścia. Mówił przytém o „wysokiéj i surowéj filozofii dzieł naturalistycznych"; trzymamy się, mówił, moralności naukowéj, nowoczesnéj, która poszukuje przyczyn, stara się je wykrywać i oddziaływać na nie... Jeżeli jednak, mówi krytyk, człowiek nic nie znaczy jako jednostka do pewnego stopnia samodzielna, twórcza, obdarzona wolną wolną i odpowiedzialna, to na co nam się przyda moralizatorska propaganda? Winna wszystkiemu natura, człowiek zaś jest tylko ślepém jéj narzędziem. Wobec tego fatalizmu wszechrzeczy stajemy bezsilni; możemy mu tylko ulegać, nic w niém zmienić nie będąc w stanie. Co najwyżéj możemy oddziaływać zdaleka na przyczyny, na dalekie przyczyny fizyczne, gubiące się gdzieś w pomroku czasów i przestrzeni — nie możemy jednak oddziaływać wprost na człowieka, na jego rozum, wolę i sumienie! Taka jest przynajmniéj logika deterministycznéj doktryny i wielu w ten sposób na nią patrzało, podkopując w sobie ducha inicyatywy i poprawy. Zola atoli wolał być niekonsekwentnym, niż

sprzeniewierzyć się swemu tempamentowi. Mimo narzuconego obiektywizmu, któremu stara się być wiernym, zdradza niekiedy swe sympatye dla jednych, swą nienawiść dla drugich, rozróżnia dobro od zła.

Zgadzam się, powiada krytyk, wyjątkowo na literaturę czysto artystyczną, bez żadnych innych tendencyi prócz piękna. Uczony jednak *ès sciences humaines*, który chce obserwować tylko ludzi, nie czując dla nich ani sympatyi, ani antypatyi, który nie stara się pokierować nimi, nie myśli o ich przyszłości, o ich dobru, obojętny jak zbiéracz marek pocztowych, nie wrażliwy jak fizyolog w swém laboratoryum, oto rzecz dla mnie niepojęta — dodaje Rod. Objawy dusz naszych nie mogą być obojętnemi faktami. I nie można mówić, że człowiek jest niczém, drobném ziarnkiem piasku, którém wiatr dowolnie pomiata. Człowiek jest mikrokosmem zapewne, jak twierdzili alchemicy, światem drobnym, zawsze jednak światem, który odbija w sobie czas i przestrzeń; sama już przytém niewiadomość, która nas otacza, daje nam pewną stałość, odporność... Porzuciwszy przytém subtelności metafizyczne i schodząc na padoł ziemskiego naszego istnienia, tém lepiéj zrozumiemy, iż jesteśmy czémś przecie. Otaczają nas masy istot, które kochają, walczą, cierpią, pracują, dobijają się czegoś. Czyż my jedni, myśliciele i artyści, mamy pozostać wśród nich wszystkimi obojętnymi jedynie widzami. I gdyby Zola, powiada krytyk, mniéj myślał o swéj nauce i o swéj prawdzie obiektywnéj, więcéj zaś o swych czytelnikach, możeby zauważył, że niektóre obrazy, w których upodobał sobie jego umysł literackiego ascety, są niebezpieczném widowiskiem dla ludzi prostych, zbyt łatwo ulegających swym wrażeniom i instynktom, i możeby się zapytał, czy wszystkim oczom przystoi widok jego laboratoryum socyologicznego, ugarnirowanego rozkładającemi się trupami...; pytałby może, czy ostry zapach prawdy znieść mogą wszystkie nosy i czy jego prawda jest prawdą niezbitą istotnie? Zresztą, utwory Zoli są, bądź co bądź, lepszemi, niż teorye naturalistyczne.

Drogę, jaką przebiegł dotychczas Bourget, charakteryzuje Rod w sposób następujący. Kreśląc swe „Szkice psychologii spółczesnéj”, Bourget skłaniał się ku dekadentyzmowi (przy charakterystyce Baudelaire'a), następnie ku renanizmowi i „dyletantyzmowi”, pojmowanemu jako gra w najsprzeczniejsze idee. W kilka lat później w zakończeniu powieści *Mensonges* zjawił się nowy czynnik. Ksiądz Taconet głosił tam odpowiedzialność przewodników myśli ludzkiéj, wyższość czynu, zbawienie przez miłosierdzie i wiarę — program, powiada krytyk, całkowity i prosty, będący w rażącéj sprzeczności z teoryą deka-

dentyzmu i dyletantyzmu. W rok potém pisał Bourget ową wymowną przedmowę do *Disciple*'a, w której zwracał się do spółczesnego młodzieńca z temi słowy: „Niech próżna zarozumiałość nie zrobi z ciebie nigdy cynika i pajaca idei! W tym czasie zakłóconych sumień i sprzecznych doktryn chwyć jako deskę zbawienia te słowa Chrystusa: „po owocach ich poznacie je". Jest pewna rzeczywistość, o któréj nie powinieneś wątpić, to twoja dusza. Pomiędzy ideami, które cię oblegają są takie, które czynią tę duszę mniéj zdolną do kochania, osłabiają wolę. Bądź pewnym, że te idee są fałszywe, choćby były bardzo subtelne i głoszone przez najznakomitsze imiona, odziane czarem najgłośniejszych talentów. Rozwijaj i pielęgnuj w sobie te dwie wielkie cnoty, te dwie energie, miłość i wolę, po za któremi jest tylko fałsz i zguba." Treść jednak „Ucznia" nie odpowiadała, mówi Rod, téj przedmowie. W jaki sposób, powiada krytyk, ta niepokojąca historya eksperymentu z namiętnością miała się przyczynić do moralnego odrodzenia? Czyż niezdrowe analizy Roberta Greslou są dobremi lekcyami dla téj młodzieży, w któréj mamy rozwijać czystą miłość i wolę?... Nie dość na tém. Jednocześnie prawie z „Uczniem" drukował Bourget, w *Vie parisienne*, dla innéj publiki inną pracę: „Fizyologię miłości nowoczesnéj", pełną dziwnie przenikliwéj analizy, zaprawną atoli sceptycyzmem, będącą o sto mil od głoszonego powyżéj ideału. Nie, nie pojmuję w istocie, powiada Rod, co dorastająca generacya wygrać może, karmiąc się zniechęcającemi analizami, jakich pełne są powieści Bourgeta, np. *Un coeur de femme*. Sam on przyznaje, że analiza, przekraczająca pewne granice jest występkiem, lub co najmniéj słabością. Czyżby nie było rzeczą prostą: chcąc ją usunąć z życia, usunąć ją przedewszystkiém z literatury, która ją propaguje? Pisarze powinni więc powstrzymać się od niezdrowego rozbioru, jak się powstrzymujemy od alkoholu lub morfiny. Należy zdrowie moralne kłaść przed bogactwem umysłowém, czyn przed myślami... Rod przychodzi do wniosku, że w Bourgecie walczą dwie sprzeczne indywidualności, które się nie mogą pogodzić: miłość wiary i radykalny sceptycyzm. Bourget jest moralistą z instynktu. Już w *Essais* wyznaczał wiele miejsca zagadnieniom moralnym i czynił to w chwili, kiedy te zagadnienia zdawały się zupełnie wykluczone z literatury pięknéj. Młody wówczas autor znajdował się pod wpływem Flauberta, Zoli i Goncourt'ów, torując sobie atoli własną drogę i odradzając, na wzór Stendhala, dawną powieść psychologiczną.

Kto wié, Bourget dotrze może jeszcze kiedy do portu stałych przekonań. Ostatnie powieści wykazują ciągły postęp w tym kierunku. Na drodze jednak do zbawienia stoją mu, powiada Rod, dwie

przeszkody, nader trudne do zwalczenia. Najprzód, zamiłowanie światowéj elegancyi. Stwarza on dla swych postaci powieściowych atmosferę zbytku i rozkoszy, która osłabia wolę i utrzymuje sumienie w stanie półsennym, mało odpowiednim dla zbawczych nawrotów. Zamiłowanie zbytku i elegancyi z trudnością godzi się, zdaniem genewskiego krytyka, z praktyką cnoty. Cnota, taka jak ją pojmuje świat nowoczesny od czasu Chrystusa, jest pokorną, biédną, ludową. Prędzéj wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty dostanie się do królestwa niebieskiego — powiedział Chrystus. I jestto zrozumiałe: nie ma czasu myśléć o swéj duszy, kto zbyt jest zajęty zmysłami... Druga przeszkoda jest jeszcze ważniejszą. Jest nią zbyt bogata i wielostronna inteligencya autora *Cosmopolis*'u. Podobnie jak wyrafinowanie w zbytku, wyrafinowanie umysłu nie da się pogodzić z cnotą. Wszelkie bogactwa, powiada Rod, niemateryalne, jak i inne, niosą w sobie zaród zagłady, karę za sprawiane rozkosze: królestwo boże otwarte jest tylko dla ubogich duchem. Podobnie jak majątek powstaje na ruinach i inteligencya zdobywa się tylko przez niszczycielstwo. Inteligencya jest, z natury swéj, negacyjną: oto fakt brutalny, mówi krytyk, który lojalnie stwierdzić należy. Psycholog i dyletant toczy w duszy Bourgeta ustawiczną walkę z człowiekiem wierzącym i moralistą.

Pod koniec swéj charakterystyki Bourgeta stawia Rod pytanie, które dziwném się może wydawać w ustach krytyka literackiego, całkiem atoli przystoi moraliście: czy książki Bourgeta dobre są lub złe? I nie odpowiada na nie stanowczo, sam bowiem, podobnie jak krytykowany autor, jest dwoistym. Z punktu widzenia prostéj, surowéj moralności utwory Bourgeta, powiada, nie są dobremi książkami. Jeżeli jednak obok moralności, która kieruje naszemi czynami, może istniéć druga, która pobudza nas do myślenia i zastanawiania się nad zagadnieniami psychicznemi i etycznemi — to książki Bourgeta są dobre.

Nie możemy przytaczać wszystkich charakterystyk Roda, ale oto jeszcze parę słów o Lemaitrze. Juliusz Lemaitre rozpoczął swą karyerę krytyczną głośnym artykułem o Renanie, w którym gorąco i ostro napadał na „epikurejską mądrość” mistrza i nazywał go „wielkim koruptorem naszego wieku”. Późniéj sam krytyk uległ destrukcyjnemu wpływowi „kapłana Nicości” i sam został wielostronnym renanistą i impresyonistą krytycznym. Od zupełnego atoli rozbicia uchroniło go wiele wrodzonego rozsądku, z pierwszego przytém moralizatorskiego rozpędu coś pozostało. Lemaitre ma wiele tkliwości dla chrystyanizmu, przyznaje, że zbogacił on duszę ludzką, lubi Ewange-

lię dla jéj idylicznych piękności, dla jéj głębokiego humanitaryzmu, słowem, wytworzył sobie, podobnie jak Renan, religią bez Boga. Zagadnienia religijne i moralne zajmują go żywo, zna i czuje ich ważność, jest uczciwym człowiekiem, wyrozumiałym krytykiem, jest jednak także podwójnym, jak ludzie epoki przejściowéj.

I Brunetière, Bayard krytyki francuskiéj, nie jest rycerzem bez zarzutu. Bronił on zawsze pewnych idei zasadniczych i niewzruszonych, twierdził, że literatura i krytyka winna być obiektywną, zwalczał indywidualizm i „literaturę osobistą". Jednakowoż jedną z ważnych zalet Brunetièra jest jego indywidualność wybitna i stanowcza, która mu kazała swoje ja krytykujące przeciwstawić panującemu prądowi i długo płynąć przeciw wodzie. Krytyk obdarzony niepospolitą siłą i werwą polemiczną, znający i zwalczający prądy spółczesne zwrócił się do wieku XVII po wzory. Chcieć czegoś i chcieć stanowczo, wytrwale, jestto wielką siłą — powiada Rod. Brunetière był jednym z pierwszych, który położył tamę prądom negacyjnym i sceptycznym i przygotował rozpoczynającą się obecnie reakcyę. Rod zaznacza, że we wszystkich prawie kwestyach ma poglądy wręcz przeciwne zapatrywaniom Brunetièra, jednakowoż nie może się powstrzymać od wyrażenia podziwu dla jego działalności krytycznéj. Wiek XVII, który krytyk francuski obrał sobie za wzór, jest istotnie wiekiem literatury obiektywnéj, wykluczającéj sceptyczny i rozkładowy indywidualizm, i opiéra się na jedności metafizyki, wiary i moralności, przez co jest jednolitym, Wszelako, powiada Rod, wiek XVII doszedł do téj jedności, gwałcąc rozum i poddając go powadze, okrawając metafizykę i narzucając moralność pewnego pokroju. Za to pozostawiono rozległe pole kazuistyce i dyalektyce, co Brunetière'owi bardzo przypada do smaku. Odwołując się do tradycyi literackiéj francuskiéj, Brunetière zajął wybitne stanowisko we spółczesnéj krytyce francuskiéj, gdy jednak zaczął już odnosić zwycięstwo, sam poczuł, że tradycya nie jest dość trwałą i pewną podstawą krytyczną, począł więc jéj szukać w tym prądzie, który zwalczał—w zasadzie ewolucyjnéj, zastosowanéj do literatury. Czy w zmiennym tym potoku ruchomych objawów znajdzie Brunetière nić przewodnią i stałe zasady, których bronił, niedaleka przyszłość pokaże.

Charakteryzując Tołstoja w ostatniéj fazie jego działalności, Rod broni go przeciwko zarzutom ekscentrości i mistycyzmu. Jeżeli myśliciel z Jasnéj Polany wyrzekł się zbytku, jeżeli oddaje się pracy ręcznéj, żyje wśród ludu, nie przeceniając wartości nauki i cywilizacyi, to jest tylko w zgodzie ze swą doktryną i przekonaniami. Nie

trudno istotnie zauważyć, że ostatniém słowem wielu myślicieli i pisarzy—czego wymownym przykładem trójca naszych poetów—jest czyn. Rod zaznacza następujące trzy fazy w działalności tak popularnego dziś we Francyi pisarza: w pierwszéj fazie Tołstoj jest powieściopisarzem w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, autorem „Wojny i pokoju”, „Anny Kareniny”; już wtedy jednak, w osobie głównych swych bohatérów, wyprowadza samego siebie na scenę, poszukując z niepokojem, w czém leży treść życia. W drugiéj fazie („Moja spowiedź”, „Moja religia”) Tołstoj zajmuje się wyłącznie swém własném sumieniem i dochodzi w tym kierunku do pewnych stałych przekonań. W trzeciéj — zajmuje się propagandą tych przekonań, w szeregu drobnych traktatów i przypowieści, i stwierdza je czynem, Jest tylko konsekwentnym. Jeżeli przytém mistycyzmem nazwiemy kontemplacyę prawd pozaziemskich, to Tołstoj wcale nie jest mistykiem. W dodatku jest on zupełnie obojętnym na zagadnienie metafizyczne i kwestye pozaziemskie. Wiara jest dla niego znajomością życia i jego siłą żywą — niczém więcéj.

Przytoczyliśmy w głównych zarysach, niektóre z zapatrywań Rod'a na wybitniejszych pisarzy spółczesnych. Poglądy te charakteryzują go dostatecznie jako krytyka-moralistę. W swych przekonaniach moralno-religijnych Rod nie jest jeszcze dość ugruntowany, nie ma w nim stanowczości, lecz nie ma również fanatyzmu i zaślepienia ludzi, wierzących silnie i idących prosto ku wytkniętemu celowi. Jako człowiek przejściowy, pełen jeszcze wątpliwości i chwiejny, krytyk jest natomiast wyrozumiałym i rozumiejącym wybornie tych, których zwalcza. Renanizm oddał mu w tym względzie niemałą usługę. Zasługą natomiast samego Roda jest to, że zwrócił wyłączną uwagę na zagadnienia moralne w literaturze, która o sprawy te jaknajmniéj się troszczyła. Już to odrębne stanowisko krytyczne wyróżnia go z pośród innych Zoilów. Posiada też krytyk żywą wrażliwość na zagadnienia moralne, zna ich doniosłość i umié śledzić ich wątek. Wadą jego studyów jest ich pewna szkicowość, cecha to jednak wszystkich prawie, najbardziéj nawet utalentowanych krytyków francuskich. Szkicowość zresztą jest wadą i zaletą. Forma szkicu zbliża się bardziéj do swobodnéj i szczeréj pogadanki, jakiemi są przeważnie prace francuskie, nawet pełne erudycyi i faktów, studyum natomiast łatwo przybrać może cechy doktrynerstwa i pedantyzmu. Bądź co bądź, może zepsuci przez Niemców, a może, ulegając w tym względzie narodowemu naszemu duchowi, wymagamy od prac krytycznych więcéj systematyczności i ładu w przedstawieniu.

Zobaczymy z kolei, że i w powieściopisarskiéj swéj działalności Rod jest przedewszystkiém moralistą. Główną osią wszystkich jego utworów są sprawy sumienia i zagadnienia etyczne.

IV.

Edward Rod w swéj pisarskiéj karyerze przedstawia pewne podobieństwo z Bourgetem. Są jednak i różnice. Bourget rozpoczął (pomijając tomik poezyi *Aveux)* od krytyki w formie „szkiców psychologii spółczesnéj", ażeby przejść następnie do powieści psychologicznéj wyłącznie, na wzór Stendhala; Rod zdaje się główną wagę przywiązywać do krytyki, i w niéj też najbardziéj celuje, powieść zaś uważa za rodzaj uzupełnienia i ilustracyi zasad, wypowiadanych w studyach krytycznych, wzoruje się przytém na powieści autobiograficznéj Beniamina Constant.

Oddzieliwszy się od naturalizmu, Rod pragnął przytém wprowadzić do powieści pewne inowacye. Wspominaliśmy już, że przy budowie powieściowéj Rod oddaje pierwszeństwo eksperymentowi nad obserwacyą, co utwory jego czyni nie kartkami wyciętemi z życia, lecz kazuistycznemi i psychologicznemi rozprawami na zadany temat. Są to *romans à thèse.* Na tém jednak nie kończą się bynajmniéj inowacye. W chwili przejściowego przesilenia od naturalizmu rozprawialiśmy wiele—mówi Rod — z Emilem Hennequin'em o Tainowskiéj teoryi otoczenia *(milieu),* co wzbudziło we mnie niesmak do opisowości, drobiazgowéj i bezużytecznéj. Myślałem o zastąpieniu jéj przez dokładny obraz istoty wewnętrznéj, następnie zaś przez naturalną i zbytnią reakcyę, doszedłem do tego, że począłem marzyć o powieści, wolnéj od tego, co nazywałem „okolicznościami pobocznemi", opowieści całkiém wewnętrznéj, któraby się rozgrywała w jakiémś sercu. Jest to chwila — powiada Rod — kiedy napisałem *Course à la mort,* książkę, która mię najwięcéj trudu kosztowała i do któréj pozostanę zawsze najbardziéj przywiązanym. Nietylko zresztą opisowość, chciał usunąć Rod z powieści. Opisowość istotnie nie ma co robić w powieści psychologicznéj i autobiograficznéj, postanowił atoli usunąć również owe wyjaśnienia retrospektywne o dzieciństwie, młodości i wychowaniu bohatérów, które albo są oklepanemi ogólnikami, lub też są zbytecznemi, jako nie pozostawiające nic domyślności czytelnika; starał się także Rod usunąć z powieści „sceny" dramatyczne i efektowne, które nadają opowiadaniu jakiś sztuczny i teatralny charakter. Nie dość na tém — powiada krytyk.— Zaznaczyliśmy powyżéj tylko niektóre wska-

zówki, należałoby zaś zupełniéj jeszcze wyzwolić się z pod tyranii faktów zbyt konkretnych i figur zbyt dokładnie określonych, tak ażeby ich znaczenie wewnętrzne łatwiéj mogło się uwydatnić; trzebaby powrócić w formie, którą dopiéro znaléść należy, do Symbolu...

Jak widzimy, w aspiracyach swych, Rod dochodzi aż do symbolizmu, są to jednak pobożne dopiéro życzenia, a i zaznaczone powyżéj inowacye nie zawsze szczęśliwie udało mu się wprowadzić do powieści. W rzeczy saméj, unikając opowiadań retrospektywnych, scen dramatycznych, okoliczności postronnych i wogóle zbyt jaskrawych konturów i barw, nie mówiąc już o opisowości, trzeba wiele bardzo talentu, ażeby z przedstawienia danego momentu, choćby tylko psychologicznego, stawała się dość wyrazistą i zrozumiałą dana postać, a choćby tylko jakaś jéj cecha zasadnicza, jakiś symbol, lub nastrój przewodni... Otóż talent ten nie zawsze Rodowi dopisuje, natomiast, ujmując jednego, daje czego innego zawiele. Analizy psychologiczne, rachunki sumienia, rozbiory motywów postępowania powieściowych bohatérów Roda są niemożliwie przewlekłe i, co gorzéj, powtarzające się nawet po razy kilka. Wady te występują jeszcze jaskrawiéj z tego powodu, że postaci wprowadzane przezeń zazwyczaj do powieści, nie są charakterami jednolitemi lub temperamentami o barwie jaskrawéj. A jak okrutnie długie i drobiazgowe listy piszą owi bohatérowie!

Przyjrzyjmy się jednak bliżéj samym powieściom.

Zaczniemy od wymienionego już opowiadania: „W pogoni za śmiercią". Jestto jedna z pierwszych prac Roda, pojawiła się na czasie i miała powodzenie. Hennequin i młode pokolenie pisarzy witało ją sympatycznie, starsi napadali. Przy jedném z następnych wydań autor w przedmowie tłómaczył się z niektórych zarzutów i własnych intencyi. Przyznawał, że książka należy do kierunku pesymistycznego, „jak większość prac współczesnych"; mówił, że smutny nastrój jest usposobieniem, stanem psychicznym, który trudno zwalczać argumentami. Co zaś do szkodliwego wpływu, obawiać go się nie należy, „życie bowiem intelektualne, zupełnie jest odgraniczone od życia praktycznego", zdanie, któregoby następnie nie podpisał.

La Course à la Mort napisaną została pod wpływem teoryi Schopenhauera, które czas jakiś były popularnemi we Francyi, w pierwszéj chwili przełomowéj, po zniechęceniu się do naturalizmu. Pisana jest w formie pamiętnika. Bohatér tych wyznań należy do rodziny Płoszowskich, jest jednak mniéj skomplikowany od późniejszego Sienkiewiczowskiego bohatéra — jest czystym schopenhauerzystą, nic więcéj. Opowiadanie nasuwa też na myśl i „Śmierć" Dąbrowskiego, tylko że u francuskiego pisarza — śmierć jest tylko w ty-

tule. W pojęciu pesymisty życie jest pogonią za śmiercią, niczém więcéj. Stąd tytuł. Bohatér Roda nie budzi, przyznać należy, wielkiego interesu. Pesymizm bywa niekiedy doktryną zbawienną i płodną w skutki, wszystko jednak zależy od jéj umotywowania. Jeżeli do pesymistycznego poglądu na świat prowadzi nas głębsze wejrzenie w stosunki ludzkie i społeczne, jeżeli przykładając do nich idealną miarę, nabywamy przekonania, że życie jest zbyt poziomém, pełném niesprawiedliwości i nadużyć, wtedy gorycz pesymistyczna może być ziarnem poprawy. Skoro jednak pesymizm wypływa z nieumotywowanego zniechęcenia, przesytu, rozstroju, z jakiéjś filozoficznéj doktryny, wtedy zazwyczaj bywa tylko objawem kwietyzmu, fizycznego i umysłowego niedołęstwa, moralnego zapuszczenia i pokrywką miałkiego samolubstwa. Bohatér Roda należy do téj drugiéj kategoryi pesymistów. Jest to zwyczajny niedołęga, przesiąknięty filozofią pesymistyczną, nic więcéj. Prócz pesymizmu cierpi na zbytek analizy. Wydarzenia—pisze autor—przybiérały w nim natychmiast formę wrażeń, które natychmiastowa i bezpośrednia niejako analiza rozkładała bezzwłocznie". Życiorys owego pesymisty da się opowiedziéć w kilku słowach. Jest paryżaninem i literatem, z podkładem atoli kosmopolitycznym. Chodził na uniwersytet w Bonn, gdzie przejął filozofią Schopenhauera, jeździ czasami do Anglii, gdzie pociągają go prerafaelici, kocha się niby długi czas w niejakiéj pannie Cecylii i niby z wzajemnością, miłość tę jednak wyperswadował sobie następnie, co mu łatwo przyszło; potém Cecylia umarła, co nie zrobiło nań żadnego osobliwego wrażenia; potém jeszcze odziedziczył spadek, co mu pozwoliło oddać się wyłącznie kontemplacyi, wyjechał więc do Niemiec, gdzie w okolicach Bonu, w górskiém ustroniu, osiedlił się w wygodném mieszkaniu, zabrawszy z sobą bogatą bibliotekę. Ot i wszystko. Jak powiedziałem już, bohatér nie ma w sobie nic pociągającego, bądź co bądź jednak, jest osobistością typową dla danego momentu umysłowego nastroju Francyi spółczesnéj. Moment ten już minął, przed laty jednak dziesięciu z górą był nastrojem panującym wśród młodego pokolenia pisarzy. Bądźmy jednak zupełnie sprawiedliwi. Pesymistyczny ów pamiętnik Roda powleka jakby jakaś cicha, melancholijna skarga człowieka chorego i niezdecydowanego, bo stoi na rozdrożu i wątpi o wszystkiém. W tym kwietyzmie bezsilnym tkwią jednak i zbawcze refleksye, które mogą z czasem plon wydać. Autor pamiętnika odczuwa już bratnią sympatyę dla ludzkiego cierpienia, robi uwagę, że płodna działalność życiowa więcéj jest warta, niż literacka pisanina, a w pustelni swéj, w Heisterbachu, wczytuje się w pamiętniki ludzi czynu...

Tenże sam pesymista, ale już na drodze poprawy, jest bohatérem drugiéj autobiograficznéj opowieści Roda, wydanéj w kilka lat późniéj i zatytułowanéj: *Le Sens de la Vie*. Książka składa się z czterech części, które są zarazem czterema etapami poprawiającego się pesymisty. Części te są: małżeństwo, ojcostwo, altruizm, religia. Opowiadanie zaczyna się od tego, na czém zwykła powieść się kończy, od małżeństwa, a właściwie podroży poślubnéj po Włoszech. Kobiéta kochająca, łagodna, cała oddana rodzinie i jéj obowiązkom, ma pogodzić pesymistę z życiem, nauczyć go być szczęśliwym. Zadanie to, napozór tak proste, jest jednak bardzo trudném, gdy się ma do czynienia z istotą tak umysłowo, moralnie i towarzysko zepsutą, jakim jest pesymista. Przedewszystkiém zwalczyć przychodzi przyzwyczajenia kawalerskiéj swobody artystycznéj i literackiéj, kiedy to wolno, nie krępując się niczém, puszcza się wodze dumaniom i rozmyślaniu, włócząc się po zaułkach i przedmieściach Paryża, nocą zachodząc do knajp, gdzie się znajduje towarzystwo kolegów, trawiące godziny całe na rozpamiętywaniu znikomości wszystkiego. I te to z tych nałogów i przyzwyczajeń poświęcić trzeba dla żony, dla domu, dla rodziny! Edukacya atoli pod wpływem anielsko dobréj i wyrozumiałéj kobiéty, postępuje pomyślnie i kiedy po jakimś czasie szczęśliwy małżonek bierze urlop na dzień jeden, ażeby w towarzystwie starego przyjaciela i starego kawalera przypomniéć sobie roskosze minionéj cyganeryi, spostrzega, że straciła ona dlań cały powab. Życie rodzinne wzięło już górę nad pesymistyczną frondą kawalerską. Przychodzi z kolei ojcostwo, które z początku napełnia obawą i niepokojem naszego pesymistę. Naprzód ciężkie przejście wydania na świat nowego stworzenia, potém pojawienie się intruza, osoby trzeciéj, która popsuje szczęśliwie jakoś ustaloną harmonię między dwojgiem... Papa z początku nie chce nawet patrzéć na swą maleńką córkę i potrzeba czasu, ażeby się z tém ojcostwem pogodził.

Małżeństwo i ojcostwo prowadzi pesymistę do trzeciego etapu: uczy go altruizmu, o którym w swém egoistyczném zaślepieniu nic nie wiedział. Już w tych dwu etapach potrzeba było poświęcić coś ze swego ja na ołtarzu rodzinnego szczęścia. Przygotowawcza tu edukacya otwiéra pesymiście oczy i na inne jeszcze objawy zupełniejszego jeszcze altruizmu. Młode małżeństwo ma służącą, która wypiastowała samego pesymistę, a teraz piastuje jego dziecko, przytém jest niezmiernie przywiązana do rodziny, gorliwie i sumiennie zajmuje się gospodarstwem, jest, słowem, do wszystkiego, ażeby tylko swemu państwu oszczędzić niewygód i przykrości. I pracuje chętnie, mimo, iż jest cierpiąca i że zawsze za tyle starań otrzymuje zaledwie łyżkę stra-

wy i trochę grosza. Pesymista dotąd nie zwracał uwagi na tę istotę, uważając ją za sprzęt domowy. Przyglądając się jednak teraz bliżéj życiu, uprzytomnia sobie całe życie téj staréj panny, pełne poświęcenia i przywiązania do drugich. Potém inny jeszcze przykład nasuwa mu się przed oczy. Przykład staréj guwernantki, która całą młodość i życie całe spędziła w Rosyi na uczeniu cudzych dzieci i dziś żyje skromnie z niewielkiego kapitaliku, jaki sobie uzbiérała, dzieląc się przytém chętnie z towarzyszkami niedoli, które mają w niéj swą opiekunkę i doradczynię. Jest to pierwszym krokiem na dobréj drodze — powiada sobie wtedy pesymista — kiedy się stało wrażliwym na cierpienia ludzkie". Otwiérają się wówczas przed nim szerokie widnokręgi poświęcenia i miłosierdzia. Wpadają mu wówczas w ręce utwory Dostojewskiego i Tołstoja, które otwiérają przed nim „świat nowy" i stają się „głosem, budzącym uśpione sumienie". Rwie się wówczas do czynu, nie czuje jednak w sobie dość sił po temu i przeklina „dyletantyzm" sceptyczny, który zabił w nim wszystkie siły twórcze. Przychodzi téż do przekonania, że miłosierdzie bez miłości i wiary jest niemożliwém. Pragnie jednak coś robić i rozejrzéć się wokoło siebie. Zaczyna więc odwiedzać zgromadzenia ludowe w Paryżu, na których robotnicy podnoszą swe skargi i rozwijają program działania. Delikatnego i wrażliwego pesymistę, który żył dotychczas zamknięty sam w sobie i w swém kółku domowém, rażą szorstkie słowa, natchnione nienawiścią, jakie tu słyszy, razi gwałtowność, fanatyzm i nietolerancya mówców ludowych — przestaje więc uczęszczać na te zgromadzenia i przychodzi do przekonania, że „nowego królestwa szczęścia szukać należy po za prawami, kodeksami i konstytucyami i że jest jeden tylko sposób sprowadzenia go na ziemię — miłość. Ona jedna tylko może zatryumfować nad egoizmem i nienawiścią".

Miłość jednak bez wiary, negacyjnéj lub pozytywnéj, jest niemożliwą. Przedewszystkiém jednak potrzeba nam wiary twórczéj, budującéj, syntetycznéj i taką znaléść możemy w religii i kościele. Jak jednak dojść do wiary, rozmyśla długo pesymista i przychodzi wreszcie do przekonania, że wiara nie jest bynajmniéj aktem poznania, lecz woli. Zbytek nauki i wiedzy działa rozkładająco, czego świadectwem cała literatura spółczesna. „Nie starajcie się zbyt wiele wiedziéć — powiada—jest to najszkodliwsze i niemożliwe do osiągnięcia mamidło... Jedna chwila rozmarzenia pod odkrytém niebem, w ciszy nocnéj, powié wam więcéj, niż całe lata studyów, i nigdy nie będziecie bliżéj prawdy, jak wtedy, kiedy idee wasze rozsypią się w proch nieużyteczny..."

Przejęty temi przekonaniami wchodzi raz nasz pesymista do paryskiego kościoła św. Sulpicyusza, uderzony zostaje powagą i urokiem nabożeństwa i ceremonii kościelnych, śpiewem religijnym i muzyką i mimowoli z piersi wątpiącego ateisty wyrywa się modlitwa o wiarę, nadzieję i miłość...

Oto w najogólniejszych zarysach, treść dwu prac Roda: *Course à la Mort* i *Sens de la Vie*, które stanowią całość odrębną w pisarskiéj działalności krytyka genewskiego i mogłyby posłużyć za temat do osobnego, interesującego studyum o pesymizmie, osobliwie francuskim i stopniowéj przemianie tego nastroju w inny, oparty na silnéj wierze w pewne zasady, i zdążający do płodnéj działalności humanitarnéj i społecznéj. Tu mogliśmy tylko zlekka dotknąć, tego tematu, dodamy więc tylko jeszcze, że prace Roda, szczególniéj ostatnia, dostarczają wiele materyału do rozmyślań i uwag w tym kierunku.

V.

Edward Rod jest autorem francuskim, na którym najsilniéj się odbił wpływ pisarzy ruskich, mianowicie zaś Dostojewskiego i Tołstoja; probował nawet wprowadzić typy ruskie do swych powieści, jak w „Tatianie Léïlof", co mu się jednak nie bardzo udawało, najlepsza zaś może z jego powieści, *La Sacrifiée*, napisaną została niewątpliwie pod wpływem „Zbrodni i kary" Dostojewskiego. Bohatérem powieści francuskiéj jest Raskolnikow, tylko wśród innych warunków i otoczeczenia. Powieść, podobnie jak poprzednie, pisana jest w formie pamiętnika, nader jednak żywo i zajmująco. Jest to coś jakby spowiedź i rachunek sumienia, traktat religijno-moralny, pełen dyalektycznéj kazuistyki, wreszcie sprawa kryminalna i zwykły romans, odtwarzający z niemałym talentem dzieje dwojga serc. Pamiętnik miał pozostawić Piotr Morgex, lekarz praktykujący w Paryżu, zmarły w czasie epidemii influenzy w Paryżu 1890 roku, w wieku lat 46. Rzecz w tém, iż Morgex kocha się w żonie swego przyjaciela, głośnego adwokata paryskiego i kiedy ten, po jednéj z wielkich swych obron, dostaje ataku apoplektycznego, w następstwie którego zostaje nieuléczalnie sparaliżowany, przyjaciel-lekarz daje mu zbyt dużą dożę morfiny, wskutek czego Cecylia zostaje wolną, ponieważ zaś miłość Morgex'a jest podzielaną, nic więc nie stoi na przeszkodzie do wzajemnego szczęścia—nic, prócz sumienia i jego wyrzutów.

Autor umiał na tym wątku osnuć wzruszający dramat. Morgex nie jest zwykłym zabójcą. Adwokat Audouin był jego przyjacielem

z ławy szkolnéj i wymógł formalnie na swym przyjacielu doktorze, że skróci dni jego, gdyby wskutek przewidywanéj apopleksyi został wtedy na pół przytomnym niedołęgą fizycznym. I miłość Morgex'a dla żony przyjaciela powstaje w tych warunkach, że nie jest on prawie za to odpowiedzialny; następnie zwiększona dawka morfiny zostaje zaordynowana wśród takich okoliczności, że Morgex prawie jest do tego zmuszony i działa zresztą niemal bezwiednie... Przy bardziéj nawet obciążających winę okolicznościach zwykły człowiek nie byłby sobie robił skrupułów, Morgex atoli, lubo ateista i zwolennik moralności niezależnéj, jest synem francuskiego pastora, wychował się wśród wymagań surowéj moralności, jest człowiekiem uczciwym, oddanym całkowicie nauce, prawie że ascetą — w duszy więc jego wybucha straszna walka, powstają wątpliwości, wyrzuty sumienia. Morgex oskarża się, iż jest zabójcą przyjaciela i że w tych warunkach nie może zostać mężem Cecylii. Z tém postanowieniem opuszcza Paryż, wyjeżdża na długo zagranicę. Tam jednak przychodzą mu inne refleksye, wraca więc i staje na ślubnym kobiercu. Po chwili wielkiego obustronnego szczęścia, budzą się jednak ze zwiększoną siłą poprzednie skrupuły, wyrzuty sumienia, wątpliwości, które zatruwają pożycie młodéj pary. Morgex, trawiony niepewnością, zwraca się do dobrego swego znajomego, sędziego śledczego, człowieka surowego i przed nim się oskarża. Sędzia, zważywszy wszystko, wydaje werdykt uniewinniający, który go atoli nie uspokaja. Wtedy, lubo nie wierzący i protestant, udaje się do ks. Borrant, kapłana, pełnego cnót i świątobliwości. Po szczeréj spowiedzi, za pokutę, ksiądz każe mu się wyrzec żony, jéj bowiem posiadanie było głównym bodźcem popełnionego zabójstwa — a powiedziano w zakonie prosto i zrozumiale: „nie zabijaj!" Morgex czuje, iż wyrok ten jest słuszny, rozstaje się z żoną, cały oddaje się biednym i cierpiącym i pełniąc tę pokutę, znajduje spokój sumienia, podobnie jak Cecylia...

Za *motto* do téj powieści możnaby wziąć następujący z niéj ustęp, w którym autor powiada: „Powieściopisarze wysilają się nad powikłaniem wydarzeń życiowych—po za wydarzeniami materyalnemi jednak, których powikłanie mniéj lub więcéj dowolne, stanowi wątek opowiadania, życie przedstawia sytuacye wysoce tragiczne, w których cały dramat rozegrywa się w duszy, którego wszystkie nici zbiegają się w sumieniu..."

Powieść *Les Trois Coeurs* jest dramatem, który się rozegrywa między Ryszardem Noral, jego małżonką Heleną i jego kochanką Różą-Mary. W początku spotykamy młode małżeństwo Noral, wiodące życie spokojne i szczęśliwe, dom przytém rozwesela ich kilkoletnia có-

reczka, miła i inteligentna istotka. Pan Ryszard jest literatem i posiada wyobraźnię niespokojną, pożąda nowych wrażeń, uczuć niezwykłych i t. d. W tym nastroju spotyka na swéj drodze niewiastę, z pozoru niezwykłą, „egzotyczną”, niewiadoméj narodowości, zdaje się, aktorkę, bawiącą czasowo w Paryżu i zawiązuje z nią bliższy stosunek. Ryszardowi zdaje się, iż rozgorzał nareszcie wielkim płomieniem i że spotkał kobiétę niezwykłą. Myli się jednak. Uczucie jego było raczéj potrzebą wyobraźni, niż serca lub temperamentu, chłodnie więc rychło, stosunek już jednak zawiązał się i nieopatrzny literat dźwiga teraz więzy podwójne. W dodatku szczęście jego domowe rozsypuje się w proch, zmuszony jest uciekać się do ciągłego kłamstwa i wybiegów, nic to jednak nie pomaga, żona bowiem dowiaduje się o wszystkiém. W domu wytwarza się atmosféra, w któréj więdnie ich ukochana córeczka i wreszcie umiéra. Ryszard decyduje się na zerwanie z Różą, która okazała się kobiétą w gruncie uczciwą, kochającą i pożądającą spokojnego szczęścia. Na nieszczęście zakochała się w zmiennym Ryszardzie, kiedy więc, pożegnawszy się z nim nazawsze, płynie do Ameryki, rzuca się w fale oceanu i tonie. Ryszard nigdy się o tém nie ma dowiedziéć, sprawy jego domowe zostały tymczasem jako tako naprawione, żona przebaczyła, nie wróciło już jednak szczęście pierwotne. Narodziła się wprawdzie znowu córeczka, ale była to wątła i słabowita roślinka, w niczém nie podobna do pierwszéj... Oto powieść i zawarty w niéj morał.

Ostatnią i największą powieścią Roda są dzieje p. Michała Teissier, francuskiego działacza parlementarnego, opowiedziane w dwu oddzielnych tomach, z których pierwszy nosi tytuł: *La vie privée de Michel Teissier*, drugi: *La seconde vie de Michel Teissier*. Powieść drukowaną była początkowo w „Revue de deux Mondes” (1893) i miała znaczny rozgłos.

Powieść, podobnie, jak inne utwory Roda, wzorowaną jest nie na obserwacyi i faktach, lecz na hypotetyczném przypuszczeniu, wyprzedzającém faktyczny stan rzecz. Autor zdaje się przypuszczać, że reakcya, objawiająca się obecnie najwyraźniéj w literaturze i sztuce, silnie przeniknęła nakoniec i inne pola działalności ludzkiéj, we Francyi zaś mianowicie wytworzyła już parlamentarne stronnictwo, które nowy program reakcyjny ma zrealizować. Wodzem tego właśnie stronnictwa, téj prawicy republikańskiéj, jest Michał Teissier.

Rzecz jest o tyle interesującą, że pozwolimy sobie przytoczyć niektóre punkty wytyczne tego programu, który rozwija Teissier wobec rozentuzyazmowanego audytoryum. Kreślił on szerokiemi rysami historyę trzeciéj republiki. Mówił wprzód o jéj zaprowadzeniu, o nieu-

daniu się zamachu reakcyjnego 16 maja, o zwycięstwie ostatecznem partyi „jakobińskich”. We wszystkich — mówił — dziedzinach, w literaturze, sztuce, filozofii i polityce, zapanowały te ograniczone poglądy, które biorą zewnętrzne objawy za rzecz samą, za samą prawdę, i przeczą wszystkiemu, co nie podpada bezpośrednio pod zmysły. Geniusz Francyi usychał, oscylując między grubym materyalizmem polityków a naturalizmem brutalnym i zniechęcającym pesymizmem powieściopisarzy. Chwilami wielka i szlachetna ziemia wydawała się wyczerpaną, wyjałowioną i bezpłodną... Powiał jednak nowy prąd. Skąd przychodził? Z sumienia publicznego niewątpliwie, z saméj duszy ojczyzny, która była usnęła, teraz zaś budzi się. Kilku ludzi dobréj woli dało hasło... Byli oni jakby krępowani przez dawniejsze umysłowe nałogi, wyrósłszy na gruncie jałowym, nie mieli więc dość sił do podjęcia wielkiego dzieła odrodzenia... mieli jednak dużo dobrych chęci; szli téż ciągle naprzód, głosząc wiarę, któréj nie mieli w sobie, zalecając działalność, która nie leżała w ich temperamencie i na któréj konieczność umysł ich tylko wskazywał... Dziwne zjawisko. Dobre te chęci i słabe słowa zostały wysłuchane. Ziarna padły na ziemię urodzajną, która wydała Joannę d'Arc i Henryka IV-go. Nowa generacya wstępowała na widownię, gorąca, odważna i inteligentna. Nowy duch ożywiał naród, dawne spory przycichły, zapełniała się przepaść między Francyą wojen krzyżowych i Francyą rewolucyi. Kościół, pojmując, że wysoką jego misyą było stać ponad partyami, godził się z republiką... Jeszcze kilka poruszeń, a spróchniały gmach jakobińskiego materyalizmu miał rozsypać się w gruzy... Na porządku dziennym reform, mających się dokonać, stały: reforma szkoły, gdzie wyrabiać się miał nietylko umysł, lecz i wola, reforma armii, która miała być szkołą cnót obwatelskich, reforma obyczajów i wreszcie reformy społeczne, które pogodzić miały proletaryusza z przedsiębiorcą robotnika z mieszczaninem...

Na takiéj arenie rozegrywało się życie publiczne, któremu przewodniczył Michał Teissier. Był on nie człowiekiem przejściowym, pełnym dobrych chęci, lecz człowiekiem całkowitym, nowym, pełnym sił, nieledwie, że mężem opatrznościowym republiki. W to wszystko każe nam wierzyć autor, opowiada nam bowiem szczegółowo tylko o „życiu prywatném” swego bohatéra. Otóż bohatér ten ma być człowiekiem pracy i zasługi, który sobie samemu wszystko zawdzięcza; ożenił się młodo, z miłości; w chwili, gdy rozpoczyna się opowiadanie, jest on ojcem dwu kilkuletnich córeczek, Anny i Laurentyny, i szczęśliwym małżonkiem pani Zuzanny. Rodzina żyje w spokoju i szczęściu, co daje siłę panu Michałowi w walce publicznéj i opinię nawet porządnego człowieka.

W tém wszystko to się psuje, bo tak potrzeba dla tezy, którą sobie auor postawił. Ów mąż niezłomny całkowity, zakochuje się w młodém dziewczęciu, Blance, córce zmarłego przyjaciela, któréj był opiekunem. I nic nie pomaga. Miłość ta opanowuje go całkowicie, zniewala do ukrytych *rendez-vous*, do pisywania niemożliwie długich listów, rozstraja zupełnie, zniechęca do sprawy publicznéj, i... po długich przygotowaniach rzecz kończy się rozwodem z Zuzanną i usunięciem się zupełném z areny publicznéj, wśród ogólnego skandalu.

Na tém kończy się tom pierwszy. Michał Teisser bierze ślub z zakochaną w nim również Blanką i lat ośm włóczy się z nią po różnych kątach, pisząc niby historyę drugiego cesarstwa, która mu nie idzie. Po upływie tego czasu umiéra Zuzanna, która się wraz z córkami usunęła na prowincyę. Michał śpieszy na pogrzeb, godzi się jakoś z córkami, z wielką biédą godzi je jako tako z drugą swoją małżonką i — znudzony wreszcie bezczynnością, postanawia powrócić na opuszczoną arenę publiczną... tylko teraz zaczyna już z innéj beczki. Przez lat ośm miał wiele czasu do rozmyślań i rozczarował się co do swych dawnych poglądów politycznych; zresztą sam padł ofiarą zasad, których bronił. Teraz wystąpi w szeregach opozycyi radykalnéj i jakobińskiéj, którą zwalczał... Pisze naprzód broszurę p. t.: *La Crize actuelle*, w któréj wypowiada swe nowe poglądy i zostaje ponownie wybrany na posła w téj saméj Sabaudyi, z któréj dawniéj posłował... W dodatku z dawniejszéj owéj partyi reform i odrodzenia, z owéj prawicy republikańskiéj, po latach ośmiu, już i śladu nie pozostało; cała sprawa upadła, skoro tylko usunął się od niéj taki mąż, jak Michał Teissier... Autor w całéj téj powieści zbyt swobodnie puszcza wodze swéj fantazyi eksperymentalnéj. Teissier jest figurą nieprawdopodobną i niemożliwą, przynajmniéj autor nie zdołał go uczynić ani prawdopodobnym, ani możliwym. Ostatnia zmiana, jaka się w nim dokonała, jest nie dość umotywowaną. Program, z jakim występuje Teissier, jako radykał, jest mętny i nieokréślony. Zasadza się na pogodzeniu „koniecznych destrukcyi", które się dokonały w teoryi i których żadna reakcya nie wskrzesi w rzeczywistości... Zmiana ta w usposobieniu bohatéra zdaje się wskazywać na jakąś zmianę wewnętrzną, dokonywającą się w samym autorze, który przygotowuje obecnie dzieło p. t.: *Vouloir et Pouvoir*. Zobaczymy.

Wracając jeszcze do powieści, zaznaczyć musimy, że starsza córka Teissier'a kocha się w młodym człowieku, który kocha się w niéj również i pragnie ją zaślubić. Ojciec jego atoli jest zatwardziałym konserwatystą, z którym się Teissier pojedynkuje i nie chce się bez-

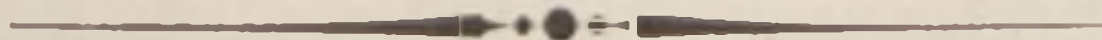
warunkowo zgodzić na małżeństwo swego syna z córką człowieka, co się rozwiódł dla jakiéjś awanturnicy... Młodziutka Anna umiéra z miłości i influenzy. Wogóle powieść ta wydaje mi się chybioną, lubo porusza temat interesujący i zakréślona jest na szerszą miarę, niż to bywa zwyczajem we Francyi. Wady jednak kompozycyi i różne przewlekłości występują tu jaskrawiéj, niż w mniejszych opowiadaniach.

Rod nader chętnie przebywa w swych górach szwajcarskich, kréśląc na ich tle wdzięczne obrazki, jak *Nouvelles Romandes*. Pod tytułem: *Scènes de la vie cosmopolite* zebrał również wiązkę opowiadań, osnutych na głębszych motywach psychicznych, pisanych poprostu i z wdziękiem.

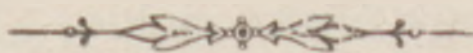
Edward Rod nie należy obecnie do żadnéj określonéj szkoły literackiéj, ma jednak towarzyszy pióra. „Jest nas—powiada—kilku jednego wieku, mniéj więcéj około trzydziestki, widujemy się rzadko i nie staramy się o utworzenie szkoły; nie mamy określonéj doktryny, intelektualnie jednak stoimy blisko siebie. Przebyliśmy też same fazy rozwoju; wyszliśmy z jednego punktu i stanęliśmy na tym samym prawie etapie. Mamy wiele wspólnego, co atoli nie łatwo określić. Jeżeli trzebaby było jakiéjś wspólnéj nazwy —powiada nasz powieściopisarz—obrałbym „intuitywizm..." „Intuicyjnym—powiada daléj—jest człowiek, który patrzy w siebie, a zdaje mi się, iż obserwacya wewnętrzna powinna zastąpić obserwacyę zewnętrzną naturalistów. Nie dość jest jednak obserwować samego siebie; potrzeba w sobie widzieć drugich". Intuitywizm—zdaniem Roda—byłby zastosowaniem intuicyi, jako metody literackiéj.

Jak widzieliśmy, krytyk-moralista pragnąłby gruntownie zreformować powieść, usunąwszy z niéj wszystko, co nie ma bezpośrednio związku ze światem wewnętrznym, na tle tém zaś pragnąłby kréślić jedynie symboliczne kontury uduchowionych postaci na wzór malarzy prymitywnych. Nie wiem jednak—dodaje—czy nazwa powieści byłaby dla téj nowéj formy literackiéj odpowiednią...

Edward Przewóski.



SPRAWY EKONOMICZNE.



VI.

ROLNICTWO, STOWARZYSZENIA AKCYJNE, UDZIAŁOWE i NA WZAJEMNOŚCI OPARTE W 1893/4 r.

Idea asocyacyi jako źródło wspaniałego rozkwitu przemysłu i handlu. — Słaby rozwój stowarzyszeń w stosunkach ziemiańskich.—Przyczyny ogólne i miejscowe kryzysu rolniczego. — Ziemianie „z krwi i kości" i ziemianie odświętni. — Kodeksy jako główna przyczyna upadku własności ziemskiej. — Niedostateczność zasad prawa rzymskiego. — Zdania R. Iheringa i G. Schmollera. — Szkodliwość systemu hypotecznego w stosunkach ziemiańskich. — Czy obojętnem jest państwu i społeczeństwu, kto włada ziemią? — Dzieje „obszernych włości" i nomenklatury „Wójtówka". — Co oczekuje naszą i europejską większą własność ziemską? — Zastosowanie w rolnictwie stowarzyszeń wytwórczych.—Zmiana systemu hypotecznego. — Towarzystwo udziałowe dominium „Wójtówka".—Obecne położenie rolnictwa.—Skargi ziemian.—System uprawy roli w Japonii.

Wiek XIX-ty jest, między innemi, stuleciem olbrzymiego rozrostu stowarzyszeń, wyzysk przemysłu, handlu i wzajemną pomoc na celu mających. Obecny rozkwit przemysłu i handlu nie mógłby się tak świetnie przedstawiać, gdyby nie był rezulatem pracy jednostek, zgrupowanych w odpowiednie spółki i związki.

Urzeczywistnienie pewnych celów często przechodzi siły fizyczne i umysłowe jednego człowieka, gdy tymczasem połączenie kilku, kilkunastu lub więcéj jednostek, wydaje pomyślne rezultaty i to w stosunku zwykle znacznie wyższym od ogólnéj sumy pojedyńczych, lub oddzielnych usiłowań. Gdy wytwórczość przemysłowa była owocem pracy wyłącznie ręcznéj, lub w połączeniu z użyciem prostych narzędzi i przyrządów, a handel ograniczał się wymianą tych owoców na ograniczoném, nieznaczném terytoryum, działalność oddzielnych jednostek była wystarczająca. Jednakże z biegiem czasu, gdy odkryto odległe ziemie i wynaleziono machiny parowe, to praca wytwórcza, lubo została fizycznie ułatwioną, wymagała jednak znacznych kapitałów dla nabycia tych maszyn, udoskonalonych przyrządów, kosztownych statków parowych i t. d. Również i w handlu dopóki ograniczał się do niewielkiego terytoryum i był tylko zamienny, praca jednostek była dostateczna, gdy jednak następnie trzeba było szukać rynków zbytu i nabycia nieznanych dotąd towarów, w miejscach, odległych o tysiące mil, a zwłaszcza, gdy te towary można było zbywać przeważnie tylko na kredyt, zjawiła się siłą faktów potrzeba asocyacyi.

Świetne rezultaty połączonych usiłowań były pobudką rozkwitu stowarzyszeń wytwórczych, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu i handlu, bo co się tyczy trzeciéj wielkiéj gałęzi — rolnictwa, to idea tych stowarzyszeń znalazła w nim najmniejsze i stosunkowo nieznaczne zastosowanie.

Rolnictwo wyzyskiwane jest dotąd, prawie wyłącznie, pojedyńczemi usiłowaniami właścicieli ziemi, lub ich zastępców. Idea stowarzyszeń wytwórczych, ta wielka dźwignia postępu w przemyśle i handlu, nie przeniknęła dotąd w sfery rolnicze. Dotychczasowe kółka i związki rolników mają zakres bardzo mały i jednostronny, mają na celu głównie zdobycie taniego kredytu (przeważnie hypotecznego), kupno potrzebnych narzędzi i materyałów, niekiedy zbyt ziemiopłodów, naukowe badanie gleby i t. p. Lecz co się tyczy najważniejszéj sfery, saméj wytwórczości rolnéj, produkcya pozostaje dotąd w rękach poszczególnych właścicieli ziemi, a idea stowarzyszenia się w celu produkcyi ziemiopłodów nie znalazła dotąd w rolnictwie należytego uwzględnienia.

Dopiéro w wieku XX-ym, naszém zdaniem, wyzysk ziemi będzie uorganizowany na nowych zasadach, rdzennie różniących się od dzisiejszych i wtedy to idea stowarzyszeń znajdzie zastosowanie w rolnictwie w całéj rozciągłości, gdyż celem ich będzie już nietylko uzyskanie kredytu, zbyt i kupno produktów, ale głównie sama wytwórczość rolna.

Rolnictwo znajduje się w nader ciężkiém i krytyczném położeniu, to fakt, nie ulegający zaprzeczeniu, lecz ponieważ temu przesileniu ulega nietylko nasz kraj, lecz cały kontynent europejski, to powody przesilenia muszą leżéć głębiéj i miéć cechę ogólną, oprócz przyczyn miejscowych. W saméj rzeczy, jeśli rolnictwo znajduje się w ciężkich warunkach w tak bogatych krajach i z wysoką kulturą, jak Niemcy Francya, Czechy, północne Włochy, w których stosunki rolnicze już od wieku i dłużéj zostały skonsolidowane, to cóż dziwnego, że własność ziemska naszego kraju odczuwa na sobie ogólną niedolę. Przecież oprócz przyczyn ogólnych na rolnictwo nasze działały i miejscowe powody. Reforma włościańska dopiéro przed trzydziestu laty została przeprowadzona i to nie w całéj rozciągłości, gdyż służebności na większości dóbr leżą ciężkiém brzemieniem.

Ani społeczeństwu, ani państwu nie może być obojętne, w czyich rękach własność ziemska się znajduje. Ziemia nie lubi częstéj zmiany swych panów. Jak rumakowi pełnéj krwi nie jest obojętne, kto siedzi na jego grzbiecie: wytrawny jeździec lub sportsmen odświętny, od którego jednym śmielszym ruchem się oswabadza, tak też i ziemia lubi, aby jéj władca był rolnikiem „z krwi i kości", nie zaś przypadkowym posiadaczem. Widzimy wiele majątków ziemskich, które w rękach odświętnych władców: bankierów, kupców, przemysłowców i t. p. znajdują się w wysokiéj kulturze. Wszystko w nich wymierzone, obliczone, uporządkowane, udekorowane, ale czy trwałe? Nie zawsze. Bo u tych osób wytwórczość rolna leży na drugim planie, a głównem zajęciem kantor, giełda, łokieć, perkaliki, flanelki i t. p. A że nader rzadko, aby fortuna kupiecka, bankierska lub fabryczna, utrzymała się choćby w trzeciém lub czwartém pokoleniu, to nic dziwnego, że po owych świetnych i błyszczących majątkach Tepperów, Steinkellerów, Fraenklów i sećin im podobnych, pozostały tylko wspomnienia. Jeżeli więc nawet książęta giełdy i baronowie przemysłu nie mogli pomimo swych środków, przekazać mienia swoim następcom, to tém bardziéj społeczeństwo nie może być obojętne na to, kto włada szmatem ziemi: istotny rolnik, czy też prosty spekulant, często nabywca-dewastator.

Wyżéj powiedzieliśmy, że większość właścicieli utrzymała się przy ziemi, gorliwie pracuje, a mimo to większa własność ziemska znajduje się w nader ciężkiém położeniu; cóż więc jest przyczyną, że praca, oszczędność i inne cnoty ekonomiczne okazują się niedostatecznemi dla podniesienia z upadku?

Przyczyny leżą głębiéj, mają cechę ogólną, gdyż dotyczą rolnictwa całego kontynentu Europy i wychodzą daleko po za sferę czysto ekonomiczną.

Złe leży głównie w obowiązujących kodeksach.

Kodeksy więcej uczyniły złego w ustroju ziemiańskim, aniżeli przyczyny ekonomiczne.

System prawa rzymskiego, na którym są oparte kodeksy państw europejskich, przepełniony jest elementem władzy i zwierzchnictwa, psychologiczne zaś i ekonomiczne zasady praw majątkowych giną w rozległéj intepretacyi osobistego władztwa i woli. U prawników forma góruje nad treścią i dlatego nauka prawa coraz więcéj zamienia się na scholastykę i rozchodzi z życiem. Nowe prądy naukowe nie przeniknęły jeszcze do nauki prawa (cywilnego). Rudolf Ihering w dziele *Geist des römischen Rechts* powiada: „Nie życie istnieje dla pojęć, lecz pojęcia dla życia. Nie to, co przedstawia się jako logika, lecz to, czego potrzebuje życie, cyrkulacya dóbr, ogólna świadomość, powinno mieć siłę. ...Prawa istnieją nie dlatego, aby urzeczywistniać abstrakcyjną ideę woli prawnéj, lecz dlatego, aby służyć interesom, potrzebom i celom obrotu..." W tymże duchu odzywa się i Gustaw Schmoller (*Zur Litteraturgeschichte der Staats und Wissenschaften*. Lpz. 1888): „Żadne prawo nie jest wydane na wieczne czasy... prawo powinno służyć, jako odpowiednia forma dla postępowego ruchu naturalnych i duchowych sił pewnéj epoki..."

Element pracy nie znalazł miejsca w prawie rzymskiém, bo praca fizyczna była obowiązkiem niewolników. Z oswobodzeniem kmieci zniknęła praca obowiązkowa na rzecz dominium, wytwórczość rolnicza pozbawiona została swego kapitału obrotowego. Lecz reforma włościańska w żadném państwie nie dotknęła systemu hypotecznego, który przecież z wytwórczością rolną w ścisłym stoi związku. Zmieniły się rdzennie stosunki ekonomiczne rolne, niemniéj rdzennie powinienby się zmienić i system hypoteczny.

Dopóki pan obszernych włości miał żywy kapitał obrotowy, którego lichwiarz zabrać nie mógł, ogień nie spalił i złodziéj nie ukradł, i dopóki samo dominium obejmowało liczne nomenklatury np. Krzemień dolny, Krzemień górny, Wójtówka, Zalesie, dopóty wytwórczość rolna mogła być spełniana miejscowemi siłami. Lecz ze zgonem pana obszernych włości położenie się zmieniło; cztery nomenklatury objęło czterech spadkobierców, którym wkrótce reforma włościańska odjęła żywy kapitał obrotowy. Właściciel „Wójtówki" był pracowity, ale miał liczną rodzinę, cały dochód szedł na jéj utrzymanie. Nie było kapitału obrotowego, zaciągnięto Towarzystwo, postawiono niewielką gorzelnię i poprawiono budynki. Dominium Wójtówka stanowiła jedna już tylko nomenklatura, a dzieci dorastały, które trzeba było wy-

posażać. Posag córki zabezpieczono na drugim numerze, trzeci numer hypoteki zajął dług zaciągnięty w celu osadzenia młodszego syna na niedalekiéj dzierżawie. Z biegiem czasu zmarł i pan Wójtówki, pozostawiając jeszcze troje dzieci niewyposażonych.

Majątek objął starszy syn, zabezpieczywszy odpowiedniemi wpisami części brata i siostry. Wnuk więc wyżéj wspomnianego pana obszernych włości hypotecznie zupełnie czystych, wszedł już w posiadanie jednéj tylko nomenklatury, i to niemal w $^{3}/_{4}$ hypotecznie obciążonéj. Długi hypoteczne, jak widzimy, były zaciągnięte w części na cele wytwórcze, w części zaś na wyposażenie jednych i zabezpieczenie drugich dzieci. Ostatni posiadacz, pomimo że za przykładem dziada i ojca gorliwie pracował, znalazł się w położeniu nader krytyczném, nieledwie bez wyjścia, bo zaledwie czwarta część wartości dóbr stanowiła jego mienie, co było już niedostatecznem dla utrzymania rodziny i zabezpieczenia się od wypadków losowych. Czy się obrodziło, czy nie, trzeba było płacić podatki, raty Towarzystwa, odsetki od innych długów i rodzinę utrzymać. Te obowiązki, niejako uprzywilejowane, postawiły go nad przepaścią. Bracia i siostry, chociaż młodsi i niepracujący na téj roli, zajęli względem starszego brata uprzywilejowane stanowisko. Oni byli dostatecznie zabezpieczeni, pobiérali znaczne odsetki od swych wierzytelności, gdy hypoteczny właściciel nigdy nie mógł związać końców.

Cóż spowodowało tak opłakany stan Wójtówki? Stan hypoteczny.

Gdyby prawo hypoteczne nie dozwalało obciążać ziemi długami, to spadkobiercy dominium mieliby dwie alternatywy: albo Wójtówkę rozdzielić na pięć ferm, co byłoby trudniejszém, gdyż wymagałoby znacznych nakładów na wzniesienie oddzielnych budynków, dopełnienie inwentarzy i t. p., lub też spadkobiercy musieliby utworzyć: „Towarzystwo udziałowe dominium „Wójtówka”, którego czyste zyski dzieliłyby się odpowiednio do ilości posiadanych udziałów. Możnaby było prócz tego Wójtówkę przedać, ale wobec domniemanego prawa, nie dozwalającego zaciągać długów hypotecznych na ziemię, przedaże byłyby nader rzadkie, jako wymagające znacznych kapitałów, gdyż nabywca przy kupnie musiałby wyliczyć całą istotną wartość majątku ziemskiego.

Gdyby można było zbadać historyę wszystkich wierzytelności hypotecznych, obciążających większą własność ziemską w Królestwie i następnie je systematycznie ugrupować, to wyżéj przytoczone dzieje obszernych włości nader często znalazłyby potwierdzenie.

Długi hypoteczne ziemskie powstały nie dlatego jakoby nasi ojcowie i my mieli trwonić fortuny, lecz z przyczyn naturalnych, celem zdobycia kapitału obrotowego, po części melioracyjnego, a głównie z powodu działów rodzinnych, legatów, darowizn i t. p. Dodać należy, że dział czwarty, a po części i dział trzeci hypoteki wyrządził własności ziemskiéj prawdziwie niedźwiedzią przysługę. Gdyby ich nie było, to niewątpliwie szukanoby innych dróg wyjścia i prawdopodobnie prawodawstwa zrobiłyby wcześniéj to, co będą zmuszone uczynić w wieku XX-ym dla uratowania i utrwalenia większéj własności ziemskiéj.

Prawo hypoteczne było główną przyczyną ruiny własności ziemskiéj i bez rdzennéj jego reformy o stałéj poprawie i utrwaleniu stosunków rolnych (nie może być mowy). Nie łudzimy się zupełnie, aby konwersye listów zastawnych, ułatwienie kredytu hypotecznego i t. p. paliatywa miały uratować własność ziemską, owszem, jesteśmy przekonani, że im towarzystwa kredytowe wydawać będą wyższe pożyczki i im łatwiejszy będzie kredyt hypoteczny, tém bliższą będzie katastrofa. Tak jak się nam obecne stosunki ziemiańskie przedstawiają, sądzimy, że większą własność ziemską, tak w naszym jak i w innych krajach, wobec jéj naturalnego dążenia do coraz silniejszego obdłużenia, oczekują dwie alternatywy: upaństwowienie, lub zupełna parcelacya na drobne działki włościańskie.

Sądzimy, że żadna z tych alternatyw nie jest pożądana, ani przez państwo, ani przez społeczeństwo, i dlatego mniemamy, że wiek XX-ty przekształci prawa hypoteczne odnośnie do własności ziemskiéj. Gdyby nawet przypuścić, co jest wprost niemożliwe, że wszelkie obecne długi obciążające hypotekę ziemską zniknęły, to za jakie kilkadziesiąt lat, lub wcześniéj, za sprawą obecnych praw hypotecznych, znowuby się dzisiejsze położenie własności ziemskiéj powtórzyło, bo ze zniknięciem długów nie zniknęłyby przyczyny powstawania ich na przyszłość.

Powtarzamy, złe leży głównie w obowiązujących kodeksach, zwłaszcza w tych ich częściach, które ustanowiły dział czwarty, a po części i trzeci hypoteki ziemskiéj.

Na odłużenie własności ziemskiéj, jako na główną przyczynę niedoli rolnika, coraz częściéj zwracana jest uwaga i skierowane badania myślicieli, w celu wynalezienia sposobu przecięcia dalszéj progresyi w tym kierunku. Tu i owdzie nawet przeniknęła do sfer prawodawczych myśl, czy nie byłoby pożytecznem nadać większéj własności

ziemskiéj formę majoratów, ordynacyi lub tym podobne. Wszystkie te formy są bardzo do siebie zbliżone, lecz znacznie różnią się w szczegółach. Bliższy ich rozbiór nie jest przedmiotem niniejszéj pracy, tém więcéj, że, naszém zdaniem, żadna z tych form nie może miéć ogólniejszego zastosowania, zwłaszcza w naszym kraju, w którym równość cywilna odwieczne zapuściła korzenie.

Przekazanie majątku, choćby i nieodłużonego, jednemu z potomków z warunkiem spłaty reszty rodzeństwa, w praktyce nie osiągnie celu. Gospodarstwa rolne nie dają dziś, a myślę, że nie dawały i przedtém, tak znacznych dochodów, aby jedno pokolenie mogło niemi spłacić $^{2}/_{3}$ lub $^{3}/_{4}$ wartości majątku ziemskiego, na to potrzeba zbyt wielkich obszarów w wysokiéj kulturze i nader małych potrzeb hypotecznego właściciela.

Naszém zdaniem, kwestyę nieodłużania majątków można rozstrzygnąć pomimo majoratów, ordynacyi i t. p., i przy sprawiedliwém utrzymaniu równości cywilnéj wszystkich spadkobierców. Sposobem tym jest tworzenie T o w a r z y s t w u d z i a ł o w y c h, to jest tylko zastosowanie i do większéj własności ziemskiéj téj idei stowarzyszeń wytwórczych, która w bieżącém stuleciu wydała tak świetne i olbrzymie rezultaty w przemyśle i handlu.

Zastosowanie w rolnictwie idei stowarzyszeń wytwórczych przyniesie i materyalne i moralne korzyści nieobliczone. Majątek ziemski przez utworzenie towarzystwa udziałowego pozostanie własnością nie jednego, lecz wszystkich spadkobierców i ich następców. Najczęściéj tylko jeden z nich będzie administratorem, ale przy współudziale i kontroli reszty. Młodsi bracia, siostry i ich następcy, jako posiadacze udziałów towarzystwa *(dominium)*, nie zerwą, jak to ma miejsce obecnie, łączności z rodzinném mieniem i będąc materyalnie zainteresowani, aby ono przynosiło jak największe zyski, bezwątpienia, w miarę możności, będą się przykładać do utrzymania go w kwitnącym stanie. W saméj rzeczy np. Wójtówka, licząca około 40 włók, w trzeciém pokoleniu reprezentowana będzie przez jakie kilkunastu spólników spółwłaścicieli. Jeden z nich będzie administratorem przy współudziale dwóch innych członków administracyi, zbierających się peryodycznie, w miarę potrzeby. Reszta spólników-właścicieli udziałów, z tytułu swoich zajęć lub położenia, zamieszkiwać będzie różne strony i nie małe może oddać usługi, jako agenci majątku, już to przy zbycie ziemiopłodów, kupnie potrzebnych towarów i załatwianiu innych potrzeb i interesów spółki. Po ukończeniu roku gospodarczego i zamknięciu rachunków, zwołane będzie w Wójtówce zebranie ogólne wszystkich

właścicieli udziałów i tu się może po raz pierwszy spotkają dalsi krewni i powinowaci.

Przez utworzenie towarzystw udziałowych ziemiańskich zacieśnią się węzły rodzinne i utrwali większa własność ziemska. System asocyacyi znacznie też ułatwi zaprowadzenie gospodarstwa przemysłowego w tych posiadłościach, które znajdują się w sprzyjających warunkach dla jego rozwoju.

Być może zarzuci nam kto, że prowadzenie gospodarstwa rolnego wymaga absolutnego jedynowładztwa, lecz przemysł i handel, z natury swojéj daleko ruchliwszy, wymaga więcéj energii i sprężystości niż rolnictwo, a jednak w nich coraz częściéj powstają nowe spółki akcyjne i udziałowe. Daléj, może komu nasunie się uwaga, że własność ziemska nie może być przedmiotem gry giełdowéj, jak to niestety ma miejsce z akcyami wielu przedsiębiorstw akcyjnych. Na to odpowiemy, że rzucamy myśl utworzenia towarzystw udziałowych imiennych, a nie akcyjnych na okaziciela. Przelew zaś udziałów imiennych można tak uregulować, że one nie będą mogły być przedmiotem gry giełdowéj, lub zbytniéj cyrkulacyi. Obecne ustawy towarzystw udziałowych w całości nie mogą być zastosowane do wyzysku ziemi. Tak specyalna gałąź wytwórczości, jak rolnictwo, przy zastosowaniu stowarzyszeń wytwórczych, potrzebuje też specyalnego typu ustawy towarzystw udziałowych ziemiańskich.

Zresztą nie podajemy tu przecież obrobionego projektu, rzucamy tylko myśl, która, naszém zdaniem, w przyszłości prawdopodobnie będzie urzeczywistniona, myśl zastosowania w rolnictwie idei stowarzyszeń wytwórczych, która tak świetne wydała rezultaty w przemyśle i handlu. Mówimy, będzie urzeczywistniona, gdyż o stałéj poprawie i utrwaleniu większéj własności ziemskiéj, bez zreformowania systemu hypotecznego nie może być mowy, a przekształcić system hypoteczny, przy zachowaniu równości cywilnéj, bez usankcyonowania udziałowéj formy władania ziemią jest wprost niemożebném.

Bylibyśmy wdzięczni, gdyby specyaliści ocenili i podnieść myśl naszą, którą w przyszłości mamy zamiar daléj rozwinąć i sformułować.

Z kolei przypatrzmy się obecnemu położeniu rolnictwa.

W ostatnich latach coraz częściéj spotykamy się z narzekaniami na brak robotników wiejskich. Głosy te o tyle tylko zasługują na uwagę, że jeszcze raz dokumentują naszą niezaradność i naturalnie wywołują uśmiech tych, którzy choć trochę są obeznani ze statystyką krajową. Przecież niedawnośmy słyszeli o nędzy ludności bezrolnéj

nie znajdującéj po wsiach zajęcia i biegnącéj do miast i za morza przed widmem głodu. Gdzież to się podziały owe dwa miliony nie mających, ani własnéj chaty, ani zagona roli? Wszak każdy z tych bezrolnych zjada rocznie przynajmniéj 30 — 35 pudów rozmaitych pokarmów, skądże więc je bierze, skoro przekłada wygrzewanie się na słońcu nad pracę około roli?

W ciągu ostatnich trzydziestu lat ludność kraju wzrosła przeszło o 3 miliony mieszkańców, a czy w tymże stosunku powiększył się obszar gruntów uprawnych? Znaczna emigracya do miast! a ileż to te miasta liczą razem mieszkańców i jaki roczny przyrost, odliczając naturalny; przytém, jak pogodzić ten fakt znacznéj emigracyi, z innym faktem np. braku sług w Warszawie? Emigracya do miast i fabryk rzeczywiście istnieje, ale znowu nie w takich rozmiarach, aby na tém wogóle cierpiało rolnictwo. Robotnik wiejski w sąsiedztwie większych miast i fabryk musi być droższym, lecz z drugiéj strony i zyski z gospodarstw rolnych w tych miejscowościach są daleko znaczniejsze, aniżeli w prowincyonalnéj głuszy i dają możność sprowadzenia robotnika z innych okolic, które nie mogą mu już dać zatrudnienia.

Tam, gdzie na kilometrze kwadratowym zamieszkuje 72 mieszkańców, gdzie rozległe jeszcze przestrzenie zajmują lasy, nieużytki, gdzie trzypolówka kwitnie na znacznych obszarach, a przemysł maluczki, tam nie może być nawet mowy o braku robotnika rolnego. Mogą być sporadyczne miejscowości, w których rzeczywiście niedostaje robotnika wiejskiego, ale temu brakowi łatwo zaradzić i uogólniać go nie należy.

Jeżeli przy naszym systemie gospodarki rolnéj, wogóle nieodznaczającéj się intensywnością, narzekamy na brak robotnika wiejskiego, jakżeby powinni lamentować np. Japończycy, przy ich sposobie uprawy roli?

Rolnictwo w Japonii, która jest krajem przeważnie górzystym, rozpościera się głównie w dolinach licznych rzek, strumykach, na stokach gór, w jarach i wąwozach. Uprawą roli zajmuje się 72% ludności, niewątpliwie zatém Japonia jest krajem rolnicyzm. Chów bydła nader nieznaczny; podług spisu 1887 r. w Japonii było: 1,023,575 sztuk bydła rogatego, w tém tylko 5,808 krów dojnych, koni $1^1/_2$ miliona, przy prawie zupełnym braku owiec. Wobec tak małéj liczby inwentarza i niskiego gatunku gleby, zdawałoby się niemożliwém wyżywienie 106 mieszkańców na kilometrze kwadratowym, tém więcéj, że Japończycy przy uprawie roli nie posiłkują się nietylko takiemi ma-

szynami, jak młocarnie, żniwiarki, ale nawet brony i pługi nader rzadko mają tam zastosowanie. Wyłącznemi prawie narzędziami przy uprawie roli w Japonii są: rydel, kilof, ręce i nogi.

Oto, jak np. Japończyk uprawia główne rośliny kraju: ryż, pszenicę i jęczmień. Uprawa roli rozpoczyna się tam w kwietniu. Rolnik przy pomocy kilofa ryje ziemię rydlem, rozbija i roztrząsa rękami i nogami, starannie odrzucając wszelkie chwasty i korzenie. Tak przygotowaną ziemię umierzwia przegniłemi liściami, popiołem, odpadkami roślin oleistych i okopowych i t. p., spełniając tę czynność rękami, aby mierzwa równomiernie zmieszała się z ziemią, poczém zaléwa pole wodą do wysokości 5 centymetrów. Po kilku tygodniach, kiedy rola, mierzwa i woda przetworzyły się w jedną wilgotną masę, na małéj cząstce tego pola sieją ryż, pszenicę, jęczmień lub inne zboża, jak najtroskliwiéj przesortowane. Naturalnie, wobec silnéj wilgoci ziemi, obfitéj mierzwy i ciepłego, południowego mussonu, nasiona po kilku dniach kiełkują i wschodzą. Wtedy to na pozostałéj części przygotowanego pola, w symetrycznych odstępach robią maleńkie dołeczki, w które po 35 dniach od wzejścia rozsadzają po jednéj silniejszéj roślince ryżu, pszenicy i t. p., starannie plantacyę pielą i obficie poléwają. Żniwa rozpoczynają się w końcu września i kończą w październiku, przyczém, zboże zżęte sierpami starannie układają garściami i suszą na słońcu. Ponieważ słoma w Japonii ma wielkie zastosowanie w przemyśle domowym i fabrycznym, więc źdźbła wyschniętego zboża starannie równają metalowym grzebieniem i dopiéro wiążą w maleńkie snopy. Aby zapewnić obfitość wilgoci, wodę rzeczną i dészczową zbiérają w stawy i baseny, którą następnie rozprowadzają kanalikami po całém polu. Jeżeli pola znajdują się na stokach gór, to powyżéj pola urządzają baseny i napełniają wodą przy pomocy kół hydraulicznych i innych urządzeń.

Przy takim systemie uprawy roli, który nawet w zachodniéj Europie nie jest jeszcze praktykowany, Japończyk, naturalnie, nie zna co to jest nieurodzaj i gęsta ludność nietylko może się wyżywić miejscową produkcyą, ale nawet szuka dróg zbytu w Chinach, Korei i nad Amurem. Pomimo tak iście aptekarskiéj uprawy roli, wymagającéj chyba poczwórnéj liczby rąk, w Japonii nietylko nie narzekają na brak robotnika wiejskiego, ale nawet prowadzą wojnę z olbrzymim sąsiadem, aby zdobyć terytorya potrzebne dla kolonizacyi części ludności, która nie może już znaléść w swéj ojczyznie zajęcia.

Wobec tych faktów, czy narzekania naszych ziemian na brak robotnika wiejskiego, mogą miéć jakąkolwiek racyę bytu?

Położenie rolnictwa doszło do punktu kulminacyjnego, akcya ratunkowa jest pilną i niecierpiącą zwłoki, ale pomimo całéj jéj nagłości na dziś musi się ograniczyć, niestety, tylko do paliatywów, aby chorego utrzymać przy życiu i chociaż cokolwiek wzmocnić na siłach. O stałém polepszeniu i utrwaleniu rolnictwa, choćby w ciągu pozostałych lat bieżącego stulecia nie może być mowy. Co było rujnowane i burzone przez całe stulecie, nie może być odbudowane w przeciągu lat kilku, a témbardziéj—wcześniéj.

Własność ziemska i wytwórczość rolna to nie zwykły zakład fabryczny, w którym niemal wszystko można obliczyć i przewidzieć, to warsztat pozornie tylko prosty, a w saméj rzeczy mechanizm nader złożony. W żadnéj gałęzi wytwórczości „przyczyny postronne" nie działają z taką siłą, jak w rolnictwie i dlatego téż położenie rolnictwa zależne jest od całego szeregu zjawisk ogólnego znaczenia.

Ekonomika nie zna środka uniwersalnego, któryby mógł „dziś lub jutro" podnieść już upadającą własność ziemską; na to potrzeba gruntownych, w znacznéj części, prawodawczych przekształceń, które przecież w ciągu paru lat nie mogą być wygotowane i przeprowadzone. Ekonomika mogłaby tylko wskazać paliatywa, które mogą nie już radykalnie wyleczyć i utrwalić, a zaledwie złagodzić ostry przebieg choroby i oddalić niebezpieczeństwo katastrofy, na mniéj lub więcéj dłuższy przeciąg czasu, potrzebny dla przeprowadzenia gruntownéj kuracyi. Lecz i w tym ostatnim razie ekonomiści napotykają trudności, których oddzielne jednostki pokonać nie mogą. Lekarz przedewszystkiém powinien zbadać chorego, a następnie postawić dyagnozę, co odnośnie do własności ziemskiéj i rolnictwa musi być dokonane przy pomocy statystyki, któréj przecież nie posiadamy. Ekonomiście potrzebna jest statystyka nietylko własności ziemskiéj, jéj stanu odłużenia, wytwórczości, ale i dane autentyczne o handlu wewnętrznym i zewnętrznym produktami rolnemi, tak krajowemi, jak i obcemi, na terytoryum Królestwa wwożonemi.

Wydział statystyczny Towarzystwa kredytowego ziemskiego powinienby szczególną zwrócić uwagę na to, że nie dość jest zebrać dokładne wiadomości dotyczące obszaru, gatunku ziemi, produkcyi, wartości szacunkowéj i hypoteczuéj, stanu odłużenia i t. p. własności ziemskiéj, lecz że równoważném, jeżeli nie ważniejszém jeszcze, jest zebranie wiadomości: 1) o produkcyi krajowéj każdego oddzielnie ziemiopłodu, choćby i podrzędniejszego znaczenia, *brutto* i po potrąceniu nasienia; 2) takież dane o produkcyi artykułów zwierzęcych; 3) miejscowe spożycie i miejscowy przetwór ziemiopłodów i artykułów zwie-

rzęcych; 4) wywóz zagranicę z terytoryum Królestwa każdego po szczególe artykułu, bez względu na jego pochodzenie, miejscowe lub obce: *a)* w stanie surowym, *b)* przerobionym; 5) wywóz szczegółowy téjże produkcyi z terytoryum Królestwa w kierunku wschodnim i do jakich mianowicie gubernii; 6) przywóz z zagranicy na terytoryum Królestwa każdego po szczególe artykułu produkcyi rolnéj i zwierzęcéj: *a)* w stanie surowym, *b)* przerobionym; 7) przywóz na terytoryum Królestwa tychże produktów z gubernii Cesarstwa i jakich mianowicie.

Dopiéro na mocy tych danych można będzie: *a)* oznaczyć miejscową konsumcyę, *b)* określić ogólny wywóz z terytoryum Królestwa tak zagranicę, jak i na rynki Cesarstwa, *c)* takiż przywóz z zagranicy i z gubernii Cesarstwa, *d)* zbadać przyczyny posiłkowania się wytwórczością pozakrajową, *e)* i zoryentować się w jakim kierunku wytwórczość rolna krajowa mogłaby być z pożytkiem wzmocnioną.

Program niniejszy wymaga rozlicznych i kosztownych studyów i dlatego nie może być w całości przedmiotem badań dla jednostki, Towarzystwo kredytowe ziemskie ma jednak dostateczne środki dla dokonania tych badań i jest instytucyą bezpośrednio i pośrednio najbardziéj zainteresowaną w ich rezultatach. Ekonomiści muszą miéć realną podstawę, aby módz ocenić różnorodne projekty, dotyczące własności ziemskiéj i wytwórczości rolnéj i samym udzielić wskazówek. Tę realną podstawę może im dać jedynie wydział statystyczny Towarzystwa kredytowego ziemskiego i od niego téż z niecierpliwością oczekują dalszego ciągu „Wiadomości statystycznych".

Szanowny czytelnik zapewne zauważył, że zgodnie z tytułem artykułu mieliśmy mówić, między innemi, o rolnictwie w r. 1893—4; obecne jednak nader krytyczne położenie większéj własności ziemskiéj zniewoliło nas do zboczenia w stronę, aby wskazać istotną przyczynę niedoli ziemian i zachęcić do szerszego stosowania w ziemiaństwie idei stowarzyszeń wytwórczych, bez czego, naszém zdaniem, niemożebne jest uratowanie i utrwalenie większéj własności ziemskiéj.

Wiadomości urzędowe ograniczają się statystyką urodzaju tylko głównych ziemiopłodów i nie obejmują danych co do zbioru innych, mniéj ważnych artykułów, chociaż te, dziś małéj ważności artykuły, przy bliższém zbadaniu ich wytwóczości i spożycia, mogłyby dawać rolnikom znaczne dochody. Mamy tu głównie na myśli, owoce, ogrodo-

wizny, rośliny lekarskie i w technice mające zastosowanie, o produkcyi których nie posiadamy żadnych prawdopodobnych danych:

W r. 1893 zebrano w guberniach Królestwa:

żyta	9.726.9	tys. czetwer.	czyli	1.04 czetw.	na 1 mieszk.
pszenicy ozimej	3,568.9	"	"	0.39	"
" jarej	58	"	"		
gryki	514	"	"	0.05	"
prosa	175	"	"	0.02	"
grochu	795	"	"	0.08	"
owsa	7,018	"	"	0.75	"
jęczmienia	2,956	"	"	0.31	"
kartofli	35,910	"	"	3.86	"
siana	152,341,424	pudów	"	16.60 puda	"
tytoniu	163	"	"	1/50 łuta	"
buraków cukr.	4,437,827	berkowców	"	0.48 berkow.	"
lnu	461,839	pudów	"	0.49 puda	"
konopi	181,614	"	"	0.19 "	"
siemienia lnian.	65,455	czetw.	"	0.007 czetw.	"
" konop.	35,594	"	"	0.004 "	"

Wytwórczość powyższa, ani odnośnie do przestrzeni gruntów uprawnych, ani w stosunku do konsumcyi krajowej, bynajmniej nie jest imponującą. Jeżeli np. od ogólnego zbioru żyta i pszenicy odliczymy ilość zużytą na zasiew, użytek przemysłu i spożycie miejscowe, to okaże się, że zwyżka tych dwóch głównych zbóż nad potrzeby krajowe, którąśmy mieli dla wywozu zagranicę wynosiła, w roku 1893-im co najwyżej 600,000 czetwerti, t. j. nie wiele więcej nad 4%.

Wobec tak małej zwyżki (i to jeszcze wątpliwej) ceny zboża na rynkach krajowych bezwątpienia byłyby daleko wyższe od notowanych w r. 1893/4, gdyby nie dowóz z gubernii Cesarstwa, już to w postaci produktów surowych lub przerobionych (mąki, kaszy, krupy i t. p.). Jeżeliby ten dowóz był niemożliwy, to rolnictwo gubernii Królestwa Polskiego byłoby w wyjątkowo zadawalniającem położeniu; lecz z drugiej strony, dotkliwie cierpiałby ogół spożywców, wskutek nadmiernego podniesienia się cen. Żyto i pszenica są to takie artykuły koniecznej potrzeby, których cena na rynkach wszechświata powinna się układać (i rzeczywiście układa) do jednego mniej więcej poziomu i państwo, któreby, w celu sztucznego podtrzymania cen, zechciało odgrodzić się niejako murem chińskim przed obcem zbożem, wyrządzi-

łoby wielką krzywdę swoim obywatelom, gdyż niesprawiedliwém byłoby eksploatowanie ogółu na korzyść jednego stanu.

* * *

Oprócz drobnych stowarzyszeń, jak kasy pożyczkowe gminne, zaliczkowo-wkładowe, przezorności, emerytalne, braterskie, pomocy lekarskiéj i t. p. w guberniach Królestwa, istniało w r. 1893 około stu towarzystw akcyjnych, udziałowych i na wzajemności opartych. W pracy niniejszéj przedstawimy położenie spółek ostatniéj kategoryi, to jest towarzystw akcyjnych udziałowych i na wzajemności opartych, przyczém ograniczyć się musimy na rozpatrzeniu tylko 72 spółek, gdyż nie wszystkie jeszcze ogłosiły swe zdania sprawy za r. 1893 lub 1893/4 i nie wszystkie téż udało się nam zebrać.

Z liczby istniejących towarzystw bądź akcyjnych, bądź udziałowych, ani jednego nie jest celem całkowity i wyłączny wyzysk własności ziemskiéj i jéj wytwórczości. Wprawdzie kilkanaście majętności ziemskich jest własnością towarzystw akcyjnych i są przez nie administrowane, lecz te dobra ziemskie nie stanowią wyłącznego i choćby głównego celu towarzystwa, będąc tylko mniéj lub więcéj koniecznem dopełnieniem zakresu wytwórczego spółki.

Istniejące w Królestwie towarzystwa zgrupowaliśmy w kilka kategoryi, celem łatwiejszego zoryentowania się i wyprowadzenia odpowiednich wniosków, i tak:

I. Drogi żelazne.

W r. 1893 było w Królestwie cztery towarzystwa dróg żelaznych, mianowicie Towarzystwo drogi żel. Warszawsko-Wiedeńskiéj, Fabryczno Łódzkiéj, Nadwiślańskiéj i Iwangrodzko-Dąbrowskiéj. Do téj liczby dla całości dodajemy drogę żelazną Warszawsko-Terespolską, która, należąc do skarbowych dróg żelaznych, nie stanowi już oddzielnego towarzystwa. Prócz tego, na terytoryum Królestwa znajdują się części dróg żel. Petersbursko-Warszawskiéj i Brzesko-Grajewskiéj, dla których to części rezultatów z eksploatacyi oznaczyć nie możemy. Pomienione koleje miały długości następujące (łącznie z odnogami).

1.	Droga żel.	Warszawsko-Wiedeńska	463	wiorst
2.	„	Fabryczno-Łódzka	26	„
3.	„	Nadwiślańska	507	„
4.	„	Iwangrodzko-Dąbrowska	452	„
5	„	Warszawsko-Terespolska	502	„
		razem	1,950	wiorst

Rezultaty wyzysku powyższych dróg żelaznych były nader zadawalniające, gdyż wszystkie wykazały znaczne powiększenie dochodów. Czysty zysk z eksploatacyi, wynoszącéj w r. 1891 dla ogółu tych kolei 1,662 rubli na jedną wiorstę, w r. 1893 podniósł się wysoki 4,146 rs. na wiorstę.

I tak w r. 1893 miały:

	dochód ogólny suma	dochód czysty suma	na 1 wiorstę
	w rublach		
1. Droga żel. Warsz.-Wiedeńska	12,213,112	4,641,317	10,224
2. „ Fabr.-Łódzka	1,148,528	655,615	25,216
3. „ Nadwiślańska	5,210,655	1,260,527	2,504
4. „ Iwangr.-Dąbrowska	3,488,086	897,913	1,987
5. „ Warsz.-Terespolska	2,977,855	621,638	1,590
razem	25,038,236	8,076,010	4,146

Dochód *brutto* tych kolei wynosił w 1893 r. 2 rs. 69 kop. na jednego mieszkańca.

II. *Towarzystwa kredytowe miejskie.*

W guberniach Królestwa istnieje pięć stowarzyszeń kredytu hypotecznego miejskiego, które w okresie przez nas omawianym, miały następujący obieg listów zastawnych, a mianowicia:

6. Towarzystwo kredytowe m. Warszawy	38,252,800 rs.
7. „ „ Łodzi	6,709,900 „
8. „ „ Kalisza	877,850 „
9. „ „ Lublina	1,863,550 „
10. „ „ Płocka	802,950 „
razem było w obiegu Listów zastawnych powyższych towarzystw kredytowych miejskich na sumę . . .	48,507,050 rs.

Bilans tych pięciu towarzystw tak się przedstawia:

Stan czynny:

kasa i rachunki bieżące . . .	1,128,759 rs.	$28^1/_2$ kop.
papiéry publiczne	5.065,891 „	50 „
dłużnicy	48,660,083 „	85 „
rozmaici	54,887 „	68 „
nieruchomości	314,248 „	31 „
łącznie	55.223.870 rs.	$62^1/_2$ kop.

Stan bierny:

Listy zastawne w obiegu . .	48,507,050 rs.	— kop.
kapitał zapasowy	4,187,033 „	$27^1/_2$ „

kredytorowie	2,300,869 „	74	kop.
rozmaici	74.718 „	$34^1/_2$	„
czyste zyski	154,199 „	$26^1/_2$	„
łącznie	55,223,870 rs.	$62^1/_2$	kop.

Kapitał zapasowy towarzystw stanowił w 1893 r. 8.6% ogółu Listów zastawnych, znajdujących się w obiegu.

Ponieważ część zysków czystych poprzednio została przelaną na inne rachunki, przeto ogół czystych zysków osiągniętych przez Towarzystwa kredytowe miejskie za rok operacyjny należy podnieść do sumy 366,438 rs. 95 k.

Z powyższego widzimy, że tylko pięć miast w kraju posiada instytucye kredytu hypotecznego, prócz nich jest jeszcze kilka innych miast, któreby mogły uzyskać dla siebie podobne towarzystwa, jeżeli już niemożebném jest otwarcie jednéj wspólnéj instytucyi dla ogółu miast prowincyonalnych.

Nadmieniamy przytém, że miasta nasze daleko większą odniosłyby korzyść, gdyby i do nich mogły być zastosowane ustawy banków miejskich istniejących w Cesarstwie. Większość miast Królestwa posiada gotowy fundusz zakładowy banków w kapitałach miejskich, przynoszących obecnie nader małe odsetki. Ustanowienie banków miejskich zwiększyłoby dochody miast i dzielnie wpłynęło na rozwój rzemiosł, rozkrzewienie drobnego przemysłu, nie mówiąc już o ożywieniu ruchu budowlanego, do którego te instytucye niewątpliwie-by się przyczyniły.

III. Stowarzyszenia kredytowe.

Na zasadzie posiadanych przez nas sprawozdań z czynności instytucyi kredytu krótkoterminowego, miały kapitał zakładowy akcyjny lub udziałowy:

			dywidenda
11. Bank Handlowy w Warszawie w sumie	6,000,000 rs.		$10^2/_5$%
12. Warszawski Bank Dyskontowy . . .	2,000,000 „		$9^1/_2$%
13. Bank Handlowy w Łodzi	1,500,000 „		12%
14. Warszawskie Towarz. wzaj. kredytu .	1,111,5 5 „		—
15. Kasa pożycz. przemysł. warszawskich .	242.387 „		8%
16. „ „ łódzkich . .	573,300 „		8%
17. „ „ lubelskich . .	91,450 „	06 k.	10%
18. „ „ łomżyńskich .	44,457 „	42 „	12%

łącznie ośm instytucyi kredytu krótkoterminowego posiadało w kapitale zakładowym . 11,563,159 rs. 48 k.

Ogólny bilans powyższych instytucyi kredytowych wykazuje:

Stan czynny:

kasa i rachunki bieżące	2,084,635 rs.	53 kop.
papiery publiczne	4,549,908 „	48 „
portfel	22,564,507 „	40 „
pożyczki	8,598,995 „	88 „
korespondenci	11,181,825 „	69 „
rozmaici	997,240 „	32 „
nieruchomości	250,227 „	15 „
łącznie	50,227,340 rs.	50 kop.

Stan bierny:

kapitał zakładowy	11,563,159 rs.	48 kop.
„ zapasowy	3,660,356 „	93 „
wkłady	17,767,352 „	58 „
korespondenci	12,486,068 „	81 „
redyskonto i zastawy	1,635,549 „	85 „
rozmaici	1,699,562 „	50 „
czyste zyski	1,415,290 „	35 „
łącznie	50,227,340 rs.	50 kop.

Fundusz zapasowy instytucyi kredytowych stanowił 31.6% ich kapitału zakładowego.

Prywatnych stowarzyszeń kredytowych kraj nasz posiada nader mało, stosunkowo znacznie mniéj niż imperyum. Naturalnie, tworzenie banków jest trudniejszém wobec braku kapitałów i odpowiednio przygotowanego gruntu dla ich operacyi. Natomiast, pożądaném byłoby powołanie do życia towarzystw wzajemnego kredytu, chociażby po jednéem na każdą gurbernię, oraz szerokie rozpowszechnienie kas pożyczkowych przemysłowców, których nawet dziesiątka dotąd nie posiadamy. Typ kas przemysłowców jest nader odpowiedni dla krajowych stosunków ekonomicznych, i zaiste dziwić się należy brakowi inicyatywy i wytrwałości obywateli miast prowincyonalnych, którzy dotąd nie mogli zdobyć się na utworzenie tak pożytecznych dla nich instytucyi.

IV. Stowarzyszenie zastawnicze ruchomości.

W Królestwie istnieje tylko jedna samodzielna instytucya lombardowa, w powszechném tego słowa znaczeniu, mianowicie:

19. Warszawskie Towarzystwo pożyczkowe dla zastawu ruchomości, które z końcem 1893 r. posiadało kapitału zakładowego 800,000 rs. i zapasowego 32,787 rs. 31 k. W tymże czasie bilans tego stowarzyszenia wykazuje w udzielonych pożyczkach 942,937 rs.,

w gotowiznie 47,892 rs. 44 k. i w papiérach publicznych 364,534 rs. 98 k. Z czystych zysków, otrzymanych w sumie 118,544 rs. 71 k., wydzielono $11^{1}/_{2}\%$ dywidendy na kapitał zakładowy.

V. Towarzystwa ubezpieczeń.

Na terytoryum Królestwa operuje znaczna licza towarzystw ubezpieczeń wszelkiego rodzaju, bądź ruskich, bądź zagranicznych. Krajowych instytucyi ubezpieczeń było dwie, mianowicie:

20. Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia z kapitałem	1,000,000 rs.
21. Towarzystwo ubezpieczeń „Przezorność" z kapit.	500,000 „
razem	1,500,000 rs.

Bilans obu Towarzystw ubezpieczeń z końcem 1893 roku wykazuje:

Stan czynny:			
kasa i rachunki bieżące	600,674 rs.	11 kop.	
papiéry publiczne	2,874,346 „	90 „	
dłużnicy	552,550 „	48 „	
rozmaici	173,076 „	83 „	
łącznie	4,200,648 rs.	32 kop.	
Stan bierny:			
kapitał zakładowy	1,500,000 rs.	— kop.	
„ zapasowy	1,492,860 „	90 „	
rozmaici	1,071,254 „	91 „	
czyste zyski	136,532 „	51 „	
łącznie	4,200,648 rs.	32 kop.	

Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia wydzieliło za 1893 rok 12% dywidendy od kapitału zakładowego, drugie zaś Towarzystwo „Przezorność", rozpoczynające dopiéro swą działalność, otrzymało zysk czysty nader nieznaczny (3,042 rs. 70 k.) i naturalnie dywidendy wydać nie mogło. Zakres tego stowarzyszenia jest bardzo pożyteczny i spodziéwać się należy, że dalsza jego działalność pomyślnym rezultatem uwieńczoną będzie.

VI. Towarzystwa cukrowni i rafineryi.

Pod względem techniki cukrownictwo krajowe zajmuje wysoki stopień doskonałości, wyższy wogóle od zakładów tego rodzaju w Cesarstwie, a nawet w niektórych państwach Europy wschodniéj. Cukrownie i rafinerye pozostają w silnych rękach, rozporządzać mogą

znacznemi kapitałami swych właścicieli, którzy też hojnie używają swych zasobów na zaprowadzenie najnowszych ulepszeń. Tylko wysoka technika, obfitość środków, iście bankierska oszczędność i rachunkowość mogły zabezpieczyć cukrownictwu krajowemu to wysokie stanowisko, jakie ono rzeczywiście zajmuje.

W ciągu kampanii 1893/4 r. było czynnych 40 cukrowni i rafineryi, które przerobiły 4,612,881 berkowców buraków i wyrobiły:

rafinady	1,802,039.7	pudów
białéj mączki cukrowéj	1,952,084.3	„
cukru żółtego . . .	63,000	„
patoki	8.9	„
razem	3,817,132.9	pudów

Do liczby towarzystw akcyjnych lub udziałowych cukrowni i rafineryi między innemi w r. 1893 należały:

				dywidenda
22. Warszawskie Towarz. fabr. cukru	z kapit.	zakład.	1,800,000	21% [1]
23. Towarzystwo cukrowni „Czersk"	„	„	800,000	7%
24. „ „ „Oryszew"	„	„	700,000	8%
25. Cukrownia „Poturzyn"	„	„	300,000	— [2]
26. Towarz. cukr. i rafin. „Konstancya"	„	„	800,000	15%
27. „ „ „Hermanów"	„	„	750,000	6%
28. „ „ „Łyszkowice"	„	„	800,000	7.6%
29. „ „ „Zbiersk"	„	„	810,000	16%
30. Towarz. przemysłowe „Leśmierz"	„	„	1.200,000	9½%
31. „ cukrowni „Ciechanów"	„	„	500,000	— [3]
32. „ cukr. i rafin. „Leonów"	„	„	1,271,994.04	— [4]
33. Cukrownia „Krasiniec"	„	„	400,000	— [4]
34. Towarz. cukr. i rafin. „Michałów"	„	„	600,000	3%
35. Cukrownia „Opole Lubelskie"	„	„	270,000	— [5]
36. Towarz. cukr. i rafin. „Józefów"	„	„	850,000	4%

Ogółem 15 towarzystw akcyjnych lub udziałowych miało kapitału zakładowego . . . . rs. 11,952,054.04

Dochód ich *brutto* wynosił 11,716,270 rs. 71 kop., czyste zaś zyski wykazano w sumie 1,318,978 rs. 32½ k., t. j. przeszło 11% od kapitału zakładowego.

---

[1] Dywidenda za kampanię 1892/3 r.

[2] „Poturzyn" wypłacił odsetek od kapitału zakładowego i obrotowego 52,649 rs. 97 kop.

[3] „Ciechanów" miał czystych zysków 46,592 rs. 40 k., t. j. przeszło 9%.

[4] „Leonów" i „Krasiniec" dywidendy nie wydały.

[5] „Opole Lubelskie" miało czystych zysków 53,033 rs. 66 kop., t. j. przeszło 14%.

Bilans powyższych 15-tu towarzystw przedstawia się, jak następuje:

Stan czynny:

ziemia, budowle, maszyny i instrumenty	11,976,113 rs. 96 kop.
towary i materyały	5,735,242 „ 56 „
kasa i rachunki bieżące . . .	650,616 „ 80 „
papiéry publiczne	1,239,251 „ 04 „
zaliczenia na buraki i rozmaici .	5,651,534 „ 48 „
łącznie	25,252,758 rs. 84 kop.

Stan bierny:

kapitał zakładowy	11,952,054 rs. 04 kop.
„ zapasowy	1,328,192 „ 08 „
„ amortyzacyjny . . .	5,199,475 „ 66 „
rozmaici	5,454,058 „ 73½
czyste zyski	1,318,978 „ 32½
łącznie	25,252,758 rs. 84 kop.

Kapitał zapasowy powyższych towarzystw stanowi przeszło 11% i amortyzacyjny przeszło 43.7% kapitału zakładowego.

Podług urzędowych danych [1]) w r. 1892 pracowało w cukrownictwie 17,665 robotników, w tém 3,122 kobiét i 323 małoletnich.

Dochód od wyrobu cukru składał się: *a)* z akcyzy od cukru, *b)* z opłat patentowych i *c)* z kar za naruszenie przepisów o akcyzie od cukru. W ciągu roku 1892-go wpłynęło do kas Królestwa z tego tytułu 4,502,018 rs. 31 kop., t. j. po 49 kop. na jednego mieszkańca. W roku 1866-ym opłata od cukru z buraków wynosiła zaledwie 156,366 rs., zatém w ciągu 26-ciu lat dochód od cukru w guberniach Królestwa wzrósł o 2.879%.

VII. *Towarzystwa akcyjne przemysłu tkackiego.*

Po rolnictwie, przemysł tkacki zajmuje naczelne miejsce w wytwórczości krajowéj. Zaszczepiony za sprawą ks. Lubeckiego i jego towarzyszy, przy hojnym zasiłku skarbu, oraz troskliwéj, iście ojcowskiéj opiece, przemysł tkacki w Królestwie początkowo szybko wzrastał. Lecz wkrótce już zaburzenia polityczne i wysoka taryfa celna pomiędzy Królestwem a Cesarstwem silnie podkopała byt jego, zwłaszcza, główna podówczas gałąź przemysłu tkackiego sukiennictwo,

---

[1]) Patrz „Sprawozdanie departamentu poborów niestałych za rok 1892". Petersburg, 1893 r.

poniosło niepowetowane straty. Dalsza ćwierć wieku była, jeżeli już nie wegetacyą, to nader słabym wzrostem i dopiéro skutki wojny krymskiéj sprowadziły nowy zwrot pomyślny. Bawełna zajęła w tym czasie pierwsze miejsce w krajowym przemyśle tkackim, lecz dopiéro w ostatniéj ćwierci bieżącego stulecia, przemysł ten zajaśniał, czy jednak wspaniale? Wątpimy.

Przemysł tkacki w kraju, zwłaszcza wełniany i bawełniany cechuje się głównie wielką rozmaitością wyrobów, szybkiém przyswajaniem nowych gatunków — to i wszystko. Bo co się tyczy wysokiéj techniki, artystycznego wykonania i trwałości wyrobów, to z liczby przeszło 600 fabryk, zaledwie kilka może się poszczycić temi przymiotami. Krajowe np. wyroby bawełniane współzawodniczyć mogą tylko taniością, zwłaszcza wszelkiéj nazwy perkaliki farbowane i drukowane, wogóle mogą być zaliczone zaledwie częściowo do średnich, reszta zaś tak pod względem dobroci, jak i artyzmu, do gatunków niższych. O wyższych wyrobach bawełnianych, w pojęciu europejskiém, nie może być mowy, w tym kierunku Łódź i Zawiercie muszą odbyć długie jeszcze studya i gruntownie zmienić techniczne urządzenia swych fabryk, aby módz swemi drukowanemi i barwionemi wyrobami współzawodniczyć, nie już z Mulhouse i Rouen, ale choćby z wielu moskiewskiemi fabrykami.

Że tak jest, dowodem liczne agentury i składy moskiewskich manufaktur, które w ostatnich latach utrwaliły się na Nalewkach, przedając w Królestwie na miliony rubli swoich towarów, których ani Łódź ani Zawiercie nie są w stanie wyrabiać.

Niski stopień techniki w krajowym przemyśle bawełnianym (wogóle) jest tém mniéj do wybaczenia, że, jak poniżéj zobaczymy, potentaci bawełniani rozporządzają bardzo znacznemi kapitałami. Przytém godnym jest zaznaczenia jeszcze raz fakt, że technicy krajowi u siebie dotąd są bardzo mało i niechętnie dopuszczani na wyższe w przemyśle tkackim stanowiska, gdy tymczasem w Cesarstwie tymże technikom bardzo chętnie powierzają kierownictwo wielkiemi fabrykami, nie mówiąc już o wynagrodzeniu, które nierzadko dochodzi do kilkunastu tysięcy rubli rocznie i więcéj. Fabrykanci bawełniani nie mają więc prawa uskarżać się na brak technicznych sił krajowych, bo te, które zmuszone są szukać chleba daleko po za krajem, aż nadto wystarczyćby mogły na potrzeby przemysłu krajowego.

Do liczby towarzystw akcyjnych przemysłu tkackiego, między innemi należą:

				Dywidenda:	
37.	Towarz. zakł. żyrardow. Hielle i Dietricha	z kap. zakł.	9,000,000	$4^1/_{10}$%	[1]
38.	„ manuf. bawełnian. Karola Scheiblera	„ „	9,000,000	10%	
39.	„ „ „ I. K. Poznańskiego	„ „	5,000,000	14%	
40.	„ przędz., tkalni i blich. „Zawiercie“	„ „	4,403,000	19%	[2]
41.	„ manuf. bawełnian. „Louis Geyera“	„ „	1,500,000	8%	
42.	„ „ półwełnianych R. Kindlera	„ „	1,000,000	9%	
43.	Akc. przędzalnia i farbiarnia „G. F. Kürtzel“	„ „	823,324.40		[3]
44.	Gen. komp. przem. przędz. „Leon Allart i Sp.“	„ „	1,346,850.94		[4]
45.	Warszawska przędzalnia udziałowa	„ „	125,000		[5]
46.	Towarz. fabr. wyr. wełn. Gustawa Lorentza	„ „	1,000,000	$6^1/_2$%	
47.	„ manuf. wełn. i baw. M. Sielbersteina	„ „	2,000,000	13%	
48.	„ „ bawełnianych S. Rosenblatta	„ „	1,000,000	7%	
49.	„ „ Juliusa Heinzela	„ „	3,000,000	11%	
50.	„ „ baweln. Heinzela i Kunitzera	„ „	3,000,000	9%	

Ogółem 14 Towarzystw akcyjnych lub udziałowych miało kapitału zakładowego 42,198,175.34

Ogólny bilans 14 Towarzystw akcyjnych przemysłu tkackiego wykazuje:

Stan czynny:

ziemia, budynki, maszyny i instrumenty	41,072,345	rs.	$09^1/_2$	kop.
towary i materyały	29,259,998	„	54	„
kasa i rachunki bieżące	2,707,129	„	54	„
papiery publiczne	744,210	„	66	„
dłużnicy	16,231,462	„	07	„
rozmaici	1,482,555	„	19	„
Łącznie	91,497,698	rs.	$09^1/_2$	kop.

Stan bierny:

kapitał zakładowy	42,198,175	rs.	34	kop.
„ zapasowy	3,558,347	„	$44^1/_2$	„
„ amortyzacyjny	13,465,150	„	$22^1/_2$	„
kredytorowie	28,031,680	„	64	„
czyste zyski	4,244,344	„	$44^1/_2$	„
Łącznie	91,497,698	rs.	$09^1/_2$	kop.

Kapitał zapasowy stanowi 9% i amortyzacyjny 33% kapitału zakładowego towarzystw.

Zyski brutto 14 Towarzystw akcyjnych 6,449,157 rs. $33^1/_2$ kop. i zyski czyste 4,244,344 rs. $44^1/_2$ kop., t. j. przeszło 10% od kapitału zakładowego towarzystw.

---

[1] Dywidenda za 1892/3 r.

[2] W tej sumie 1,028,000 rs. 5% obligacyi Towarzystwa.

[3] Czyste zyski wynosiły 38,984 rs. 98 kop., t. j. $4^7/_{10}$%.

[4] Czyste zyski wynosiły 68,248 rs. $61^1/_2$ kop., t. j. 5%.

[5] Dywidendy nie wydano.

Podług urzędowych danych [1]), w Królestwie było w 1890 r. ogółem 598 fabryk przemysłu tkackiego, które zatrudniały 59,465 robotników, w tém 25,682 kobiét i 1,564 małoletnich obojga płci. Wartość produkcyi tkackiéj podano w sumie 89,240,000 rs., lecz choćby powyższy bilans zaledwie 14 towarzystw akcyjnych wskazuje, że suma ta jest daleką od rzeczywistości. Przypuszczamy, że wartość wytwórczości przemysłu tkackiego w Królestwie dosięga przynajmniéj sumy 140 milionów rubli rocznie.

Obecne rozszerzenie zakresu działalności inspekcyi fabrycznéj, między innemi w celu zbiérania i grupowania materyałów statystycznych przemysłu fabrycznego, daje nam niepłonną nadzieję, że już w niedalekiéj przyszłości będziemy mogli rozporządzać danemi więcéj prawdopodobnemi.

VIII. *Towarzystwa akcyjne górnicze i metalurgiczne.*

Górnictwo krajowe reprezentują następujące główne gałęzie:

Żelazo. Przemysł żelazny był znany w Polsce jeszcze w XIII stuleciu, naturalnie w bardzo małych rozmiarach, bo i potrzeby ówczesne były małe, w następnych wiekach potrzeby tego metalu wzrastały stopniowo. Dopiéro w bieżącém stuleciu, z rozkwitem przemysłu fabrycznego, budowy kolei, maszyn i narzędzi, przemysł żelazny silnie wzrastał, a w ostatnich kilkunastu latach wytwórczość téj gałęzi doszła do rozmiarów, których przedtém trudno było przewidzieć.

I tak wyprodukowano w Królestwie.

	surowcu	żelaza	stali
	p u	d ó	w
w 1883 r.	2,494,279	1,995,961	3,434,834
1893	10.037,664	3,629,322	5,850,624

W tym ostatnim roku było w kraju 39 górniczych zakładów żelaznych, z tych 12 zakładów należało do 7 kompanii akcyjnych, które to stowarzyszenia wyprodukowały: surowcu 76%, żelaza 75% i stali 100% ogólnéj krajowéj wytwórczości tych produktów. Zatém pozostałe 27 zakładów przygotowały surowcu zaledwie 24% i żelaza 25%.

Z powyższéj wytwórczości w 1893 r. przypada na jednego mieszkańca: surowcu 43 funty, żelaza 15 f. i stali 25 f.. gdy tymczasem zużycie surowcu wynosi na jednego mieszkańca: we Francyi 120 f., w Niemczech 200 f., w Belgii 400 f. i w Anglii 440 f. Tak małe

[1]) „Zbiór danych o przemyśle fabrycznym w Rosyi za r. 1890". Petersburg, 1893.

spotrzebowanie u nas tego metalu leży głównie w jego cenie, która w porównaniu z zagranicą jest niesłychanie wysoką i niedostępną dla naszego kmiecia.

Węgiel kamienny. Kopalnia „Tadeusz" dobywała węgiel jeszcze w 1785 r., a „Reden" w 1796 r., obie naturalnie w bardzo małych rozmiarach. Wogóle wydobyto węgla kamiennego w Królestwie:

w 1831 r.	549,000	pudów
1860	10,788,000	„
1880	73,449,000	„
1890	150,792,500	„
1892	174,628,397	„

Tę ostatnią ilość dobyto z 17 kopalni, należących do 12 firm, w téj liczbie 6 towarzystw akcyjnych, które to stowarzyszenia dobyły około 85% ogólnéj ilości.

Cynk. Przemysł cynkowy ogranicza się w Królestwie do dwóch powiatów Olkuskiego i Będzińskiego. Wytwórczość trzech kopalni galmanu i 4 zakładów fabrycznych przedstawiała się w 1892 r. jak następuje:

wytopiono cynku w płytach	261,129	pudów
przygotowano blachy cynkowéj	143,266	„
„ bieli cynkowéj	38,706	„

Inne gałęzie wytwórczości górniczéj w Królestwie są dotąd bardzo małego znaczenia.

Podług urzędowych danych wartość produkcyi metalurgicznéj w Królestwie wynosiła w 1890 r. 28,720,000 rubli, ilość zaś robotników, zajętych w przemyśle metalurgicznym i górnictwie około 35,000. Obie jednak te liczby uważamy za bardzo dalekie od rzeczywistości.

Do liczby towarzystw akcyjnych górniczych i metalurgicznych w 1893 r. między innemi należały:

				Dywidenda:
51.	Tow. sosnowickie kop. węgla, rud i zakł. z kap. zakład.	12,266,666.67	[1]	4%
52.	„ zakł. żelaza i stali „Huta bankowa" „ „	2,811,005.65	[2]	11%
53.	Warsz. Tow. kopalni węgla i zakł. górn. „ „	1,500,000		6½%
54.	Towarz. franc.-wł. kop. węg. w Dąbrowie „ „	4,400,000	[3]	3%
55.	„ kopalni węgla „Czeladź" „ „	1,932,804	[4]	

---

1) W tém 6,600,000 rs. w obligacyach.

2) W tém 457,625 rs. w obligacyach.

3) W tém 2,000,000 rs. w obligacyach.

4) W tém 732,000 rs. w obligacyach, dywidendy nie było.

56.	Towarz. Länderbank austryacki	z kapit. zakład.	389,544.80	[1]
57.	„ ostrowieckich zakład. żelaznych	„ „	800,000	40%
58.	„ zakł. metalurgicz. B. Handtke	„ „	500,000	
59.	„ starachowickich zakł. górn.	„ „	1,500,000	12%
60.	„ przem. „Lilpop, Rau i Lewenstein“	„ „	2,638,000	[3]
61.	„ „Milowicki zakład żelaza“	„ „	650,000	[4]
62.	„ „Vereinigte Königs et Laurahütte“	„ „	1,184,205.08	[5]
63.	„ bud. mach. i odl. b. K. Rudzki i Sp.	„ „	300,000	63%
64.	„ fabryk metalicz. Norblin, Bracia Buch i T. Werner	„ „	1.500,000	6%
65.	Towarz. warsz. fabr. wyr. metal. „Wulkan“	„ „	600,000	[6]

Ogółem 15 Towarzystw akcyjnych górniczych i metalurgicznych posiadało kapitału zakładowego 32.972,226.20

w tém w obligacyach 10,430,625 rs.

Czyste zyski powyższych towarzystw wyniosły ogółem 3,134,386 rs. 8 kop., t. j. około 14% od kapitału zakładowego akcyjnego (wyłączając obligacye). Szczególną uwagę zwracają dwa Towarzystwa mianowicie: Towarzystwo budowli machin i odlewni b. K. Rudzki Sp., które wydało 63% i Towarzystwo ostrowieckich zakładów górniczych, które wypłaciło 40% dywidendy.

Ogólny bilans 15 towarzystw akcyjnych górniczych i metalurgicznych wykazuje:

Stan czynny:

Ziemia, lasy, kopalnie, budynki, maszyny i t. p.	29,263,696 rs.	59½	kop.
towary i materyały	6,730,610 rs.	10	„
kasa i rachunki bieżące	1,894,951 „	89½	„
papiéry publiczne	1,672,493 „	18	„
dłużnicy	8,764,637 „	27	„
rozmaici	4,000.722 „	8	„
Łącznie	52,327,114 rs.	12	kop.

Stan bierny:

kapitał zakładowy	32,972,226 rs.	20	kop.
„ zapasowy	2,032,893 „	19½	„
„ amortyzacyjny	4,727,948 „	29	„
kredytorowie	7,822,213 „	60	„
rozmaici	1,637,446 „	65½	„
czyste zyski	3,134,386 „	18	„
Łącznie	52,327,114 rs.	12	kop.

1) Zyski wynosiły 22,857 rs. 70 kop.

2) Zyski wynosiły 54,055 rs. 63 kop., t. j. $10\frac{4}{5}$%.

3) W tém 638,000 rs. w obligacyach, czyste zyski wyniosły 57,039 rs. 11 k.

4) Dywidendy nie było.

5) Czyste zyski wyniosły 467,561 rs. 51 kop.

6) Czyste zyski wyniosły 105,225 rs. 40 kop., t. j. 17½%.

Kapitał zapasowy stanowi 9% i amortyzacyjny 21% kapitału zakładowego akcyjnego powyższych towarzystw.

IX. Rozmaite towarzystwa akcyjne i udziałowe.

Do téj kategoryi zaliczyliśmy resztę towarzystw, które nie weszły do grup wyżéj wymienionych i nie mogły stanowić oddzielnych kategoryi dla swéj nieliczności i rozmaitości zakresu, mianowicie:

					Dywidenda:
66.	Towarz. garbarni Temler i Szwede	z kap. zakład.		1,000,000	13%
67.	„ papierni „Soczewka"	„	„	600,000	8%
68.	Warsz. Tow. Rekt. i przed. spirytusu	„	„	300,000	[1]
69.	Niem. kontyn. Tow. gazowe w Dessau	„	„	4,760,707.62	[2]
70.	Łódzkie Towarzystwo gazowe	„	„	450,000	12% i 6% [3]
71.	Towarz. browaru Następ. K. Anstadta	„	„	600,000	8%
72.	„ „ „W. Kijok i Sp.	„	„	650,000	[4]
73.	Magazyn mebli Tow. warsz. stolarzy	„	„	—	[5]
74.	„ drzewa warsz. rękodzielnik.	„	„	18,119.47	[6]
75.	Tow. fabr. mebli giętych „Wojciechów"	„	„	275,000	8%
76.	Towarz. łaźni parowych i pralni	„	„	400,000	5½%
77.	„ kolei konnych w Warszawie	„	„	4,800,000 [7]	5½

Ogółem 12 rozmaitych Towarzystw akcyjnych lub udziałowych posiadało kapitału zakładowego 13,853,827.09

w tém 2,400,000 rs. obligacyi i 54,000 rs. akcyi pożytkowych.

Ogólny bilans tych towarzystw wykazuje:

Stan czynny:			
ziemia, budynki, maszyny, koleje	12,989,819 rs.	93½	kop.
towary i materyały	2,530,402 „	49	„
kasa i rachunki bieżące	259,273 „	93	„
papiery publiczne	117,421 „	32	„
dłużnicy	2,332,176 „	82½	„
rozmaici	1,097,659 „	26	„
Łącznie	19,326,753 „	76	kop.

Stan bierny:			
kapitał zakładowy	13,853,827 rs.	8	kop.
„ zapasowy	867,685 „	91	„

---

[1] Czyste zyski wyniosły 5,192 rs. 43½ kop.

[2] Zyski wyniosły 435,066 rs. 2 kop., t. j. 9%.

[3] W tém 54,000 rs. akcyi pożytkowych, które otrzymały 6% dywidendy.

[4] Zyski czyste wyniosły 34,764 rs. 96½ kop.

[5] Zyski czyste wyniosły 654 rs. 84 kop.

[6] Otrzymano ubytku 40 rs. 68 kop.

[7] W tém 2,400,000 r. w obligacyach.

kapitał amortyzacyjny	724,335	rs.	86 kop.
kredytorowie	2,374 475	„	71 „
rozmaici	483,150	„	42 „
czyste zyski	1,023,289	„	78 „
Łącznie	19,326,753	rs.	76 kop.

Czyste zyski powyższych towarzystw rozmaitych wynoszą około 9% od kapitału zakładowego tych towarzystw, za wyłączeniem obligacyi.

Tym sposobem zgrupowawszy 77 towarzystw akcyjnych, udziałowych, lub na wzajemności opartych i rozpatrzywszy szczegółowo ich sprawozdania, na zakończenie, celem ogólnego zoryentowania się o rozmiarach tych stowarzyszeń, przytaczamy ogólny bilans wszystkich wymienionych powyżej spółek, za wyłączeniem pierwszych pięciu, t. j. dróg żelaznych.

Ogólny bilans 72 towarzystw akcyjnych, udziałowych i na wzajemności opartych, istniejących w guberniach Królestwa Polskiego.

Stan czynny:

ziemia, lasy, budynki, maszyny i t. p.	95,886,451	rs.	$4^1/_2$ kop.
towary i materyały	44,256,253	„	69 „
portfel	22,564,507	„	40 „
kasa i rachunki bieżące	9,373,933	„	58 „
papiéry publiczne	16,628,058	„	6 „
dłużnicy	41,311,338	„	$28^1/_2$ „
„ hypoteczni	48,660,083	„	85 „
korespondenci	11,181,825	„	69 „
rozmaici	9,661,081	„	63 „
Łącznie	299,523,533	rs.	23 kop.

Stan bierny:

Kapitał zakładowy	114,839,442	rs.	14 kop.
„ zapasowy	17,160,157	„	$4^1/_2$ „
„ amortyzacyjny	24,116,910	„	$3^1/_2$ „
listy Zastawne w obiegu	48,507,050	„	
wkłady	17,767,352	„	58 „
kredytorowie	41,045,245	„	64 „
korespondenci	12,486,068	„	81 „
redyskonto i zastawy	1,635,549	„	85 „
rozmaici	10.420,191	„	$56^1/_2$ „
czyste zyski	11,545,565	„	$56^1/_2$ „
Łącznie	299,523,533	rs.	23 kop.

Czyste zyski 72 towarzystw powyższych stanowią przeszło jedénaście i pół procent od kapitału zakładowego tych towarzystw, za wyłączeniem obligacyi. Jestto rezultat bardzo świetny, którym

nie może się poszczycić ani jedno z zachodnich państw europejskich. Rezultat ten, wobec bezustannie malejących odsetek od papiérów publicznych, powinienby zachęcić kapitalistów do zawiązywania nowych spółek akcyjnych, lub udziałowych. Korzyść osiągnie się podwójna, kapitaliści zwiększą tym sposobem swoje dochody i rozszerzy się przemysł i dobrobyt krajowy. Stosunkowo umiarkowane bogactwa przyrody naszego kraju dotąd zaledwie w małéj części są wyzyskiwane, chociaż ogólnie narzekamy na biédę. Wysokie odsetki od kapitału akcyjnego, przypominają nam odpowiedź pewnego bankiera berlińskiego, daną niegdyś warszawskiemu obywatelowi:

— Wasz kraj biédny? Nie panie, u was na każdym kroku leży na ziemi milion, trzeba tylko umiéć go podniéść.

Leon Iwanicki.



ŚWIEŻE POWIEWY

W SZTUCE [1].

II. Zwyrodniali.

Dziwny zaiste zbieg wypadków. Właśnie w szkicu niniejszym kolej przyszła na Władysława Podkowińskiego, a tu go śmierć zabiera. Nie wieleby on co prawda skorzystał z tych uwag, choć, o ile mi wiadomo i pamiętam z rozmów, nie lekceważył sobie tak bardzo zarzutów i pochwał, które z powodu różnych jego obrazów wypowiadałem. Rozumieliśmy się dosyć dobrze, a pochop do tego dały moje wyraźnie życzliwe wzmianki o nim, wzmianki, narażające autora na pewną cząstkę tych szykan, któremi tak obficie swego czasu częstowano zmarłego artystę. Nie oburzałem się ani na „Taniec szkieletów", choć nie taiłem, że artysta nie umiał bynajmniéj wyzyskać tego głęboko romantycznego motywu i zrobił z niego jakiś jałowy, suchy chrzęst kości, stos patyków i dziur, czerepów i piszczeli, i umoczył je wszystkie w jakimś sosie wątrobianéj barwy. Nie oburzałem się i na owo zakrwawione serce, które trzymała w dłoniach kobiéta o rozwianych symbolicznemi promieniami włosach, bo mimo zagadkowość i dziwaczność i nawet tę manierę sztywności niby-bizantyjskiéj, którą napotykamy u dekadentów, było tam jakieś drganie bólu i skargi, coś żałośnie chwytającego za serce. Twierdziłem zawsze, że ten malarz

---

[1]) Patrz „Ateneum" za styczeń r. b., str. 135.

przerabia się wewnętrznie, rzuca, szamoce, ale że go cechuje wrażliwość, temperament nerwowy, niespokojny, ambitny i zarazem śmiały. A z takich czynników prędzéj da się coś dla sztuki uformować, niż ze skostniałéj rutyny, szablonu i flegmatycznego wysiadywania nowych odmian starego tematu. On sam dobrze nie wiedział, czego chce, ale te głuche, pół-mroczne porywy, owa pogoń za niezwykłością, rzetelna odrębność, same przez się miały pewną cenę w powodzi gustów powszednich, pospolitych. Wystawy nasze to mozajka kolorowa, któréj ogólny deseń i charakter nigdy się nie zmieniają, jeno co najwyżéj dawne kostki zastępuje się świeżemi. Wiemy zawczasu, kto co namaluje, każdy ma swój rodzaj ustalony, uwierzytelniony, znany, a przecież nie ma rzeczy marniejszéj nad tę niemożliwość niespodzianki, paradoksu, nagłego odskoku od maniery, bo on najczęściéj bywa nagłém przybyciem nowéj gałęzi na drzewie sztuki.

Jakoż przewidywania te ziściły się poniekąd w pamiętnym „Szale uniesień", który po „Mickiewiczu budzącym geniusza poezyi" był drugim jaskrawym wypadkiem dzieciobójstwa w naszéj, wcale jeszcze nie przeludnionéj twórczości. Oczywiście, „Szał" był kamieniem obrazy dla wszystkich tych, co się minęli z powołaniem i zamiast być listkiem figowym, zostali arkuszem bibuły, pijącéj z powietrza wszelką wilgoć. Tkwiło w tém coś drażniącego i swędzącego, że większość posłuszna, jak zwykle, hasłu „kuryerków" i wieściom o wielkich rozmiarów płótnie, będącém na ukończeniu, zapomniała, iż do niedawna jeszcze pstrzyła prace Podkowińskiego rojem docinków, i odrazu przybrała minę dawnego, stałego wielbiciela jego talentu. *Habent sua fata... pictores.*

Sprawiedliwość jednak przyznać każe, iż „Szał" był ogromnym krokiem naprzód w mozolnym i dręczącym procesie klarowania się u artysty jego chęci i uczuć. Z niego moc twórcza „biła" i falami swemi muskała nawet zupełnych profanów, odliczając, rzecz prosta, tych, co mają wogóle nerwy za tępe, żeby módz zoryentować się w delikatném światłocieniu czyjegoś ducha.

„Szał" to nawskroś fantazya samoistna i niezależna, jak wszelkie urojenie. Potwór, przypominający głową, piersią i przedniemi nogami konia, a grzbietem, zadem i tylnemi nogami panterę, tygrysa lub wielkiego psa, unosi w górę nagą kobiétę. Jest on rzucony w przestrzeń, jak wściekły poryw, jak kłąb wichru i przeniknięty drgnieniem błyskawicy i drgnieniem konwulsyi. Zwierz to czarny, szatański z wywalonym zajadle językiem, pokryty pianą, z grzywą długą i zwichrzoną, która się z przepaścistym mrokiem tła stopniowo zlewa, — ma on siłę, ogrom, dzikość i polot rumaka z Apokalipsy. Miało to być niby

wcielenie złych namiętności, porywających kędyś kobiétę—objaśniali niektórzy. Tylko, że sam on zdawał się ulegać pani i ziać na nią gniewem. Ślepie, ogromne i straszne, wysadzone prawie zupełnie z orbity, zwraca ku niéj i sądzićby można, że w pętach téj miłosnéj czy marzycielskiéj furyi przechodzi męczarnie. A ona? Przymknąwszy w omdleniu oczy, pozwala niby wzdymać się burzy uczuć w swém łonie i straciwszy pamięć świata i ludzi mknie — dokąd? Dosyć, że pędzi, nieprzytomna prawie, siedząc pół-bezwiednie na czworonożnym swym demonie, i luźno obejmuje jego szyję. Wyraz jéj twarzy to rozkoszne odrętwienie, albo sen czarowny, w którym dusza, wsłuchana we własną głąb', daje się łaskotać widzeniom i czuciom słodkim, jakby uściskom i pocałunkom kochanka bez żadnego oporu. Jest ona zresztą stworzona do pieszczoty graniczącéj z obłędem. Posiada czar, blask, świéżość i złocistość karnacyi, utoczone biodra i lędźwie, wytworny a żywy rysunek. Tak wyglądać mogła chyba tylko Leda w chwili, gdy ją Jowisz zmieniony w łabędzia pieścił, albo jakaś Dyana z Poitiers. Była to prawdziwa wspaniałość, połączona z delikatném pięknem budowy. Z pewnością niewielu w Europie malarzów potrafiłoby zrobić taką cerę i taką linię.

Było tam zresztą dużo niekonsekwencyi i nieusprawiedliwionych szczegółów zarówno w treści, jak w formie. Noga kobiéty w dolnéj części trochę za sztywna. Nogi konia rażąco nierównéj długości. Jego dolna warga i szczęka tak cienkie były, że ich za płatkami piany tylko się domyślać było trzeba. Bestya była jakimś mieszańcem, nie wiadomo czy z rozmysłu, czy z nieumiejętności poradzenia sobie z jéj rysunkiem. Z tém wszystkiém obejmując okiem całość, pijąc ją jednym haustem, doznawało się wrażenia silnego i niemal wstrząśnienia. Tam słodycz zléwała się nadto ze zgrozą, tworząc w paru miejscach odblaski, nie wiem czy świadome, czy bezwiedne, symbolizmu Edgara Poë lub Maeterlincka. Mam tu na myśli ognisto-żółtą barwę włosów kobiéty, więcéj przerażającą niż ładną, wyłupione prawie oko konia i t. p., wogóle w całém skojarzeniu erotyki z okropnością. Pośpieszono z tego tytułu nazwać to „nowym objawem zwyrodnienia w sztuce". Jeżeli świéżość i energia pomysłu są objawami zwyrodnienia, jeśli młodzieńczy zapał, naiwny, szczery i zuchwały, nie zużyty snadź na kwiaty grzechu, jest upadkiem; jeśli potężny impet wewnętrzny, pięcie się gwałtowne na wyżyny, śmiała napaść na pęta twórczości malarskiéj i namiętna chęć wypowiedzenia motywów silnych, wstrząsających i nieokiełznanych, równają się pijackiemu szałowi (Poë'go) i rozmiękczeniu mózgu (Beaudelaire'a), tedy Podkowiński był niewątpliwie

dekadentem, a liczenie guzików zamiast patrzenia w serce artysty — jest szczytém rozumnéj krytyki [1]).

Na potwierdzenie „dekadentyzmu" nieboszczyka przytoczyć jeszcze można, że został po nim nie wykończony obraz treści... religijnéj.

Rozmaite wersye krążyły o przyczynach, dla których Podkowiński, choć młody jeszcze, bo ledwo 29-letni, nie chciał powstrzymywać rozwoju swoich suchot. Ale to nie ulega wątpliwości, że się sam strawił, spalił gorączką niespokojnych wzlotów. Niektórzy z kolegów jego, oburzali się na mnie, iż zrobiłem zeń bohatéra dramatu twórczości i dramatu ubóstwa i przytaczali na dowód, że „miał on nawet dwie premiówki schowane". Cudowne rozumowanie i pojęcie rzeczy! Ponieważ od lat trzech cieszył się względném powodzeniem i nie zdychał już z głodu, więc poprzednie lata poniewierki i szyderstw nie wchodzą już wcale w rachubę z całą swą podkopującą organizm goryczą. Zupełnie mi trafia do przekonania to objaśnienie przedwczesnéj śmierci, którém na cmentarzu jeden z najbliższych przyjaciół pożegnał Podkowińskiego; bo i tam mowa była o nadwrażliwych nerwach i gorączce twórczéj.

Lecz idźmy daléj, rzuciwszy garść kwiatów na tę smutną mogiłę. Prawie samo nastręcza się w tém miejscu nazwisko Pankiewicza. I on widział ongi w naturze wszystko przez silnie zabarwione szkła i nie prędko pohamował tę urojoną podmiotowość wzroku. I on, jak tamten, miał silnie poczucie powietrzności i światła, czego dowód złożył w ślicznym targu na kwiaty przy kościele Ś-éj Magdaleny w Paryżu. Z czasem jednak pomiarkował się i nawet przerzucił do motywów światła wieczornego i stwarza w tym kierunku rzeczy więcéj niż przeciętnéj wartości. Jego park w oświetleniu księżycowém, albo Stare miasto wieczorem po dészczu — to płótna głębiéj pojęte i wypracowane. I on, jak Podkowiński, zawadza nieraz o owe przeklęte temata literackie, ale ma za mało do tego śmiałości; zanadto liczy się z wymaganiami ścisłéj prawdy, a ta rzadko kiedy bywa czystą poezyą. Dlatego to „*Nocturn*" ze śpiącemi nad sadzawką Saskiego ogrodu łabędziami był zagadką. Artysta zapomniał, że ciemność zupełna nie może być światłem, i że chcąc ją sumiennie malować, jak to on właśnie uczynił, trzeba wyrzec się względnéj bodaj wyrazistości motywu.

---

[1]) W artykule p. t. „Nowy objaw zwyrodnienia sztuki, oraz istotne jéj zadanie" p. Karpowicza („Ateneum", 1894, t. III) liczenia guzików zgoła nie było; tylko oceniano obraz ze stanowiska społecznego i moralnego.

(Przyp. Red.).

Pojęcie jednak rzeczy było tam wyborne, prawdziwa noc i prawdziwa melancholia nad ciemną taflą pustéj wody, i w promieniu niewyraźnego brzasku, padającego z jakichś odległych okien. Łabędzie wyglądały jak kłębki waty, ale ich sylwety i pozy miały w sobie istotną leniwość snu.

I trochę takiéj saméj poezyi napomknień i nieuchwytnych suggestyi zawierał portret staroświeckiéj damy: śmieszna strojem, ascetyczna i zbolała wejrzeniem, pomarszczona i małokrwista z charakterystyczną i znakomicie oddaną bladością warg i powiek—przypominała trochę „Staruszki” Beaudelaire'a, tak wzbudzające politowanie długim cieniem ich dawnych zawodów i bólów. Prawdopodobnie téż nie był to portret, jeno w rzeczy saméj „wspomnienie”, jak opiewał podpis. A jako takie — jest ono głębokie, śmiało nieefektowne, subtelne i w treści ogromnie żałosne. Obraz przesunął się bez zwrócenia najlżejszéj uwagi...

Motyw religijny, zjawiający się nagle w pracowni malarza-realisty ma całkiem inne znaczenie, niż gdy wyjdzie z pod pędzla artysty dawnéj daty, malarza typu niezbyt określonego i jednakowo podatnego we wszelkich rodzajach. Treść namaszczona, fantastyczna albo choćby tylko głęboko uczuciowa została na jakiś czas poniżona w sztuce, poniekąd dla dobra chromającéj techniki i zaniedbywanego srodze poczucia prawdy, natury. I jeśli wynurza się dziś na nowo, w dodatku z pomocą sił młodszych, to nie mogę nie widzieć w têm dążności wyższéj, dążności do syntezy piękna, do wywołania wrażeń silniejszych i bardziéj złożonych. Jestto zbudzenie się uśpionych na pewien czas głębin ducha, którym doktryna niedawna zakazała odzywać się w plastyce. I oto dlaczego ukazały się u nas aż trzy godne uwagi „Modlitwy”—Zdzisława Jasińskiego, Józefa Brandta (wystawiona teraz w Salonie zachęty) i Wacława Szymanowskiego. Pierwszy i trzeci zwłaszcza, lubiący dosadność typu i siłę charakterystyki, nie tak bardzo pozwalali domyślać się, że potrącą struny, brzmiące prawie nutą religijną; a żaden nie wyrywał się ze sfery rzeczywistéj, spółczesnéj czy minionéj.

Modlitwa w kościołku wiejskim, pędzla Zdzisława Jasińskiego, była szczerą i prawdziwą w swym charakterze i w swéj świąteczności. Niepodobna jednak dopatrywać w niéj jakiegoś tchnienia nowych tęsknot pół-mistycznych, które opanowawszy poezyą, potroszę wdziéra się i do malarstwa. Już więcéj tego pierwiastku zawiéra „Modlitwa” na stepie, Józefa Brandta. Ponieważ zrodziła się ona po wielu innych podobnych motywach i nie wiąże się ścisłą konsekwencyą z rodzajem, dotąd przez monachijskiego profesora uprawianym, przeto jest zupeł-

na zasada uważania jéj za częściowy co najmniéj wytwór *fin de siècle*'u. Tło zostało w zgodzie z manierą Brandta — jest niém step, śród którego gromada ludzi rozłożyła się obozem, jakgdyby w ucieczce przed nieprzyjacielem lub po smutno zakończonéj bitwie. Pejzaż to rozległy i urozmaicony widokiem wody na prawo, w któréj część załogi poi konie, i taborem wozów i sprzętów na lewo. W pośrodku ustawiono na jakiéjś furze obraz złocony Boga-rodzicy, zamieszczono przed nim na pochyłéj żerdzi lampkę i oto rzesza cała w pobożnéj od tak zaimprowizowanego ołtarza odległości, odmawia paciérze. Jedni klęczą ze złożonemi dłońmi, inni stoją kornie pochyleni, a na wszystkich znać strapienie i błaganie. Ogólne wrażenie zajmującego tego płótna sprowadziłbym do trzech momentów. Jest ono wybornie pomyślane, skomponowane i doskonale się tłómaczy: następnie, posiada piękne oświetlenie, wypływające z połączenia dwóch źródeł światła, od lampy i od niepewnego brzasku zbliżającego się dnia, wreszcie — co najważniejsza — jest zupełnie zimne. Tak jest, mimo całą dramatyczność treści, jéj niewątpliwą poezyą i niepospolitą efektowność, obraz nie oddziaływa, nie wzrusza, gdy właśnie wzruszać choć cokolwiek powinien; nie posiada on głębokiego nastroju, do którego temat go wprost zobowiązuje. Możnaby z niego wywnioskować, że twórca nie posiada téj rzewności i melancholii, jakie są do podobnych pomysłów niezbędne; traktował rzecz po swojemu, z pewną brawurą i fantazyą, z wyborném rozumieniem i urządzeniem sceny, ale powierzchownie, płytko. Powiedziałbym nawet, że jest—mdłe.

Trudno za to zbyć kilkoma słowy „Modlitwę" Wacława Szymanowskiego, którą, jako objaw wielce znamienny, z rozmysłu postawiłem na trzeciém miejscu, mimo iż jest dawniejsza.

Jestto właściwie tryptyk ogromnych rozmiarów, wystawiony swego czasu z ogromną, niemile uderzającą reklamą pism codziennych. Same warunki zaprezentowania go ogółowi odpowiadały najzupełniéj humbugowemu charakterowi doby dzisiejszéj. Co zaś do treści, to ona niemniéj natrętnie obwieszczała swoją nowość. Skrzydła bowiem boczne przedstawiały: jedna rozbujany dzwon kościelny, drugie—ołtarzyk i w ten sposób suggestyonowały wrażenie uroczystéj, skupionéj, wielkiéj mszy, na wypadek, gdyby ono niedostatecznie płynęło z obrazu głównego.

Dzieło to biło przedewszystkiém w oczy niejednolitością nastroju, mimo całą wymowę owych boków tryptyku i mimo nawet przygrywające za olbrzymiém płótnem organki. Kto się spodziéwał znaléść jakieś szczytne, ekstatyczne *Sursum corda*, znalazł naturę, żywioł, elementarny poryw, pełen wszystkiego, tylko nie uczucia szczerze mi-

stycznego. Zdawałoby się, że na widok nieprzejrzanych modlących się tłumów przejdzie nas dreszcz świątobliwy i zdejmie ochota klęknięcia wraz z niemi. Liczyło się na ów błogi nastrój upadania w proch przed Panem, szczery, głęboki i kojący, a widziało się olbrzymi obraz rodzajowy, wielkie studyum na wyrazy i typy. Stosunek między nim a widzem jest słaby; to nie zetknięcie dwu żarów religijnych. W nas chłodny podziw dla pracy i uznanie, a przed nami trzeźwość, siła, charakter, wszystko, tylko nie zatopienie myśli w modłach. Jest tu parę postaci, skruszonych naprawdę i rozpłakanych sercem, ale większość to twarze mechanicznie rozkrzyczane, roztwarte na oścież, jakby powiedział Heine. Dziewczyny klęczące na dalszych planach pierwszego szeregu, są szpetne tendencyjnie, zwierzęce, prawie dzikie, a jedna z nich, w czerwonéj chuście, znakomita w ruchu, wygląda jak zaciekła w strejku robotnica z *Germinala*. Autor tak pamiętał o dosadności typu chłopskiego i podał tyle jéj odcieni, że nie dziwota, iż zapomniał dotrzymać obietnicy, zawartéj w szlachetnym tytule.

Jak zrywa się z wyciem orkan i zamiata po ziemi, tak tu fala ludu runęła na posadzkę kościoła i woła: Święty Boże! Tak poniekąd chłopi się modlą i więcéj pobożności trudno od nich żądać. A przecież to nie modlitwa rzewna, wzruszona i wzruszająca, ale zbiorowa histerya masy, nie mogąca wywołać w naszém łonie oddźwięku. Zachowujemy wobec niéj cały chłód spostrzegacza.

Słowem, jestto obraz realistyczny, zupełnie tego rodzaju, co „Kłótnia huculów" tegoż artysty; siła, barbarzyństwo, wyrazistość, oto ich wspólny charakter, a zarazem zaleta ogromna. Znamionują one w Szymanowskim indywidualność, jakby pod wpływem Zoli i nie zrodzonego jeszcze wówczas *Lourdes* urobioną, ale niemniéj przeto wydatną i swojską. Przyznam jednak, iż wolę obraz dawniejszy — jego energia padała w jednym kierunku. Ten zaś ma w sobie dwulicowość; na pracę naturalistyczną jest za szeroki, na motyw poetycki— za zimny. Malarz nie umiał sprzecznych żywiołów ująć w należytą proporcyę i ukazał nam poprostu fizyognomię swą dawniejszą, jeno w przejrzystéj masce.

Możnaby mniemać, że autorowi nie szło zgoła o nastrój prawdziwy wzniosłéj pobożności, a w takim razie należałoby mu oddać same tylko wielkie pochwały. Takich twarzy nie widuje się często. Możnaby mu wtedy wybaczyć i to, że ta wielka płaszczyzna głów jest przesadzona, ponieważ sili się na wygląd śmiałéj, bezwzględnie surowéj, żywiołowéj szerokości. Ale co znaczą w takim razie owe skrzydła boczne? To przecież motywy tylko jednoczesne, ale skądinąd wzięte, nie połączone z kompozycyą główną. Są to więc sztuki

symboliczne, tak samo jak olbrzymi promień słońca, padający ukośnie z góry na tłumy. Celu jego dwojako sobie tłómaczyć nie można, jak nie można mylić się co do roli trybularza. Są to niby wagnerowskie wtóry, nie zaś zwykłe rzeczowe dodatki obrazu, są to kamertony, mające duszę odpowiednio nastroić. Ale nawet to się im udaje słabo; ołtarzyk z paroma świécami i skromniutką monstrancyą, jest maleńki, nikły, jak w kapliczce, przed którą się odmawia majowe nabożeństwo. Przyczyna więc w stosunku do skutku wyrażonego w olbrzymiéj ciżbie wiernych—stanowczo za drobna.

Wszystkie te pomysły, bądź oryginalne, bądź mistyczne świadczą o jakiémś rwaniu się do syntezy; to niby próba stworzenia czegoś niebywałego i wpuszczenia do malarstwa prądu poezyi symbolicznéj w zdrowém znaczeniu tego słowa. Ale oryginalność jest w nich robiona, nie przeżuta dostatecznie, nie przetrawiona. Dobrze jest, gdy można łatwo odgadnąć intencye autora, ale gdy ona zanadto wyłazi na wierzch, krzykliwie, młodo i natrętnie — wrażenie odbiéramy złe.

Ponieważ mówię w tym rozdziale o motywach, więc pomijam ogromne zalety techniczne, jak wytrzymanie konsekwentne skali dwa razy większéj od naturalnéj, żywość oświetlenia, jędrność i energię całéj roboty i t. p.

Sąd o stronie duchowéj dzieła był wielce ułatwionym przez owe nieszczęsne organki. Stanowiły one probierz doskonały, bo odrazu wskazywały, czego właśnie w obrazie nie ma. Wrażenia oka i słuchu nie zdradzały namniejszéj skłonności do zlania się w akord. Muzyka działała jak odczynnik chemiczny, służący do wyosobnienia pewnego pierwiastku.

Nie można pominąć tu p. Stachiewicza. Artysta upamiętnia się zazwyczaj w sztuce nie tyle tém, co powiedziéć chciał, ile tém, co mu ogół podpowiedział. Często utwór puszczony w świat z pewną określoną myślą, z czasem zaczyna obieg swój z inną zupełnie etykietą. Cykl kartonów p. Stachiewicza powitano u nas, jako jeden z objawów zwrotu ku religii, wymierzony przeciw téj zakale wszystkich świętoszków i hypokrytów, któréj na imię „pozytywizm". Bardzo być może, iż utalentowany rysownik krakowski miał pewien zamiar przyłączenia się do owych komorników, co to z krokodylą łzą w oku licytują „zbankrutowane umysłowo" społeczeństwo dzisiejsze, ale bardzo téż jest możebne, iż go tak zwana umysłowość nic a nic nie obchodzi, i że ilustrując legendy o Matce Boskiéj, szedł za popędem całkiem neutralnego upodobania. To ostatnie wydaje mi się o wiele prawdopodobniejszém, ile że np. cykl wieliczkowski, niewątpliwie

szczerszy i oryginalniejszy, także przecież nie był żadną agitacyą w obronie, dajmy na to — robotników, lecz poprostu wyzyskaniem wdzięcznych dla malarza i poety motywów. Gdyby zresztą wizerunki, komentowane wierszykami p. Gawalewicza, płynęły z namaszczenia, mniéjby chyba pachniały paryskiemi perfumami. Takie arystokratyczne, dystyngowane pojmowanie świętéj postaci Matki Zbawiciela sprzeciwia się zupełnie prawdziwéj religii. Jéj smukłość, wysoki wzrost, delikatne ruchy, przypominają raczéj typ jakiéj zubożałéj księżniczki, która poszła do służby i wykonywa swe roboty przez rękawiczki. Słowem, rysunki te grzeszą manierą salonową i tylko podatnéj suggestyom publiczności naszéj mogły być zalecone jako — arcydzieła. I to się nazywa „ludowém" wyobrażeniem o Najświętszéj Pannie. Ironia...

Jednak, jak się rzekło, cykl p. Stachiewicza kursuje śród naszego ogółu za podrabianym paszportem odrodzonego mistycyzmu. Świadomie więc czy bezwiednie, stał się zarazem jednym z symptomatów zwrotu ku poezyi w malarstwie. I za to z pewnością potępiać go nie można, ale nawet z owém wyelegantowaniem prostoty, czyli z owym czarnym śniegiem, — powitać należy radośnie. Komentarze zaś naszych Jeremiaszów, błagających niebios o spuszczenie sodomo-gomorejskiéj siarki na schyłek XIX wieku — wysuwamy za nawias sztuki, jako moment psychiczny, z którym kiedyś liczyć się będzie nie dziejopis twórczości, lecz historyk głupoty ludzkiéj.

I artystów *gentium minorum*, należących do wyprawy po świeże piękno, nie godzi się zbyć milczeniem. Oto pod wpływem „Szału uniesień" Podkowińskiego powstał niecałkiem szczęśliwie pomyślany obraz dużych rozmiarów p. Kipmana, nie pozbawionego zdolności wychowańca akademii monachijskiéj. Orzeł unosi w niebiosa nagą kobiétę; on ma jedno skrzydło opuszczone w dół, jak gdyby strzaskane, i budzi w nas ciekawość, w jaki sposób może fruwać. Ona zaś ma minę przerażoną i palce przytknięty do czoła, jak gdyby spostrzegła się, że czegoś zapomniała na ziemi. Było téż parę prób czysto francuskiego, a więc naciąganego symbolizmu, dokonanych przez p. Jabłczyńskiego; zielony szatan knujący zemstę, ogromnie przypominający kolorem i ogólną plamą głowę kapusty; daléj, jakaś śpiąca czy zaczarowana królewna, z zagadkową subtelnością profilu i uśmiechu i jakąś woskowością cery, coś niby Una albo Usherówna z noweli Edgara Poe, lub inna jaka uduszona księżniczka. Było to flancowanie niesmacznych pomysłów z jednéj dziedziny sztuki, gdzie są czasami usprawiedliwione, do drugiéj, gdzie nie mają żadnego sensu, bo stają się wstrętnemi i odstręczające, jak wszelki trup, lub ukochany przez Beaudelaire'a „kot,

mdlejący na fortepianie", albo „królowe ludu o zielonych źrenicach" (Porównaj „Małe poematy prozą"). Tego jednak nie zaliczam do świeżych powiewów.

Konkurs tegoroczny dosyć wymownie potwierdził owo dążenie do tematów więcéj poetyckich, literackich, co brzmi przyjemnie dla ucha każdego wielostronniejszego człowieka,—ale i modnych, co brzmi nader przykro. Gdy p. Kamiński w pięknym swym rysunku węglem przedstawia śmierć z wieńcem wawrzynowym na czerepie, ukazującą się choremu na barłogu rzeźbiarzowi, to doznajemy silnie estetycznego zadowolenia, rzecz jest odczuta, szczera i śmiała, ale wszystkie inne duchy (np. u p. Owidzkiego albo Cichockiego) są z drewna albo z tektury, wymyślone na zimno, nie przekonywające i spirytystyczne, jak lewitacye stołów. Na ich widok czuje się wyraźnie w powietrzu szelest tych naszych pism, które od pewnego czasu obałwaniają tysiące czytelników mieszaninką fałszywéj religii i podrabianéj cudowności.

I tych przeto pomysłów nie uważam za świéże prądy; jest w nich nowość, ale nie ma życia, prawdy, młodości, energii, a więc tém samém nie ma nic dla jutra, nic odradzającego. Są to pasorzyty kierunku, pragnące się pożywić jego dobrem, ale im brak do tego najniezbędniejszych warunków: poważnéj techniki.

Przyp aut. Już po oddaniu do druku niniejszego szkicu urządzono wystawę wszystkich dzieł Podkowińskiego, między któremi znalazły się dwa wybitne swą poezyą: „Nokturn" i „Marsz żałobny" (do Chopina). Ten ostatni jest dziełem dojrzalszém i głębszém, niż „Szał".

III. Społeczni.

Maleńki tylko poświęcę rozdział trzeciéj grupie artystów albo raczéj dzieł, natchnionych sentymentem całkiem innego rodzaju, sentymentem dla stanu czwartego. Jest ich dotąd tak niewiele, że ktoś obcy łatwo mógłby zapytać, czy u nas nie ma wcale robotników. Prawda, że i zagranicą jednostronność wykształcenia malarskiego powoduje obojętność dla wielu, wielu spraw, a zatém i dla najpoważniejszéj z kwestyi społecznych, ale tam bądź co bądź nie brak obrazów osnutych na dramacie pracy i przemysłu i nawet zjawiły się już książki, rozpatrujące ten nowy dopływ inwencyi malarskiéj. U nas spóźniono się znacznie.

Ażeby uniknąć nieporozumienia, zastrzegam się, iż mi nie chodzi o takie motywy robotnicze lub im pokrewne, które są ważniejszém odtworzeniem typów lub ciekawych scen. W tém nie byłoby nic szczególnie dziwnego, ani nowego. Że z przybyciem nowego plemienia ludzi,

nowego okresu w życiu zbiorowém, zjawiają się i ich wizerunki i portrety, to leży w porządku rzeczy, tak samo, jak np. to, że z powodu wojny chińsko-japońskiéj ilustracye zamieszczają rysunki z pola bitwy. Mam na myśli coś ważniejszego, oto skojarzenie nowych motywów z pewną życzliwością dla nich, z pewném ciepłem uczucia, czyli z takim do modela stosunkiem, w którym jest coś więcéj, niż prosta artystyczna ciekawość nowalii, i zadowolenie, że się znalazło nowy gatunek ludzi. Tematów z epoki przemysłu, branych na chłodno, zawsze było u nas trochę, że wspomnę np. wybornego „Tkacza" Wac. Szymanowskiego, wplątanego w sieć swego złożonego warsztatu, jak mucha w siatkę pająka, albo typy tragarzy, aż do znudzenia powtarzane przez różnych artystów dla saméj głowy lub brody, albo kopaczów soli w Wieliczce, malowanych przez Stachiewicza gwoli ładnym efektom światła. Choć przyznać się godzi, że już i tam spotkać było można gdzieniegdzie pierwiastek liryzmu i sympatyi, jak np. w pogrzebie górnika, albo nabożeństwie w podziemiach, pełném rzeczywistéj melancholii, albo w owéj Matce Boskiéj, co to zasypanemu robotnikowi podaje chléb—zgodnie z legendą. To były melodye jeszcze nie ograne.

A jaką ludzie słabość mają dla kwiatów, na takim gruncie wyrosłych, dowiodła „Chora matka" Zdzisława Jasińskiego, uwieńczona swego czasu nagrodą, reprodukowana i nawet parę razy — naśladowana (np. przez Stasiaka). Do niedawna jeszcze takie połączenie nieszczęścia z ubóstwem i naiwnością bawiących się dzieci, uchodziłoby za melodramat, dziś nietylko że nie razi, ale owszem, silnie pociąga. Fanatyk techniki powié, że jest to zasługą dobréj, dokładnéj roboty. Nie — to zasługa szczerości, serdecznego związku między artystą a tematem. Inne próby tego rodzaju nie posunęły bynajmniéj sztuki naprzód. Pana Austena rodzina robotnicza, zagrożona głodem, odciągała uwagę od treści swéj na koloryt, w którym usiłowano za pomocą różnobarwnych pionowych kresek osiągnąć siłę—a osiągnięto tylko niezłą powietrzność i już całkiem nieusprawiedliwioną rumianość całego płótna. Przypominano téż sobie jakąś niewprawną jeszcze rękę, pragnącą wzruszyć widza obrazem mizernego śniadania, spożywanego przez robotnika i przyniesionego przez córkę. Tu téż miejsce na wzmiankę o robotniku naturalnéj wielkości, rzeźbionym przez p. Wasilkowskiego i postaciującym prace — rzecz wykonana z fantazyą i smakiem. Prawie równocześnie oglądać było można patetyczną grupę p. Jankowskiego, wyobrażającą różne potęgi przemysłu, więcéj retoryczną niż ładną.

Uwieńczeniem zaś wszystkich tych preludyów jest obraz p. Lenca, odznaczony na ostatnim konkursie trzecią nagrodą. Pod względem artystycznym nie dorównywa on „Choréj matce", ale za to wpro-

wadza nas odrazu w koło stosunków spółczesnych i uczuć społecznych. Jest w tym *Vierzentagu* wyborne poczucie charakteru i wyrazu, zestrojenie pojedyńczych tonów psychologicznych w wymowną grę, do której należy i chlebodawca, widocznie niebardzo przychylny życzeniom czy prośbom majstrów. Wykonanie jednak, jak zwykle u tego malarza, niedostateczne; obok twarzy wyrazistych, postaci twarde i sztywne, jakby drewniane, w kolorycie ogromnie jednostajne. Słowem, układ, całkiem rozumny, o wiele przewyższa wartość obrazu tak zwaną „czysto malarską".

Z całą pewnością wywróżyć można, że p. Lenc znajdzie naśladowców, bo jakkolwiekbądź dał treści dużo, zwłaszcza np. w środkowym z pomiędzy trzech robotników, na którym wyraźnie czytamy onieśmielenie, namysł i żądanie. Doskonale rozumiemy, kto tu mówi w imieniu towarzyszów, a kto dodaje powagi wiekiem, który ma odwagi więcéj a mniéj rezygnacyi i naodwrót. Jest z czego czerpać zachętę do dalszych prób. Potrzeba tylko większéj równowagi pomiędzy treścią a formą. Najświeższy nawet i bogaty ideowo obraz nie nie będzie artystycznym, jeśli nie będzie... artystycznym.

IV. Swojscy.

Od pewnego czasu mamy w malarstwie własny krajobraz wiejski, własnych mieszczan, chłopów i żydów, własne konie i psy, drzewa i owoce. Trwa to już od dosyć dawna i rozpoczęło się w każdym razie znacznie wcześniéj, niż te upodobania, związane ściśle z ostatnią dobą, o których mowa była dotychczas. Niewolno być jednostronnym i, witając np. w tematach społecznych nową zdobycz muzy naszéj, zapominać, że poprzedziło ją zamiłowanie ogólne do rzeczy swojskich. W wielu bowiem tkwi tak samo, jeśli nie w wyższym stopniu, sentyment, ciepło duchowe, ukochanie motywu o tyleż moralne, o ile artystyczne. Rodzimość w pejzażu i rodzaju — to potężny bodziec, który zbudził w twórczości naszéj mnóstwo uczuć świeżych, płodnych i nawskroś współczesnych, mnóstwo uczuć szlachetnych i pożytecznych.

Kto patrzy na ducha sztuki czysto naukowemi oczyma folklorysty, ten w owym zwrocie dojrzy jeno chęci zbadania i odtworzenia swojskiéj natury, a więc celu takiego samego, jakim jest np. poznanie pisanek, odmian pieśni ludowych, zwyczajów gromadzkich i t. p. Ale kto zajrzy w głąb, w intencye zwrotu, przekona się, że jest on przedewszystkiém odrodzeniem poezyi malarskiéj, zwróconéj ku własnemu

gniazdu i zrozumieniem, że skoro i ono ma swoje piękności i ciekawe momenty, powinno być tak samo opiewane pędzlem, jak jest opiewane piórem lub śpiewem.

Jest to ruch zupełnie równoległy z tym, jaki się odbywa w pewnym odłamie naszéj literatury, mimo, że się zdawało ludziom, iż „czasy dzisiejsze nie sprzyjają poezyi". Jakby na złość téj niewesołéj gadce, wyrasta i z każdym dniem olbrzymieje nowy Parnas, którego żadną miarą uważać nie można za miejsce ucieczki realizmu, ani za twierdzę, w któréjby się chronili bierni i wygodni fotografowie życia społecznego. Nie—doba dzisiejsza, tak samo jak i każda inna, doskonale sprzyja poezyi. Przestarzała teoryjka nauczała ogół wierzyć, że sztuka i wszelki wogóle artyzm, a zwłaszcza tworzenie mową bogów, są jako kwiaty, wyrastające jeno pod szkłem kosztownych cieplarni lub na starannie pielęgnowanych klombach. To fałsz, bo poezya plenić się potrafi i w czasach nieefektownych, byleby tylko duch pracował, i na glebie pospolitéj. Będą to wprawdzie kwiaty inne i poezya je wydająca, nie będzie barwnym kobiercem tarasów pałacowych i piąć się nie będzie girlandą po koronkowych firankach, nie zasmakują w niéj zgniłki ani buduarowe mimozy, nie wycisną z niéj pachnideł na godła i cytaty. Ale pozna się na nich zdrowy rdzeń ogółu, który lubi kwiaty o woni trochę ostréj, nieraz gorzkawéj, bo one strzeliły w górę siłą żywotności gruntu, samorodne, bujne, wytrwałe na wichry i słoty, nawskroś swojskie i silne w swych barwach.

Te same mniéj więcéj motywy myśli i uczucia z przyrody ludzkiéj, zwierzęcej i roślinnéj, które ujmują w ramę powieści i nowel Orzeszkowa, Bolesław Prus, Konopnicka, Dygasiński i wielu pisarzów pomniejszych w sposób często mistrzowski — teraz zwolna przekradają się do poezyi rymowanéj. Nie jest to wprawdzie poezya w stylu szerokim, monumentalnym, lecz niemniéj przeto działa silnie, niektóre strony ducha wprawia w rozkoszne drżenie. Nie są to wirtuozowie, bo niekiedy nawet popełniają elementarne błędy estetyczne, ale, bądź co bądź, stanowią oddział, tchnący młodością i świeżością sił. Oto niektóre z nazwisk głośniejszych: Kasprowicz, Rossowski, Niemojowski, Tetmajer, Nowicki i sporo innych. To nie są bynajmniéj realiści, spostrzegacze i artystyczni kronikarze faktów. Mają w sobie za szybkie tętno, żeby niemi mogli być, i zadużo namiętności. Lgną do doktryny w sprawach społecznych, kochają się w pejzażu i rozumieją go subtelnie, śmiało spoglądają w twarz niższemu *genre*'owi, wielbią postęp, niezależność od metody pisarskiéj i odczuwają poezyę ludu.

Pomiędzy tym gatunkiem poetów i pokrewnym mu typem malarzów zachodzi powinowactwo niekiedy tak ścisłe, że aż w oczy bije.

Ten sam Witkiewicz—któremu, co prawda, zdaje się, że jest tylko realistą—odcyfrował z wirchów tatrzańskich pełną dzisiaj poezyi przeszłość górali i jednocześnie uwiecznił pędzlem najpiękniejsze momenta ich życia i ich gór. Z dwóch braci Tetmajerów jeden jest poetą całkiem świeżego pokroju i łączy w sobie wszystkie prawie wymienione przed chwilą znamiona, a drugi nawskroś swojskim malarzem i nawet własne życie stara się dostroić do przesadnéj niemal czci dla rodzimości...

Samo się rozumié, iż paralela może być tylko względną, bo obrazem malarz nie wypowie tego wszystkiego, co poeta, nietylko z powodu ograniczoności swoich środków ekspresyi, ale, że przepielęgnowanie jednéj władzy umysłu dzieje się u niego kosztem innych. A przecież możemy pochlubić się w obrębie pomysłu swojskiego szeregiem wybitnych i sławnych nazwisk. Julian Fałat, Chełmoński, poczęści Gierymski Aleksander, Wacław Szymanowski, poniekąd Wierusz Kowalski, Witkiewicz, Wyczółkowski, Gerson, Rapacki, Grocholski, Zdzisław Jasiński, Kędzierski, Zarembski, Paweł Rosen, Stankiewicz, Alchimowicz, Ryszkiewicz, Kotarbiński, Maszyński, Ciemniewski i przynajmniéj tyluż niklejszych artystów zrobili dla krajobrazu naszego i tego, co go zaludnia, tak dużo, że z konieczności się powtarzają i wpadają w monotonję. Dzięki im, pejzaż obcy zajmuje nas słabo i tylko wrazie szczególniéj doskonałych zalet. Oni nauczyli się patrzyć na naturę i wykradać jéj grę świateł i nastrój, a potém nauczyli i ogół wyczuwać piękno nie w anegdocie lub noweli malowanéj, lecz w charakterze ziemi i jéj mieszkańców, w usposobieniu jéj, które się zmienia, podobnież jak usposobienie człowieka. Ono bowiem przechodzi przez nieskończoną skalę uczuć wesołych i posępnych i jest niewyczerpaną skarbnicą barw i kształtów życia, które dawniejsi ludzie odnajdowali tylko w sobie.

Malarstwo pejzażowe wybujało mniéj więcéj w tym samym czasie wszędzie, jako wynik bądź realizmu, bądź rozniecenéj świadomości narodowéj. Sztuka pośpieszyła powetować krzywdę, jakiéj doznawała tak długo z winy kosmopolityzmu. Nawet romantyzm do jéj krzywdzicieli należał, bo gdy w poezyi prowadził do umiłowania rzeczy swojskich, w sztuce plastycznéj zapędzał się na południe i wschód, i uganiał się za szczególnie jaskrawemi lub niezwykłemi efektami. Rozumiano, że pejzaż może być tylko włoskim albo greckim, lub czémś podobném. Dzisiaj, jak się rzekło, pejzaż zapanował powszechnie, stracił na nadzwyczajnéj efektowności, ale zyskał na głębi, prostocie, prawdzie i cieple. Tak samo, jak dzisiejszy człowiek — zmarniał i zbrzydł ciałem, ale wyolbrzymiał i wypiękniał duchem.

Mam głębokie przekonanie, że ten pejzaż, ze wszystkiém, co „rodzajowe”, a z czém się dziś połączył, jest u nas szczególnie, wybitnie przeduchowionym i poetycznym i śród braci swoich zagranicznych wyróżnia się grubym podkładem uczucia i nastroju.

Mają i Niemcy swój pejzaż *stimmung*'owy, a Francuzi *paysage intime*, ale pejzaż polski przewyższa oba uczuciowością. Nie goni on za szczególnie efektowną grą świateł i cieni, nie szuka nadzwyczajnego bogactwa kolorów, ani wyjątkowéj bujności natury, ani jedynego w swoim rodzaju rozkładu, któryby odbijał się na płótnie jako oryginalna osobliwa kompozycya — ale zawsze i wszędzie przepaja się temperamentem, przywiązaniem, zadumą, melancholią, wspomnieniem. Kiedy krytyka niemiecka mówi o obrazach Fałata, że „jest w nich coś z czarującego temperamentu polskiéj rasy, jakaś sprężystość i ujmująca elegancya” — to mamy w tém jeden z niezliczonych dowodów, iż cudzoziemcy odnajdują nieraz i słusznie rysy, których swoi z mocy podmiotowości nie dostrzegają. Te same lub podobne zalety nagrodzili w słynnym obrazie Chełmońskiego „Powrót z kościoła”, „Kłótni huculów” Szymanowskiego i wielu innych. I możemy sobie przyznać, że żaden z lepszych naszych pejzażów nie bije w oczy wirtuozostwem, to jest chłodnym albo błyskotliwym artyzmem wykonania i układu, lecz siłą, prostotą, szczerością, nieraz nagą prawdą. Niejedna praca Chełmońskiego jest tak samo dla wydelikaconego smaku Zachodu „barbarzyńską”, jak historyczne apoteozy Matejki, ale siła żywiołowa zawsze i wszędzie ludzi sobie zniewala. I podobnież dosadność typów półdzikich u Szymanowskiego i twarde motywy łowów na niedźwiedzia oraz puszczy w Nieświéżu u Fałata, i szorstkie, łachmanami okryte typy rybackie lub chłopskie u Wyczołkowskiego.

Zjawisko to zostaje w ścisłéj zgodzie z najnowszą dążnością innych sztuk. W rzeźbie, która nie należy do najsilniejszych stron twórczości naszéj, coraz częściéj spotykamy motywy rodzime; w architekturze kosmopolityzm odrodzenia włoskiego roztapia się w żywioł bardziéj giętki, romantyczny. Na miejsce jednego stylu, który prawie wszechwładnie opanował budownictwo wielkich naszych miast, zjawia się rozmaitość i pewna swoboda kombinowania porządków. Zaczynamy szukać kształtów rdzennie swojskich i usiłujemy podnieść je do godności artystycznéj. To samo Zakopane, które zbogaciło poezyę i upodobania nasze, jest widownią nader ciekawych prób zastosowania do użytku bardziéj wykwintnego motywów chaty góralskiéj. Przechodzimy okres zbiérania zarodków i śladów ornamentyki swojskiéj na wszystkich polach sztuki przemysłowéj.

W muzyce, pod wpływem tego samego prądu (a także dramatycznego kierunku opery), zrozumiano jeszcze raz i oceniono nanowo piękności „Halki" i pieśni Moniuszki i dzieła Kurpińskiego. Układa się teksty pod mazurki i polonezy Chopina. Noskowski pisze „Symfonię górską", przedziwnie rodzimą, wspaniałe „Morskie Oko" i kilka mniejszych poematów symfonicznych z tekstem i założeniem wybitnie swojskiém. Paderewski tworzy operę na tle tatrzańskiém. Żeleński podkłada muzykę pod „Konrada Wallenroda". Gdyby nie potrzeba zwięzłości w tém miejscu, mógłbym zebrać dużą garść pomniejszych faktów tego rodzaju, związanych z nazwiskami innych kompozytorów.

Podobnéj skłonności ulega teraz sztuka wszystkich tych narodów, w których wyrabia się samowiedza łączności inteligencyi z ludem, miasta ze wsią, nużącéj i targającéj nerwy cywilizacyi z ożywczém i pokrzepiającém państwem natury. Jeno że u nas weszły w grę inne jeszcze ważne czynniki, śród których jednym z najważniejszych jest rolniczy charakter kraju i uświęcony tradycyą obyczaj szlachecki. Nawet w epoce Odrodzenia nie zanikły one i nie pozwoliły zgnieść się oświacie łacińskiéj, która wszystko do jednego mianownika sprowadzała. Książę poetów i największy ówczesny pisarz nazywa się Janem z Czarnolesia; lubił on przesiadywać i tworzyć w cieniu lipy. Mikołaj Rej, dając wzór żywota poczciwego człowieka, daje nauki ziemianom; Klonowicz spławiał do Gdańska pszenicę opatów sieciechowskich i przy téj sposobności opisał flisaków i Wisłę. A jak tylko minęła moda francuszczyzny, upamiętniona rządami Stanisława Augusta i poezyami Węgierskiego i Trembeckiego, zjawiła się największa, choć przecie nie pierwsza epopea swojska, „Pan Tadeusz", w któréj mimo domieszkę klasyczną, mimo niewątpliwy związek genetyczny z „Jerozolimą" Tassa, zupełnie międzynarodową, oraz „Hermanem i Doroteą" Goethego, nawskroś niemiecką i małomiejską sielanką, zogniskowały się wszystkie składowe pierwiastki rodzimego pejzażu i swojskiego plemienia w całéj jego pstrociźnie. I — dodajmy—widocznie z najwyższą artystyczną prawdą i pełnią się to stało, skoro nie można w dzisiejszéj naszéj sztuce znaleść ani jednego celniejszego krajobrazu, któryby tchnął czémś nowszém i szczerszém, czego by nie było w arcydziele Mickiewicza.

Na ten temat dałoby się niezmiernie dużo powiedzieć. Łatwo możnaby wykazać, że „Pan Tadeusz" nietylko świadczy o wybitnym zmyśle kolorystycznym u swego twórcy, jak to świetnie przedstawił Witkiewicz (w studyum: „Mickiewicz jako kolorysta"; ale jest nadto, a w każdym razie mógłby być najlepszą, niezawodną szkołą malowa-

nia natury. To najwspanialsza, jaką znamy, synteza: szerokiego polotu, męskości, siły, ciepła, temperamentu i ożywienia. Tylko pod wpływem bezpośrednim takiego mistrza urodzić się mogło takie — przytaczam jedno z wielu—arcydzieło, jak „Przyjazd pana Tadeusza” pędzla Maksa Gierymskiego.

Lecz tu muszę uczynić jedno wyjaśnienie i prawie że sprostowanie. „Pana Tadeusza” sekciarze realizmu zaanektowali u nas do swoich posiadłości. Pozwolą więc, że przeciw temu gwałtowi zaprotestuję w imię szerszéj nad ich urojenia i uroszczenia prawdy. Mickiewicz opisywał swoje rodzinne strony nie dlatego, że były ciekawe pod względem malarskim i nie dla ścisłości jakiéjś, nie—powiedział przecież wyraźnie na samym wstępie:

Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Na tę uwerturę zwracam uwagę szczególną, bo ona potwierdza, com powiedział wyżéj, o silném przeduchowieniu naszego malarstwa i całéj naszéj pejzażowéj poezyi.

V. Wnioski.

Do trzech różnorodnych czynników artystycznych dadzą się odnieść owe świéże w sztuce naszéj powiewy: do kolorystyki, a więc strony technicznéj raczéj niż duchowéj, do samowoli pomysłu i układu („Szał”, „Modlitwa” i t. p.), a zatém do indywidualności artysty, wreszcie do saméj treści, która, wyraźnie doniosłość swoją w malarstwie akcentując, wessala w siebie swojskość i nieco idei społecznéj. Może określenia to nie zupełnie dokładne, ale mniéj więcéj odpowiadają rzeczywistości.

W mnóstwie dzieł występują te świéże nabytki w kilkoro jednocześnie, w wielu znów pojedyńczo. Sprobujmy je wyprowadzić z jednego jakiego ogólnego rysu, a nie okaże się to niemożliwém. Widzę bowiem ten rys w ogólném uduchowieniu sztuki naszéj, w dążeniu do poezyi, bodaj z pewnym uszczerbkiem dla prawdy, jak się to dzieje u kolorystów i kolorkowych — w pewnéj obojętności na to, co się nazywa finezyą, efektownem skróceniem, dowcipnie charakterystycznym konturem. Obojętność ta jest o tyle świadomą, czego dowodem może być dajmy na to, rozmyślna nieelegancya u Chełmońskiego, który jednak dużo się naobcował z wzorami francuskiemi, o ile bezwiedną. W tym ostatnim wypadku znaczyłaby ona, iż nie stanęliśmy jeszcze na

owym wysokim poziomie wytworności i dekoracyjności sztuki, który najlepiéj określić: „sztuka dla formy”, bo „sztuka dla sztuki” już nie obejmuje całego jéj wyrafinowania i wydelikacenia gustu. Czy mamy się tém dręczyć? Czy martwić się, że nas nie owionął jeszcze wstrętny i nieczuły na sprawy ludzkie chłód Parnasu zachodniego? Chyba w tym względzie dwóch zdań być nie może.

A nie—przepraszam. Do niedawna jeszcze natarczywie rozlegały się u nas hasła, że temat roli żadnéj w malarstwie nie odgrywa, że dekoracyjność, czyli zupełna bezinteresowność sztuki jest jéj cechą najwyższą i nawet powoływano się na definicyę płótna, podaną przez Kanta („upodobanie bezinteresowne”). Głosiło się — i niedaléj jak wczoraj — że dobry malarz, to malarz „bez etykiety”. Autorami takich godeł i teoryi były i są jeszcze pewne umysły, mimo niezaprzeczoną zdolność swą, jednostronne i wprost ślepe na najprostsze fakta. Chcą one, żeby człowiek naszych czasów był takim samym osobnikiem, jak człowiek z doby Benvenuta Cellini'ego, lub Cezara Borgii, tak samo czuł, myślał, patrzył i radował się. Setki lat i setki zmian w ustroju nerwowym i fizycznym, dla nich jak gdyby nie istniały.

A jednak dziś malarze nie odkrywają nowych cięć anatomicznych, jak Leonardo da Vinci, i nie fortyfikują miast; złotnicy nie przebijają puginałami spotkanych awarturników, a nadworni poeci nie dostają za jeden głupi sonet kroci dukatów. Stolice nie są kiermaszującemi Florencyami, lecz warsztatami mozolnéj, ciężkiéj pracy, polem walki o byt, wielkiemi czarami goryczy, gorącemi sercami, z których płyną ku górze modły o lepsze jutro, o postęp, doskonałość duchową — słowem o i d e ę. Nie dla żarłoków i sybarytów tylko istnieje sztuka, więc i nie przez nich zjawia się na świecie, lecz za pośrednictwem natur wrażliwych, uduchowionych, często strawionych bólem wieku, a zawsze tkniętych jego konwulsyjném, niespokojném pięciem się w górę.

Historya nie powtarza się, nie cofa się wstecz i nie stoi w miejscu. Sztuka nie ma kanonów, obowiązujących na całą wieczność, i nie da się niemi, jak kajdanami, skuć, zwłaszcza tym opiekunom krytycznym, którzy sami oddają czartu wszystkie kanony dawnéj estetyki...

Jeżelim już dawniéj wierzył, w pewną odrębność swojskiéj sztuki, tedy upewniłem się co do niéj ostatecznie na największym turnieju naszych artystów,—turnieju, który zgromadził zarówno prace tych, co dawno spoczywają w grobie, jak i tych, co są w pełni sił żywotnych. Mówię o pawilonach sztuki na zeszłorocznéj wystawie lwowskiéj.

Wędrówka po nich mogła przekonać każdego o dwóch ważnych faktach:

A) Twórczość nasza, wyolbrzymiała ostatniemi czasy niesłychanie, zostawała w zaczątkach swoich na łasce artystów pochodzenia obcego; odbywa się w nièj proces wyzwalania z pod opieki cudzoziemców. Występują wprawdzie i dziś jeszcze nazwiska o brzmieniu nie polskiém i nawet nie słowiańskiém, ale zanika zupełnie obca maniera takich, jak Bacciarelli, Lesueur, Grassi, Plersch, a nawet Chodowiecki, który daleko więcèj jest Niemcem i Holendrem, niż Polakiem, lub Smuglewicz, na poły Włoch, a także Hadziewicz, zbiorowy wytwór różnych szkół. Swoją drogą, już w owym czasie podziwiać trzeba znakomite odczucie żywiołu rodzimego w takich mistrzach, jak Orłowski, który niekiedy przypomina w pejzażach Holendrów, niekiedy w scenach rodzajowych Hogartha (np. „Ojcowie i synowie"), ale mimo to jest nieposzlakowanie macierzysty.

B) Temu wzrostowi swojszczyzny towarzyszy stale wzrost, a w każdym razie utrzymanie się czynnika duchowego w pomysłach. Kiedy spojrzę na pierwsze ogniwa w łańcuchu rozwoju: na arcydzieła Grottgera, zrodzone siłą geniuszu i bez pomocy „rozsądnèj niewiasty", doktryny, a potém na ostatnie pełne blasku ogniwa, — na Pruszkowskiego, dziwię się ich wewnętrznemu pokrewieństwu, i temu, że sekciarstwo malarzów-wirtuozów tak mało zdziałało. I czy może być inaczéj? Pewna liczba górujących w przełomowèj dobie talentów stanowi o charakterze całèj doby, tworzy z natury rzeczy punkty wytyczne rozwoju, ciążą swoją potęgą nad wieloma pokoleniami. Takimi artystami są u nas Grottger i Matejko, — po nich zjawiskiem niemal koniecznèm stają się tacy, jak Jul. Kossak i Jacek Malczewski, Pruszkowski, Gottlieb, Stachiewicz, Hirszenberg. Temu prawu nie może się sprzeciwić ani ten, co ma synowską wdzięczność dla swojèj akademii na obczyznie, ani ten, co chce być tylko wielkim technikiem. Najlepszemi dziełami Siemiradzkiego są „Pochodnie chrześciaństwa" i „Chopin w gościnie u Radziwiłła", głębokie i nastrojowe; do najlepszych płócien Aleksandra Gierymskiego zaliczyłbym „Trąbki", znakomite jako robota i świetne jako chwila usposobienia natury—gdy naodwrót, jego czysto wirtuozowskie partye, jak „Plac w Monachium", z dwoma rodzajami świateł — elektrycznèm i gazowém — uważam za artystycznie lodowate. I to samo powiedziałbym o Brandcie, który najgłębszym jest wtedy, gdy daje obraz nastrojowy, jak np. „Odpoczynek w stepie" (wiszący w Pinakotece monachijskièj), a często wprost rażącym, gdy sili się na brawurę ruchu, która aż ludziom i koniom kości łamie. Chełmoński, Fałat, Szymanowski podobają się

zgoła czém innêm, bo dosadnością i siłą, poezyą surowéj, zoranéj świéżo skiby. Ale to, bądź co bądź, nie pogoń za kolorem dla koloru, za najwyższą techniką, która u pierwszego i trzeciego bywa nieraz zaniedbaną, lecz—duch od stepu, od puszczy, od kniei, od gór, od kochanych „jak zdrowie" widoków.

Kto nie miał sposobności oglądania ich wszystkich razem, podziwiania między niemi nieznanych u nas jeszcze arcydzieł Pruszkowskiego, pysznych krajobrazów Witkiewicza, wzorowych portretów Rodakowskiego, całéj twórczości Grottgera, wspaniałego portretu Al. Gierymskiego, odczutych płócien Szereszewskiego i stu innych: niechaj przejrzy chociaż katalog ilustrowany Bołoza-Antoniewicza. Obejmuje on sztukę polską od r. 1764—1886, zawiéra ścisłe opisy wszystkich wystawionych dzieł, dane biograficzne, dotyczące artystów i 75 odbitek fototypowych.

Nie wolno mi jednak zbyć téj okazałéj książki kilkoma zdawkowemi słowami uznania. Jest ona czémś więcéj, niż miłym i eleganckim (dzięki ślicznemu papiérowi i drukowi) przewodnikiem po galeryi, ale i cennym zbiorem materyałów, nagromadzonych mozolną pracą, pierwszorzędnym przyczynkiem dla historyka naszéj sztuki plastycznéj. Sam autor spróbował już naszkicować zarys podobnéj historyi w obszernym wstępie. Na krytyczną jéj stronę nikt, trzeźwo biorący rzeczy, nie zgodzi się; wielkiemi oczyma patrzę na zachwyty bezkrytyczne nad niektórymi z naszych mistrzów; ze zdziwieniem wyczytuję, że „dzieła Brandta są absolutną prawdą" (podkreślone), albo że nigdy jeszcze krajobraz polski i chłop polski z taką swobodną pewnością i z taką ponętną brawurą nie był traktowany, jak na barwnych i porywających *(sic)* płótnach Alfreda Wierusz Kowalskiego." Toż Brandt jest coraz płytszym i bardziéj powierzchownym — i celuje nie prawdą, lecz właśnie fantazyą niby-ukraińską, a Kowalski, zdemoralizowany powodzeniem u kunsthaendlerów, odbija do nieskończoności te same dwa, trzy typy chłopów i dziewcząt jadących bryczką...

Podnieść za to muszę w pracy prof. Antoniewicza dokładny rozbiór wpływów, na jakich się malarstwo nasze urobiło, a to podług akademii i głównych ognisk sztuki zagranicznéj, i znowu z podaniem dokładném lat i nazwisk. Za najważniejszą zaś uważam próbę podziału na okresy. Jest ich według autora trzy: 1764—1795, 1795—1855 i 1855—1886.

W pierwszéj epoce kwitnie „sztuka w Polsce", ale nie „sztuka polska", w znacznéj części „rezydencyjna i reprezentacyjna". Tu należą Bacciarelli, Lampi, Grassi, Norblin de la Gourdaine.

W drugiéj „rzymska toga ustępuje przed strojem narodowym,

przed sukmaną i krakuską. Ozdobą okresu są: Smuglewicz, Wojniakowski, Płoński, Orłowski i jego uczniowie i przyjaciele, potroszę dyletanci, także karykaturzyści, Jakób Sokołowski, Oborski, Urmowski, Wendorff Romanowski, Stachowicz i ich grupy, Stattler, Hadziewicz, Rejchan, wielki Piotr Michałowski i drobniejsi, jak Piwarscy, Głowacki, Molinari, Blank, Kokular, etc.

W okresie trzecim zyskuje na powadze racyonalna szkoła malarska i zjawiają się prawie równocześnie Grottger i Matejko, a potém i cały legion znanych nam już bezpośrednio artystów. Tu drzewo twórczości rozgałęzia się ogromnie i sięga konarami swemi wszystkich wielkich stolic Europy. Artyzm nasz różnicuje się i zabarwia światłem najrozmaitszych świeczników Zachodu.

VI. „Szkoła polska".

Starałem się wykazać, że w owéj zróżnicowanéj wedle tematów, indywidualności i obcych nalotów — muzie tkwi coś w rodzaju wspólnego rdzenia. Jego składowych pierwiastków powtarzać już nie ma potrzeby. Natomiast konieczne są pewne ważne zastrzeżenia.

Przedewszystkiém chcę zapewnić czytelnika, iż jestem zupełnie świadom tego, że gruntować szkołę na kilkudziesięciu zaledwie latach istnienia prawdziwéj sztuki—zakrawa na zbytni pośpiech. Przewidywany ten zarzut byłby jednak bezzasadny; nie kalendarzem się mierzy żywot geniuszu, lecz jego płodnością i natężeniem. A taką miarę sztuka polska wytrzymuje z wielką chlubą. Jéj rozrost doszedł już do punktu kulminacyjnego i bodaj przebył go. Po Grottgerze, Matejce, Andriollim, Gottliebie, Rodakowskim, Maksie Gierymskim niepodobna nie spodziéwać się pewnéj pauzy w żniwie prawdziwych, twórczych talentów. Nie miło takie rzeczy mówić i czytać, ale zdrowy rozsądek nieodbicie do nich skłania.

Powtóre, istota i charakter szkoły kształtują się pod wpływem zbiorowym całéj twórczości artystycznéj narodu, a przedewszystkiém pod tarczą jego literatury. Tak było i jest wszędzie i zawsze — tak też musi być i u nas; widzieliśmy wyżéj — że u nas *par excellence.*

Z powodu téj nieszczęsnéj „literatury", kamienia obrazy dla większości malarzów, przeczuwam nowe niezadowolenie. „Szkoła — mówią oni zazwyczaj, a z nimi i większość ogółu — zasadza się na

pewnych właściwościach technicznych, a nie na cechach duchowych."

Nie znam kapitalniejszego błędu i bardziéj niedorzecznego przesądu. Parę wybitnych faktów obałamuciło opinię i ośmieliło do budowania i na tém polu kanonów, które wyrzucone przez ruchliwą historyę za drzwi, powracają oknem z pomocą skostniałych abstrakcyi. Szkoła hiszpańska, francuska, monachijska, polegają w rzeczy saméj poniekąd na właściwościach techniki i koloru, to samo stosuje się już mniéj do weneckiéj, charakteryzującéj się głównie religijną wystawnością i uroczystą pompą układu (np. u Belliniego). Od pojedyńczych a potężnych indywidualności uczniowie brali w istocie manierę, np. od Michała Anioła herkulesowe muskulatury, od Rubensa erotyczną pulchność ciał i trochę barwy Tycyanowskiéj, od Rembrandta—nazywanego „demonicznym" dla osobliwéj posępnéj poezyi jego arcydzieł — światłocień dosadny. Ale bo też samego ducha naśladować nie mogli. Tylko widome efekta i wybiegi techniczne można zapożyczać, ale nie indywidualność artysty. Możnaby setkami przykładów dowieść téj niezbitéj prawdy i jednocześnie wykazać, że w miarę zbliżania się naszych czasów, „szkoła" coraz bardziéj sprowadza się do pewnych wspólnych rysów usposobienia i ideału. Niemieccy „Nazarejczycy" są ascetyczni, jak poezya histerycznéj romantyki Novalisa; romantycy francuscy z Delacroix'em na czele jaskrawi i tragiczni, jak Byron i Wiktor Hugo, od których brali temata. (Np. rozbicie się okrętu z „Don Juana" albo Rzeź na wyspie Chios, albo epopea Napoleońska). Wreszcie ostatni, krańcowy niemal wyraz uduchowienia szkoły znajdujemy u angielskich prerafaelitów (estetów), pod wodzą Dante Gabryela Rossettiego i z teoretycznemi posiłkami Ruskina. Tu wypowiada się wprost wojnę zdrowéj i zadowolonéj, a jednocześnie akademickiéj pogańszczyznie Rafaela i całego Odrodzenia; składa się hołd czołobitny i niemal religijny poprzednikom mistrza z Urbino, a to dla ich szczeréj pobożności, naiwnéj prostoty, indywidualnego zacięcia. Tu też malarstwo brata się z poezyą jak nigdy, zarówno w osobach samych artystów, między którymi Dante G. Rossetti jest wielkim i jako malarz i jako poeta-rymotwórca. Tworzą się węzły szczególnéj serdeczności i porozumienia. Obie sztuki idą ręka w rękę i stopniowo ogarniają połączonym swym, malarsko-idealistycznym czarem całą Anglię [1].

---

[1]) Porównaj: „Les préraphaélites anglais" Edwarda Roda. Autor ten, bliżéj obznajmiony z historyą i przedstawicielami tego ciekawego i pięknego kierunku, wykazuje, iż główna zasługa zbliżenia ich ze sobą i zwarcia w jednę grupę przy-

Wobec tego mamy najzupełniejszą zasadę oparcia „szkoły polskiéj" na przewadze czynników duchowych, jak świéżość temperamentu, swojskość i poezya, i jest racya uważania nawet saméj kolorystyki, tak wzmożonéj u nas dzisiaj, za wypływ tych właściwości i zarazem ich środek ekspresyjny. Na czysto zewnętrznych cecach szkoła ta nigdy polegać nie będzie. Nie dopuści do tego jedyna na całym obszarze sztuki pstrocizna ognisk wychowawczych, u których sztuka nasza się grzeje, i rynków, na których się karmi. A jeśli mimo to odżywia się nienajgorzéj i zapędza się po chléb i po laury aż na krańce świata—to znak, iż obcy rozumieją jéj urok poetyczny.

Swoją drogą, pamiętać należy, iż „szkoła" jako pojęcie, coraz więcéj ramy swe rozszerza. Jest ona indywidualnością zbiorową, i jako taka, musi spółzawodniczyć nieraz z wybitną indywidualnością jednostki. Dziś niepodobna artyście narzucać znamion szkoły, nie można robić z niéj czegoś w rodzaju nieograniczenie wolnéj akademii. Geniusz sam dobiéra sobie i przyswaja pierwiastki, tak jak roślina.

Ale można i należy uświadamiać artyście i społeczeństwu, które go wydało, ich fizyognomię duchową, silne i słabe strony ich twórczości. Podobnie jak poeta nie stwarza dzieł dojrzałych, póki nie wejdzie w siebie, nie zrozumié swego ja, właściwości swego talentu, tak i artyzm zbiorowy może stawiać kroki chybione i marnować siły, jeśli nie zastanowi się nad sobą i nie pojmie, w czém jest mocny, szczery, a w czém słaby, naciągany. Oto parę przykładów. Szary „sos" monachijski nie odpowiada żywości Polaka i musiał się ulotnić; wybryki niby-impresyonistyczne, doskonałe może dla jakiéj „secesyi" paryskiéj lub wiedeńskiéj, u nas prędko tracą kredyt; fantazye i alegorye Matejki, sprzeczne z jego jędrną, mięsistą i poważną naturą, nikomu się nie podobały. Czysto klasyczne utwory Siemiradzkiego, jak „Fryne" lub „Apoteoza Kopernika" są sztywne i martwe; sztuczki dekadencko-symboliczne w rodzaju woskowych królewien nie udały się. Ciekawostka czysto liniowa i światłocieniowa Szymanowskiego „Tkacz" nie zwróciła niczyjéj uwagi. A oto przykład z literatury. Pani Zapolska ma niewątpliwy talent, ale bezwstydnie naśladuje symbolistów, impresyonistów, rozmaite „plamy" i t. d. i staje się często śmieszną; p. Antoni Lange jest prawdziwym wirtuozem wiersza i umysłem wy-

---

pada na poetów i na wspólne upodobania literackie. Między innemi podkreśla rozmyślnie następujące zdanie: *Il faut remarquer encore, que c'est à l'instigation des littérateurs que les préraphaélites ont levé leur étendard, tandis que nos realistes sont des artistes qui se révoltent contre les jugement des gens de lettres.* (Etudes sur le XIX siècle", p. 89).

kształconym, ale od niego wieje chłodem Leconte de Lisle'a, Sully Prudhomme'a i wogóle parnasowców, i przeto nie ma dotąd tego wysokiego uznania, na jakieby bezwarunkowo ze stanowiska „czystéj sztuki" zasługiwał i t. d.

Nieraz już mówiło się u nas o szkole polskiéj i albo się ją witało fanfarą pod wrażeniem połechtanéj na razie próżności plemiennéj, albo się myśl o niéj wydrwiwało, w imię bądź śledzienniczego niedowiarstwa, bądź krańcowego indywidualizmu, jako zasady, która powinna być zwierzchnią, naczelną. Niech mi wolno będzie powołać się w tém miejscu na referat swój ze zjazdu literackiego we Lwowie p. t. „Prawo zbiorowości w tworzeniu", w którym dowodziłem wprost przyrodniczéj niemożliwości skrajnéj samowoli i szkód, jakie z niéj w razie uporu dla artystów wynikają. Dziś chodzi mi o coś ważniejszego jeszcze; boć donioślejszą jest od ochrony pojedyńczych twórców przed zboczeniami, sprawa należytego zużytkowania wspaniałego materyału, jaki zebrała nasza sztuka plastyczna.

Cezary Jellenta.



EWOLUCYA STRONNICTW POLITYCZNYCH

W ANGLII.

Bez żadnéj gwałtownéj, jednorazowéj rewolucyi, jedynie siłą normalnego odżywiania organizmu społecznego, cały świat angielski zmienił się i przeistoczył w ciągu naszego stulecia do gruntu. Nie ma dziedziny, gdzieby ten duch nowy nie uderzał swą potęgą, swą energią; jedne reformy i zmiany stają się podścieliskiem drugich. Wpośród narodu, który przywyknięto uważać za czujnego stróża starodawnych tradycyi, spotykamy obecnie na każdym kroku gruzy przeszłości, skruszone ogniwa i nie wiedzieć co idzie raźniéj, czy burzenie budowy, wzniesionéj w ciągu stuleci, czy gromadzenie materyałów do nowéj, téj, co ma osłaniać Anglię jutrzejszą. Powiedziano przecież, że w ciągu paru ostatnich dziesiątków lat więcéj zmian tu się dokonało, aniżeli ich było od czasów Wilhelma Zdobywcy.

Nic ciekawszego, jak badać metamorfozy angielskiego bytu, jak podpatrywać kiełkowanie i rozrost nowych czynników. Zadanie to nieraz utrudnione bywa tą okolicznością, że niezmieniono nazw dawniejszych, dawniejszych etykiet i szyldów i że nie wiemy, jak i kiedy do starych łagwi świeże wlano wino. Stało się to właśnie w sferze politycznéj, nad którą zamierzamy zatrzymać uwagę czytelnika. Parlament angielski, owa potężna instytucya, któréj równą był chyba senat rzymski, owo ciało, w którém skupiła się była cała dusza narodowa, ów słynny model ustaw i organizacyi konstytucyjnéj dla reszty świata, jest obecnie z imienia tylko tém samém, czém był, nie powiemy za przedrewolucyj-

nych dynastyi, ale czém był w początku panowania królowéj Wiktoryi. Stronnictwa polityczne noszą jeszcze nazwiska torysów i whigów, ale ich typowych postaci, torysa, jak księcia Wellingtona i whiga, choćby jak lorda Brougham, trzeba będzie wkrótce z latarnią w biały dzień szukać. Rasy ich zaginęły, jak przedpotowych olbrzymich ssawców.

Poplątanie interesów, improwizowanie nowych programatów, dopasowanie nowego ładunku do staroświeckiéj rusznicy, zamęt i mglistość różnorodnych, nieprzefermentowanych jeszcze aspiracyi, zgiełk hałaśliwy samozwańczych przywódzców: oto niektóre zjawiska, pomiędzy wielu innemi, mogące obałamucić postronnego widza co do istotnych sił stronnictw i ściganych przez nie celów. Zanim rok jeden upłynie, może nawet za kilka miesięcy wszystkie stronnictwa polityczne stoczą z sobą walkę w arenie wyborczéj i będziemy słyszéć okrzyki wojenne zachowawców i radykałów, liberalnych unionistów i niezawisłéj partyi robotniczéj, narodowców i oranżystów. Nie od rzeczy będzie wyrozumiéć racyę bytu tych rozmaitych stronnictw i zdać sobie sprawę z zasadniczych między niemi różnic. Jeżeli nie ulega wątpliwości, iż stare armie się rozprzęgły i przestały słuchać komendy swych wypróbowanych wodzów, to mniéj jest zrozumiałe, pod jakiemi sztandarami zbierze się przyszłe pospolite ruszenie. Nawet w saméj Anglii ogół społeczeństwa nie zdaje sobie rachunku z dezorganizacyi kadrów. Dwa dowody przytoczyć się dadzą na to i każdy jest ilustracyą chaosu chwili obecnéj. Jednym jest pojawienie się zbiorowéj książki [1]), która zapowiadała programat nowéj partyi i mimo uznania godnych wysiłków z zadania swego się nie wywiązała; drugim jest śmierć lorda Randolpha Churchill'a i rozmaite sprzeczne jedne z drugiemi komentarze i oceny, jakie jego polityczny zawód w prasie i wśród publiczności wywołał. Widocznem jest, że różnorodne drobiny organiczne nie skupiły się jeszcze w jeden całokształt i że czas jakiś opinia iść będzie omackiem.

A dziwić się téj niepewności trzéźwego zazwyczaj społeczeństwa nie powinniśmy zaiste, wziąwszy na uwagę kolosalne rozmiary ewolucyi w łonie tego społeczeństwa się dopełniającéj. Ustrój arystokratyczny, którym stała Anglia onegdajsza i wczorajsza jeszcze, ustępuje miejsca demokratycznemu. Nie dość na tém. Demokracya nie zamyka się bynajmniéj w dziedzinie politycznéj: daleko zawikłańsze, daleko gwałtowniejsze zagadnienia o ekonomiczno-socyalistycznéj bar-

---

[1]) „The new party" described by some of its members and edited by Andrew Reid. London, Hoddes, 1894, str. 446, in 8-o.

wie stanęły wraz z nią na porządku dziennym. Zanim się te różnorodne żywioły nie ułożą do poziomu, nie można wymagać ładu, a tém mniéj harmonii.

Ongi wystarczały dwie klasyczne partye torysów i whigów, fałszywie, albo przynajmniéj niedokładnie utożsamiane z zachowawcami i postępowcami. Wiadomém jest, iż po dziś dzień swarzą się filozofowie nad pierwotném znaczeniem tych nazw danych za Karola II-go partyzantom i przeciwnikom prerogatyw korony. Obecnie ta archeologiczna kwestya coraz mniejsze posiadać będzie znaczenie, bo coraz mniéj działaczy publicznych solidaryzuje się z zasadami i linią wytyczną tych stronnictw historycznych. A nie można ich bynajmniéj o żadne odstępstwo obwiniać. Zmieniły się czasy i okoliczności, a więc i zmienić się musiały stronnictwa.

Torysi walczyli ongi w interesie prerogatywy korony. Było to naturalném, gdy fala rewolucyjna rzucała się na koronę. Obecnie przestała ona być potęgą. *Veto* korony, którego król Jerzy III-ci nadużył, faktycznie istnieć przestało już od 1707 r. Nikt też dzisiaj nie przypuszcza możności ze strony korony sprzeciwienia się woli narodu, prawnie wypowiedzianéj przez organ parlamentu. Stronnictwo zachowawcze nie ma już potrzeby stawać w obronie insytucyi, która zeszła do roli drugorzędnego czynnika państwowego. Mogli torysi utrzymać się u władzy prawie bez przerwy przez lat 70, od 1760 do 1830 r., dzięki rewolucyjnym przewrotom na stałym lądzie, dzięki wojnom, które Anglia wieść była zmuszona z Francyą. Ale po bilu reformy, gdy otwarte zostały podwoje dla demokracyi, nigdy już nie było i być nie mogło takiéj nieruchomości.

Mniéj jeszcze prawa mają dzisiaj whigowie uchodzić za orędowników idei postępowych. Najpowierzchowniejsza znajomość dziejów angielskich uczy, że nie byli oni nigdy stronnictwem ludowém i być niém nie mogli, skoro o ludzie mowy ongi nie było. Gdy w 1688 r. tryumfuje rewolucya, nie lud ale arystokracya bierze w posiadanie parlament. Arystokracya, czerpiąca swą siłę we własności gruntowéj, staje się oligarchią monopolizującą w swych rękach władzę zwierzchniczą. Wiek XVIII-ty jest epoką całkowitego, bezwzględnego ich panowania. Gospodarują w całym kraju jak w swéj osobistéj własności, członkowie wielkich rodów otrzymują wszystkie dygnitarskie posady i urzędy, a prawodawstwo ekonomiczne i finansowe ich wyłączne dobro ma tylko na celu. Pomiędzy wielkiemi rodami torysów a whigów nie było żadnéj różnicy wybitnéj zasad, i gdy oni

przyszli do steru władzy, wyzyskiwali ją tak samo na swoją korzyść, jak to czynili torysowie.

Bliższa czasów naszych epoka pokazuje oprócz tego, że stronnictwo whigów nie brało zasad demokratycznych do serca. Wiadomém jest, jak w pierwszéj ćwierci naszego stulecia, przez zaprowadzenie gospodarstwa przemysłowo-fabrycznego, wytworzyła się bogata, potężna klasa średnia i jak w świadomości swéj potęgi wymogła na oligarchicznéj mniejszości przypuszczenie do władzy i współudział takowéj. Bil reformy 1832 roku wyemancypował klasę średnią, mieszczaństwo. Opór, jaki emancypacya ta napotkała, był jaskrawy, bardziéj fanatyczny może u torysów niż u whigów, ale nie można wątpić, że i ci nie sprzyjali jéj w gruncie serca Natychmiast głowy tego stronnictwa manifestują tendencye i opinie zachowawcze. Wszystkie reformy i ulepszenia socyalne wywalczone zostały i wydarte z rąk ich uporczywą walką powoli i stopniowo występującego na widownię stronnictwa demokratycznego.

To ostatnie otrzymuje byt legalny nie wcześniéj jak przez bil reformy 1867 roku, podwajający odrazu liczbę wyborców, i przez nową reformę 1885 roku, powiększającą ich prawie o dwa miliony. Po wprowadzeniu niemal głosowania powszechnego, parlament stanął otworem dla najszerszych kół narodowych. Samo się przez się rozumie, że demokratyczna masa nie może go odrazu wziąć szturmem. Ma przeciwko sobie nietylko brak tradycyi i doświadczenia, całą machinę państwową i społeczną zbudowaną, jeżeli nie przeciwko sobie, to przynajmniéj mimo siebie, ale nie posiada nawet środków materyalnych, finansowych, do przedarcia się na stanowisko, do którego jest uprawnioną. W takich okolicznościach nie dziwota, że przez kilka lat pierwszych panowała chwiejność i brak decyzyi. Przedstawiciele trzeciéj, radykalnéj partyi stąpali to po stronie reakcyjnéj torysów, to szli ręka w rękę z hufcem whigów, który, przyznać trzeba, zaprzestał bezowocnéj z nimi walki i coraz się bardziéj z nimi solidaryzował. Następstwem tego wystąpienia stronnictwa radykalnego na arenę było parę zmian ministeryalnych, szybko po sobie idących. Należy być na oscylacye tego rodzaju przygotowanym, zanim cały cykl ewolucyjny się nie uzupełni i zanim społeczność nie ułoży się do harmonijnego poziomu, znalazłszy organa i metodę do urzeczywistnienia swych potrzeb pierwszorzędnych.

Wystarczyło przypomnieć ten ciąg wypadków, ażeby dojść do sformułowania tego elementarnego pewnika, iż w przeszłości dwa stronnictwa, torysów i whigów, mogły obejmować — *arcades ambo* — cały organizm polityczny angielski, ale że obecnie, po wyemancypo-

waniu i równouprawnieniu masy ludowéj inne ugrupowanie stronnictw stało się koniecznością życiową. Uważać należy za dowód nader płytkiego i powierzchownego sądu zwalanie na Gladstona winy za obecne rozpryśnięcie się stronnictwa liberalnego na dwoje. Ci, co utrzymują, że jego projekt usamowolnienia Irlandyi zadał cios śmiertelny owemu wielkiemu stronnictwu lileralnemu, które jest chlubą Anglii i podwaliną jéj wielkości, mieszają wypadkową przypadłość z nieodzowną historyczną łańcuchowością przyczyn i skutków. W braku téj okoliczności znalazłaby się inna. Stronnictwo liberalne musiało uledz gwałtownemu przekształceniu, tak samo jak stronnictwo zachowawcze potrzebowało widocznie wstrzyknięcia świeżych soków, bez których dalsze istnienie byłoby dlań niepodobném. W chwili obecnéj, gdy nowa organizacya nie weszła jeszcze całkowicie w życie, wobec konwulsyjnych ruchów w prawo i lewo, nie łatwiejszego, jak wydawać fałszywe sądy o mężach stanu, niepewną nogą stąpających po śliskim i nieosiadłym gruncie. Byli tacy, co uważali aspiracye lorda Randolpha Churchill ku pojednaniu demosu z arystokracyą za przedsięwzięcie awanturnicze, a spuścili z uwagi, że nie można po za tym programatem znaléść żadnego innego środka zabezpieczenia, choćby czasowego, dla klas uprzywilejowanych ich zdobyczy. Byli tacy, co traktowali p. Józefa Chamberlaine'a jako apostatę, kiedy ten, niesympatyczny zapewne, ale bystry i rzutny polityk, przez postawienie reform socyalnych na pierwszym planie, a czysto politycznych na dalszych, udowodnił poprostu, że idzie z prądem swego czasu.

Zaszły tedy zmiany liczne w stanowisku, składzie i wzajemnym do siebie stosunku stronnictw. Nie ma wątpienia, że będziemy świadkami w najbliższéj przyszłości i innych jeszcze. Bliższa charakterystyka, do któréj przystępujemy, byłaby pozbawiona wszelkiéj wartości, gdyby opiérała się na zewnętrznéj formalnéj klasyfikacyi. Wniknąwszy natomiast w wewnętrzną istotę stronnictw i nie spuszczając z oka celów, do jakich każde z nich zdąża, będzie się mogło tuszyć, że dojdziemy do samego jądra.

* * *

Stronnictwo torysów ma reprezentować obecnie, gdyby się miało słuchać jego przeciwników, nic więcéj jak monopole, przywileje i nadużycia. Dotykalną jest przesada tego określenia. Nie można podać w wątpliwość, że warstwy społeczne, w jakiby sposób przyszły były przed wiekami do wyzyskiwania ogółu i do rządzenia nim, stworzyły dla siebie i naokół siebie środowisko o interesach, które istnieją obecnie

i które posiadają prawo do istnienia. Nietylko więc monopole, przywileje i nadużycia, czynniki ujemne, ale i pewne czynniki dodatnie stały się dziedzictwem tego stronnictwa. Uosobia ono tradycyę, zasadę monarchiczną, wielkie zasługi, wyświadczone przez szereg wieków rozkwit inteligencyi, blask kultury towarzyskiéj, nieraz ducha ofiary i poświęcenia dla publicznego dobra. Specyalne warunki, w jakich się znajduje arystokracya angielska, ciągłość węzłów, jakie ją łączą z narodem, postawiły ją niezaprzeczenie wyżéj od jakiéjkolwiek arystokracznéj klasy lądu stałego. Łatwo tedy zrozumiéć, że poczucie swéj osobistéj godności, swéj społecznéj roli, chęć utrzymania politycznych i majątkowych przywilejów, które od wieków posiadali, zrobiły to stronnictwo zachowawczém i że z nieufnością spoglądali torysowie na wszelkie reformy, które ujmę uczynić im mogły.

Ale pomimo wszystkich usiłowań, jakie arystokracya angielska i idący z nią ręka w rękę kościół państwowy—czyniły, sfera ich przywilejów i ich działalności coraz ciaśniejsza się stawała. Każdy dziesiątek lat wydziéra jéj jedno dobro po drugiém. Przestała rządzić krajem przez izbę gmin, przestała administrować po utworzeniu rad prowincyonalnych i parafialnych, po wyzwoleniu municypalności. Utraty władzy politycznéj nie zastąpią zdobycze materyalne. Bogactwo jéj polegające na własności ziemskiéj, zostało naprzód zaćmione przez przemysł fabryczny, z którego dochody płynęły do innéj kieszeni, a niebawem zmniejszone przez zniesienie ceł zbożowych, przez przesilenia rolnicze i różne zmiany ekonomiczne. Kościół państwowy, sam w przywilejach swych zagrożony, nietylko nie jest dla arystokracyi podporą, ale ciężarem, gnącym ją ku ziemi.

Splendor dawniejszy może jeszcze łudzić chwilowo, ale ci, co mają dość cywilnéj odwagi, ażeby nagiéj prawdzie stanąć w oczy, wiedzą, że klasy wyższe angielskie są już dzisiaj, a będą poprostu coraz bardziéj, jak je nazwano trafnie, *splendid paupers*. Straconą jest reduta i dłużéj utrzymać się w niéj nie ma sposobu.

Ponieważ jednak człowiek zbiorowy tak samo jak indywiduum dąży do utrzymania się przy życiu, zatém i stronnictwo zachowawcze pragnie się ocalić. Dwie drogi miało przed sobą otworem: albo upiérać się przy dawniejszéj swéj linii wytycznéj, dawniejszéj zaciętéj walce z demokracyą, albo téż z nią się pojednać, wejść z nią w sojusz i taki pakt z nią zawrzéć, ażeby módz pewną ilość — jak można największą — swych przywilejów tradycyjnych przechować i swym następcom uszczuplony wprawdzie, ale jednak istniejący jeszcze dobytek przekazać. W pierwszéj polityce było więcéj hardego animuszu i rycerskości, aniżeli praktycznego zmysłu, w drugiéj dźwięczy natu-

ralnie nuta fałszywa i z pod pokrywki miłości dla ludu wyzierają różki egoizmu kastowego.

Dzięki oświacie, jaka w epoce naszéj i do najbardziéj zardzewiałych, średniowiecznego pokroju umysłów przeniknąć zdołała, stronnictwo krańcowych torysów zeszło do małéj, niepokaźnéj ilości. Trzeba przedstawicieli jego szukać, albo pomiędzy starcami do dawnego autoramentu przywykłymi, albo udać się do jakiego zacofanego zakątka prowincyonalnego, gdzie nowe prądy nie utorowały sobie jeszcze koryta. Pomiędzy wielkiemi rodzinami, magnatami o krwi błękitnéj daleko rzadziéj o taki fanatyzm, aniżeli u świeżéj daty dorobkiewiczów, którzy z arogancyą występują w obronie przywilejów szlacheckich rodów wytępionych jeszcze w epoce wojen dwóch róż. Cała młoda generacya torysów i całe, rzec można, parlamentarne ich przedstawicielstwo rozumie istotny stan rzeczy i jest przygotowane uczynić, dla zachowania swego politycznego bytu, *la part du feu* swym onegdajszym przeciwnikom.

Najgłówniejszy zarzut, jaki obecnie wytrawni politycy w zachowawczym obozie czynią swym byłym przywódzcom, jest, iż nie umieli wcześniéj tego zwrotu na lewo dokonać, że zmarnowali nieoszacowane okoliczności. Wprawdzie lord Beaconsfield z obliczoną na efekt szarlataneryą rzucił się i pociągnął stronnictwo torysów do reform radykalnych, ale choć przyklaskiwano mu szumnie, to w gruncie serca niedowierzano temu awanturniczemu neoficie. Gdy lord Salisbury został głową stronnictwa, mimo swéj umysłowéj kultury, mimo sceptycyzmu stanowiącego rdzeń jego natury, nie zdobył się na wielkie prawodawcze przedsięwzięcia, wolał żyć z dnia na dzień. Nie przeprowadziwszy reorganizacyi izby lordów, do czego był lepiéj niż ktokolwiek inny powołany, sprowadził przesilenie obecne, które może to dostojne ciało o zupełną utratę stanowiska politycznego przyprawić. Stronnictwo zachowawcze tak dobrze zdaje sobie sprawę z nieudolności torysów starszéj generacyi w zastosowaniu się do stosunków chwili obecnéj, że w razie gdyby powrócili do władzy, naczelne dowództwo odebrane będzie lordowi Salisbury i politykom jego nastroju, a powierzone mężom stanu przygotowanym do uczynienia radykalnego *salto mortale*.

Stwierdza po tysiąc razy doświadczenie dziejowe, że ci tylko ludzie odegrać są zdolni rolę hegemonów, którzy we właściwéj chwili pojawiają się na widowni publicznéj. Mierność nieraz zbiéra laury, kiedy genialni ale zawcześnie przybyli poprzednicy zmiażdżeni zostali bezlitośnie. Epoki przejściowe, jak nasza, zużytkowują nadzwyczaj wielką ilość sił pierwotnych. Uwagi te nasuwają się same przez się

z okazyi świeżego zgonu lorda Randolpha Churchill. Ten syn wielkiego książęcego rodu Marlborough zrzucił wcześnie ze swych ramion brzemię arystokratyczno-reakcyjnéj polityki i napisał na swym sztandarze dziwaczne na pierwszy rzut oka godło: torysowska demokracya. Od kilkunastu lat, które nas od jego parlamentarnego debiutu dzielą, otrzaskaliśmy się z tą doktryną,—wonczas atoli wydawała się potworną. Stronnictwo, do którego on urodzeniem i tradycyą należał zrozumiéć nie chciało, że zamiast iść utartym gościńcem wolał rzucać się na strome ścieżyny, gdzie się ledwie raz na sto karku nie łamie; demokraci i socyaliści nie wierzyli, aby mu istotnie o interesa ludu chodziło i naigrawać się zeń nie przestawali. A trzeba przyznać, że tém łatwiéj przychodziło go napastować, iż słabych stron było w nim mnóstwo. Sama doktryna była przeczuta i naszkicowana raczéj, aniżeli jasno i logicznie wyrażona i sformułowana; sposób, w jaki za nią walczył cyniczny, zuchwały, napastniczy, poniewierający najwyższemi powagami, plujący w oczy przeciwnikom mógł przypadać do smaku demosu, ale obrażał wszystkie tradycye krasomówstwa, wszystkie uświęcone wiekami zwyczaje krajowe. Więcéj przypominał jaką postać awanturniczą z szekspirowskich tragedyi dziejowych, aniżeli wytrawnego, rozważnego polityka dni naszych. Zionął takiém nieograniczonėm przeświadczeniem o niezachwianéj prawdzie swych opinii, że musiał wywoływać uśmiech ironiczny u przeciwników i u tych wszystkich, którzy wiedzieli na jak kruchéj podstawie naukowéj cała jego agitacya spoczywa. *Trust the people* była dewiza rzekoma jego działalności, a jednakowoż nie należy zapominać, że pokładał wiarę jedynie w ludzie trzymanym na wędzidle i prowadzonym do dalszego rozwoju przez silny patrycyat.

Nie można mówić poważnie o doktrynie lorda Randolpha Churchill, bo jéj nie miał, a był tylko błyszczącym i hałaśliwym przedstawicielem téj polityki, którą już nieraz spotykaliśmy w dziejach: autokraty wyswabadzającego masy. Ale mimo wszystkich wad charakteru i temperamentu, mimo wszystkich niedostatków umysłowych, nie można odjąć mu jednéj i wielkiéj zasługi: zrozumiał jeden z pierwszych, że albo stronnictwo torysów, jako takie istniéć przestanie, albo odrodzi się i nowy chrzest otrzyma przez zespolenie się z demokracyą.

* * *

Ewolucya ta nastąpiła istotnie jeszcze za życia lorda, a on, z osobistych przyczyn, w które tu wchodzić nie ma powodu, był ich

świadkiem tylko z daleka, i roli przywódzcy zrzec się musiał. Dostała się ona w udziale jego towarzyszom młodości i przyjaciołom, tym, co, żywiąc te same co on aspiracye, mieli jaśniejsze i zdrowsze pojęcia o metodach ich urzeczywistnienia. Zmiana frontu stronnictwa zachowawczego odbywa się stopniowo i powoli, ale decydującym, historycznym w niéj momentem była secesya w łonie stronnictwa liberalnego. Gdy Gladstone przedłożył w r. 1886 narodowi swój plan samorządu dla Irlandyi, ci z dotychczasowych jego stronników, którzy nań zgodzić się nie chcieli, jedni z obawy, drudzy z niskich egoistycznych powodów, inni jeszcze poprostu z rutyny, skorzystali z téj okoliczności, aby ugrupować się w oddzielne stronnictwo. Ponieważ za główny argument walki ze stronnictwem liberalném ci odszczepieńcy podawali, iż pan Gladstone doprowadzi do rozczłonkowania państwa, sami, jako przeciwstawę, nazwali się liberalnymi unionistami. Stronnictwo to, w którego sztabie generalnym znaleźli się tacy magnaci, jak książęta Argyll i Devonshire i tacy radykalni politycy, jak Chamberlain, zdawało się powierzchownym spostrzegaczom przeznaczone na rychłą zagładę, następstwo wewnętrznéj rozterki. Stało się jednak inaczéj. Garnęło się do niego wielu obywateli z pseudo-patryotycznych przyczyn, a więcéj jeszcze z wewnętrznego poczucia, że ramy dawnego liberalizmu raz pęknięte naprawić się nie dadzą i że należy śmiało w innym zacząć sterować kierunku. Kiedy w parlamencie liberalni unioniści usiłowali przez pierwszych lat parę zachowywać stanowisko odrębne, równie oddalone od zlania się z toryzmem, jak od powrotu do whigów, nie mogli przez połowiczność i dwuznaczność swego działania liczyć na dojście do steru władzy, ale nawet i w téj pierwszéj epoce, wiele umysłów garnęło się do nich.

W ciągu ostatniego roku nastąpił nakoniec przewidywany i konieczny wypadek. Nie mogąc istnieć sami przez się, żywiąc do starych liberałów tę osobistą niechęć, jaką się zawsze spotyka u braci poróżnionych, zbliżyli się liberalni unioniści do torysów i po akcyi naprzód równoległéj, a potém wspólnéj, doszli do skojarzenia programatu, do zsolidaryzowania propagandy i do powierzenia kierunku tym samym ludziom, przystępującym bądź z posterunku torysowskiego, bądź z liberalnych unionistów. Następstwem praktyczném tego zjednoczenia jest tak dotykalne powiększenie ich sił, iż przy przyszłych wyborach do izby gmin przewidywany jest ich tryumfalny powrót do władzy. Inném, drobném, zaledwie zauważoném następstwem jest, iż nie ma już obecnie w Anglii torysów. Owa wielka historyczna partya znikła pod nową nazwą liberalnych unionistów. Przydomek „liberalnych" korci miłość własną jednych, a nie posiada naj-

mniejszego znaczenia w oczach drugich; nazwa unionistów straciła z drugiéj strony także swą wagę, gdy arcydowodnie wykazano, iż o porwaniu państwa na szmaty nie ma i nie mogło być mowy. Niepodobném jest, ażeby wielkie stronnictwo obiérało sobie nazwę, która oparta jest na fałszu i na obeldze. Nie ma téż wątpienia, iż w niedalekiéj przyszłości koalicya torysów, whigów odszczepieńców i socyalistów państwowych wyrzecze się swéj urzędowéj nazwy liberalnych unionistów i przybierze inną. Znaleziono już dla niéj szczęśliwą: stronnictwa narodowego. Może ono być poczytane za pomyślną dla nich wróżbę.

Pod tą jednak, czy pod inną nazwą, nowe składem, ale przedewszystkiém odmienne duchem od dawniejszego torysowskiego stronnictwa będzie to, które stanie do współzawodnictwa z dawném liberalném w arenie prawodawczéj i administracyjnéj. Coraz mniejszą rolę dyrygującą zajmować w niém będą torysowie starego autoramentu, politycy w rodzaju lorda Salisbury, a natomiast owi przybysze, którzy wiedzą dobrze i którzy nie zaniedbują przypomnieć swym sojusznikom, iż tylko dzięki ich współdzianiu trup toryzmu zachowawczego zgalwanizowany został, staną niezawodnie na czele. Pierwszeństwo przypadnie dwóm mężom stanu o wydatnéj fizyognomii. Jednym jest p. Artur Balfour, drugim p. Józef Chamberlain. P. Balfour, z urodzenia siostrzeniec lorda Salisbury, i inicyowany przezeń do zawodu politycznego, jest całkiem od swego mistrza odmienny. Nie posiada ani źdźbła przesądów i uprzedzeń kastowych i jest z ducha zupełnie *homo novus*. Człowiek to młody jeszcze, wysokiego wykształcenia filozoficznego i rozległéj nauki, wyrafinowanéj kultury i smaku—może od czasu do czasu pokazać sceptycyzm starego i doświadczonego zapaśnika, który wié, jakie robactwo się lęgnie pod szumnemi wyznaniami wiary partyzantów, ale wzbudził niezachwianą ufność w swych stronnikach; są mu oni wdzięczni, iż umié im osłodzić i ułatwić ofiary niezbędne, to téż nie ma wątpliwości, że pod jego — lepiéj, niż pod czyjąkolwiek inną buławą dadzą się ex-torysi prowadzić na szlaki, o których dzisiaj jeszcze sami nie marzą.

Drugiém skrzydłem nowo utworzonego stronnictwa dowodzić będzie p. Chamberlain. Syn swych własnych dzieł, dziś pan wielkiéj fortuny, zaznaczył się on naprzód jako reformator municypalny. Demokrata o tendencyach humanitarnych stawił czoło doktryneryzmowi szkoły manchesterskiéj. Wziąwszy na się rolę trybuna ludowego walczył przez długie lata wytrwale o polityczne wyswobodzenie narodu w jego całości, o zniesienie monopolu własności gruntowéj, o re-

formę podatków, o rozszerzenie samorządu municypalnego. Kwestye czysto polityczne i cała kazuistyka konstytucyjna posiadała już oddawna daleko mniejsze znaczenie w jego oczach, aniżeli rozstrzygnięcie na korzyść masy wszystkich zagadnień zaniedbanych i odwlekanych. Skoro sprawa emancypacyi Irlandyi zagrażała nową odwłoką jedynie ważnych punktów demokratycznego programatu, p. Chamberlain opuścił Gladstona, którego był ministeryalnym kolegą, opuścił stronnictwo postępowe, w którego szeregach wzrósł i dojrzał, i zwrócił przeciwko niemu całą energię swego szorstkiego temperamentu i cały zasób swego doświadczenia, wpływu i powagi. Uważany przez liberalne stronnictwo za wyrodnego apostatę, p. Chamberlain spalił za sobą mosty i dokłada wszelkich usiłowań, ażeby stronnictwo unionistów urzeczywistniło jak można najśpieszniéj i najgruntowniéj wszystkie artykuły jego osobistego radykalnego programatu.

Łatwo zrozumiéć, jak pożądanym nabytkiem dla stronnictwa unionistów będzie osobistość p. Chamberlain'a. O radykalnych jego opiniach, o dążeniach do urzeczywistnienia reform pierwszorzędnych w bycie materyalnym warstw najszerszych narodu nikt wątpić nie ma prawa. Stanie on tedy jako zakładnik, jako rękojmia, że to stronnictwo, które w przeszłości wyrażało zastój społeczny, ma w przyszłości wyrażać postęp i rozwój demokratyczny. W gruncie serca może wielu torysów żywić do osoby i do zasad p. Chamberlain'a najżywszy, nieprzezwyciężony wstręt, ale posiadać muszą dość władzy sami nad sobą, aby go trzymać na uwięzi i iść pod jego przywództwem, bo tam już tylko dla nich jest możność kierowania sterem państwowym. Można przewidywać częściowe starcia, pokątne bunty podrzędnych członków stronnictwa, dopóki nowe prądy stanowczo nie pokonają dawniejszych, tradycyonalnych, ale jako jedno zwarte ciało znajdzie się już ono do czynu gotowe po otrzymaniu większości na wyborach. P. Artur Balfour, tak samo jak książę Devonshire'u, publicznie oświadczyli, że się solidaryzują z programatem p. Chamberlain'a.

Zostawiając nietkniętemi wiele reform politycznych, które stronnictwo liberalne przeprowadzić zamierzało, unioniści wezmą się do socyalnych. Kasy emerytalne dla starych robotników, indemnizacya robotników za szkody poniesione na życiu i zdrowiu podczas pracy po fabrykach i warsztatach, szeroki system ogólnego, obowiązkowego ubezpieczenia, ułatwienie nabywania drobnéj własności gruntowéj, a przedewszystkiém domów mieszkalnych dla klas uboższych, budowa na wielką skalę zdrowych i wygodnych domów i mieszkań na miejscu istniejących jeszcze ohydnych jam i nor, skrócenie godzin pracy, ustanowienie trybunałów rozjemczych dla załatwienia sporów pomię-

dzy pracodawcami a robotnikami i t. d.: oto cały szereg projektów i planów, które przedłożone będą parlamentowi przez unionistów.

Mimochodem zauważyć można w jak wybornėm, w jak wyjątkowo szczęśliwém położeniu znajdują się unioniści. Znajdą po swéj stronie swoich współzawodników z liberalno-postępowego obozu, którzy te same wyznają opinie i tak samo jak oni mają na sercu dobro klas ludowych: zamiast bruździć im i paraliżować ich działalność, będą ich tedy do działalności reformatorskiéj zagrzewać. Ale, co ważniejsze jeszcze pod względem praktycznym, izba lordów, to ciało, złożone w dziewięciu dziesiątych częściach z przedstawicieli zardzewiałego kastowego przywileju, uporczywém *non possumus* zatrzymujące reformę, przedłożoną sobie przez liberalny rząd i liberalną izbę gmin,—przyjmie, bez najmniejszego oporu, kiwając głową jak porcelanowy mandaryn, wszelkie, nawet najbardziéj rewolucyjne projekty prawodawcze swoich własnych przywódzców. Wydarzało się to już dawniéj nieraz, wydarzyło się niedawno jeszcze, gdy ustanowiony został samorząd administracyjny prowincyonalny, i stanie się normalnym objawem na przyszłość. Zamiast walczyć z przeciwnemi wiatry, unioniści będą je mieli w swych żaglach.

Nie dziw tedy, że, oceniając jak należy wyjątkowe korzyści swego położenia, spoglądają jako na nieodzowną konieczność na swoje przyjście do władzy. Że ją osiągną—wątpliwości nie ulega. Stary toryzm arystokratyczny, zatknąwszy demokratyczną chorągiew na swych skruszonych basztach, jest pełen animuszu. Pytanie tylko, czy się przy istniejącéj parlamentarnéj machinie długo u władzy utrzymać potrafią. Każdy z projektów społecznych unionistów jest pożądany, ale każdy jest mglisty i wątpliwy, gdy się z abstrakcyjnéj teoryi do praktyki przechodzi! Nie można zamknąć oczu na to, iż przypuszczą one szturm do skarbu państwowego i to nie o dziesiątki, ale o setki milionów. Gdzie znaléść fundusze na te wielkie przewroty w ustroju ekonomicznym społeczeństwa? Pociągnąćby to musiało za sobą ofiary ze strony klas majątkowo uprzywilejowanych trudne dzisiaj jeszcze do przewidzenia. Nie byliby unioniści praktycznymi Anglikami, gdyby w danéj chwili przeciw nim nie zaprotestowali. A jeżeli znowu zatrzymają się w wykonaniu zapowiedzianych reform przed trudnościami finansowemi, to rozłakomiona a zawiedziona masa pomści się na nich za doznany zawód i bez wahania władzę im odbierze.

Ale oddalone to jeszcze ewentualności. Nim to nastąpi, będziemy świadkami jak stronnictwo zachowawcze, odmłodzone przez swój związek z żywiołem innego pochodzenia, innych tradycyi i inne-

go ideału, swojéj żywotności składać będzie dowody. W pośród wielu przekształceń, jakim uległ organizm angielski w ciągu swego pochodu historycznego, to jest bezwątpienia najciekawsze.

* * *

Jeżeli nader łatwą jest do zrozumienia stopniowa ewolucya, dokonana w łonie dawnego torysowskiego stronnictwa, to trudniéj w pierwszéj chwili pojąć, że w łonie jego współzawodników, whigów, także nowy duch pojawić się i zatryumfować musiał. Niepodobna wprawdzie zaprzeczać, że historycznie reprezentowali oni sprawę swobód publicznych i postępu społecznego, i można wybaczyć matadorom parlamentarnego liberalizmu, iż na tę cechę historyczną nacisk kładą, utrzymując, że są oni dzisiaj tém, czém byli ich przodkowie w XVII wieku, ale jednocześnie zapomniéć niepodobna, iż whigowie mieli dawniéj na oku interesa rodów oligarchicznych i że nie demokratyczne swobody, lecz możnowładztwo było ich hasłem. Idee równości społecznéj były im obce i znajdowały w nich zaciętych przeciwników. Apelując obecnie, gdy demokracya wyemancypowaną została, do warstw ludowych, i przypominając im, co dla nich uczyniło stronnictwo liberalne, nader często otrzymuje gorzką odprawę. Napróżno narzuca się ono na naturalnego kierownika masy. Powaga jego jest podkopana. W słynném swém słowie p. Gladstone przeciwstawił klasy wyższe — masom. Dzisiaj o tém przeciwieństwie nie ma mowy, skoro klasy wyższe uznały już prawa masy, skoro o nie walczyć są gotowe. Podwaliną wspólną dla wszechspołeczeństwa jest demokracya, a walka pomiędzy stronnictwami przestała być walką klas jednych z drugiemi. Rozstrzygnięta ona została ostatecznie, jak utrzymują unioniści, głosząc, że działalność narodowa skierowana być powinna ku zaspokojeniu tych potrzeb i tych interesów, które do téj pory zaniedbane były.

Stronnictwo liberalne nie zgadzało się na ten pogląd. Wié on dobrze, że epoka olbrzymich przewrotów politycznych już minęła, że demokracya została mistrzynią narodu; ale jéj zdaniem jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia, ażeby równość i swobodę polityczną dla wszystkich obywateli w czyn wprowadzić i zabezpieczyć. Jest jeszcze pełno gruzów i rupieci, pozostałości dawnych czasów, które uprzątnąć należy. Są wielkie reformy wyborcze do przeprowadzenia, zanim parlament stanie się istotnym przedstawicielem narodu. W dziedzinie sądowniczéj, administracyjnéj potrzeba, jak wśród leśnéj gęstwiny, wyciąć jasne poręby. Jest na każdym kroku mnóstwo niesprawiedli-

wości i przywilejów do zagładzenia. Znaczna część tego programatu sformułowana została w Newcastle. Dalekim jest on jednak od wyczerpania reform politycznych, uznanych za potrzebne przez całe stronnictwo liberalne.

Ale na tém nie dosyć jeszcze. Są inne olbrzymie zadania, których rozwiązanie wzięło na siebie stronnictwo. Jest tu naprzód zaspokojenie wymogów narodowości irlandzkiéj. Samorząd dla Irlandyi w téj ub owéj formie jest koniecznością uznaną obecnie przez wszystkie bez wyjątku stronnictwa w Wielkiéj Brytanii. Potrzeba będzie niemałych jeszcze wysiłków, zanim olbrzymie owo zadanie przeprowadzoném będzie, ale jest zaszczytem i racyą bytu stronnictwa liberalnego nie spocząć, póki wiekowe niesprawiedliwości zagładzone nie zostaną. Jest daléj sprawa sekularyzacyi kościołów w Walii, w Szkocyi i saméj Anglii, odzielenie ich od państwa. Jest nakoniec reforma konstytucyjna, skierowana przeciwko obecnym przywilejom izby lordów, stającéj na drodze wszelkim reformom, wnoszonym przez stronnictwo liberalne. Ta ostatnia reforma staje się teraz coraz gwałtowniéj potrzebną.

Wystarczyło wymienić i przypomnieć powyższe punkta, aby udowodnić, że stronnictwo liberalne ma przed sobą rozległe, prawie niezmierzone pole działalności prawodawczéj w samym politycznym zakresie, nie dotykając nawet socyalnego. Mężowie stanu starszego autoramentu, wzrośli i wychowani w epoce, gdy bój toczył się o zagadnienia polityczne, zostali zaskoczeni przez tryumf masy demokratycznéj, dla któréj sami walczyli, niespodzianie prawie. Łatwo pojąć, że sir Wiliam Harcourt dzisiaj, tak samo, jak wczoraj jeszcze Gladstonei znajdowali się na swém własném podwórku w pierwszym szeregu, że zaś zagadnienia socyalne trwożyły ich swym ogromem, że spostrzegalj na pierwszy rzut oka ich trudności praktyczne, — woleli je stawiać na drugim planie, a jak otwarcie Gladstone powiedział, zostawić je młodszemu pokoleniu. W oczach orędowników szkoły manchesterskiéj socyalizm państwowy będzie też, bądź co bądź, podejrzany i traktowany po macoszemu.

Największą trudnością, jaką stronnictwo liberalne na swéj drodze spotyka, jest tedy owa dwoistość zadania i ogrom każdego z nich. Nie może się ono wyrzec żadnego artykułu swego politycznego programu boby stracilo racyę bytu, sprzeniewierzyło się swéj tradycyi i postradało jednocześnie wszystkich tych sojuszników, którym ich indywidualny cel najbliżéj serca stoi. Nie może także zaniedbać reform społecznych i całego szeregu ulepszeń, odnoszącch się do materyalnego bytu klas robotniczych, bo one teraz rej wiodą i trzeba je uspokajać

pod groźbą natychmiastowéj utraty popularności i poparcia u wyborców. Co robić? gdzie się zatrzymać? oto kwestye, które zaprzątają umysły przywódzców partyi liberalnéj.

A przywódzcy ci, ciążą, stosownie do swego osobistego temperamentu, bądź ku politycznéj, bądź ku społecznéj stronie programatu. Urzędową głową jego jest, jak wiadomo, lord Rosebery, powołany na to przewodnie stanowisko dla tego właśnie, że okazuje się gotowym do posuwania naprzód obudwóch. Jako członek i twórca rady hrabstwa londyńskiego, oswoił się z zagadnieniami robotniczemi i nie lęka się najradykalniejszych sposobów zaspokojenia ich potrzeb. Jako członek izby lordów, rzucił rękawicę ciału temu i postawił sobie za zadanie życiowe ukrócić ich potworne przywileje. Ale, obok lorda Rosebery stoi kilku mężów stanu, jednych już wypróbowanych w dawniejszych kampaniach, drugich, którzy budzą w swych stronnikach wielkie nadzieje. Trzech tu wymienić należy przedewszystkiém. John Morley, którego imię zjednoczone zostanie ze sprawą samorządu irlandzkiego, jest demokratą o przekonaniach radykalnych. Gruntownie obznajmiony z dziejami rewolucyi francuskiéj, zaczerpnął on w niéj, rzec można, zasady politycznéj akcyi, ale mniejszą skłonność i sympatyę okazuje do państwowego socyalizmu, będącego obecnie na porządku dziennym. Ten właśnie natomiast wabi do siebie p. Arquith'a, który bez najmniejszego wahania w zawiłych sprawach robotniczych staje jako ich orędownik. Jako minister spraw wewnętrznych, miał on sposobność obeznać się z ustawodawstwem fabryczném i dał ludności robotniczéj tyle dowodów swéj szerokiéj sympatyi, że stronnictwo liberalne nie potrzebuje się obawiać współzawodnictwa p. Chamberlaine'a. P. Arquith okazuje równy zapał, równą znajomość rzeczy, a praktyka rządu daje opiniom jego powagę, któréj tamtemu brakuje. Trzecim przywódzcą jest p. Fowler, który przeprowadził świéżo projekt radykalny o radach gminnych. Jest to umysł bystry, charakter energiczny, polityk doświadczony i giętki: stoi on, jako łączące ogniwo pomiędzy demagogiczną doktryneryą p. Johna Morley, a socyalistycznemi tendencyami p. Asquith'a.

Mając na względzie olbrzymią tradycyę Gladstona i tylu polityków, w jego szkole wychowanych i jego szlachetnym entuzyazmem zagrzanych, nie mamy powodu obawiać się, żeby liberalne stronnictwo zaleźało pole. Istniała, jak powiedziano wyżéj, przez parę lat, niepewność co do drogi, którą miało się w przyszłości kierować, i dało się nawet ono uprzedzić swym współzawodnikom. W chwili obecnéj, sprawiedliwość przyznać nakazuje, nie ma wśród liberalnego obozu śladu owego mieszczańskiego doktryneryzmu, owego ducha *juste-milieu*, który jest

w oczach ludowych przywódzców ohydną poczwarą, lecz panuje tam duch demokratycznéj solidarności.

Ale istnieją mimo to na krańcowém skrzydle obozu postępowego silne uprzedzenia przeciwko jego organizacyi i polityce. Przedstawiciele warstw robotniczych szli ongi zawsze podczas kampanii wyborczych i w parlamencie ręka w rękę z korpusem liberalnym. Ale w ostatnich czasach, szczególniéj, gdy w samém łonie warstw robotniczych nastąpiło rozdwojenie i gdy naprzeciw dawnych *Trades Unions*, żywiołu zachowawczego, stanęła pstrokata i hałaśliwa rzesza kolektywistów, anarchistów i t. d., odbiło się to także na stosunku stronnictwa robotniczego do liberalnego. Gdy część pierwszego nie przestała łączyć się ze starszyzną, druga, młoda, niesforna, buntownicza, uznała za właściwe iść nietylko samopas, ale nawet rzucić rękawicę dotychczasowym swym stronnikom. Utworzyła się grupa pod nazwą „Niezależnego stronnictwa robotniczego”. Organizatorem jego, a właściwie rzecznikiem, bo o ściśléj organizacyi nie ma tam dotąd mowy, jest p. Keir Hardie, zapaleniec, być może szczery, ale o mętnym i chaotycznym programacie. Napastuje on z nadzwyczajną gwałtownością całe stronnictwo postępowe, obwiniając je o wszystkie grzechy. Bez wahania staje on po stronie torysów, będąc zdania, że szkodliwszymi od whigów być nie mogą, a że będzie można na nich coś więcéj wytargować. Nie zdaje się jednak, ażeby dodatni program p. Keir Hardie stał się popularnym i porwał robotnicze warstwy angielskie, gdyż oświadczył się on za konfiskatą własności indywidualnéj na rzecz państwa i naześrodkowanie w jego rękach narzędzi wytwórczości, rozdziału i wymiany zasobu społecznego. Upłynie prawdopodobnie niemało czasu, zanim owa modła kolektywizmu porwie w swe ogniwa całość klasy robotniczéj, a tém bardziéj jeszcze większość społeczności angielskiéj. Ale, bądź co bądź, stanowisko téj grupy, coraz nieprzyjaźniejsze względem stronnictwa liberalnego, paraliżuje do wysokiego stopnia działalność tego ostatniego i może nawet narazić je na przegraną przy przyszłych wyborach. Zemsta socyalistów na partyi postępowéj, w któréj się im podoba widzieć ciągle jeszcze oligarchicznych whigów z przed reformy 1832 r., może być historyczną Nemesis, ale ani o jéj praktycznéj użyteczności, ani o krytycznym jéj zmyśle niepodobna mieć innéj opinii, jak tylko, że jest dowodem małoletniości umysłowéj warstw zarobkujących.

* * *

Jeżeli udało się nam przedstawić jasno zmiany, jakie zaszły w celach i widokach dwóch tradycyjnych stronnictw historycznych, na które

dzieliła się Anglia, to czytelnik zrozumie, dlaczego ani o torysach, ani o whigach nie ma już teraz mowy. Stronnictwo unionistów *alias* narodowe i stronnictwo postępowe, albo radykalne oba rywalizują z sobą co do środków i sposobów, jakiemi pragną zaspokoić potrzeby i wymagania masy wyborczéj. Różnice pomiędzy zielonymi a błękitnymi zacierają się coraz bardziéj i schodzą do *minimum*. Demokracyi tryumfującéj nie brak sług ochotnych: kłopot jedynie z wyborem. Trzeba zostawić przyszłości ocenę, nietyle programatów samych w sobie ile środków, któremi urzeczywistnione będą w biegu czasu. Ale dziś już najmniejszéj wątpliwości mieć nie można, że po dokonanéj ewolucyi w łonie stronnictw, wiek, u progu którego stoimy, wytworzy nam organizm angielski, całkiem inny od tego, do którego przyzwyczaiły nas dzieje.

D-r M. E. Trepka.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Kobieta w polsce", studyum historyczno-obyczajowe Zygmunta Kaczkowskiego (Tom II-gi z przedmową i uwagami Piotra Chmielowskiego). Petersburg, Grendyszyński, 1895.

Zdaje mi się, że trudno znaléść książkę, o któréjby krytyk musiał tak skrupulatnie, jak o téj, zdanie swoje ważyć i znów ważyć. Tyle tu gliny i piasku, że się chwilami wierzyć nie chce, ażeby to miała być ruda kruszcu cennego, aż się wreszcie natrafi na całe bryły złota, którychby już żadne uprzedzenie za nic innego uznać nie zdołało. Dzieło to znakomitego powieściopisarza nader jest niejednolite, to też winno być rozpatrywane z wielorakiego punktu widzenia.

Tytuł zapowiada studyum historyczno-obyczajowe o kobiécie, napotykamy tu jednak nietylko obszerne opowiadania historyczne o pewnych królach i epokach, pozostające zaledwo w pośrednim i oddalonym związku z dziejami kobiéty w Polsce, lecz i ogromną ilość ustępów, posiadających wielką czasem, ale poetycką lub krasomówczą wartość. Gdybyśmy zaś chcieli znaléść jakąś nić przewodnią w podróży przez całe dzieło Kaczkowskiego, musielibyśmy się chwycić jego tendencyi społeczno-moralnéj, z którą się on nietylko nie ukrywa, lecz nawet wprost ją za pobudkę i cel swojéj pracy podaje,— zbyteczną zaś chyba byłoby rzeczą rozwodzić się nad tém, jak dalece nie zgadza się wszalka tendencya z przedmiotowém badaniem przeszłości.

Należy zanotować, iż autor sam rozumiał doskonale niektóre strony ujemne swego, trzydzieści kilka lat temu pisanego „studyum", które nie miało być zgoła „dziełem skończoném", „ścisłą i poważną

rozprawą", jeno „pogadanką poufną", „jednostronną, częściową lub powierzchowną", „imającą się często obrazowości, zamiast wywodów teoretycznych, płynącą wprost z myśli i serca" stosownie „do usposobienia chwilowego". Ani się on może domyślał, że, niezależnie od wartości historycznéj, książka jego stanie się dla nas nieocenionym zbiorem dokumentów, świadczących najwymowniéj o tém, jak rozmaite, często sprzeczne pierwiastki myśli i uczucia zapalały wyobraźnię twórczą, jak w duszy jego powstawały z chaosu owe cudne a pełne harmonii wewnętrznéj powieści historyczne, któremi do tak niedawna jeszcze byliśmy obdarzani. Rozejrzenie się, chociażby pobieżne, po tym widnokręgu rzeczą jest niezmiernie ciekawą. Tu litość dla żony poganki, przeniesionéj mimowoli w sferę uczuć i pojęć nowoczesnych, rodzi obraz niedoli, przejmujący grozą w swéj plastyczności; tam kilka martwych wzmianek kronikarskich przetwarza się w oczach naszych w żywą a cudną postać Dobrówki, żony Mieszka II; owdzie myśl o skarbach moralnych, jakie mogła znaléść w słowie Chrystusowém nasza matka-poganka, daje formy, barwy i życie postaci idealnéj matrony-chrześcianki; w inném znów miejscu tendencya anti-emancypacyjna wywołuje z pamięci wielkiego artysty zachwycającą „babkę", pobożną i cichą a przez cześć dla siebie, jaką całe otoczenie napełnia, wszystkiém rządzącą; zachwyt wreszcie i współczucie dla Jadwigi, mistrzowsko tu odmalowanéj, każe mu jéj zasłudze przypisać nagłe rewolucyjne polepszenie się doli kobiecéj pod wszystkiemi względami, każe mu od cichego a pełnego godności męczeństwa żony Jagiełły datować nawet spadkobranie kobiét u nas. Gdybyśmy jednak pominęli nawet szereg wspaniałych postaci królewskich, to już kilka typów, w rodzaju drobnéj szlachcianki z XIV w. i jéj małżonka, — mogłyby przykuć do książki uwagę czytelnika.

Nietylko jednak charakter twórczości powieściopisarkiéj,—odbiła się tu cała dusza Kaczkowskiego. Pomimo kardynalnéj różnicy pomiędzy poglądami na historyą i życie mojemi i autora, pomimo témbardziéj mnie z tego powodu uderzających, a często niemniéj kardynalnych sprzeczności wewnętrznych pomiędzy własnemi jego zdaniami, w podziw i cześć mnie na każdym kroku wprawiała niezwykła jego szczerość i prawość. Nie brak tu stronności mimowolnéj, wypływającéj z głębokiéj wiary i niezłomnych przekonań, zléwających się co chwila w jedno z uczuciem potężném i łatwo zapalném, lecz świadoméj—ani śladu. Po niemczyznie z wieków średnich najnienawistniejszą dla K. rzeczą jest francuzczyzna z w. XVIII, to też mówiąc z najwyższą goryczą o utożsamionéj z nią rewolucyjności, rozluźnieniu w obyczajach i sceptycyzmie, rzuca on potępienie surowe i bezwzględ-

ne Stanisławowi Leszczyńskiemu, który był, według niego, „szerokim kanałem”, jakim francuzczyzna ta płynęła do Polski: „co sam zrobił, żadnego nie przyniosło pożytku, a to, co przez niego zrobiono, przyniosło szkodę” (II, 331). Niebawem jednak, spojrzawszy na rzecz z innéj strony, wyznaje, że „poruszył on niejedną myśl wcale zbawienną i trafną, która potém wzeszła na ziemi polskiéj i pożyteczne przyniosła owoce” (II, 378).

Czytając kartki, traktujące o winach Jezuitów wobec historyi naszéj XVIII w., trudno wprost uwierzyć, że wyszły one z pod tego samego pióra, które, o setkę stronic w tył, temu zakonowi z zapałem przypisywało najzbawienniejszy wpływ na społeczeństwo nasze w wieku XVII-ym. A rzućmy okiem na dzieje walki światoburczego pogaństwa z chrześciaństwem, uosabiającém dla K. wszelki postęp, wszelką prawdę, wszelką doskonałość. Jak on rozumié i odczuwa każdy rys szlachetności, bohatérstwa i wielkości zarówno w całém stronnictwie kmiecém, jak i w tych, co byli jego sercem, głową lub dłonią! Dobrówka tu czaruje nas wszystkiemi urokami duszy i ciała; mąż jéj, tak niesłusznie Gnuśnym przezwany, budzi w nas współczucie najgłębsze tragicznością ponurą swoich losów; Bolesław Śmiały, niby bohatér tytaniczny, przechodzi przed oczyma naszemi krokiem wielkoluda; groźny duch Masława czcią nas tajemniczą napełnia.

Wyczerpanie jednak téj strony przedmiotu wymagałoby bardzo obszernéj pracy, a tymczasem czytelnik oczekuje może od nas odpowiedzi na pytanie, czém jest „Kobiéta w Polsce” jako „studyum historyczne”.

Wobec wyżéj przytoczonych wyznań autora najwłaściwszą chyba będzie rzeczą dać tu nietyle krytykę, ile możliwie przedmiotowe sprawozdanie z zawartości dzieła. Zacznijmy od tendencyi poglądów zasadniczych.

„Zgubne, zaraźliwe inowacye”, „coraz mętniejsze pojęcia o tak zwanéj emancypacyi”, „nad któréj teoryami tracą zdolności swoje i prace w służbie szatana głowy nawet genialne”, rozwielmożniające się w piśmiennictwach „bałwochwalstwo natury” — wszystko to zmusza K. do wskazania społeczeństwu naszemu prawdziwych wzorów kobiéty w dalekiéj przeszłości. Niepodobieństwem jest pogodzić sprzeczności w poglądach jego na kobiétę, jéj właściwości przyrodzone, jéj przeznaczenie czy téż powołanie, jéj prawa i obowiązki. Jak w hołdach prześciga on najzapaleńszych bojowników za prawa kobiéty, tak znów w wyrokach na nią dorównywa najzacofańszym wrogom jéj emancypacyi. Kobiéta, według słów K., zawsze stawała po bohatérsku pod sztandarem każdéj „myśli ciepłéj na téj ziemi”. „Czy to

idzie... o wyzwolenie murzynów... o demokracyę... o usamowolnienie wiejskiego ludu... — wszędzie z nadzwyczajnym zapałem apostołują kobiéty." „Trza im to przyznać, iż prawie całkiem nie widać ich tam, gdzie się rozszerza jakaś idea na szkodę ludzkości. Nieporównany ich instynkt, osobliwszy dar łaski Bożéj, użyczany w plemieniu męskiém tylko geniuszom pierwszego rzędu, a i tym jeszcze nie wszystkim, zawsze je prowadzi tylko do celów szlachetnych, prawdziwych, cnotliwych i pięknych". Podziwia K. w kobiétach energię, niezwykłą inteligencyę, ducha organizatorskiego i ducha inicyatywy. „W wiekach średnich aż do końca w. XV kobiéty nasze, pozostawiane same przez swoich mężów (którzy nadzwyczaj rzadkimi gośćmi bywali w domu), trudniły się gospodarstwem męskiém i zawiadywały sprawami majątkowemi najczęściéj bez żadnéj męskiéj pomocy." „We wszystkich wiekach podczas najdłuższych poza-domowych wojen, nie podupadały u nas gospodarstwa ziemian-rycerzy, bo je prowadziły kobiéty." „Szlachetniejsze u nas, niż gdzieindziéj w Europie, stosunki poddańcze w wiekach średnich były wyłączną zasługą kobiét." Zachwycając się dawnym obyczajem wydawania 14-to lub nawet 13-to letnich dzieweczek za czterokrzyżykowych kawalerów, K. ostro krytykuje małżeństwa dzisiejsze, w których, po paru latach pożycia, „każda (o kilka lat tylko młodsza) żona patrzy na męża jakby na dziecko i zawsze nad nim roztropnością, rozumem i doświadczeniem nielitościwie góruje", „albowiem, jak to powszechnie wiadomo, umysł kobiéty rozwija się raźniéj, uczy się prędzéj, nabiéra pewnych, statecznych i już nigdy niezmiennych doświadczeń daleko wcześniéj, niżeli najpotężniejszy umysł mężczyzny."

To téż „mądrość Boża, widząc kobiétę słabą i takiéj nieograniczonéj wolności (jaką jéj przynajmniéj prawo rzymskie przyznawało), ani potrzebującą, ani używać zdolną,—oddała ją w posłuszeństwo mężowi... przywiązując ją niewolniczo do domowego ogniska i nie pozwalając jéj niezawisłéj odgrywać roli na świecie". „Kobiéta — według K. — nie jest do pracy stworzona." „Powołaniem jéj jest zatrudnienie." Jakie jednak, czy téż jakiego rodzaju wysiłki fizyczne lub umysłowe odróżniają w pojęciu jego pracę od zatrudnienia—wyrozumiéć nie można. Uważa wreszcie K. za możliwe zreformowanie dzisiejszego wychowania dziewcząt na wzór XV w.

Gdyby nie owa rycersko-szlachetna prawość K., gdyby nie brylantowa miłość jego dla kraju i ludu, trudno nawet przewidziéć, jak potwornie mógłby wpłynąć podobny chaos tendencyi i poglądów ogólnych na charakter dzieła, osobliwie zaś przy metodzie, nieustannie zastępującéj ścisłą krytykę historyczną — latarnią czarnoksięską wyo-

braźni, i to témbardziéj, że istotny brak materyału historycznego i ówczesna niedoskonałość porównawcza środków wyciskania z niego kwintesencyi prawdy—pozostawiała duże pole do fantazyowania, szczególnie na obszarach wieków przedhistorycznych i średnich. Zaczynając od wieku XV, K. liczy się już dość skrupulatnie z granicami, jakie zakładają wyobraźni fakta historyczne, zabytki praw pisanych lub świadectwa literatury współczesnéj, za to w tomie pierwszym jego dzieła we wszystkiém, co się tyczy bytu i stanowiska kobiéty w rodzinie, panuje wielka dowolność: panorama to jakoby historyczna, często cudna, ale i chaotyczna zarazem.

Od czasu narodzin pierwszego tomu „Kobiéty w Polsce" badania nad pierwotnemi formami życia społecznego i rodzinnego poczyniły olbrzymie postępy, dzięki ścisłéj metodzie porównawczéj i ogromnéj ilości nowych, naukowo systematycznie zbiéranych faktów o współczesnych ludach dzikich i pół-dzikich, to téż po pracach Lubbocka, Tylora, Morgana, Mac-Lennana i tylu innych, nad poetycznie pięknemi obrazami K. z bytu naszéj kobiéty-poganki wypada nam tylko przejść do porządku dziennego, do czego nas jeszcze zachęca wielka niezgodność tych obrazów między sobą.

Niełatwą téż jest rzeczą zawrzéć w zwięzłe słowa poglądy tego dzieła na dolę i stanowisko społeczno-rodzinne kobiéty w wiekach średnich. Jaki tam był stosunek prawa do bezprawia, moralności do zepsucia, czci do upośledzenia; w jakim stopniu, porównawczo, działały na rodzinę ówczesną wpływy dawnych tradycyi pogańskich i charakter narodowy z jednéj strony, a duchowieństwo i rycerstwo z drugiéj, — wyrozumiéć trudno, bo nieodznaczające się ścisłością naukową orzeczenia K. często przeczą sobie wzajemnie.

„Upośledzone, sponiewierane, wzgardzone (w małżeństwie) kobiéty porzucały (za Mieczysława I) cześć bałwochwalczą, tak dla nich ohydną i uciążliwą", mówi na str. 114, przejęty wstrętem dla pogaństwa i zachwytem dla chrześciaństwa K., niebawem jednak, dając posłuch wskazówkom i domysłom historycznym, wypowiada, jako pewnik, że „za czasów Masława kobiéty wszystkie trzymały z ludem... z małym tylko wyjątkiem (216). Powodem ważniejszym (tego) była kwestya miłości, małżeństwa (217). Chodziło o wolność pojmowania t e g o lub téj" (219).

„Dopiéro z początkiem XIII w. widzimy społeczeństwo nasze n a w s k r o ś przejęte Chrystusową nauką i napełnione obyczajem rycerskim" (312). „Od chwili (upadku Bolesława Śmiałego) kobiéta, oddana na zawsze pod w y ł ą c z n e i n i c z é m j u ż n i e m ą c o n e wpływy rycerstwa i duchowieństwa" (288) (za Władysława Hermana)

nietylko uzyskała dla siebie równe mężczyznom obywatelstwo w społeczeństwie, ale zaczęła pomału nabywać pewnych praw zwyczajowych do majątku rodzicielskiego" (280). Z wzgardzonéj niewolnicy... stała się ona istotnie królową domowego ogniska i zajęła w rodzinie poważne i wzniosłe stanowisko... którego przyznanie jéj było niezaprzeczoném dziełem wpływów chrześciańsko-rycerskich" (317). Ostatnie to zdanie uogólnia idylliczny obraz bytu kobiéty ówczesnéj. Pomimo to na str. 325 czytamy, co następuje: „Wniesione przez rycerstwo prawa i obyczaje nietylko nie przyczyniały się do ustalenia i rozprzestrzenienia zasad głównych, lecz owszem, przeciwnie, stawały niejednokrotnie walną przeszkodą kobiécie do uzyskania postanowionéj dla niéj godności i powagi. Kobiéta polska — jak w czasach pogańskich... tak również po wprowadzeniu obyczajów chrześciańsko-rycerskich jeszcze przez długie wieki musiała się własną pracą dorabiać należnéj sobie godności". „Niestateczność obyczajów u kapłanów (w inném miejscu do apoteozy podniesionych) bardzo nadwerężała wpływ i powagę kościoła" (296). „Wpływy średniowiecznego rycerstwa dlatego tak słabo i powolnie na nas działały" (300), że „wpływy tradycyi (pogańskich) sięgały daleko głębiéj, aniżeli nam się to zwykle wydaje" (301). „Pod koniec XIV-go wieku żyły jeszcze w wielkiéj potędze dawne tradycye przedchrześciańskie" (t. II—1).

Powiedziawszy, co wyżéj (312), o początkach XIII-go wieku, w tym samym wieku i następnym, w téj saméj Polsce, „przedstawiającéj smutny obraz", coś nakształt „jaskini zbójców", K. „widzi chaos powszechny... w pojęciach o moralności i cnocie, o obowiązkach względem ojczyzny, sąsiadów, poddanych i własnéj rodziny... a wskutek tego tyle niemoralności, ciemięstwa i gwałtów, rabunku i mordów" (363). Na zasadzie jednak statutów wiślickich, które mu „niezbitych dowodów" do tych wyroków na szlachtę ówczesną dostarczyły, „widzi" on znów na str. 390, że „cała szlachta pomniejsza" była w gruncie rzeczy cnotliwą, pracowitą, pobożną, bo cały naród był wtedy pobożny i obyczajny..." Stronice 420—427 malują znów tchnący wzniosłem szczęściem i powagą byt kobiéty ówczesnéj, streszczając się zaś na początku tomu II-go (18—19) orzeka K. kategorycznie, że „przez trzy średnie wieki" „kobiéta spotykała dla siebie niechęć w opinii publicznéj i żyła w upośledzeniu widocznem we wszystkich życia społecznego kierunkach".

Wszystkie te zdania mimowoli nastręczają pytanie: czy naprawdę w umyśle największego z naszych powieściopisarzy historycznych panował taki chaos poglądów na wieki ubiegłe? Otóż bynajmniéj. Wszystkie uwydatnione tu sprzeczności — to rozmaite pierwiastki pra-

wdy historycznéj i kto przeczytał chociażby Olbrachtowych rycerzy, nie może wątpić, iż zlały się one, że tak powiem, chemicznie w duszy autora w jedną całość, syntezę wspaniałą, tylko *par excellence* twórczy jego umysł nie posiada zdolności analitycznych i nie jest w stanie poświęcić nas w perypetye tego procesu chemicznego: to tak, jakby kto tłómaczył to, co sam doskonale rozumie, w języku, teoretycznie zaledwo sobie znanym. Odłóżmy więc na stronę formalizm sprawozdawczy i postarajmy się przeniknąć do treści poglądów autora na te czasy.

Błędnie, zapewne, przypuszcza K., że kobiéta nasza w pogaństwie miała znaczenie tylko inwentarza roboczego, ale zgoda na to, że chrześciaństwo, darząc ją prawami człowieka, otworzyło przed nią zarazem drogę do utrwalania i rozszerzania tych praw, i ta to właśnie niewątpliwa przewaga nowéj idei sprowadza ową utratę równowagi u autora na str. 114, 280, 312, 363 i t. d. Niezwykła intuicya uczy K., że wbrew powszechnie naówczas przyjętemu zdaniu, chrześciaństwo nie nastało u nas odrazu i bez walki — naprzód na żelazo, późniéj na uczucia, lecz myśl o wieku XIII-ym, jako o wieku świętych polskich, każe mu na początku jego wskazać kres ostateczny tradycyi pogańskich, niebawem jednak zastanowienie się nad chaosem, panującym w Polsce w tym i następnym wiekach, pozwala mu odróżnić w nim dwa borykające się niszcząco w duszy społeczeństwa wrogie pierwiastki: żywy jeszcze stary, pogański, który już przestał tworzyć, i nowy, chrześciański, który tworzyć jeszcze na dobre nie zaczął. Porywa chwilami wyobraźnię K. i niesie na manowce zachwyt dla duchowieństwa i rycerstwa, opiérających się na takich wzniosłych zasadach, wnet jednak przypomina on sobie, iż zasady te oderwane niezawsze, licowały z życiem, że duchowieństwo samo często było niemoralne a chciwe bogactw i władzy, że rycerstwo najczęściéj nie Bogu, królowi, kobiécie i honorowi służyło, lecz własnym instynktom najniższym i interesom—i następują zdania, prostujące uniesienie poprzednie.

Tom II-gi odmienną w znacznym stopniu nosi fizyognomię, chociaż duch jego tenże sam, bo ani usposobienia umysłu, serca i wyobraźni, ani tendencye i przekonania autora nie uległy przy pisaniu jego zmianie. Powiedziałem, że liczy się on tu z faktami historycznemi, zabytkami praw pisanych i świadectwami literatury ówczesnéj, nie przeszkadza mu to jednak czasem szybować na skrzydłach wyobraźni, grupując fakty i koloryzując stosownie do „usposobienia chwilowego”. Mowę o tym tomie wielce ułatwiają i utrudniają zarazem przedmowa i uwagi wydawcy, zawiérające w sobie, chociażby w zarodku, wszystko niemal, co ważniejszego mógłby miéć krytyk do powiedzenia w tym

przedmiocie, to też postaram się być nietyle krytykiem, ile zwięzłym sprawozdawcą; na jedną sobie tylko pozwolę uwagę: ani na chwilę przez ciąg całego tego dzieła nie tracąc z oczu ideału tego bezwzględnego kobiéty, K. stosownie do epoki, zmienia tylko jéj strój i warunki zewnętrzne, duszę jednak daje najzupełniéj tęż samą i pogance i kobiécie z wieków średnich i nowożytnéj.

Kobiéta nasza była, według słów K. od początku do końca dziejów zawsze gotową do bohatérstwa, poświęcenia i zaparcia się siebie, doskonałą w czystości swéj żoną i matką, nie mówiąc już o tém, że była ona tak samo niezmiennie wyborną gospodynią. Od zasady téj bywały tylko w różnych czasach mniéj lub więcéj liczne wyjątki. W XV-ym jednak dopiéro wieku („wyjątków w nim nie było żadnych" [147]) utworzyły się owe wzorowe typy niewiast... „żywe przykazania" nawet dla czasów teraźniejszych. Stało się to dzięki temu, że kilkowiekowe zasługi kobiét znalazły nareszcie uznanie w opinii publicznéj i prawach głównie „za przewodem" dobrowolnego, cichego, całożyciowego bohatérstwa królowéj Jadwigi. K. daje się tak dalece porwać zachwytowi dla niéj, że życiu jéj nadaje znaczenie ery w dziejach kobiéty naszéj, nie cofając się nawet, pomimo wiary najgorętszéj, przed analogiami, pomiędzy życiem „córki" Bożéj i „syna" Bożego: wspomniałem już wyżéj, do jakich błędnych wniosków ten zapał go doprowadza. Wogóle cały wiek XV-ty, wbrew świadectwom autentycznym, przytoczonym przez wydawcę, wygląda u K. na idyllę: magnaci byli prawymi synami ojczyzny, szlachta bitna, gospodarna, cnotliwa i rozumna, kobiéty szczęśliwe i doskonałe, „na stole chłopa ówczesnego widziałeś zawsze słoninę, tłustego schaba, drób, masło, sér, mléko, jaja, a we dnie postne... i rybę..." Doskonałość ta i szczęśliwość idzie aż do końca *decrescendo*. „Królowa Bona, matka najhaniebniejsza, wprowadza zepsucie już w wieku XVI-ym. W XVII-ym znajdujemy go jeszcze więcéj, wprowadzonego przez obce królowe", z których Marysieńka warta jest Bony. „Wiek XVIII-ty pomnaża je, dzięki „pierwszemu Sasowi", a chociaż je powstrzymuje żona drugiego, — filozofia i moda francuska, zaprowadzona przez Stanisława Augusta, łamie wszelkie zapory..." (147). Należy jednak zanotować, iż daléj przypisuje K. zasłudze Jezuitów reakcyę zbawienną w wieku XVII-ym przeciw rozpuście wieku poprzedniego, zwraca nawet z tego powodu wydawca uwagę na to, że barwy do wizerunku w XVI-ym brał autor od satyryków, zapominając o nich przy następnych, ale pogodzenie téj sprzeczności znajdzie czytelnik chociażby w Abrahamie Kitaju.

Cudnie piękny język i styl, cała galerya wspaniałych postaci, wielka ilość rozsianych tu i owdzie niezwykle trafnych spostrzeżeń

i myśli, przedewszystkiém zaś możność zajrzenia do wielkiego serca autora i do tajemnic jego twórczości, wszystko to pozwoli każdemu, kto książkę tę, jako przeważnie pogadankę poufną, weźmie do ręki, na kogo religijno-konserwatywne tendencye i przekonania nie podziałają, jak czerwona płachta na byka,—wszystko to, powtarzam, pozwoli każdemu przeczytać ostatnie może, choć nie ostatnio napisane dzieło K. nietylko z zajęciem wysokiém, lecz i z przyjemnością niemniejszą.

Józefat Nowiński.

D-r Maurycy Straszewski. „Dzieje filozofii na wschodzie z ogólnym do dziejów filozofii wstępem“. Kraków, 1894.

W ostatnich dziesięcioleciach żadna nauka nie ma tylu pracowników u nas co historya: powszechne to dążenie do oryentacyi w przebiegu dziejów zaznacza się także na polu filozofii. Literatura nasza posiada kilka dzieł i monografii, godnych uznania w zakresie historyi filozofii, choć brak nam zupełnie samodzielnych prac w wielu innych dziedzinach téj nauki. Kto chce posunąć naprzód wiedzę, rozszerzyć zakres dotychczasowych badań, ten powinien przedewszystkiém gruntownie obznajmić się z tém, co dotychczas zrobiono. W filozofii obowiązek ten jeszcze większą ma doniosłość, bo najdawniejsze dzieła filozofów większą dziś zachowały wartość, niż dzieła dawnych przyrodników lub matematyków. Gdyby tekst geometryi Euklidesa zaginął, strata zaledwie dałaby się odczuć, natomiast nieodżałowaną jest strata dzieł Demokryta, niczém nie dałyby się zastąpić dyalogi Platona. To téż filozofowie historyę swéj nauki uprawiają bardzo szczegółowo. Jednak większa część badań historyczno-filozoficznych nie sięga do dalszéj przeszłości, niż początki filozofii greckiéj: cała zaś filozofia wschodu zwykle bywa pozostawianą na uboczu.

Ta wschodnia filozofia, szczególniéj indyjska, dopiéro w XIX-ém stuleciu zaczęła zwracać uwagę Europy i stała się nawet tak modną, że znalazła sobie w Anglii i Niemczech zapalonych zwolenników, którzy uznali ją za wyższą nad wszystko, co myśl europejska wynalazła. Trudność bezstronnéj oceny historycznéj doniosłości myślicieli wschodnich polega przedewszystkiém na tém, że języki wchodnie są liczniejsze, więcéj się między sobą różnią i nie są tak bardzo pod względem lingwistycznym zbadane, jak języki starożytne Europy. Poznawanie zaś filozofów z tłómaczeń lub streszczeń nigdy nie może nam dać wiernego obrazu ich myśli. Na kongresie religijnym w Chicago w 1893 r. poznałem współczesnego wyznawcę filozofii D ż a j n a, pana Gandhi z Bombay, który mi zaręczał, że w porównaniu z filozofami

Indyi Platon wydaje mu się dzieckiem. Zapytałem go wtedy, jakie dzieła Platona czytał. „Dzieł całych nie czytałem, tylko angielskie streszczenia niektórych dyalogów". To wrażenie, które na Hindusa wywierał Platon streszczony i tłómaczony, robi też filozofia wschodnia na filozofów europejskich, gdy ją poznają z drugiéj ręki. Nic dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę, że tłómaczenie dzieł filozoficznych, a szczególniéj poetyczno-filozoficznych jest najtrudniejszém zadaniem dla każdego literata. Jednak powszechna prawie nieznajomość filozofii wschodniéj nie jest dostateczną przyczyną lekceważenia jéj i należy się wdzięczność prof. Straszewskiemu za jego usiłowania w celu uprzystępnienia po raz pierwszy polskim czytelnikom filozofii Indyi, Chin, Egiptu, Chaldei, Persyi i Judei. Dzieło to stanowi tom I-szy ogólnych dziejów filozofii i zawiéra na początku obszerny wykład poglądów autora zarówno na filozofię jak i na jéj historyografię.

Filozofię autor pojmuje szerzéj, niż zwykle przyjęto we współczesnéj literaturze filozoficznéj. Nie jest ona dla niego nauką, tylko „dążeniem do wiedzy, jak można najwszechstronniejszéj,— która obejmuje całość świata, a skupia w sobie najogólniejsze zasady i najgłówniejsze pierwiastki tego wszystkiego, co może być treścią i przedmiotem naszych myśli". Wobec tak szerokiego pojmowania filozofii nie dziw, że w dziele prof. Straszewskiego napotykamy rozdziały, jak np.: „obraz pierwotnego społeczeństwa indyjskiego i jego późniejszych przeobrażeń", „Człowiek i społeczeństwo w Chinach", „Język i pismo chińskie", „Stan Chin za panowania trzeciéj dynastyi" i t. d. Czytelnik tém mniéj za złe może miéć autorowi traktowanie takich przedmiotów, że są one również mało u nas znane, a czasem więcéj nawet interesujące, niż sama filozofia tych narodów. Autor do dziejów filozofii zalicza i stosunek jéj do religii, nauk szczegółowych, poezyi i życia praktycznego. To téż zaczyna historyę filozofii od hymnów *Rigvedy*, wśród których wyróżnia szczególniéj przetłómaczony na polski język przez d-ra Hanuszę Nâsadyaśukta, zasługujący na przytoczenie:

Nie było wówczas nicości i bytu nie było,
Przestrzeń, a za nią niebo nie istniało wcale,
Cóż tak potężnie wszystko zakrywało?
Czém była głębia niezmierzona?

Śmierci nie było i nieśmiertelności,
Ni dnia, ni nocy odmian nie bywało,
Jedność o własnéj oddychała mocy
I nic się nie różniło od niéj.

Ciemność była; w ciemności zatopiony
Wszechświat oceanem był bez odmiany,
Potężny, zewsząd nieością otoczon,
Pod ciepła żyć zaczął działaniem.

Miłość się pierwsza w nim wówczas zbudziła
I ducha pierwszém stała się nasieniem,
Mędrcy zaś myślą w sercach swych odkryli,
Że bytu on węzłem z nicością.

Gdy sznur mierniczy w poprzek rozciągnięto,
Cóż było pod nim, co nad nim istniało?
Tam moce twórczym ciężarne nasieniem
Tu *swa-dha* (absolut), tam natężenie.

Któż wié zaprawdę, kto zwiastować może,
Gdzie zrodzon powstał ten wszechświat wspaniały!
Bogowie późniéj powstali od niego,
Wszechświata czyż znany początek?

Wié o nim chyba ten, co z łona swego
Ten wszechświat wydał lub też sam go stworzył,
W najdalszych będąc mu strażą przestrzeniach;
A może i on nie wié tego!

Właściwą filozofię indyjską, wychodzącą z pojęcia jaźni, autor wyprowadza z reakcyi przeciwko uczeniu kapłanów, opiérając się na Upaniszadach. Przedstawia nam w odległéj przeszłości Indyi większość tych kierunków filozofii, które są znane w historyi europejskiéj. Już dawniéj autor w osobném dziele porównał pesymizm indyjski z współczesnym [1]) — teraz zapoznaje czytelników z indyjskimi idealistami, materyalistami, panteistami, atomistami, monistami, sceptykami i t. d. Doprowadza historyę spekulacyi indyjskiéj aż do XIX-go stulecia — a następnie zwraca się do przeglądu chińskiéj filozofii. O ile przy pierwszych opiérał swój wykład na badaniach angielskich — o tyle znowu przy sprawozdaniu z literatury, tyczącéj się Chin, największe zasługi przypisuje Francuzom, nie zaniedbując jednak dzieł niemieckich i angielskich. Uwydatnia kontrast między *Kong-fu-tse* a *Lao-tse*, nazywając tego drugiego chińskim Rousseau. Widzimy, jak nawet w Chinach, kraju tradycyi, powstaje radykalna nauka Jang-czhu, skrajnego sceptyka i materyalisty, obok dawniejszych dogmatów. Z drugiéj strony pozioma praktyczność Chińczyków nie powstrzymała niektórych ich współziomków od przyjęcia mistycyzmu Czwangtseu.

---

[1]) Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach, nap. M. Straszewski. Kraków, 1884.

W XII-ym wieku naszéj ery sprzeczności szkół Konfucyusza i Laotse starał się pogodzić Czu-hi, który, według autora, jest największym po Konfucyuszu filozofem chińskim i zarazem ostatnim, któremu autor poświęca obszerniejszą wzmiankę, przyczém stara się wykazać na przebiegu filozofii w Indyach i Chinach, że „filozofia w religii ma swój początek i w religię ostatecznie się przekształca”. Do zdania tak paradoksalnego autor dochodzi wskutek również szerokiego pojmowania filozofii jak i religii, wobec którego nietylko filozofia i religia, ale z równą słusznością geniusz i obłąkanie jedno by mogły stanowić. Na zakończenie autor daje krótki szkic wyobrażeń religijnych, cywilizacyi i teologii Egipcyan, Chaldejczyków i Izraelitów.

Ponieważ dzieło prof. Straszewskiego stanowi tylko pierwszy tom obszerniejszego przedsięwzięcia i autor zamierza doprowadzić ogólną historyą filozofii aż do końca XIX-go stulecia, nie można mu robić zarzutu z tego, że filozoficzne teorye, które przedstawia, dostępne mu były jedynie w tłómaczeniach. Jakkolwiek niewątpliwie przekłady greckich filozofów dziś są dokładniejsze, niż mogą być najlepsze tłómaczenia indyjskich lub egipskich pisarzy, ktokolwiek dziś chciałby grecką filozofię przedstawiać na mocy tłómaczeń, nie znając greckiego języka i oryginałów, naraziłby się pewnie na pobłażliwe współczucie krytyków. Inaczéj rzecz się ma, gdy chodzi o mało dotąd zbadaną i mało przystępną wschodnią filozofię. Czytelnik polski będzie bezwątpienia wdzięcznym prof. Straszewskiemu za to, że ją choć z drugiéj ręki znając, uprzystępnił szerszemu ogółowi, témbardziéj, że do dzieła swego włączył i inne popularne wiadomości o narodach, których wierzenia przedstawia. *W. Lutosławski.*

Kazimierz Tetmajer. „Poezya“. Serya II. „Sfinks“, fantazya dramatyczna. Kraków, nakładem autora, 1894, str. 194.

O pierwszych wzlotach tego wybitnego już dzisiaj poety, odbywanych pod pseudonimem Kazimierza Przerwy, jako to o „Illi” z roku 1886, o „Allegoryi” z r. 1887 pisałem w swoim czasie w „Ateneum”, uznając przebłyski talentu, lecz zaznaczając także niejasność myśli i niedobory formy. Myśl zasadnicza, nuta główna, jaka dźwięczała w tych utworach, budzenie otuchy, nawoływanie do działania, uwydatniły się następnie w kilku wierszach okolicznościowych, czci Mickiewicza i Kraszewskiego poświęconych, a nagrodzonych na konkursach, oraz niektórych pieśniach, powstałych niezależnie od konkursów, takich jak „Nie, — nie hańba to jeszcze”, „Cienie”, „Poeci

idealiści" i in. Akcentował w nich poeta potrzebę wiary, gdyż według jego wyrażenia „wątpić—to kłaść czynom kres".

Jednakże ta otucha, ta pewność dni jaśniejszych, jaką autor chciał wlać w innych, nie była najgłębszym i istotnym nastrojem własnego jego ducha. Przeważna część utworów, zawartych w dwu dotychczasowych zbiorach „Poezyi" Tetmajera, jest owszem wyrazem chwiejności, zwątpienia, sceptycyzmu, — albo téż szału upojenia zmysłowego. Owo tedy zachęcanie do działania musi nam się przedstawić raczéj jako mowa, uroczystością przedmiotu lub chwili spowodowana, niż jako szczere, na codzień wystarczyć i rozciągać się mające przekonanie. Poeta, co drwiąc z wszelkich idei (I, 69) ma jedno tylko „wieczne" pragnienie „Nirwany, w której nic już nie zaboli, nic nie ucieszy, w której się powoli przechodzi ze snów cichych w nieistnienie",—albo nie może na seryo i na prawdę budzić innych do czynu, albo téż wyraża źle, nietrafnie, bo zbyt przesadnie swoje chwilowe przygnębienie, „wieczném" je mianując.

W jednym wierszu (II, 105 w dziale „Zamyśleń") tak określa poeta swój stały nastrój wewnętrzny:

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojéj duszy... Z skrzydły złamanemi
Myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak zbarczone żórawie, po ziemi.

Cóż, że zrywa się czasem i wzlatuje w górę
Z smutnym krzykiem tęskoty do sfer, kędy słońce
Nie śćmione wyziewami ziemi, jasno gore
I gdzie szumią obłoki z wiatrami lecące?...

Złamane skrzydła lecieć nie zdołają długo,
Myśl spada i pierś rani o głazów krawędzie,
I znów wlecze, znacząc krwi czerwoną strugą
Ślady swéj ziemskiéj drogi— —i tak zawsze będzie.

Może to przedwczesna wróżba, gdyż poeta, choć pisze „Hymn do Nirwany" (II, 45), to umieszcza zaraz obok wspaniały „Hymn do miłości" (II, 47), a w bardzo wielu innych wierszach znajduje bodaj chwilowe ukojenie czy to w kochaniu, czy w widokach przyrody, czy w sztuce.

Rozumiemy poetę i spółczujemy z nim, gdy powiada, że „przesyt pragnień i niesytość czynu" męczy go i zabija (II, 120), a w wierszu p. t. „Dziś" (II, 12) maluje przyczyny ogólnego znużenia dusz młodych:

Dawniéj się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem.
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
Choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
Nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy od razu
Nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
Tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
A serce pęka w nas i we krwi pływa.

Nie mamy mu również za grzéch przeciwspołeczny, gdy pragnąc ideału, rozpatruje hasła popłatne wśród cywilizowanéj tłuszczy i nie znajduje żadnego, któreby się ostać mogło wobec rzeczywistego stanu rzeczy, widzianego przez pryzmat wielkich pragnień i wielkich dążeń („Koniec wieku", II, 16); taki bowiem krzyk namiętny wyższego umysłu świadczy o szlachetnym gruncie duszy.

Nie oburza też nas poeta, gdy mówi (II, 146):

Nadmiar wstrętu do życia codziennéj podłości
Jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą:
Nie mam już w sercu żadnéj łaski i miłości,
Gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — — gdybym dziś z téj ziemi
Odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy;
Odchodziłbym z oczyma jako stal zimnemi,
Nie odwracając nawet raz ostatni głowy...

Ale nie możemy mu wtórować, gdy pragnienie rozkoszy poczytuje za jedyne, jakie mu pozostało, bo rozkosz taka, o jakiéj mówi, ćmiąca myśli, gnąca energię (II, 147), nie podnosi i nie uszlachetnia, lecz zbydlęca. Duch poety wart jest czegoś lepszego, niż sam mówi o sobie. Niewątpliwie, mieć świadomość „bezmocy" swéj woli jest jedna z najokropniejszych katuszy życia, lecz zatonięcie w bagnie rozkoszy nie stanowi przecież zwycięstwa ducha, tylko jego upodlenie. Poeta pojmuje dążenia szlachetniejsze i ku nim rwałby się całą siłą, gdyby mógł być pewnym, że one urzeczywistnić się dadzą odrazu i wielkie osiągną rezultaty. Zdaje się, że go rażą głównie drobne wyniki pracy powolnéj, nie zaś sama praca. Powiada on (II, 141):

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
Kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
Jak wampir, z duszy méj wyssało wiarę,
Tę krew, bez któréj dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
Przed mściwém bóstwem w modłach w prochu ściele,
Lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi,
W olbrzymim życia władnące kościele.

Można jednak mieć nadzieję, że targania się wewnętrzne poety, wywołane ciasnotą szranków, wśród których żyć i tworzyć mu przyszło, stracą swój ostry charakter, dozwalając się przedostać na jaw spokojniejszemu i pogodniejszemu usposobieniu.

Jak dotąd, Tetmajer najpiękniejsze stworzył rzeczy w tonie ponurym, pesymistycznym, umiejąc nadać jednostajnemu na pozór nastrojowi tyle różnorodnych odcieni, że czytając jego „Zamyślenia", „Preludya", lub „wiersze różne", nie czujemy jeszcze znużenia, a w stanie własnéj duszy odnajdujemy chwile, których jego poezye są świetném, pełném jędrności odtworzeniem.

Z „wierszy różnych" warto odznaczyć szereg tych, które poeta poświęcił odmalowaniu piękności „rodzinnych" Tatr swoich, do których wciąż czuje tęsknotę. W pierwszéj seryi pomieścił: „Morskie Oko", „Schnąca limba", „Limba", „Burza", „Mgły nocne", „Rozczarowanie", „Pozdrowienie"; w drugiéj: „Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichej", „W Białem", „W lesie", „O zmroczu", „Przy Morskiém Oku", „W turniach", „Melodya mgieł nocnych", „Na żelaznéj drodze pod reglami". Poeta silnie odczuwa różnorodne piękności widoków górskich i po Asnyku jest niewątpliwie najlepszym ich malarzem; ale smutek nie opuszcza go i tutaj. Wyszukuje on nie zwykłe i najczętsze, lecz wstrząsające albo dziwem przejmujące obrazy, ażeby je dostroić do swego usposobienia. Tonie przepaściste, burze, blaski, limby samotne—oto umiłowane przezeń tematy. Znajdują się jednakże i tutaj urocze, eteryczne obrazy, świadczące, że poeta z subtelném poczuciem artystyczném, z duszą niezmiernie wrażliwą umié patrzéć na zjawiska przyrody dla nich samych; a najpiękniejszym w tym kierunku utworem jest „Melodya mgieł nocnych", znana czytelnikom „Ateneum".

Kto takie melodye tworzyć potrafi, ten jest prawdziwym poetą, co wyrobił sobie doskonale narzędzie do wypowiadania swych wrażeń i uczuć własnych, oryginalnych.

Większe utwory na tle życia góralskiego przez Tetmajera osnute nie posiadają takich zalet, jak jego liryczne obrazki. Zarówno „Pieśń o Jaśku zbójniku", jak „List Hanusi", który, jak objaśnia poeta, jest wyjątkiem z epicznego poematu, malującego życie Podhalan, są właściwie interesującemi o tyle jeno, że utrzymane zostały w swym charakterze góralskim zarówno co do rodzaju myśli i uczuć, jak i co do

ich wyrażenia za pomocą słowa. Nie zdaje mi się jednak, ażeby poemat epiczny, cały w tym stylu napisany, mógł naprawdę robić głębsze wrażenie estetyczne. Mimowoli pewien odcień komiczny z powodu form językowych, do których ucho ukształconego ogółu nie przywykło, będzie psuł najrzewniejsze miejsca. Weźmy np. z „Listu Hanusi" jeden ustęp:

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego nie wi, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mie za tobom wciągle w serce kłuje,
I nie wiém, ka się me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi sie, co mnie powiezom
Wnetki han w trumnie, ka ojcowie lezom.

Zdaje mi się, że ten serdeczny żal Hanusi żywsze i bezpośrednie wywarłby wrażenie, gdyby wypowiedziany był mową prostą, lecz z zachowaniem form ogólno polskich. Jakiś wyraz pojedyńczy, jakieś szczęśliwe porównanie z ust ludu podhalańskiego wzięte mogłoby dodać kolorytu utworowi, ale w tém narzeczu cały chybiłby celu. Jest to igraszka raczéj świetnie przez poetę wykonana, niż rzecz, którąby poważniejszego w sztuce nabrać mogła znaczenia.

Do drugiego zbiorku poezyi dodał autor fantazyę dramatyczną p. t. „Sfinks". Jestto rzeczywiście zjawisko dość zagadkowe. Za *motto* do niego może posłużyć jedno z preludyów Tetmajera, charakteryzujące te wrażenia, jakie chwytają zmysły nasze, ale których nie ujmuje świadomość:

Wieluż zagadek, tajni-by nie było,
Gdybyśmy mogli odczuć to świadomie,
Co zmysły nasze, zbyt subtelną siłą
Dla pojęć naszych, wchłaniają kryjomie.

Anna jest nadmiernie, hypnotycznie wrażliwa na wszelkie zmiany atmosferyczne, a szczególniéj na szmery najlżejsze. Nadciąga burza. Anna znajduje się w stanie podnieconym i doznaje wrażeń nie wytłómaczonych, „dziwnych", jak je z naciskiem kilkanaście razy nazywa, a przygnębiających i bolesnych. Matka napróżno usiłuje ją uspokoić; a rozmowa między nią i córką zaznajamia nas z tak odmiennem ich usposobieniem, przygotowując zarazem do jakiéjś ponuréj katastrofy. W tém melduje się człowiek nieznajomy i zraniony, prosząc o przytułek na noc. Jestto Artur Wazen, syn nauczycielki muzyki, u którego Anna brała lekcye. W czasie rozmowy wchodzi brat Anny, Leon, pozbawiony wzroku, słuchu i głosu, a zastępujący

częściowo te zmysły niezmiernie wysubtelnionym węchem. Od rana zdradzał on już jakieś niezwykłe usposobienie, brał z podstawy ogromny, ciężki wazon ze storczykami, które wąchał uporczywie. Gdy Anna, chcąc uspokoić brata, widocznie w niéj zakochanego, wyjmuje jedną z lilii wpiętych we włosy i wkłada ją w dłoń Leona, ten przyciąga ją ku sobie, obejmuje jedną ręką, drugą czyniąc ruchy, jakby chciał kogoś odepchnąć. Daje się jednak odprowadzić do swego pokoju. Od piorunu wybucha pożar, matka podąża ku palącemu śpichrzowi, Anna z Arturem pozostają i przebiega ich jakiś prąd sympatyczny, nie usuwający jednak wcale tajemniczych przeczuć Anny, która w toku rozmowy nagle milknie; a potém odzywa się przyciszonym głosem:

„Anna. Cyt! Słyszysz pan? Lękam się spojrzéć... Coś jakby szło przez ogród, nie dotykając drzew, ani kwiatów. Drzewa uchylają konary, a kwiaty gną się ku ziemi. Nawet strumień ciszéj szemrze i wiatr ucicha... Ha!

„Artur. Panno Anno!

„Anna *(gorączkowo)*. Słyszysz pan? Słyszysz pan? Coś jakby czołgało się z cichym szelestem po szklanym, wilgotnym dachu cieplarni... coraz bliżéj... coraz bliżéj... Nie! to nad siły!... *(Zasłania oczy)*."

Cóż to było? To było przeczucie nadejścia Leona, który niepostrzeżony przez nich dwoje stanął najprzód we drzwiach, potém posuwał się z cicha ku rozmawiającym, zatrzymując się kilkakrotnie; widać odczuwał coś, co go niepokoiło. Anna i Artur rozmawiali nie widząc ruchów Leona, a gdy Anna pociągnięta namiętnym szeptem młodzieńca chyli się „bezwolnie" w jego ramiona, Leon podsunął się tak blisko, że był o krok tylko od rozmawiających, przy kolumnie, na któréj stał ów wazon ze storczykami. Nagle Anna wyrywa się z objęć Artura, wołając z przestrachem: „Ach, drzewa zadrżały! drzewa drżą"; Leon natrafia wyciągniętemi rękoma na głowy Artura i Anny, którzy przerażeni odwracają się szybko. Leon chwyta Artura prawą ręką za ramię, lewą porywa wazon i uderza nim w głowę Artura, który pada z jękiem. Anna, dotąd osłupiała, postępuje ku Arturowi, wzdryga się gwałtownie i przysłaniając oczy, krzyczy przeraźliwie: „Trup! A! A! A!"

Na tém fantazya dramatyczna się kończy. Motywów pełnych grozy nie brak w niéj, jak widzimy. Na scenie robi podobno silne wrażenie; w czytaniu słabo je odczuwamy; widzimy tylko, że się znajdujemy wśród towarzystwa naprawdę „dziwnego", chociaż dającego się zrozumiéć przez analogię do innych zjawisk patologicznych.

Wpływ Maeterlincka na utworzenie „Sfinksa" jest widoczny. Pomysły „Gościa niespodzianego" i „Ślepców" zostały tu zjednoczone, a dodana do nich nuta namiętnéj miłości. Prostota wyrażeń jest wielka, lubo poeta umiejący tak świetnie władać mową poetycką, nie mógł się zdecydować na bezmyślne powtarzanie tych samych frazesów.

Nie chcemy i nie możemy przesądzać o przyszłéj twórczości dramatycznéj Tetmajera; zaznaczamy tylko, że „Sfinks" jako wypływ naśladownictwa nie daje podstawy do wróżb jakichkolwiek. Dotychczas autor przedstawia się nam jako liryk i to liryk nawskroś uczuciowy, a więc najistotniejszy, o temperamencie namiętnym, uczuciowości silnéj, fantazyi lotnéj i bogatéj. Ten liryzm jest jedną z głównych cech wyróżniających Tetmajera od przeważnéj części poetów naszych spółczesnych, u których refleksya tak wielką, tak nieraz stanowczą odgrywa rolę, że częstokroć jeno forma liryczna każe ich do téj kategoryi twórców zaliczać. I Tetmajerowi nie brak wprawdzie żywiołu refleksyi, lecz on poddaje się całkiem przewodnictwu uczucia.

P. Chmielowski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Złote myśli Adama Mickiewicza** zebrała *Szczęsna*. Wydanie drugie. Petersburg, K. Grendyszyński, 1895, str. 154. — Zapewne, lepiéjby było, gdyby poznawano utwory wielkich poetów w takiéj formie, w jakiéj je oni napisali, gdyż w ten sposób tylko pomysły ich z całą swoją właściwością najlepiéj się uwydatniają. Antologie wszelkie powinnyby z tych jeno autorów być robione, którzy wiele napisawszy rzeczy, pomieścili w nich dużo mierności; wydobycie ich złotych myśli byłoby istotną dla społeczeństwa przysługą. Ale trudno poradzić z lenistwem umysłowém lub nawet... brakiem czasu czytelników. Nie można się więc dziwić, że z największych właśnie twórców najczęściéj robią się wypisy. Szczęsna, która już dawniéj dała wybór aforyzmów Słowackiego, a przygotowany ma wybór podobny z Krasińskiego, obecnie ogłosiła za pośrednictwem wielce ruchliwéj księgarni p. Grendyszyńskiego „Złote myśli" Mickiewicza, usprawiedliwiając to wydawnictwo słowy: „Nie zawsze jest czas czytać liczne tomy wielkich pisarzy, a często jedno trafne ich zdanie, jedna jasna myśl tak w porę przychodzi, tak pocieszy, że, chociażby czasem na razie nie wskrzesiła myśli z zniechęcenia, uczuć z lenistwa, to przynajmniéj poruszy, orzeźwi, podnieci i nie da sercu zmarniéć, a rozumowi spopielić." Charakterystykę zaś aforyzmów u trzech wielkich naszych poetów zawarła w porównaniu: „Wytrawny miód z puharu Mickiewicza zagrzewa, wzmacnia i leczy, ogniste falerno z czary Słowackiego podnieca, wznosi i zapala, oliwa zaprawna piołunem z kielicha Krasińskiego wytrawia, czyści i koi." Ugrupowanie złotych myśli przyobiecała Szczęsna w pięknie napisanéj przedmowie chronologicznie,—ale w wykonaniu nie wiadomo z jakiego powodu, zaniechała téj myśli; nie mówiąc już bowiem o nieścisłości w szeregowaniu począt-

kowych aforyzmów wierszowanych do str. 35, najbardziéj przeciwko chronologii wykracza umieszczenie po wyjątkach z kursu literatury (r. 1840—44), wierszy pochodzących z różnych epok, ale naturalnie wszystkich z przed r. 1840. W téj drugiéj grupie wierszowanych utworów mniéj właściwie znalazły się wyjątki z tłómaczeń dokonanych przez Mickiewicza, bo jakkolwiek wybór poezyi do przekładu wziętych świadczy o zamiłowaniach tłómacza, to przecież myśli pierwowzoru nie można anektować na rzecz tego, kto przekładał.

= *Klemens Junosza.* **Czarne błoto** (Pająki wiejskie). Warszawa. Gebethner i Wolff, 1895, str. 393. — Jestto jakoby odpowiednik do „Pająków" miejskich, ogłoszonych dawniéj; taki też sam jest charakter kompozycyi, luźny, wchłaniający mnóstwo osób i scen, bez rozsnucia jednolitéj akcyi. Czarne błoto jestto typowe miasteczko nasze, w którém rej wodzą żydzi na mocy sprytu, dowolnéj etyki i wielkiéj solidarności we wszystkich stosunkach z ludźmi innego wyznania. Jako punkt środkowy dla całego obrazu pól, łąk, lasów i położonych między niemi wiosek w pewnym promieniu, Czarne błoto jest czatownią dla masy dostrzegaczy-pająków, zasnuwających delikatnie całe owe terytoryum siatką swoją tak, że ani jeden choćby „korczyk zboża, wymłócony w chłopskiéj stodole", ani jedno „cielę, wyhodowane w oborze", ani „jedna kura, jedno jajko" nie może się z téj sieci wydostać i wyjść po za jéj granice, nie zawadziwszy o jakiekolwiek oczko w pajęczynie. Nie chodzi autorowi tyle o odrysowanie jednostkowéj działalności każdego z pająków (chociaż i tego nie zaniedbuje), ile raczéj o odtworzenie ogólnego wyniku działalności ich spólnéj, t. j. licytacyi, wywłaszczeń, ściągania procentów o skali nieprawdopodobnéj. Druga strona, obdziérana w sposób prawny, jest w znacznéj mierze bezradna, lecz niezupełnie bezstronnie się zachowuje. Jest tu taki szlachcic, który żadnéj pożyczki nie potrzebuje, więc może zgoła nie dbać o operacye pająków; jest taki procesowicz, który na pieniactwo zmarnowawszy dobytek, umié kruczkami prawnemi utrudnić przynajmniéj na czas długi dostęp do gruntu; jest taki chłop, który, dawszy się oplątać w sieci potulnego w początku, a potém hardego pająka, doprowadzony do rozpaczy, w przystępie gniewu rzuca się na wyzyskiwacza i niechcący zabija. Jeden natomiast dzierżawca, młody i lekkomyślny, który zalecał się do Małki, kokietującéj z interesu, wychodzi całkowicie wypłókany, a opis wyprawy na licytacyę i saméj licytacyi jego ruchomości należy do najwybitniejszych scen książki. Wogóle zaznajamiamy się w niéj z całą galeryą osób, znanych nam z poprzednich szkiców i powieści Junoszy, który, jak wiadomo, jest

specyalistą od żydów; ta jednakże pomiędzy dawniejszemi zarysami a tym nowym zachodzi równica, że dawniéj, prócz „Pająków", zapoznawaliśmy się z podobnymi żydami pojedyńczo, teraz zaś w całéj gromadzie. Pomysłowość Junoszy jest wielką, to téż umié nadać figurom znanym jakiś odcień indywidualny, który je czyni postaciami artystycznie świéżemi, jakkolwiek do pewnéj oznaczonéj grupy należącemi. Przedstawił je autor ze strony interesów, w których o sercu nie może być mowy; stąd mogą się wydawać wyłącznie, jako ptastwo drapieżne, czyhające na zdobycz; zdaje się, że i sam autor tak je ocenia, gdy przez usta filozofa miasteczkowego, Uszera Engelmana, upomina spółwyznawców tegoż, ażeby w drapieżności swojéj się pohamowali. Ten Uszer Engelman to oryginalna nawet w galeryi Klemensa Junoszy postać. Nie jestto kupiec lub kapitalista, gdyż handlu nie prowadzi, a „cały jego majątek ruchomy i nieruchomy, oszacowany bardzo grubo i hojnie, wart jest, licząc w to część domu, kosztowności, meble, garderobę i bibliotekę, ośmdziesiąt dwa ruble i coś kopiejek". Nie jestto mąż uczony, ale jestto człowiek, pogrążony w kombinacyach wyższych i rozmyślaniach bez ściśle określonego przedmiotu rozmyślania, a raczéj o przedmiotach przygodnych, jakie nastręczają okoliczności; jestto czarnobłocki filozof. Kapota jego „u dołu nosi zeszłoroczne błoto, nie brak na niéj łat na dziurach, ani dziur na łatach, buty są ozdobą szczątkową, pas bawełniany, czarny niegdyś, jest tak spłowiały, że najbieglejszy farbiarz nie potrafiłby nazwać jego obecnego koloru". Ale w tém marném i licho odzianém ciele mieszkał duch, przed którym korzyło się całe Czarne błoto. Jedno z jego spostrzeżeń, odnoszące się do stosunku wsi i miasta, da nam poznać jego umysł: „Jeżeli owca przechodzi przez gęste krzaki, na każdym pozostanie trochę wełny; dla owcy strata nieduża, — a ptaki mają z tego posłanie do gniazd; jeżeli chłop wiezie zboże w starym worku, to zboże sypie się po drodze, chłopu niewielka strata, a ptaki mają z tego pożywienie; jeżeli wieś ociéra się o miasteczko, zawsze coś przy miasteczku pozostaje, wsi niewielka strata, a miasteczko ma z tego życie". Otóż, gdy filozof ten ujrzał, jak jego współwyznawcy zadużoby pragnęli owcy zabrać wełny, chłopu zboża, a od wsi nie tylko przez ociéranie się, ale przez oddziéranie pożywne dla siebie kąski gromadzili, modlił się cichym szeptem, „jakby w obawie, żeby go kto nie usłyszał: „Panie świata, pohamuj chciwość ich! Panie świata, daj im pomiarkowanie i rozum! Panie świata! ukróć żarłoczność ich, aby nie sprawdziły się słowa, że zguba nasza od nas samych wyjdzie!..." I są krytycy, którzy Junoszy antysemityzm zarzucają!...

= *K. Flammarion.* **Niebo.** Przekład z francuskiego dr. M. Stefanowskiéj. Wydanie drugie, przejrzane i poprawione. Z licznemi rysunkami. Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 1895. — Wydanie drugie téj książki świadczy zapewne o jéj powodzeniu, ale niestety, bynajmniéj nie o jéj wartości. Ma to być wykład popularny astronomii, jest on wszakże zbyt pobieżnym nawet dla czytelnika najmniéj wymagającego; zwyczajem swoim bowiem autor, zamiast niezbędnych wyjaśnień, zapełnia książkę czczemi wyrazami zachwytu nad wspaniałością astronomii i wielkością świata, nad urokiem nocy gwiaździstéj lub chwałą szkła, które stanowi podstawę narzędzi astronomicznych, zwroty zaś takie, przy ciągłém powtarzaniu, stają się nużące i zupełnie banalne. Natomiast nie zadaje on sobie zgoła pracy, by zjawiska niebieskie czytelnikom wytłómaczyć. Gdy mówi, że podczas obiegu miesięcznego księżyc obraca się raz dokoła własnéj osi, poprzestaje na odesłaniu do rysunku, który sam przez się nic nauczyć nie może. Jest wprawdzie rozdział, zatytułowany „Metody astronomii", który ma wyjaśnić, jak się mierzy odległość ciał niebieskich od ziemi, ale napisany tak pobieżnie, że czytelnik niewątpliwie zasady téj metody nie pozna, témbardziéj, że fig. 38 podpisana: „miara odległości księżyca" jest błędna lub niezupełna, nie ma na niéj bowiem oznaczonego kąta, o którym w tekście mowa. — Z przyjemnością nadmienić należy, że wydanie drugie jest rzeczywiście „przejrzaném i poprawioném", niektóre bowiem usterki wydania poprzedniego usunięte zostały. Wyrażenie niewłaściwe, jak „ziemia pochylona" (zamiast — oś ziemi pochylona), lub ruch księżyca odbywa się po płaszczyznie niezbyt odległéj od téj, po któréj krąży nasza planeta" (zam. niezbyt pochylonéj) nie wiemy, czy są winą oryginału, czy też tłómaczenia.

= *Elizeusz Reclus.* **Zjawiska ziemskie. Morza i meteory.** Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła dr. *M. Stefanowska.* Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 1895. — Przez tęż samą tłómaczkę przełożona i przez tęż samą firmę wydana, książka ta jest od poprzedniéj niewątpliwie o wiele lepszą. Jestto właściwie drugi tom dzieła, którego tom pierwszy stanowią dawniéj wydane „Lądy"; jest to zresztą skrócenie tylko, przez samego autora dokonane, z większego jego dzieła *La terre*, które stanowi jakby wstęp do wielkiéj jego geografii powszechnéj. W streszczeniu zaginęły wprawdzie najważniejsze zalety pierwotnego i obszernego dzieła, ale i ono daje niezły rys geografii fizycznéj, lubo do przekładu nastręczały się lepiéj opracowane traktaty tego przedmiotu. Tytuł polski „Morza i me-

teory" wydaje się nieco dziwacznym, przez meteory bowiem, bez bliższego określenia, przywykliśmy rozumieć meteory niebieskie, gwiazdy spadające i aerolity; należało napisać po prostu „atmosfera", „zjawiska atmosferyczne", albo wreszcie „meteory atmosferyczne". — Autor przyznaje widocznie, że książka jego jest już nieco przestarzała, w porozumieniu się z nim bowiem przerobiła panna Stefanowska niektóre rozdziały według dzieł *Handbuch der Oceanographie* Bogusławskiego i Krümmla, oraz *Handbuch der Klimatologie* Hanna. Część pierwsza książki opracowana jest bardzo starannie i daje dokładny rys obecnéj naszéj znajomości oceanu, jego głębokości, temperatury, prądów, przypływów i odpływów, istot w głębinach jego żyjących; działania na wybrzeża lądów, powstawania wysp i wielu innych szczegółów. Niektóre tylko wyjaśnienia winnyby być dokładniejsze. Tak np. w rozdziale o przypływach morskich czytamy: „Według obliczeń matematyków, przyciągająca siła słońca, zużyta na pochwycenie fal, jest w przybliżeniu trzy razy mniejsza od przyciągającéj siły księżyca." Czytelnik przeciętny, który wié przecież, że bryła słoneczna wywiera wpływ przyciągający w niesłychanym stosunku potężniejszy, aniżeli drobny towarzysz ziemi, uważać będzie ustęp ten za niejasny i zagadkowy, a może nawet za błędny zupełnie. Część druga, o zjawiskach atmosferycznych, wydaje się sprawozdawcy słabszą znacznie. Rzecz zwłaszcza o wiatrach nie odpowiada zgoła dzisiejszemu stanowi meteorologii; porządek następstwa po sobie wiatrów, wykryty przez Dovego, podany tu jest jako „pewnik naukowy", chociaż obecnie wiemy doskonale, że reguła Dovego jest tylko przypadkiem szczególnym, zależnym od kierunku, w jakim najczęściéj przebiegają cyklony przez okolice północne strefy umiarkowanéj w Europie. Wielkie te ruchy wirowe powietrza, od których zawisła zmienność pogody i które stąd stanowią niejako podstawę dzisiejszéj meteorologii, są w książce pominięte zupełnie; znajdujemy tylko dosyć pobieżną wzmiankę o cyklonach stref zwrotnikowych. W rozdziale o magnetyzmie ziemskim bardzo ryzykownem wydaje się zdanie: „Pod wpływem ciepła słonecznego, ożywiającego naszą ziemię, stała się ona olbrzymim magnesem." Ostatnie rozdziały książki, o wpływie klimatu na człowieka i o oddziaływaniu człowieka na klimat, bardzo pięknie napisane w wielkiém dziele Réclusa, na język polski przełożone przez prof. Jurkiewicza w piśmie „Przyroda i przemysł", straciły nieco w streszczeniu. Ustęp kończący książkę tyczy się przepowiadania pogody; autor wszakże poprzestaje na zapewnieniu, że w przyszłości będzie ono zupełnie dokładne, ale nie podaje, na jakich zasadach prognoza pogody obecnie polega.—Przekład jest sta-

ranny, czyta się przyjemnie, kilka tylko uwag nastręczyło się sprawozdawcy przy przeglądaniu książki. Tak np. na dnie oceanu osiada nie krzem (str. 97), ale krzemionka. Zamiast: „wskutek nachylenia planety do jéj osi wynika" (str. 178) ma być zapewne: Z powodu pochylenia osi planety względem jéj drogi. Ustęp (str. 191): „W dziennych swych zmianach, których trwanie waha się między 5 a 25 minutami, igła magnesowa kieruje się od wschodu na zachód"—jest niejasny; może ma być tu mowa o minutach kątowych, a w takim razie znaczyłoby to: „W dziennych swych zmianach, których obszerność wynosi od 5 do 25 minut, igła magnesowa i t. d." Na stronie następnéj (193) znajdujemy również uderzający *lapsus calami*: „Wchodząc na szczyt góry, doświadczamy wrażenia, jak gdybyśmy szli w kierunku koła biegunowego", zamiast—w kierunku ku kołu biegunowemu. Podobneż niedopatrzenie na str. 21: jeden sześcienny metr wody morskiéj waży... o 28 litrów więcéj, niż takaż sama objętość wody dystylowanéj", t. j. o ciężar 28 litrów, czyli o 28 kilogramów więcéj. Niewłaściwe też wydają się wyrażenia: „latarnia morska Eddystona" i „latarnia Bell-Rock'a", boć są to chyba latarnie na skałach Eddyston i Bell-Rock wzniesione, ale nie przez Eddystona i Bell-Rock'a zbudowane. — Nastręcza się wreszcie jeszcze uwaga, że w przekładzie zbyt często umieszczane są przymiotniki przed rzeczownikami w wyrażeniach takich, jak: umiarkowana strefa, sześcienny metr, Niemieckie morze, które zresztą nazywa się raczéj morzem Północném. — Drobne te usterki łatwo wszakże sprostować się dadzą w wydaniu drugiém. Zecerowi, który składać je będzie, należy téż dać polecenie, by przestawił figurę 4 (str. 38), przedstawiającą szerokość fal, a która jest „do góry nogami" ustawiona. Psoty takie rysunków w polskich tylko wydawnictwach zdarzało mi się napotykać.

= *G. Tarde*. **La Logique sociale** w „Bibliotece filozofii współczesnéj". Paryż, str. XIV i 464.—G. Tarde bezwarunkowo należy do wybitniejszych socyologów francuskich. Prace jego krytyczne, napisane w zakresie antropologii kryminalnéj, wyrobiły mu w świecie naukowym imię poważne. Obecnie wydał nową książkę, „Logikę społeczną", z któréj wyjątki ogłaszał oddawna w „Przeglądzie filozoficznym". Myśl zasadnicza téj pracy polega na następującém. Społeczeństwo bynajmniéj nie jest organizmem, ani nie zbliża się do niego w miarę tego, jak cywilizacya posuwa się daléj; ze swojéj natury przypomina ono raczéj ów organ szczególny, zwany mózgiem, i dlatego to wiedza społeczna, ponieważ jest psychologią, przedstawia tylko

proste zastosowanie logiki. Rozpatrywane w swoim całokształcie, społeczeństwo jest i staje się coraz bardziéj olbrzymim mózgiem zbiorowym, którego tylko komórkami pojedyncze, indywidualne są mózgi." A zatém cała książka Tarde'a polega na prostém tłómaczeniu zjawisk, odbywających się w mózgu naszym jako akty naszéj świadomości, na język socyologiczny — jest ona, że tak powiemy, rodzajem, słownika logiczno-socyologicznego. Socyolog francuski wszelką działalność gromadzką sprowadza do sylogizmów: jak pojedyncza osoba układa je dla siebie, podobnie to czyni społeczeństwo; różnica zaś jedynie, że tam czynność owa jest funkcyą mózgu indywidualnego, tutaj zaś, w społeczeństwie, wielu, rozłączonych w przestrzeni i w czasie. Założenia tkwią w kodeksie i w dogmatach religijnych, w zwyczajach i poglądach, w filozofii i estetyce, przesłanki mniejsze dorzuca do nich każdy członek życia gromadzkiego, postawiony przed szczególnym splotem wypadków, wreszcie wniosek uwydatnia się w czynie. Książka jest nawskroś dziełem ducha dedukcyjnego; poznajomiwszy się z zasadniczemi poglądami Tarde'a i przypomniawszy sobie terminologię logiki, możemy wyprowadzić sami z głowy wszystkie „prawdy", wygłoszone przez autora, i wysnuć „prawa" rozwoju społecznego. Uwaga ta pokazuje dostatecznie, czém w gruncie rzeczy jest „Logika społeczna". Stanowi ona płód zdolności dyalektycznéj, świadczy dodatnio o dowcipie autora i polocie jego myśli, zawiéra mnóstwo słusznych spostrzeżeń, ale ostatecznie nie jest przyczynkiem do naszéj znajomości czynników rozwoju społecznego. Prace tego rodzaju nie posuwają wiedzy, jedynie w teraźniejszości wskrzeszają dawną scholastykę. Stulecia mogą minąć w takich zacickaniach i rozprawach, a tajemnice przyrody pozostaną tajemnicami. *L. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Aspiranci pisarscy.—Gdzie są „nowi"? — Dziesięć publiczności.—Odezwa czytelnika do powieściopisarzy.—Przeciętny czytelnik i jego autor. — Handlarze ziemią.— Subhasta majątków ziemskich i głos posła Prawdy. — „Komiczny" zwyczaj i prawdziwe położenie. — Ucząca się młodzież, praca i Towarzystwo pomocy naukowéj.

Gdyby aspiranci do sławy pisarskiéj i kandydaci na autorów brali do serca narzekania na hyperprodukcyę literacką i manię pisarską, mieliby aż nadto powodów do zniechęcenia i niewstępowania na arenę, któréj strzegą wykwintni znawcy publicznego słowa. W każdym razie jest to już widocznie potrzebą czasu skarżyć się na pisomanię. Nadużycie lub złe i niedołężne użycie drukowanego słowa jest bez wątpienia bardzo gorszącym objawem naszych czasów. W książce, w dzienniku i w teatrze za wiele wody i banalności — narzekają malkontenci. „W naszéj produkcyi piśmienniczéj—ubolewa p. E. Lubowski („Epidemia pisaniny" w № 4 „Tygodnika Ilustrowanego") — jakość została zastąpioną wszechwładnie przez ilość. Prawdziwego talentu pisarze produkują stosunkowo do dawnych lat mało, niektórzy zupełnie zamilkli, lecz zapewne nie dlatego, żeby twórczość ich wyschła, jak insynuowali niejednokrotnie przysięgli chwalcy wyrosłych z pod ziemi autorów. Poziom smaku obniżył się niezmiernie w porównaniu z okresem przed lat dziesięciu, a co gorsza, działalność krytyki

zdrowéj stale zastąpiły również reklamy, w postaci dłuższych lub krótszych wzmianek".

Trudno tym ubolewaniom odmówić pewnéj słuszności. Niezawodnie, w ostatnich czasach siła napięcia osłabła w naszéj twórczości, krytyka popadła w zaniedbanie i obniżyła się bardzo wartość wielu pism peryodycznych. O przyczynach możnaby rozprawiać, lecz trudno ich się doszukiwać razem z p. E. Lubowskim wyłącznie w epidemii pisarskiéj i takich np. spostrzeżeniach: „Nowi — pisze p. L. — nie znaczy to bynajmniéj: młodzi—zaczęli nas zaznajamiać ze swojém życiem, albo z życiem swych najbliższych znajomych, wzorując się w tém niby na szkole ultra-realistycznéj, albo psychologicznéj, *ad libitum*". „Ten i ów chciał tylko coś napisać dla próżnéj chwały, dlatego, że tylu innych pisze, lub że najbliższe otoczenie patrzéć na niego będzie z podziwem.

Pomijając już ogólnikowość tych sądów, zapytać wolno, jaki jest związek istotny między upadkiem smaku i krytyki, na co się autor cytowany wyżéj skarżył,—a przytoczonemi objawami? Gdzie jest ta nasza szkoła ultra-realistyczna? Czy ci „nowi" tak wiele produkują i tak wielu ich jest naprawdę? W jakim dziale literatury lub w jakiém piśmie przynajmniéj wpływ ich jest tak ujemnie przeważający? Jakie są wreszcie ich cechy konkretne?

Możnaby z większą rękojmią powodzenia wyrazić opinię wręcz przeciwną uwagom p. E. Lubowskiego. Nie jakaś fikcyjna „nowość", na którą zaraz po ukazaniu się jéj na widnokręgu literackim urządzamy polowanie, jest złą stroną tych stosunków, lecz raczéj rutyna i powierzchowność, nie pozwalające na żadną poważniejszą i radykalniejszą zmianę, bo jest im dobrze z tém, co jest. Złośliwi — a tych przecież nigdy nie brak — twierdzą wprost, że największy wpływ w naszym świecie dziennikarskim i literackim posiadają ludzie szablonowi, kliki i koterye—i biada temu, kto do nich nie przystaje. Te kliki wydają wyroki, robią reklamę swoim faworytom, pomijając milczeniem innych, utrzymują smak publiczny, zgodnie z własnym interesem, na odpowiednio niskim poziomie i są systematycznie niechętne każdemu oryginalnemu objawowi krytyki, myśli i sztuki. Nie zbywa wśród nich i na takich, którzy bardzo głośno rozprawiają o „posłannictwie" i „znaczeniu prasy", dając za każdym razem do zrozumienia, że oni to właśnie są wyobrazicielami owego „posłannictwa" i uginają się pod jego ciężarem. Są to rzemieślnicy pióra. Nie brak może wśród nich i grafomanów, którzy uwierzyli w swoje zdolno-

ści i powołanie do kierowania opinią publiczną, którzy się mają za myślicieli i artystów, i w takim tylko razie można tych maniaków czynić odpowiedzialnymi za upadek smaku. O ile bowiem posterunków kierowniczych nie zajmują, grafomanów takich uważać należy raczéj za ludzi chorych, nie zaś szkodliwych.

Dziś mamy nie jedną, ale dziesięć publiczności, dziesięć klas czytelników, stojących na różnych stopniach drabiny umysłowéj. Naturalnie, że im wyższą jest klasa, tém jest liczebnie mniejsza, a jednocześnie potrzeby jéj i pojęcia głębsze są i subtelniejsze. Logika i prawa tak zwanego postępu umysłowego wymagałyby, ażeby niższe klasy umysłowe podnosiły się stopniowo do poziomu wyższych, boć na tém polega prawdziwy rozwój. Jestto jedno z głównych zadań literatury, a jak w tém stuleciu, to i wielkiéj jéj pomocnicy—prasy. Ale niezawsze zadanie swoje tak ona spełnia. Doszło do tego, iż narzekają na ten wiek demokratyczny, który, powoławszy masy do powiérzchownéj oświaty, wytworzył dla nich przeciętny typ miernego i paplającego, jak przekupka, literata i dziennikarza, odpowiadającego potrzebom tłumów. Ten typ orzeka o smaku, panoszy się w teatrze i w dzienniku. Gdyby starożytni wiedzieli, cośmy uczynili z tragedyi klasycznéj i ze śmiałych, dźwięcznych i pięknych okresów ich wymowy, byliby zgorszeni niechybnie karłowacizną swoich prapotomków.

Niepodobna tu, wyczerpująco traktować tego przedmiotu. Jeżeli jednak jest już mowa o upadku smaku, o tandecie pisarskiéj, o braku estetycznego wykształcenia w czytelnikach i lichych autorach, to zatrzymajmy się chociaż przy najpopularniejszéj formie literackiéj—powieści. W naszych zwłaszcza stosunkach spada na nią wielka odpowiedzialność ze względu na małą stosunkowo produkcyę studyów krytycznych i naukowych, jako téż i na to, że powieść jest najpoczytniejszą. Wyobraźmy sobie tak sformułowaną pretensyą czytelnika do powieściopisarzy: „Koncentrujcie się panowie. Jestem zmęczony i znudzony waszemi opisami i opowiadaniami, rozwlekłém gadulstwem, godném przekupek staromiejskich, waszą drobnostkową obserwacyą i protokólizmem... Nie zaléwajcie strugami banalności papiéru. Szanujcie cierpliwość, smak, czas i wykształcenie czytelnika. I jest wart więcéj wtedy właśnie, kiedy autor daje mu plewy zamiast ziarna, boć plewy ani człowiek, ani ptak nie szuka. Koncentrujcie się, panowie, czyli, mówiąc inaczéj, myślcie i piszcie krócéj i zwięźléj. Jeśli mi rzekniecie: „nie mamy czasu pisać krótko", ja wam zaś: „nie mam czasu i chęci trawić rozwlekłego gadulstwa" — to cóż stąd wyniknie?

Oczywiście wzajemne nieporozumienie i szkoda. Prośbę moją adresuję głównie do pp. powieściopisarzy, im bowiem najpierw zaleciéby trzeba koncentracyą myśli, wrażeń, formy i budowy. Nie jedną powieść przyrównaćby można do wodnistéj zupy z pływającemi gdzieniegdzie kawałkami mięsa: nie każdy ma czas i chęć do wyławiania z polewki stałych cząstek. Ale wy już macie gotową na to odpowiédź: przedstawiamy życie takiém, jakie jest.

Życie! życie! Reprezentantem życia jest świérszcz za kominem i karaluch w kuchni, orzeł w obłokach i poeta, wzbijający się do szczytu natchnienia i poezyi. Chodzi o to, jaką cząstkę tego życia zdolni jesteśmy przedstawić i w słowie odtworzyć. Jałowa powszedniość zajmuje zawiele miejsca w powieści autorów, i to nawet często w powieści autorów, uważanych zapierwszorzędnych. Szkoła realistyczna obok swoich zalet wyrządziła nam krzywdę, uprawniwszy w literaturze wszystkie „objawy bytu" aż do najpowszedniejszych. Z pewnością, że nawet te objawy, umiejętnie usystematyzowane, oświetlone ideą ogólną i ożywione talentem mogą wznieść się do tego poziomu, który nazywamy myślą i sztuką. Lecz właśnie chodzi o ten system, o to światło, o tę ideę ogólną. Kto ich nie posiada,— brodzi w morzu paplaniny, zastawiając się „życiem", które odtwarza takiém, jakie ono jest.

Zrobię jedno porównanie. Czy z przyjemnością kto słucha ludzi, opowiadających plotki lub powszednie rzeczy, rozmiłowanych w drobiazgach i posługujących się wytartą, jak szelągi, frazeologią? Ludzi takich unikamy na ulicy, w towarzystwie i w restauracyi. Przypomnijmy sobie, ile to biédnemu Hamletowi nadokuczał ten safanduła Poloniusz. Czy rozgadani powieściopisarze myślą, że wypuściwszy na świat drukowaną książkę i postarawszy się dla niéj o odpowiednią reklamę, pozyskali tém samém monopol na gnębienie i nudzenie rzeszy czytelniczéj. Idźmy jeszcze daléj. Dzieła myśli ścisłéj, filozoficzne utwory Śniadeckiego, Carlyl'a i Tain'a uderzają wzniosłém pięknem, tętnią talentem, grzeją ogniem, przemawiają do wyobraźni. Cóż więc warta powieść, która jest przecież formą poezyi, bez tych zalet? „Opinie swoje opiéram i na względach praktycznych. Są ludzie średniego poziomu wykształcenia, którzy przeważnie czytają powieści. Są kobiéty, które oprócz powieści nic nie czytają. I o względach pedagogicznych powieściopisarze zapominać nie powinni. Takie są pretensye wykształceńszego czytelnika do powieściopisarzy. Lecz, niestety, istnieje inny jeszcze i bardzo przeważający typ, dogodny dla

producentów tandety. Prenumerator pisma lub nabywca książki jest osobą w tych czasach bardzo szanowaną i uwielbianą. W prospektach wydawniczych przysięgają na wszystkie tony i wszystkie bogi wierność jego interesom i dbałość o jego szczęście, nietylko doczesne... Obchodzą się z nim jak z jajkiem, jak z dobrodziejem, jak z protektorem. To też „łaskawy" czytelnik, biorąc do ręki książkę lub dziennik, robi minę zniecierpliwionego, ulegającego natarczywości.

We wszelkich rozprawach o stanie i wartości współczesnego popularnego piśmiennictwa, pamiętać musimy koniecznie o osobie, zwanéj „przeciętnym czytelnikiem". Dla niego się to przeważnie piszą i wydają powieści i dzienniki, grają komedye i operetki. Stało się przykazaniem szanować pojęcia „przeciętnego czytelnika. Pojmowanie zaś téj przeciętności bywa coraz ciaśniejsze. Wydawca i redaktor z tego przedewszystkiém stanowiska oceniają wartość prac i utworów. „Praca pańska jest niewątpliwie dobra i ładnie napisana, ale to nie dla naszych czytelników". Inaczéj mówiąc, bierze się pod rachubę tylko płytkie i powierzchowne upodobania większości, która wymagań wysokich nie ma, i zadanie handlu literackiego polega na tém, ażeby nie dopuszczać ich wzrostu. Mówiłem wyżéj o dziesięciu publicznościach, stojących na różnych stopniach drabiny umysłowéj. Logiczne żądanie, ażeby publiczność niższych stopni wznosiła się do poziomu wyższych, dopóty nie ma widoków urzeczywistnia, dopóki ta „przeciętność" w dzisiejszym będzie tłómaczona duchu. Fabrykanci lichych powieści i mdłych felietonów zajmują najlepsze miejsca w straganach literackich i najgłośniéj je reklamują na rynku. „Przeciętny czytelnik" przeciętnego potrzebuje autora—to jasne.

A cóż wobec tego pozostaje innym? Żądać, popiérać i czytać swoich autorów, swoje pisma i książki. Jeżeli przewaga i zachcenia większości w zakresie życia społecznego na słuszną trafiają opozycyą, to tém więcéj w sferze umysłowéj i estetycznéj z pewnością nie większość daje impuls reformom, bo interesa pierwszéj kategoryi dostępne są prawie wszystkim, drugiéj zaś — tylko wybranym. Wymagają one szczególnéj i odrębnéj organizacyi wrażliwości, może szczególnych komórek mózgowych.

* *
*

Zachwiane położenie własności ziemskiéj sprowadziło wiele następstw, tak obyczajowych jak i materyalnych. Dewastacya i subha-

sta majątków były i są najpospolitszemi ich postaciami. Hałas, wszczęty przed kilku laty, ucichł z czasem, lecz dawny stan rzeczy trwa dalej i jeszcze trwać będzie. Długie litanie wystawianych na licytacyę posiadłości ziemskich nie skracają się. Na tej ruinie,—jak to zresztą bywa zawsze, że z upadku jednych powstają i tuczą się inni — wzrosła spekulacya tak specyalnemi warunkami wywołana. We wszystkich okolicach kraju działają już to pojedyńczo, już spółkami,— na kupnie i kolonizacyi subhastowanych wsi grubo zarabiający spekulanci. Dobrze świadomi tych stosunków rolnicy opowiadają o licznych przykładach szybkiego bogacenia się handlarzy ziemią, którymi nieraz są indywidua z pod ciemnej gwiazdy. Kupują na licytacyach, albo i od Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego za cenę jego wierzytelności wieś, najczęściej wprawdzie opuszczoną, bez budynków, zasiewów i inwentarzy; nabywając ją jednak za połowę lub trzecią część wartości, posiadając właściwe zdobywcom grosza spryt i energię, układają się przebiegle z chłopami o serwituty, sprzedają lasy, lub kolonizują ziemię i zarabiają nieraz sto na sto. Współczesne warunki krajów ucywilizowanych sprzyjają zuchwałym i chciwym Kortezom, jak i dziewicze ziemie Nowego świata w wieku XVI-ym, z tą tylko różnicą, że nie narażają dziś tych przedsiębiorców, jak niegdyś, na utratę życia w walce lub zasadzce.

Ta spekulacya, z subhastowanych majątków ziemskich powstała, tuczy się najpierw kosztem wywłaszczonych posiadaczy,—których własna niezaradność i brak przewidywania przyprawiły o ruinę i którzy w chwili właściwej, czy to przez parcelacyę, czy to przez odprzedaż częściową, czy przez inną kombinacyę ratować się mogli,—następnie bogaci się także i kosztem chłopa, drogo nabywającego kawałek ziemi od spekulanta. Sprawa ta stała się niezawodnie jedną z najpoważniejszych w naszej ekonomii społecznej, jak wszystko, co dotyczy ziemi i jej losów. Działalność Banku włościańskiego nie jest jeszcze dotychczas tak rozwiniętą, ażeby przechodzenie ziemi z rąk większych właścicieli do mniejszych mogło się we wszelkich warunkach odbywać przy pomocy tej instytucyi, ponieważ Bank, ze względu na swój regulamin i fundusze, ma ograniczony zakres operacyi. Spółki parcelacyjne są także dotychczas w sferze dyskusyi.

Od inicyatywy prywatnej i obywatelskiej wymagaćby więc należało odpowiednich środków i zmiany taktyki. Utrzymanie ziemi w ręku żywiołu, dającego pewniejsze rękojmie cywilizacyjne i moralne, niż goniący za nadmiernym zyskiem spekulanci, obchodzić powin-

no wszystkich. Źle jest i będzie, jeżeli licytowane majątki nabywają dotąd przeważnie ludzie wątpliwego poziomu moralnego. Słusznie poseł Prawdy drwi ze zwyczaju, który do przymusowéj licytacyi majątku szlacheckiego pozwala stawać żydom, chłopom, urzędnikom, kupcom, przemysłowcom, wszelkiéj wreszcie pośledniéj nacyi, a wyraźnie zabrania „dobrze urodzonym". Wynikiem tego chwalebnego zwyczaju jest zwykle taki skutek, że z grona nabywców bywa wyłączany stale żywioł, który nietylko posiada poważne środki materyalne, ale posiada największe rękojmie utrzymania i dobrego prowadzenia gospodarstwa. Subhastowany dłużnik, w którego interesie obdarzeni poczuciem honoru obywatele ziemscy cofają się od udziału w kupnie, dzięki téj z ich strony uprzejmości, czy ofierze, zostaje pozbawiony swéj własności za cenę znacznie niższą, traci kilka lub kilkadziesiąt tysięcy rubli, które bądź stanowią resztę jego majątku, bądź spadają z hipoteki pod postacią cudzych wierzytelności, ciążących na nim daléj, jako długi (osobiste)".

Straty materyalne dla wywłaszczonych przez licytacye jednostek i straty ogólne, kiedy ziemia przechodzi do ludzi, obcych wszelkim pobudkom obywatelskim, są bardzo widoczne. Rzecz nie jest jednak tak łatwa i prosta, jakby się zdawało, i błędem jest przypisywać wszystko naiwnemu zwyczajowi. „Trudno przypuścić — pisze poseł Prawdy—ażeby nawet wśród wymiérających gatunków szlachetczyzny istniały okazy ludzkie tak naiwne, któreby mniemały, że jeżeli oni nie zgłoszą się z chęcią nabycia jakiegoś subhastowanego majątku, to on nie będzie sprzedany i pozostanie przy swoim nominalnym właścicielu".

Ciągła praktyka życiowa obala to przypuszczenie, boć te „naiwne okazy" mają przed oczyma tak liczne przykłady, że w mniemaniu podobném mogłyby pozostawać chyba dzieci. Czytamy wszakże daléj: „Jestto rzecz dziwna, że te artykuły naszéj moralności społecznéj, które najczęściéj zwalczać musimy, nietyle zdradzają zaufania, ile dziecięcéj naiwności. Tę również cechę nosi zwyczaj, powstrzymujący naszych ziemian od kupowania subhastowanych majątków szlacheckich. Jakaś komiczna rycerskość kilkoletnich chłopczyków podniesiona została do godności zasady obywatelskiéj i przechowywana jest, pomimo że przynosi widoczne a nieraz znaczne szkody zarówno krajowi, jak tym, których niby ma uszczęśliwiać".

Ta powściągliwość w praktyce różni się bardzo od „komicznéj rycerskości". Kupienie majątku przez licytacyę nie ogranicza się na fatydze pójścia do sądu lub kancelaryi rejenta, spełnieniu warunków

licytacyjnych, opłacie stempla skarbowego i objęciu wsi w posiadanie. Przed, po i w trakcie tych formalnych czynności jest do załatwienia mnóstwo innych, wymagających wielkiéj energii i... dobrego zdrowia. Trzeba się układać z wywłaszczanym dziedzicem, człowiekiem, w takim okresie życia bardzo zazwyczaj podrażnionym i—dodajmy — nieprzyjacielem w owéj chwili prawa, w którém widzi osobistego wroga, czyhającego na jego mienie, ojcowiznę i nawet dach nad głową. Układy takie nie są ani łatwe, ani przyjemne dla osoby z subtelniejszemi uczuciami. Ułożyć się wszakże trzeba, bo wywłaszczony albo nie ustąpi dobrowolnie z gruntu i, rugowany gwałtem, może się posunąć do „zemsty" osobistéj, albo będzie szarpał opinię nowonabywcy do trzeciego pokolenia. Należy z nim traktować i fikcyjne jego pretensye kupić. To samo uczynić wypada z wierzycielami hypotecznymi i rewersowymi, wśród których nie brak lichwiarzy, nie przebiérających w środkach. Potém wchodzi się do majątku, w miniaturze przypominającego Kartaginę z zadumanym nad nią Maryuszem. Powystawiane okna, powyjmowane podłogi, porozbiérane budynki, popalone płoty, niezasiane pola. Zniszczenie, cisza i pustka. Służba i najemnicy, niepłaceni od lat kilku, dopominają się groźbą i prośbą zaległości, obciążających dawnego właściciela, który, otrząsnąwszy proch ze stóp swoich, zniknął. Człowiek przyzwoity musi płacić i wydawać, i w każdym razie więcéj, niż przewidywał. Potém zaczyna się odbudowa pustki i zapłodnienie wyjałowionych pól. A ileż innych jeszcze czynności mniéj lub równie ważnych!

Zdecydowany na wszystko i bez skrupułów spekulant, postępuje i działa raźniéj i bezwzględniéj... Ruguje, niszczy, w sentymenta się nie bawi.

Kupowanie więc majątków na licytacyach nie dla wszystkich jest rzeczą powabną. Pojmowane jako zarobek, jako spekulacya, może przynieść wielkie zyski, których w takich rozmiarach nie może mieć nabywca z innemi nawyknieniami i zobowiązaniami. Każda sfera interesów ma odpowiednich ludzi.

Co zaś do samego przesądu, powstrzymującego sąsiadów i ludzi uczciwych od kupowania licytowanych majątków — to uznać go istotnie wypada dla interesów rolnictwa i interesów społeczeństwa za szkodliwy. Nie odwołujemy się tutaj do „opinii", bo ta szanowna dama z każdém powodzeniem kompromis zawrzéć potrafi i otwiéra mu swoje podwoje, ale do tych, którym własne poczucie na kupno takie nie po-

zwala. Byłby to anachronizm, wobec nieubłaganego parcia faktów, szkodliwy.

Lecz byłoby także dobrowolnem złudzeniem przypuszczać, że zaniechanie tego anachronizmu zatrzyma klęskę ruiny ziemskiéj. Ilość przeciążonych długami posiadłości jest zawielka, ażeby inne pojmowanie obywatelskiego i sąsiedzkiego „honoru" mogło być uważane za dostateczny środek ratunku. Kwestya téj ruiny pozostaje zawsze otwartą.

* * *

Ogłoszono niedawno ustawę, która, byleby należycie została rozwinięta, przyniesie bardzo humanitarne owoce. „Towarzystwa pomocy dla uczącéj się młodzieży" odpowiedzą nader poważnym i pilnym potrzebom. Wśród obowiązków, wkładanych przez cywilizacyę na społeczność ludzką, dostarczenie ubogiéj młodzieży możności środków kształcenia się należy do najpierwszych. Są nawet tacy, którzy wartość ustroju zbiorowego mierzą przedewszystkiém ilością, jakością i całym systemem, zmierzających do tego celu środków.

Wszyscy niemal rodzice pragną, ażeby dzieci ich pozyskały oświatę i naukę. Wprawdzie łączą się z tém pragnieniem cele samolubstwa i ambicyi. Według jednych jestto droga do karyery i synekury; u innych zaspakaja próżność i t. d.

Ale dla licznéj młodzieży ubogiéj, dla téj, która ma niezaprzeczony przywiléj dostarczania ogółowi wytrwałych pracowników, utrudnienie drogi do nauki systematycznéj wydaje się okrutną niesprawiedliwością. Słyszy ona o bezmyślnym i gorszącym zbytku, na jaki sobie pozwalają inni, kiedy sama tymczasem nie widzi sposobu zaspokojenia najdroższych i najgodziwszych swoich pragnień.

Hipokryci i pedanci opowiadają z namaszczeniem o tych bohatérach pracy i zaparcia się, co to o suchym chlebie, łojówce, dziurawym bucie i pożyczanéj książce, dzień i noc pracując i ucząc się, doszli do celu, stanowiska, zasługi i zaszczytu. Czy potrzeba, czy nie potrzeba, stawiają ich za przykład. Wypadki takie niewątpliwie się zdarzają, ale cóż stąd? Podobno Ignacy Lojola po trzydziestym roku życia zaczął się uczyć gramatyki, a przecież doszedł do silnego rozwoju zdolności umysłowych. Czyż jednak wypadek wyjątkowy za normę stawiać można. Pamiętajmy o tém, że tak często zalecane do-

broczynne następstwa pracy są jałowym, albo obłudnym frazesem. Buchalter, siedzący od ósméj rano do ósméj wieczorem nad cyframi, z bezmyślną głową i stępioną wrażliwością idzie na operetkę, gdzie „się zaśmiéwać będzie", bo nie starczy mu już chęci nawet na przeczytanie czegoś poważniejszego: nie jest on w stanie skupić uwagi. Zmęczony i wyczerpany robotnik i rzemieślnik idzie do szynku, bo alkohol podnieci na chwilę jego fantazyę. Praca nadmierna jest ogłupiającym i demoralizującym czynnikiem, wrogiem samodzielności i godności człowieka.

Cóż dopiéro mówić o młodzieży, która się uczy lub uczyć pragnie? Organizm musi miéć zapewnione *minimum* ciepła, pożywienia i światła, a także swobody, wolnéj troski o chléb, ażeby wysiłki umysłu nie wyczerpywały organizmu, za co w przyszłości płaci się upadkiem energii i zwątleniem inteligencyi.

Kogóż zresztą jeszcze o tém przekonywać potrzeba? Wiadomości z nauk przyrodzonych, z hygieny i fizyologii, obaliły wśród czytającego ogółu mnóstwo fałszów i przesądów, które ongi mogłyby stanąć na drodze polepszeniu warunków życia uczących się.

Co do młodzieży szkolnéj, to nie można zresztą ogółowi, zwłaszcza warszawskiemu, stawiać zarzutu obojętności względem jéj potrzeb. Odezwy o składki na wpisy, mundury i książki nie pozostawały bez skutku. Ale to wszystko działo się bez systemu, który porządkuje, przewiduje, najpilniejsze potrzeby zaspakaja i daje rękojmię ciągłości działania.

„Towarzystwa pomocy dla uczącéj się młodzieży" stać się właśnie mogą takim systemem i rękojmią. Według ustawy normalnéj stowarzyszenia prywatne mogą się zawiązywać w miastach, posiadających jeden lub kilka zakładów naukowych. W zakres pomocy wchodzi: wnoszenie opłaty za naukę, bezpłatne udzielanie książek i wszelkich innych przedmiotów niezbędnych; dostarczanie odzieży, pożywienia, mieszkania, pomocy lekarskiéj, zapomóg pieniężnych. Liczba członków honorowych i rzeczywistych nie jest ograniczona, Fundusze powstają ze składek członków, z ofiar w gotówce i innych przedmiotach, z koncertów, widowisk, bazarów, odczytów, balów i t. d. Zarząd składa się z członków Towarzystwa, oraz z przedstawicieli zakładów naukowych.

Od nas zależy przyszły rozwój nowéj instytucyi. Jest téż powód do uzasadnionéj nadziei, że klasa zamożna i inteligentna weźmie sobie

za punkt honoru rozwój towarzystw pomocy we wszystkich miastach, które obejmuje ustawa normalna.

Dla wielu osób, w zakresie dobroczynności pracujących, ustawa będzie wielką ulgą i uproszczeniem dotychczasowych starań i zabiegów.

Teraz można ułożyć na dłuższy czas program z góry, zaprojektować budżet bez sztukowanej roboty *von Fall zu Fall*.

B. Lut.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński***. — Redaktor ***P. Chmielowski***.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Ks. Karol Niedziałkowski.* **O chrześciańską zasadę.** Tom 1-szy. Warsz., 1895, 8-vo, str. VII, 359.
2. **Akta** grodzkie i ziemskie z czasów rzeczypospolitéj... wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego. Tom XVI. Lwów, 1894, 4-to, str. XVIII i 581.
3. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego.* Tom XIII, zesz. 152 i 153. Warsz., skład u Gebethnera i Wolffa, 1894/5, wielkie 8-vo, str. 561—720.
4. **Encyklopedya rolnicza** wyd. staraniem Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie Zesz. XLI: Jaja — Jęczmień. Warsz., 1894, skład u Gebethnera i Wolffa (str. 609 — 688).
5. *Eliza Orzeszkowa.* **Powieści i opowiadania.** Przekład *W. M. Ławrowa.* Moskwa, 1895, 8-vo, str. 459.
6. **Dzieje powszechne** ilustrowane. Wiedeń. nakładca Franciszek Bondy. Skład gł. w księg. G. Centnerszwera w Warsz. Zesz. 3 — 11, str. 33 — 168 (cena zeszytu kop. 12).
7. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach Koźmiana, Ostrowskiego, Paszkowskiego, Kasprowicza, Langego i Rossowskiego. Lwów, skład gł. w księg. G. Centnerszwera w Warszawie. Zesz. 13—20 (cena zeszytu 15 kop.).
8. *Klemens Junosza.* **Wybór pism**. Tom VI. Warsz., 1894, nakład autora, 8-vo, str. 203.
9. **Dzieła dramatyczne** *Williama Shakespeare* (Szekspira) w dwunastu tomach, przekład *L. Ulricha.* Tom V. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, str. 304.
10. **Wisła**, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. R. 1894. tom VIII, zesz. 4 (str. 645 — 875) z rysunkami i mapą. Warsz., skład gł. w księg. M. Arcta, 1894.
11. **Początkowa nauka fizyki**. Przez *Władysława Natansona.* Ze 140 rysunkami. Warsz., w księg. Michała Arcta, 1895, 8-vo, str. VI i 122.
12. *F. Arnsztajnowa (F. A. M.).* **Poezye**. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, str. 90.
13. *Kaźm. Korczak Michalewski.* **Z historyi** powstawania i obecnego rozwoju gradowych towarzystw asekuracyjnych. Lwów (1895), nakł. Wydawnictwa kalendarza asekuracyjno-ekonomicz., 8-vo, str. 39.
14. **Rozprawy** Akademii umiej. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom V. Krak., 1894, str. 350 z mapą, dwiema tablicami i 12 rycinami w tekście.
15. **Historye rzymskie** (Gesta Romanorum) wydał dr. *Jan Bystroń.* Krak., nakł. Akad. umiej., 1894, 8-vo.
16. **Atlas geologiczny** Galicyi. Tekst do zeszytu trzeciego opracował dr. *St. Zaręczny.* Krak., nakł. Akad. umiej., 1894, 8-vo, str. 290 z siedmiu tabl. litograf.
17. *Adam Krechowiecki.* **Kres.** Powieść współczesna. Warsz. (1895), S. Lewental, 8-vo, str. 442.
18. *George J. Goschen.* **Teorya kursów weksli** zagranicznych. Przełożył *Adolf Peretz.* Warsz., nakł. redakcyi „Gazety losowań", 1895, 8-vo, str. X i 100.
19. *Plato v. Reussnera.* **Najlepsza metoda** czyli Samouczek polsko-francuski. Warsz., nakł. autora, 8-vo, zesz. II (cena 15 kop.).
20. *Klemens Junosza.* **Wybór pism** w X tomach. Warsz., nakł. autora, tom VI, 8-vo, str. 203.
21. **Encyklopedya rolnicza** wyd. Muzeum przemysłu i rolnictwa. Warsz., 1895, zesz. XLII (str. 689—762): Jęczmień—Karczowanie.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

